

- Nagroda Booksellers' Prize (2005)
- The Norwegian Readers' Prize (2005)

Anne B. Ragde

# Raki pustelniki



Anne B. Ragde

# Raki pustelniki

przekład z języka norweskiego

Ewa M. Bilińska

smak  słowa

Sopot 2011



## ROZDZIAŁ 1

Zazwyczaj nie budziła się tak wcześnie. Leżała teraz w mroku sypialni z szeroko otwartymi oczami i nasłuchiwała jego odgłosów. Najpierw uporczywego dzwonienia budzika, które zostało od razu stłumione, musiał leżeć i czekać na ten dźwięk. Wiedziała, że jest wpół do siódmej. Przez krótką chwilę panowała zupełna cisza, a potem usłyszała, jak jego drzwi cicho się otwierają, aby zostać zamknięte równie spokojnie. Te same odgłosy poprowadziły ją od drzwi do łazienki. Był świadomy, że nocują u niego obcy ludzie, i nie chciał hałasować, bo chyba tak właśnie ich traktował? Jak obcych, którzy nie mają z tym miejscem nic wspólnego, a przyjechali tylko przeszkadzać i się wtrącać. Zakłócać lata spokojnej rutyny i bezpieczeństwa.

Nie знаła swojego ojca. Nie miała pojęcia, kim on jest. Jak wyglądał, kiedy był młody, jak w dzieciństwie albo gdy był w jej wieku. W gospodarstwie nie było ani jednego albumu ze zdjęciami. Wszystko sprawiało wrażenie historii, której częścią nigdy nie była, a teraz nagle znalazła się w samym jej środku. Ale dziś już miała wyjeżdżać, żeby powrócić do swojej historii. Leżąc w ciemności, myślała właśnie o tym, że pojedzie stąd, zanim w ogóle go pozna. Znała tylko gospodarza hodującego świnię; kogoś, kto cieszył się z każdego wejścia do chlewu; czyj głos stawał się śpiewny i żywy, gdy opowiadał o różnych osobliwościach macior, o psotach prosiąt, o wielkich miotach i szybkim przyroście wagi u młodych. W chlewie dostrzegała go wyraźnie, w chlewie istniał, gdy stał tam w brudnym kombinezonie i pochylał się nad boksem, by poczochrąć za uchem ćwierćtonową maciorę, uśmiechając się przy tym szeroko do zwierzęcia, z lekkim, jasnym spojrzeniem.

Usłyszała, jak oddaje mocz, w sam środek muszli, tego już nie zdołałby zmienić bez względu na to, ilu gości spałoby wokół niego. Słuchała, jak strząsa ostatnie krople, jak potem spuszcza wodę. Nie dotarł do niej odgłos wody w umywalce, tylko drzwi, które ponownie zostały otwarte i zamknięte, zanim powoli zszedł po schodach do kuchni. Usłyszała, jak tam nalewa wody do dzbanka na kawę, prawdopodobnie na stare fusy z wczoraj, a potem zapadła cisza.

W ciszy tej intensywnie próbowała przywołać w myślach obraz swojego mieszkania w Oslo; rysunki na ścianach, książki na półkach, mały szklany pojemnik z błękitnymi kulkami do kąpieli na brzegu umywalki, odkurzacz w bardzo ciasnej szafie w korytarzu, automatyczna sekretarka migająca, gdy wracała do domu z pracy, kosz na brudną bieliznę, stos starych gazet tuż przy drzwiach wejściowych, zabytkowa puszcza, do której zawsze pamiętała, żeby włożyć żytnie ciasteczka, tablica korkowa z rozdartymi biletami z kina oraz zdjęciami psów i ich właścicieli. Starła się zobaczyć przed sobą to wszystko i jej się udało. Cieszyła się na powrót. Ale nie wiedziała, kim on jest. Nie wiedziała, kogo tu opuszcza. Lepiej znała jego świnię niż jego samego.

Teraz słyhać było dźwięk otwieranych drzwi zewnętrznych i jego kroków na ganku, wymacała palcami telefon na nocnym stoliku i nacisnęła, dochodziła za dziesięć siódma. Ale najpierw czekała na odgłos zatraskujących się za nim drzwi do chlewu, a potem wyskoczyła spod kołdry w lodowaty pokój, schwyciła ubrania i wyszła do łazienki, żeby je włożyć. Tak samo jak on, przemykała się cicho. Z tą różnicą, że robiła to szybko jak błyskawica, a nie jak stary człowiek. W łazience poczuła resztki zapachu, jaki po nim pozostał. Pomieszczenie było zimne, jedyne źródło ciepła stanowiło małe zardzewiałe słoneczko, zamontowane na ścianie nad lustrem. Myjąc ręce, uważnie przyglądała się swojej twarzy, nie miała siły brać prysznicza, wołała z tym poczekać, aż znajdzie się u siebie w domu, gdzie nie będzie musiała stać na końcu śliskiej wanny, gapiąc się na płyty z plastikowej imitacji marmuru, między którymi fugi były spęczniałe od wilgoci, a później wycierać się ręcznikiem tak zużyтым, że prawie przezroczystym. Dziś wieczorem będzie stała w swojej własnej, wygodnej kabinie prysznicowej, z podgrzewaną podłogą pod ceramicznymi kaflami.

Wymknęła się do korytarza i nadśluchiwała przez chwilę, a potem ostrożnie nacisnęła klamkę do jego sypialni.

Pokój był nieco większy od tego, w którym spała, a który tak naprawdę był dawnym pokojem Erlenda.

Zapaliła górne światło, nie zauważyłby tego, okno wychodziło na stronę przeciwną do podwórza, na fiord, tak samo jak jej okno.

Ściany pomalowane na jasnozielono dziesiątki lat temu. Podłoga kiedyś pociągnięta szarą farbą, teraz była wytarta do gołego drewna w półokręgu przed drzwiami i przed łóżkiem, tam gdzie jego stopy stykały się z podłogą, gdy wstawał i gdy się kładł. Na szybach mróz namalował kwieciste wzory, wyraziście białe na tle zimowego mroku na zewnątrz, fantazyjne koła i inne kształty.

Kwiaty na szybach były jedynym pięknym elementem w całym pokoju.

Ani jednego obrazka na ścianie. Łóżko, stolik nocny, szmaciany dywanik, kredens pod jedną ze ścian. Podeszła do kredensu i otworzyła drzwi. Pusto. Stał tutaj tylko jako mebel podpierający ścianę. Ale w górnej szufladzie leżało kilka szydełkowych obrusów, ułożonych jeden na drugim, w identyczny wzór, różniący się tylko kolorem błyszczącej bawełnianej nici. Zaczęła marznąć, prawdopodobnie okno zostało zamknięte dopiero wtedy, gdy wstał.

Prześcieradło pod skotłowaną kołdrą było brudne, głównie w nogach, a tu i ówdzie leżały kłaczki wełny, może kładł się do łóżka w wełnianych skarpetach. Właściwie po co tu przyszła, tutaj przecież też nie mogła go poznać. To było jego miejsce odpoczynku, tutaj był nikiem; nikt nie był kimś szczególnym w czasie snu i wytchnienia. Ale kto wie, przez ile wieczorów wcale się tutaj nie kładł, tylko patrzył w mrok i rozmyślał. Czy myślał o niej? Tęsknił za nią? Czy cierpiał, nie wiedząc, kim **ona** jest?

W pokoju unosił się ciężki i mocny zapach, ciała i chlewu, i zimnych ścian.

Szafa. Wpasowana w ścianę tak, że trudno było ją od razu dojrzeć, z malutkimi gałkami służącymi do otwierania drzwi. Kilka flanelowych koszul z przetartymi kołnierzykami i mankietami, para spodni na samym dnie, półka ze skarpetkami i majtkami, najwyżej po trzy-cztery pary, krawat zapakowany w folię, podniosła go, w środku leżała wyblakła kartka świąteczna. Krawat był od rzeźni w Eidsmo, odłożyła go ostrożnie na miejsce.

Stała, nadśluchując. Ale on oczywiście nie wrócił, po co miałby to robić, był pewnie w połowie roboty w chlewie, a ona w tym czasie przeszukiwała jego pokój, nie wiedząc nawet, czego szuka. Każde kolejne spojrzenie na cokolwiek przyprawiało ją o smutek. Rozpad. U siebie w domu miała szerokie na sto dwadzieścia centymetrów łóżko z grubym materacem, jej ojciec

spał w łóżku, które miało najwyżej osiemdziesiąt centymetrów szerokości, na kawałku pianki. W środku łóżka widoczne było głębokie wklęsnięcie, prześcieradło marszczyło się i przyklejało do tej dziury, wezłowie i nogi łóżka były z wyblakłego drewna, szczyt mebla miał na środku jaśniejszą plamę, gdzie przez te wszystkie lata najwyraźniej opierał głowę, zanim wyłączył lampkę do czytania. A dziś miała stąd wyjechać, daleko o pięćdziesiąt mil<sup>1</sup>, a on już dziś wieczorem miał położyć się do tego łóżka. Tutaj miał kłaść się ciągle i ciągle od nowa, nakręcać budzik i próbować zasnąć za swoimi kwiatami na szybie.

Otworzyła szufladę w nocnym stoliku. Z fotografii uśmiechnęło się do niej prosię, to była jubileuszowa! broszura norweskiego związku hodowców świń, podniosła ją, żeby obejrzeć. Pod spodem leżało dwadzieścia banknotów tysiackoronowych, ach tak, a więc to tutaj je ukrył. Pod banknotami znajdowała się książka, wyjęła ją bardzo ostrożnie.

Raport Kinseya. Zachowania seksualne kobiet. Stała zupełnie nieruchomo z książką w rękach. Raport Kinseya, coś jej się kołatało w głowie z programu usłyszanego w radio, że ten Kinsey jakieś wieki temu przeprowadzał wywiady z amerykańskimi kobietami i mężczyznami na temat ich zwyczajów seksualnych, zdaje się, że to spowodowało duże zamieszanie w USA. Książka sprawiała wrażenie mocno zużytej, rogi miała pozaginane.

Chciała ją przekartkować kciukiem wspan, ale jej palec natychmiast zatrzymał się na czymś twardym wewnątrz tylnej okładki, otworzyła książkę w tym miejscu. Biblioteka Publiczna w Trondheim, napisane było na pieczęci, przybitej na wąskiej kieszonce z żółtawą, staroświecką kartą wypożyczeń wetkniętą do środka, takie karty pamiętała ze swoich wizyt bibliotecznych w dzieciństwie. Wyciągnęła kartę. Książka miała zostać oddana najpóźniej dziesiątego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku.

Szybko odłożyła książkę z powrotem pod banknoty. Raport Kinseya i materac z pianki nie szerszy niż osiemdziesiąt centymetrów. Wymknęła się z pokoju.

---

<sup>1</sup> Milla norweska - około 10 kilometrów (przyp. tłum.).



## ROZDZIAŁ 2

Trochę tylko po tobie posprzątam. Zanim pojedziesz.

Torunn nie usłyszała, że ojciec wyszedł za nią na podwórko, świeży śnieg stłumił wszelkie odgłosy.

– No, ale czyż nie jest miło posiedzieć przy kuchennym oknie i popatrzeć na nie? – powiedziała. – A przecież nie przylecą, jeśli w karmniku będzie pusto.

– My zazwyczaj owijamy tylko kawałkiem sznurka trochę starej słoniny i tu wieszamy. Ale teraz przez pewien czas miały biedę. Zazwyczaj... takimi rzeczami zajmowała się matka.

Właśnie wróciła ze sklepu, gdzie robiła ostatnie zakupy przed wyjazdem. Ona, Erlend i Krumme wyjeżdżali dziś, ona do Oslo, a Erlend i Krumme do siebie do Kopenhagi. Chciała, żeby w domu zostało jakieś dobre jedzenie, takie, na którego zakup ojciec nigdy by sobie nie mógł pozwolić. Erlend obiecał za wszystko zapłacić. *Carte blanche*, wyszeptał jej do ucha, gdy odjeżdżała do spółdzielni w Spongdaal, i to ją ucieszyło, bo na jej koncie pozostała już tylko suma wystarczająca na pokrycie styczniowych rachunków, mimo że była współwłaścicielką kliniki dla małych zwierząt. **Wujek** Erlend, pomyślała, dziwnie było nagle mieć wujka starszego od siebie o zaledwie trzy lata. Młodszy brat ojca, który opuścił gospodarstwo w gniewnym uniesieniu dwadzieścia lat wcześniej i który, zdaje się, nigdy nie pomyślał, że powróci tutaj po tak długim czasie, by spędzić święta, w dodatku razem ze swoim partnerem życiowym. Wszystko wskazywało na to, że to właśnie Erlend, syn marnotrawny, najlepiej spośród wszystkich trzech braci poradził sobie w życiu. Erlend był szczęśliwy, kochał i był kochany, i do tego bardzo dobrze ustawił się finansowo. Opowiedział jej, że Krumme jest jednym z tych mężczyzn w Danii, których nazywa się bogolami, a on, Erlend, uwielbiał to słowo.

Margida, chociaż był jej wujem, nie potrafiła tak nazywać. Może to z powodu wykonywanej pracy wydawał się aż tak niedostępny, musiał mieć przecież cały czas pod kontrolą wszystkie uczucia. Stały kontakt z żałobnikami, organizacja doskonałych pochówków, wszystko to na pewno przyczyniało się do tego, że nauczył się żyć sam ze swoimi myślami. Wszak od tylu już lat wiedział, jak mają się sprawy w Neshov, że tyle rzeczy zostało zbudowanych na kłamstwie, że ten, którego nazywają ojcem, wcale nim nie jest. Margido o tym wiedział i nie powiedział niczego ani Torowi, ani Erlendowi. Zamiast tego wycofał się z kontaktów z nimi, postanowił po prostu zignorować tę część rzeczywistości. Aż do świąt, kiedy został zmuszony do tego, by jej sprostać.

Idąc między półkami w sklepie spółdzielczym i pchając przed sobą wózek, myślała o nich wszystkich i próbowała sobie przypomnieć, co zostało w lodówce. Myślała o ciszy, jaka zapadła po tym wszystkim. Pierwszy dzień świąt, który sama odebrała jako rozpaczliwe próby przywrócenia normalności. Rozmowy o pogodzie i o temperaturze na dworze! To wtedy zrozumiała, że właśnie w ten sposób wszyscy tutaj jakoś przeżyli, **omijając** starannie wszystko i

tworząc własną rzeczywistość. To, o czym się nie mówiło, nie istniało. Jej ojciec nadal nazywał **staruszką ojcem**, a ona sama poddała się temu i myślała o nim jako o dziadku. A dziadek niczemu się nie sprzeciwiał, czuł zapewne, że on powiedział już swoje, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu.

Napełniła wózek jedzeniem i pomyślała o napełnieniu również po brzegi karmnika dla ptaków. Zobaczyła w wyobraźni ojca, który już za kilka godzin będzie siedział sam przy stole kuchennym, wyglądając na podwórko znad brzegu białej, nylonowej firanki.

Kupiła cztery kule karmy dla ptaków zapakowane w zieloną plastikową siatkę i kilka torebek ziaren zapakowanych w ten sam sposób. Teraz stała i mocowała kule do drzewa na podwórku za pomocą kawałka sznurka i kredki, palce już miała zdrętwiałe z zimna. Na podłodze karmnika ułożyła małą piramidę ze starego chleba.

– Pamiętaj, żeby dołożyć chleba, jak zrobi się pusto. Wróble wolą jeść w pozycji stojącej, tylko sikorki lubią zwiśać głową w dół i zająć jednocześnie!

Zaśmiała się, sama słysząc, że śmiech wypadł nie w porę. Miała jechać do domu, do domu w Oslo i do swojej pracy, opuścić to gospodarstwo na przedmieściach Trondheim, gdzie do tej chwili przed czternastoma dniami nie miała nic do roboty. Inne życie, inny czas prawie. A pojutrze był sylwester, Nowy Rok i nowe plany.

– Chyba zadzwonisz – powiedział stłumionym nagle głosem, słyszała doskonale, że nic już go nie obchodzi sprawy ptaków. Nie odwracając się, wiedziała, że stoi tam, kopiąc w śniegu jednym drewniakiem, prawdopodobnie prawym, świeży śnieg osiadał leciutko na szarych wełnianych skarpetach, które zawsze wkładał do drewniaków i butów roboczych.

Wcisnęła ostatnią kredkę, nagle skojarzyło jej się to z zabijaniem drzew przez wciskanie im w pnie miedzianych kołków, wtedy ginęły od zatrucia. Może w kredkach też jest trochę miedzi, wtedy wyszłoby na to, że stoi i zabija główne drzewo podwórkowe w Neshov, a przy okazji duszka gospodarstwa, bo mieszkał on pod tym drzewem i na pewno zginie, jeśli drzewo umrze.

– Jasne, że zadzwonię. Od razu jak przyjadę do domu – rzekła, chociaż doskonale wiedziała, że zupełnie nie o to mu chodziło.

– Podobno ma być paskudna pogoda. A ty masz lecieć samolotem – powiedział.

– Wszystko będzie dobrze. Bądź spokojny.

Kule ptasiej karmy wisiały ciche i zielone tuż przy pniu podwórkowego drzewa, nie było już czym zająć rąk, musiała się odwrócić, a on stał tam dokładnie tak, jak sądziła, wokół prawego drewniaka zaznaczało się półkole odkopanego śniegu, ręce miał wetknięte w kieszenie czegoś, co wyglądało jak wełniane spodnie w kratę, sweter zwiśał luźno i niedbale na chudym ciele, ciele, które za cztery lata skończy sześćdziesiąt lat, na jej **ojcu**, to było trudne do pojęcia.

– Leciałeś kiedyś samolotem?

– A, tak – odpowiedział.

Podszedł i zaczął jeszcze bardziej rozkruszać chleb w karmniku, okruszki spadały w śnieg i znikwały, zostawiając po sobie malutkie, błękitnobiałe dziurki. Łokcie wystawały mu ostro spod swetra, który był szeroki z przodu i krótki z tyłu, wełna na łokciach była przetarta i odsłaniała kraciatą flanelową koszulę pod spodem. Sweter, a może powinna zrobić dla niego na drutach dobry wełniany sweter i nalegać, żeby używał go na co dzień. Tylko na co by się zdały jej najgorętsze nalegania przez telefon z Oslo, pomyślała, tutaj w gospodarstwie i tak wszystko, co dobre, było chowane i oszczędzane na dni, które nigdy nie nadejdą.

On zostanie tak strasznie sam, tylko w towarzystwie starego człowieka siedzącego w salonie z telewizorem. Ale przecież miał jeszcze świnię w chlewie. Miał przecież je, pomyślała. Musiała jakoś skierować jego myśli w tę stronę, że stoją tam w zagrodzie i czekają na niego.

– Latałem przecież do północnej Norwegii i z powrotem, gdy byłem w wojsku – rzekł.

Przestał grzebać w chlebie, otrzepał ręce i wetknął je ponownie do kieszeni, rzucił okiem na niebo.

– Zapomniałam o tym. Oczywiście, że wtedy musiałeś latać – powiedziała.

– Latałem herculesem. Co za cholerny hałas jest w takiej maszynie. Poza tym zamarzałyśmy z zimna. Leciał tak wolno, że miałem wrażenie, że spadniemy prosto na ziemię.

Akurat na ten temat mogła coś więcej powiedzieć, coś o tym, że tam na północy zrobił ją na przepustce w Tromsø, wspólnie z dziewczyną, która miała na imię Cissi i która później, ciężarna, przebyła długą drogę do Neshov tylko po to, żeby usłyszeć, jak kobieta, która – jak sądziła – miała zostać jej teściową, każe jej wracać z powrotem do domu.

– Kupiłam dużo dobrego jedzenia również dla was obu, nie tylko dla ptaków – rzekła.

Przez chwilę milczał. Stali razem. Gapili się każde w swoją stronę, wciągnęła powietrze głęboko do płuc, przedpołudniowe światło spowijało góry i fiord od strony południowej, słońce ukrywało się za różowobłękitną zasłoną z mrozu. Chciałyby teraz siedzieć w samochodzie, mając swoje rzeczy na tylnym siedzeniu, w drodze na lotnisko do Vaernes, potem na Gardermoen i do Stovner.

– Szkoda, że jedziesz. Styczeń jest zawsze długi i okropny. W tym roku będzie szczególnie długi.

– To dotyczy nie tylko ciebie. Nikt nie lubi stycznia – powiedziała.

– Rachunki, rozliczenia roczne i podobne gówna. Nawet jeśli Erlend i Duńczyk... Ech, że też to musi być konieczne.

Erlend i Krumme dali mu pieniądze, nieomal zmusili go do przyjęcia ich, chociaż opierał się dziko i zrobił się prawie zły. To miało miejsce wieczorem pierwszego dnia po świętach, po pogrzebie, a Erlend wypił za dużo piwa i powiedział, że chciałby zostawić tutaj dwadzieścia tysięcy. Mógł poczekać do następnego dnia, ale u Erlenda to, co w głowie, od razu było też na języku, i przecież chciał dobrze. To dopiero Krumme wypowiedział te wyzwajające słowa, że pieniądze nie są dla ludzi w gospodarstwie, tylko dla **gospodarstwa**. Tor miał jedynie dobrze je rozdysponować.

– Pomyśl, że chodzi tu przecież o gospodarstwo – rzekła. – Dokładnie tak, jak powiedział Krumme. Wszystko będzie dobrze. Możesz wiosną pomalować stodołę, wymienić rozbite okna.

– Niby tak. Te pieniądze wylądują raczej w składzie zbożowym i u Røstada.

– U Røstada?

– Weterynarza. Zazwyczaj teraz korzystam z jego pomocy. Muszę pokryć maciory i wykastrować prosiaki. I za chwilę muszę też mieć więcej paszy.

– Na trochę farby chyba ci starczy. A ja przecież zadzwonię. Będzie wspaniale mieć znowu małe prosięta, patrzeć jak rosną. Będzie mi brakowało twoich świń.

– Naprawdę?

– Tak, wyobraź sobie.

– Chyba masz dość zwierząt wokół siebie w pracy.

– To nie jest całkiem to samo – powiedziała. – Chore koty i psy, papugi i żółwie. Nic nie może się równać z podrapaniem Siri za uchem. Naprawdę nabrałam szacunku dla świń. To zupełnie coś innego niż świnki morskie i niesforne szczeniaki.

Nie mówiła tego po to, by sprawić mu przyjemność, naprawdę tak myślała, polubiła tę jego wielkie, ćwierćtonowe maciory hodowlane, ciepło i nastrój panujące w chlewie, kontakt ze zwierzętami, które tyle dawały, chcąc w zamian jedynie pożywienia, ciepła i opieki. I takie były mądre, ze swoimi wszystkimi indywidualnymi cechami, swoim uporem i pogodnym



usposobieniem. A nowo narodzone prosięta były tak słodkie, że trudno było pojąć, iż w chwilę potem staną się stukilowymi potworami.

Potrząsnął głową, uśmiechnął się słabo i wciągnął powietrze przez nos.

– No tak, świnki morskie. Nigdy w życiu nie widziałem żywej świnki morskiej. Dziwne są te rzeczy, które opowiadasz o swojej pracy – rzekł. – Pomyśleć, że ludzie wydają pieniądze, żeby zoperować świnkę morską.

– Kochają je. Szczególnie dzieci. Jeśli muszą oddać do uśpienia swoją świnkę albo szczura, płaczą rozdzierająco.

– I jeszcze do tego szczura! Niepojęte, żeby ludzie dobrowolnie... No tak, rozumiem, że małe dzieci... Samemu udało mi się oswoić wiewiórkę, gdy miałem osiem-dziesięć lat. Utonęła potem w gnojówce. Wtedy nie czułem się najlepiej. No i psy też. Pamiętam, jak opowiadałaś o tym gościu, który wydał prawie trzydzieści tysięcy na leczenie psa. Jeździł tam i z powrotem do Szwecji i operował go... nowe biodra, czy o to chodziło?

– A, tak. Nowe biodra. Suka miała dysplazję stawów biodrowych. Bez tego została by uśpiona, a miała tylko trzy lata.

– Ale trzydzieści tysięcy! Na psa, który nie zarabia dla człowieka ani grosza!

– Wiesz, zwierzęta domowe to coś innego niż zwierzęta w gospodarstwie. Ty też właściwie powinieneś mieć psa. Pies świetnie dotrzymuje towarzystwa. Chodziłby za tobą krok w krok i...

– Nie ma mowy. Nie, wystarczy mi świnię. Mam w nich dość towarzystwa – rzekł.

– Ale rozumiesz, co mam na myśli. Że będzie d tutaj samotnie. Tobie i... twojemu ojcu.

– On, ach tak.

Pociągnął nosem i wierzchem dłoni otarł z nosa wiszącą kroplę.

– Rozmawialiście o tym? – zapytała. – Po tym jak... po Wigilii? Ty i on?

– Nie.

– Ale gospodarstwo zostanie teraz ostatecznie przepisane na dębię. On nie ma nic przeciwko temu?

– Ależ nie.

– Może, jak już zostaniecie we dwóch, uda wam się...

– To nie jest Oslo. Tutaj nie mówi się o takich rzeczach. Sprawa jest zakończona – rzekł twardo.

– Chciałam tylko powiedzieć, że...

– Ech, lepiej nie, zimno tak stać na dworze – powiedział i jego głos znów był zwyczajny. – Zdążymy chyba wypić łyk kawy, zanim pojedziecie.

W godzinę później mały samochód z wypożyczalni wypełniony był po same brzegi. To był golf, Krumme wypożyczył go na lotnisku Vaernes i tam też trzeba było go zwrócić. Torunn, już ubrana w kurtkę i buty, pobiegła spieszenie do dziadka do salonu z telewizorem, sprawiała wrażenie, że teraz bardzo im się spieszy, długo odkładała pożegnanie, udawała, że piją taką sobie zwyczajną kawę, mimo że Erlend chaotycznie miotał się z góry na dół i do samochodu na podwórku, nosząc wszystko, co w ostatniej chwili zdecydował się zabrać ze sobą.

Dziadek siedział z kubkiem kawy przed sobą, kubek był bez spodeczka, wokół na stole i na kolanach leżały okruchy z kawałka ciasta, które mu wcześniej dała. Sztuczną szczękę miał na miejscu, zarówno górną, jak i dolną. Telewizor nie był włączony, rzuciła szybkie spojrzenie na rośliny doniczkowe na parapetach, kupione przez Erlenda, wiedząc z niezachwianą pewnością, że za czternaście dni będą martwe. Albo zasuszone, albo zalane. Wiedziała również, że długi czas upłynie, zanim dziadek znów się ogoli. Albo zmieni majtki. Jak oni sobie tu poradzą, pomyślała, a ja tak po prostu jadę w swoją stronę. Ale już następna myśl była taka, że przecież Erlend też

jedzie, a on w końcu był im w gruncie rzeczy znacznie bliższy, jeśli w ogóle dało się to tak stopniować. Erlend był młodszym bratem Tora, a ona jego córką, kto więc powinien mieć więcej wyrzutów sumienia? A Margido mieszkał tuż za następną górką, powinien teraz zrobić coś dla swojej rodziny w Neshov. Będzie do tego zmuszony, jest w końcu bratem. Pytanie brzmiało raczej, jak temu sprostą, i czy Tor pozwoli mu to zrobić po tym, jak trzymał się z dala od gospodarstwa przez siedem lat.

– Wyjeżdżacie? – zapytał dziadek. Sztuczna szczęka kliknęła.

– Tak.

Pochyliła się i przytuliła twarz do jego policzka. Był kłujący. Pachniał starym człowiekiem, starymi ubraniami i starym domem, a z ust – ciastem i kawą. Po raz pierwszy uściśnęła go, ledwo zdążył podnieść jedną rękę do jej twarzy.

– Miej się dobrze – wyszeptwała. Co innego mogła powiedzieć, nic przecież nie mogła mu obiecać. – Miej się jak najlepiej.

– Chcę do domu opieki – szepnęła.

– Co?

Wyprostowała się.

– Chcę do domu opieki. Ktoś to musi załatwić. Nie wiem, co Tor powie na ten temat, ale ja tego chcę.

– To wobec tego musisz porozmawiać z Margidem – rzekła. Dlaczego czekał aż do teraz z taką informacją, pomyślała, przecież ja nie mogę nic w tej sprawie zrobić.

– Możesz zadzwonić do Margida sama. I powiedzieć mu to – odparł.

Spojrzała na pomarszczoną twarz, w oczy za okularami, widząc całe jego życie, i miała chęć płakać, płakać, aż osiągnie stan całkowitej pustki ze smutku nad zmarnowanym życiem tego człowieka. Skinęła głową, wytrzymując jego spojrzenie, udało się jej jakoś powstrzymać od płaczu.

– Porozmawiam z Margidem – wyszeptwała. – Zadzwonię do niego jutro.

Położyła mu dłoń na policzku, trzymała ją tam na kłującym zaroście, zobaczyła, jak jego oczy stają się puste, a potem odwróciła się i poszła, przez pustą kuchnię, gdzie piec na drewno szumiał i śpiewał pełen polan i płomieni, i na podwórko, gdzie z tylnego siedzenia samochodu wystawał kawałek Erlenda i gdzie Krumme wyciągał dłoń w stronę jej ojca, aby się pożegnać.

– Dzięki za ten raz, Tor. Było... naprawdę miło – rzekł Krumme.

Mały, gruby Duńczyk musiał odchyłać głowę do tyłu, aby spojrzeć na gospodarza z Neshov. Duńczyk, który zupełnie nie był mile widziany, gdy kilka dni wcześniej przed Wigilią zajechał na podwórko wypożyczonym samochodem. Tor wówczas położył się do łóżka z głębokim poczuciem krzywdy i obrzydzenia z powodu krótkiej chwili, kiedy był świadkiem, jak dłoń Erlenda spoczywała pod stołem kuchennym na udzie Krumme.

– Zapraszam ponownie – powiedział ojciec, patrząc w drugą stronę. – Może latem. Wtedy tutaj jest pięknie.

– Kto wie – rzekł Krumme i wielokrotnie skinął głową, rozumiejąc, z jakiej głębi pochodzą te właśnie słowa.

– Gdybym chociaż miał **papierową tubę!** – wykrzyknął Erlend ze środka samochodu. – On będzie całkiem **pognieciony!** – Co takiego? – zapytała.

– Ten plakat! Zabrałem go ze sobą! Właśnie mi to przyszło do głowy, że chciałbym go zabrać.

– Ten plakat Aladdina Sane, który wisiał w twoim chłopięcym pokoju? Przecież on był całkiem pożółkły – stwierdziła.

– Ja też to mówiłem – dodał Krumme.

– Ale ja chcę go zabrać! **Nagle** tak poczułem! Ale on się zupełnie...

- Teraz już ruszamy – powiedział Krumme. – Chcesz siedzieć z przodu, Torunn?
- Torunn ma przecież **prowadzić** – zawołał Erlend.
- Naprawdę? – zdziwiła się.
- Oczywiście! Mój Boże, że też Krumme zdołał dojechać całkiem sam z Vaernes do Byneset w jednym kawałku, to po prostu cud. Cud świąteczny. On nie umie prowadzić samochodu, a już szczególnie zimą.
- W zasadzie mam prawo jazdy – powiedział Krumme. – Więc uważam, że teraz trochę przesadzasz.
- I do czego go używasz? – zapytał Erlend. – Do wskakiwania i wyskakiwania z taksówek w Kopenhadze. Torunn prowadzi.
- Dobra – rzekła. – Ale ty musisz siedzieć z tyłu, Erlendzie. Skoro w ogóle nie masz prawa jazdy.

Nie zawahała się ani chwili przed uściśnięciem ojca. Puściła go równie szybko i wsiadła do samochodu, schwyciła kluczyk, który już był włożony do stacyjki, i przekręciła. Erlend wcisnął się na tylne siedzenie, gdzie z trudem starczało miejsca dla niego i wszystkich bagaży, chwilę miotał się dziko ze zwiniętym w rulon plakatem, który został koniec końców obwiązany pośrodku jedynie zwykłą gumką, i ostatecznie postanowił trzymać go przed sobą w powietrzu.

Opuściła szybę i zamachała, wyjeżdżając jednocześnie z podwórka. – Musisz teraz odśnieżyć, tato! Gospodarstwo za chwilę całkiem zasypie! Do zobaczenia!

Odpowiedział coś, czego nie usłyszała, ale wiedziała, że zaraz po ich wyjeździe siądzie na traktor i zacznie odśnieżać. Bardzo lubił to robić, a przy okazji nie będzie musiał od razu wchodzić do środka.

– Boże święty, jedź! – rzekł Erlend. – Teraz ruszamy.

Wszyscy troje machali gwałtownie, małe i niezgrabne ruchy rąk w ciasnym wnętrzu, Torunn trąbiła klaksonem, zjechali w dół klonową aleją, i wtedy zaczęła płakać. Łkała głośno i urywanie, nie udawało jej się powstrzymać tego dźwięku. Erlend pochylił się do przodu i przytulił ją od tyłu, Krumme położył dłoń na jej jednej ręce, która leżała na kierownicy. Zjechała na pobocze, gdy zdała sobie sprawę, że już nie widać ich z domu.

Płakała i płakała, a szyby pokrywały się parą i ogrzewanie chodziło pełną mocą, nikt przez długą chwilę nie mówił ani słowa, głaskali ją tylko po włosach i ściskali za ramiona. Znalazła w kieszeni kurtki stary kawałek papieru i wydmuchała nos, ale zaraz potem znowu zaczęła płakać.

– Może jednak ja poprowadzę – powiedział Krumme.

Potrząsnęła głową i jeszcze raz wydmuchała nos.

– Zaraz się wezmę w garść – rzekła. – Ja tylko ... To po prostu jakoś niemożliwe do wyobrażenia, że ci dwaj dadzą radę...

Erlend przerwał jej:

– Nikt nie mógłby zrobić więcej niż ty. Nawet **mnie** udało ci się zmusić do przyjechania tutaj... Boże święty, Torunn, byłaś przecież po prostu fantastyczna. Spisałaś się doskonale, chociaż wcześniej twoja noga nawet nie powstała w tym gospodarstwie. Ale teraz jedziemy. Chce do domu i zrobić przyjęcie sylwestrowe. Wszystko się zakończyło.

Nie, pomyślała Torunn, mylisz się, teraz dopiero wszystko się zaczyna.



## ROZDZIAŁ 3

Tor nie potrafił zapomnieć, że Margido wybrał najdroższą trumnę. Oczywiście dostał ją po kosztach bezpośrednio z fabryki, ale zawsze. Że też tak zrobił. Pokazał wszystkim, którzy przyszli do kościoła, że oto leży tutaj osoba, która była ważna i kochana.

Po wyjeździe Torunn stał przez chwilę przy traktorze i jeszcze raz to wszystko przetrawiał. Teraz trzeba było myśleć o wszystkim innym, tylko nie o tym, że Torunn za kilka godzin będzie znajdowała się o pięćdziesiąt mil od niego. Droga trumna z ciemnego, mahoniowego drewna, z uchwytem z kutego żelaza, wolał zamiast tego myśleć o tym. Gdyby matka mogła to wiedzieć, że tyle pieniędzy wydano na nią po śmierci! Sprzeciwiłaby się temu stanowczo, pomyślał Tor i musiał się uśmiechnąć na myśl o zdumieniu, jakie okazałaby matka. Droga trumna, która miała zostać złożona w ziemi i tam zgnieć, nie, były na pewno inne rzeczy, na które warto wydawać pieniądze, powiedziałyby.

Byłoby dobrze, gdyby Margido mógł przyjechać na kawę dziś wieczorem, wiedział, kiedy Torunn, Erlend i Duńczyk wyjeżdżają. Ale Margido był dziwakiem. Już poprzedniego dnia powiedział im do widzenia przez telefon. Jednakże Tor będzie mu na wieki wdzięczny za pogrzeb, tak wspaniale go przygotował. I chociaż pogrzeby stanowiły codzienną pracę Margida, to chyba wszystko było inaczej, gdy dotyczyło własnej matki. Ten piękny śpiewnik, który czekał na nich w kościele, z fotografią gospodarstwa na pierwszej stronie. Nie było to zwyczajne, ale słuszne. Matka nie miała innych zdjęć niż stare zdjęcie paszportowe z czasów, gdy była młoda. Margido miał dużo gotowych wzorów, z których można było wybierać, tak opowiadał, małe rysunki kwiatów i motywów przyrodniczych, rzeczy w tym stylu, ale kiedy usłyszał pogłoski o tym, że towarzystwo historyczne w Byneset sfotografowało wszystkie gospodarstwa w Spongdał i Rye z myślą o przyszłej książce, zdobył od nich kopię zdjęcia gospodarstwa w Neshov.

Siedzieć w ławce kościelnej, całkiem z przodu, patrząc z góry na budynki w gospodarstwie, tak, w tym była wielka pociecha. Gospodarstwo było matką pod wieloma względami. A zdjęcie zostało zrobione w słoneczny, letni dzień, gdy ściany domów jaśniały bielą, a napastrnice przylatywały się do przepychu zieleni krzaków rosnących w górę wzdłuż klonowej alei. Przepych, tak to wyglądało. Po prostu przepych. Nikt nie wpadłby na to, że te ściany potrzebują farby, światło samo pomalowało je najlepiej, jak można.

Później Tor dostał niewykorzystane śpiewniki, było ich zaskakująco mało. Przyjemnie będzie móc je znowu wyciągnąć, zarówno dobrze, jak i boleśnie będzie przeczytać strofy z psalmów, które śpiewali, *Cudowna jest ziemia, wspaniałe Boże niebo*, widzieć jej imię ponad datami. Dziwnie było przeczytać jej imię, dla niego była po prostu Matką, a nie Anną. *Pierwszą kołysankę, jaką usłyszałem, śpiewała mi matka nad kołyską...* Dobrze, że Margido wziął pod uwagę tę pieśń, i pomyśleć, że mimo wszystko to zrobił. I nie było to też wcale zwyczajne. Tor nie pamiętał dokładnie chwili, w której śpiewali tę pieśń, sam nie dał rady wydać z siebie głosu,

ale nigdy nie zapomni, jak kościelna przestrzeń uniosła pieśń, a kwiaty uginały się pod własnym ciężarem wokół tej wspaniałej trumny. I pomyśleć, że tylu ludzi przyszło! Osoby, których nie widział od lat. Po wszystkim każdy przyszedł złożyć kondolencje, stali rzędem, każdy podawał rękę, to robiło wrażenie, dzięki temu zrozumiał, że chociaż każdy na co dzień chodzi i zajmuje się swoim życiem i znojem we własnym gospodarstwie – to w chwili, gdy coś się stało, byli razem, byli **jedną** wioską. On też zamierzał od tej pory trochę bardziej śledzić wydarzenia, kto ze starszych umarł, ubierać się elegancko i zachodzić do kościoła. Ostatnie pożegnanie, tak się to nazywało, i wystarczyło przyjść, usiąść tam i śpiewać, a potem złożyć kondolencje. Chyba sobie z tym poradzi, skoro inni ludzie dają radę.

Podciągnął się na siedzenie w traktorze, zapalił silnik i zaczął odśnieżać. Najpierw podwórko, potem aleję w dół aż do głównej drogi. Odśnieżał długo i starannie, musiało przecież wyglądać porządnie. Denerwowało go zawsze, gdy widział drogi dojazdowe do gospodarstw, które zimą były prawie o połowę węższe niż latem. Lenistwo! A odśnieżając, myślał o dniach, które miały nadejść. Przed chorobą matki myśl o świątach i dniach okołoswiątecznych wydawała się taka prosta, wszystko tak jak zawsze koncentrowało się tylko wokół świń. Teraz tyle innych rzeczy działo się w głowie. Ale musiał się skupić i zrobić wszystko tak, jak planował. Zabrać młode od Mari i Miry, doprowadzić je do rui, pokryć, zacząć coś robić, termin dla świń wypadał pierwszego stycznia, po tym dniu Sarę trzeba będzie wysłać na rzeź, musiał teraz myśleć o pracy ze świniami, a nie o wszystkim innym, nie miał na to siły. Gdzieś tam w salonie z telewizorem siedział ten stary człowiek z okruciami ciasta na kolanach i był jego starszym bratem. Nie było co tego rozważać, dopuszczać do siebie. Bo wtedy nadciągały okropne myśli, o matce i dziadku Tallaku również, a one nie powinny mieć dostępu. W krótkich przebłyskach, tuż przed zaśnięciem, obrazy wciskały mu się pod powieki w tych ostatnich świątecznych dniach, wizje matki jako młodej dziewczyny, razem z roześmianym dziadkiem Tallakiem. Podczas gdy robili to ze sobą. I zapewniali gospodarstwu potomka, ponieważ najstarszy dziedzic nie był w stanie tego zrobić. W takich momentach Tor odpychał wszystkie obrazy, zaciskał oczy w ciemnościach i żądał, aby sen nadszedł natychmiast. Chciał zająć się codziennością, a na starego człowieka w salonie z telewizorem nie miał siły patrzeć w inny sposób niż do tej pory. W tym-jedynym obrazie świata, jaki był możliwy, był on jego ojcem. Zdecydował się na to i tak miało być. A Torunn sądziła, że oni powinni porozmawiać! Dziewczyna z miasta. Co ona mogła z tego rozumieć.

Napomniała go, żeby brał prysznic nieco częściej i zmieniał ubranie na czyste. Łatwo było powiedzieć. Choć miała też i rację, że nigdy nie korzystał z pralki, nie miał nawet pojęcia, do czego służą te wszystkie przyciski albo gdzie wysypuje się proszek. Matka załatwiała takie sprawy. Ostatecznie to Erlend pokazał mu, jak działa pralka, po prostu wciągnął go ze sobą do łazienki i nawet napisał na odwrocie kartki świątecznej otrzymanej od związku osób cierpiących na choroby serca i płuc, w jaki sposób przyciski mają być włączone, gdy zamierza prać ręczniki, pościel i bieliznę, a w jaki, jeśli będzie prać spodnie, koszulki, koszule i skarpety. Erlend zaznaczył również, że ubranie z chlewu trzeba prać osobno, ponieważ tego zapachu nigdy nie da się pozbyć, w przeciwnym wypadku przejdzie on na inne ubrania w pralce. Erlend zawsze marudził z powodu tego zapachu chlewu, uważał go najwidoczniej za obrzydliwość tego świata, chociaż pochodził od zwierząt, z których Tor w gruncie rzeczy żył. Poza tym nie pamiętał, kiedy ostatnio prał swoje ubrania używane w chlewie, po co było to robić, skoro zaraz potem znowu były brudne. Kombinezony robocze miały być suche i całe, i to musiało wystarczyć. Matka też nigdy nie czepiała się o to aż tak bardzo, nigdy tych ubrań nie oglądała, wisały zazwyczaj w chlewie. Były tylko nie wchodził w nich do domu, to już jej w zupełności wystarczało. Jedyne

istoty, które je oglądały, to świnie, a ich raczej nie obchodziło, czy kombinezon jest brudny. Ale może mógłby zapytać w składzie zboża o nowy.

W końcu radził sobie nieźle, kiedy matka leżała chora, robił wszystko sam w kuchni i gotował jedzenie, które zanosił jej na górę. Aż do dnia, w którym musiała pojechać do szpitala, a on został zmuszony do powiadomienia braci i Torunn. Ech, nie, że też musiała ich opuścić, a taka była przecież poza tym zdrowa. Osiemdziesiąt lat, ale zwinna jak łania, no ale zaczęło się krwawienie w mózgu. Mały wyciek krwi wystarczy, jak powiedział lekarz. A potem serce jej nie wytrzymało, no i ta woda w płucach. Poczł ciepłą wilgoć w oczach i głęboko pociągnął nosem. Szum silnika zagłuszał wszystko, mógłby teraz łkać i szlochać, i robić co tylko zechce, wiedział o tym, ale już nie chciał. Już wystarczy. Pojechali, teraz trzeba z powrotem wejść w swoją codzienność i robić to, co do człowieka należy. A te dwadzieścia tysięcy ekstra naprawdę się przyda, właściwie ciągle nie mógł w to do końca uwierzyć. Dwadzieścia banknotów tysiackoronowych, świeżych, pobranych w gotówce z banku Fokus w Heimdal. Dobrzy byli, Erlend i Duńczyk. To chyba Duńczyk zarabiał najwięcej, w sumie dobrze, że na odjeźdny zaprosił ich ponownie tutaj. Erlend będzie robił oczywiście to, co sam będzie chciał, zawsze tak było, ale dobrze, że Tor sam powiedział to Duńczykowi. Ujął jego dłoń i to wyrzekł. Lepiej, żeby o pozostałych sprawach z tym związanych na razie nie myślał, o tym, co na pewno robią ze sobą, już od kilku dni udawało mu się o tym zapomnieć.

Margido chyba z nimi rozmawiał, bo nigdy więcej nie widział, żeby trzymali sobie ręce na udach. Ale kiedy kładli się spać... Co wieczór musiał trochę o tym myśleć i wyobrażać sobie najbardziej drastyczne rzeczy, ale później mówił sam do siebie, że na pewno śpią, przecież tacy mężczyźni potrzebują nocnego snu tak samo jak inni ludzie. No i Duńczyk dobrze gotował. Sam też od jedzenia nie stronił, był w końcu okrągłym grubasem. Mówił, że w Danii nie je się po to, aby żyć, ale żyje po to, aby jeść. Sam w każdym razie był tego doskonałym przykładem. Duńczyk i Erlend byli razem od dwunastu lat, mieszkali ze sobą. Dziwnie było o tym myśleć, dwóch mężczyzn żyjących jak mąż i żona, dzielących łóżko i stół. Dziwaczne i niepojęte, ale Torunn pewnie miała rację, mówiąc mu wczoraj w chlewie, że Erlend absolutnie potrzebuje kogoś, kto go będzie choć trochę trzymał w ryzach.

Gdy schodził z traktora po zakończeniu pracy, fiord rozciągał się obok w swojej zimowoczarnej szacie. Na ląd nacierały małe szczyty fal. Śnieg już nie padał, zaczęło wiać. Będą mieli niespokojny lot, tak sądził. Zamierzał posłuchać w wiadomościach, jaka pogoda jest teraz w Oslo. Ale pewnie nie powiedzą nic o Stovner, raczej o lotnisku w Gardermoen. Oglądał Stovner w telewizji, jacyś młodzi z Pakistanu strzelali do siebie z jadących samochodów. I bloki mieszkalne, potworne domy, w których całe świerki rosły w skrzynkach przypominających przecięte betonowe rury.

Torunn. Jego córka w kombinezonie roboczym, chodząca pomiędzy świniami z wiadrkami paszy, które opróżniała przed głodnymi ryjami, z zadowoloną, ożywioną twarzą. Położył ręce na masce traktora i pozwolił, aby resztki ciepła przepłynęły mu przez skórę dłoni. Torunn **Breiset**. Nie Neshov. Bo jej matce nie pozwolono tu wówczas przyjechać i zostać jego żoną. Zbierało mu się na wymioty, gdy myślał o tym, o wszystkich tych latach straconych możliwości. Podniósł wzrok na ścianę stodoły. Tutaj stał, tutaj było jego miejsce. Torunn wyjechała. Tam, gdzie mieszkała, młodzi Pakistańczycy strzelali do siebie, nagle przypomniało mu się również, jak opowiadała o tym, że wpakowali szczeniaka do worka, zawiązali i grali nim w piłkę nożną. Co prawda to był pitbull, ale zawsze. Jednak zwierzę. Wielka była przepaść między czymś takim a wydawaniem trzydziestu tysięcy koron, żeby suce zoperować biodra. Ale jej było tam dobrze.

Trochę daleko od centrum, jak powiedziała, ale blisko do pracy i do lasu, gdzie chodziła na długie spacery ze swoimi podopiecznymi – psami.

**Terapeuta behawioralny.** Zupełnie jakby chodziło o ludzi. Ale ani razu przez te wszystkie lata, kiedy miał z nią jedynie telefoniczny kontakt, nie powiedział złego słowa o tym, z czego ona żyła, trochę się śmiał tylko z nadwrażliwych właścicieli zwierząt oraz weterynarzy, którzy nie proponowali uspienia zwierzęcia, chociaż nie było już sensu utrzymywać go przy życiu. Ona przecież nie była weterynarzem, ale została współwłaścicielką tej kliniki dla małych zwierząt, bo zajmowała się przywoływaniem do porządku źle zachowujących się psów.

Nigdy ani razu nic o **tym** nie powiedział. On załatwiłby to krótko. Jakiś bezczelny, nieposłuszny kundel, takiego brało się po prostu za stodołę i dawało mu poczuć siłę siekiery na głowie.

Teraz znowu miała wrócić do zajmowania się tymi szmatławymi psami, chociaż tak świetnie radziła sobie z jego świniami. Lepiej byłoby, gdyby pracowała jako zmienniczka w chlewie, znakomicie dawała sobie z tym radę. Zdolni zmiennicy nie rośli w końcu na drzewach. Była dobra w obsłudze zwierząt, **dostrzegała** je, dokładnie tak, jak on sam. Widziała ich godność i odmienność każdej maciory. Rozumiała ich potrzeby i wiedziała, jak bardzo zwierzęta są zależne od opiekujących się nimi ludzi, którzy w dodatku muszą z nich żyć. No cóż, zaraz żyć, Kwiatuśku. Nazwałby to raczej przeżyciem.

Wszedł do środka i odwiesił kurtkę na kołek, obtupał drewniaki ze śniegu. Trzeba było zrobić jakiś obiad, zanim pójdzie znów do chlewu. Ojciec włączył telewizor w salonie, siedział i oglądał powtórkę programu o życiu zwierząt na równinie Hardanger. Otworzył lodówkę i przejrzał uginające się pod ciężarem jedzenia półki. Wielki Boże, pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy: nie dadzą rady zjeść tego wszystkiego przed upływem terminu ważności. Ale po dokładniejszych oględzinach zauważył, że spora część jedzenia była w hermetycznych puszkach, które w ogóle nie musiały stać w lodówce. Pamiętał, jak opowiadał Torunn, że gdy chce znaleźć coś do jedzenia, chodzi zawsze do lodówki, a nie do spiżarni. A więc o tym nie zapomniła. Wyjął puszkę z groszkiem, mięsem i słoniną, rozpruł ją i wyrzucił zawartość do garnka. Do tego chleb, świeży kupny chleb. A w chlebaku leżał również jeden rozmrażający się bochenek domowego wypieku, wyjęty z zamrażarki, nawet o tym zdążyła pomyśleć przed wyjazdem. Chleb kupowany w sklepie składał się z samego powietrza, razowy chleb pieczony przez matkę to było **prawdziwe** jedzenie. Ciekawe, ile bochenków zostało jeszcze w zamrażarce, pewnie pięć-sześć, trzeba je będzie oszczędzać. Ten, kto zostawia na jutro, karmi myszy, powiedział Erlend. Czasami naprawdę opowiadał głupoty.

– Zrobię coś do jedzenia – rzekł do szpary w drzwiach.

Ojciec spojrzał na niego. Teraz byli tu tylko we dwóch. Tor z niechęcią uchwycił jego wzrok. Tam siedział jego brat... Nie, nie było sensu o tym myśleć. Gwałtownie zamieszał w rondlu, kilka groszków wypadło na blat kuchenny.

– Zrobię dla nas obu – powiedział Tor.

W chwili gdy rondel i półmiski stały już na stole ze sztucznego marmuru, a Tor zabrał z niego czerwoną, świąteczną serwetę, złożył ją starannie i schował głęboko, było już zbyt ciemno, żeby w karmniku mogły być ptaki. Siedzieli jednak obaj ze wzrokiem skierowanym w okno, na stodołę i drzewo na podwórku, od czasu do czasu rzucając szybkie spojrzenie na posiłek i łyżkę.

– Dobre – rzekł ojciec.

– Chcesz papierową serwetkę?

– Nie – odparł i zamiast tego wyciągnął ostrożnie z kieszeni spodni chusteczkę i przeciągnął nią po podbródku i ustach, a potem wydmuchał nos, skoro miał ją już w rękach.

Papierowe serwetki w pudełku ze świątecznym motywem stały na parapecie okiennym, trzy różnokolorowe stosiki złożone ciasno razem, czerwone, zielone, a w środku białe. Serwetki do użytku codziennego, jak nazwał je Erlend. Zanim matka zachorowała i wszyscy tu przyjechali, używali po prostu kilku złożonych listków papieru toaletowego, jeśli była taka potrzeba, papier równie dobrze się do tego nadawał, o ile tylko nie było się nadmiernie wrażliwym. Teraz grube serwetki świąteczne leżały i kurzyły się w kredensie w zamkniętym salonie kominkowym, serwetki do użytku codziennego stały na parapecie, rolka kuchenna na blacie, a papier toaletowy w łazience.

– Chyba będziemy je oszczędzać – powiedział Tor wskazując głową serwetki. – Nie kupimy nowych. Tylko bałagan, i papier wszędzie. Miastowi.

– Tak – odrzekł ojciec.

Tor usłyszał w tym jednym słowie ulgę. Byli zgodni. Należało rozmawiać o serwetkach, a nie o innych sprawach.

Zadzwoiła tuż przed jego wyjściem do chlewu. Nie zdążył pójść do biura i tam odebrać telefonu, musiał zrobić to w kuchni, a ojciec siedział w salonie i słuchał.

Właśnie otworzyła drzwi do domu, jak powiedziała.

**Do domu.**

– Ach, tak. A my jedliśmy dobry obiad. Należy ci się podziękowanie, Torunn. Naprawdę za dużo tego wszystkiego.

O tym miał nie myśleć, chciała, żeby mieli coś dobrego do jedzenia. Nie usłyszała chyba ukrytej krytyki, jaka zawierała się w tym stwierdzeniu, zupełnie jakby przed inwazją kuchenną dokonaną przez nią, przez Erlenda i Duńczyka nigdy nie jedli dobrze.

– A jak lot? – zapytał i mocno odchrząknął.

Było sporo turbulencji, tak, i jedna pani tuż za nią zwymiotowała. Strasznie śmierdziało, powiedziała i się zaśmiała.

– Czy samolot Erlenda i Duńczyka odlatywał w tym samym czasie?

Nie, bezpośredni lot do Kopenhagi był pół godziny później, ale wszystkie samoloty odleciały planowo.

– To odpocznij sobie teraz.

Jeszcze dziś wieczorem mogła to zrobić, ale już jutro i w sylwestra musiała pracować, na pewno powstały zaległości i zebrały się różne bieżące sprawy, poza tym w połowie stycznia organizowali nowy kurs tresury, nie można było położyć się na sofie i zrobić sobie wolnego. Miała zadowolony głos, w tle słychać było różne odgłosy, dźwięk szkła i krzątania się.

– Jest ktoś u ciebie?

Koleżanka Margrete, która mieszka po drugiej stronie korytarza, właśnie weszła do niej z kawą, ciastem i koniakiem, jeszcze zanim zdążyła zdjąć z siebie kurtkę, rzekła i znów się zaśmiała.

– To dobrze, że nie jesteś sama. Idę teraz do chlewu. Myślę, czy nie zabrać dziś młodych od Mari i Miry.

Powiedziała, że żałuje, że jej przy tym nie ma, ale że na pewno opowie Margrete, jakie to jest widowisko.

Uzgodnili, że będą do siebie dzwonić, ale bez ustalania terminów, życzyła mu pomyślnej roboty przy maciorach, po czym odłożyli słuchawki.



Po naciągnięciu kombinezonu i włożeniu butów roboczych zdjął z gwoździa ubranie, którego używała Torunn. Przyłożył je do twarzy i długo wciągał zapach, a potem odwiesił z powrotem i wszedł do chlewu, do ciepła i dźwięków wydawanych przez zwierzęta. Stał z opuszczonymi ramionami, opierając się plecami o zamknięte drzwi. Świńskie głowy skierowane były na niego, wyczekujące, wszystkie zwierzęta chrząkały, sapały i czekały. Tutaj w środku życie zawsze było takie samo. Na zewnątrz świat się zmienił. Natychmiast poczuł, jak ogarnia go wielkie znużenie. Był zmęczony czuwaniem, zmęczony myśleniem. Nagle zrozumiał, że w żadnym wypadku nie da rady oddzielić młodych od matek dziś wieczorem. Po wyprowadzeniu macior z boksów porodowych i połączeniu ich w innym miejscu zawsze panował hałas i zamieszanie. Najpierw stres, bo zabrano im młode, potem ustalanie od nowa hierarchii między sobą. Przepychały się i walczyły, czasami z wściekłością, która zapierała dech w piersiach. Dlatego wołał łączyć maciory wieczorem, kiedy były zmęczone. Potem gasił światło z nadzieją na dobre zakończenie, najpierw stał pod drzwiami i nadśluchiwał, a potem przez resztę nocy nie mógł spać spokojnie. Prawie zawsze kończyło się to drobnymi ranami, ale jeśli doszło do poważnych uszkodzeń, musiał zawołać Røstada. Nie, lepiej będzie poczekać do jutra, teraz nie ma mowy, nie miał siły. Może zanosi się na chorobę, to by dopiero było, teraz kiedy jest sam z obrządzaniem chlewu.

Przyniósł pusty worek po paszy i przestąpił ogrodzenie boksu Siri. Tuż przed świętami zgmiotła na śmierć jedno ze swoich młodych, nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła, nie był w stanie jej do końca wybaczyć. Wyciągnął jednak z kieszeni skórkę od kupnego chleba i dał jej, żuła i mlaskała z wielkim apetytem, zupełnie jakby to był najlepszy pasztet z gęsich wątróbek. Szeroka czaszka trzęsła jej się przy tym, opadł przed nią bezsilnie na kolana na worek po paszy. W rogu boks w specjalnej skrzynce spały niespełna dwutygodniowe młode, jak różowe pagórki pod czerwoną lampą grzewczą. Widział po sutkach Siri, że małe przed chwilą jadły, była teraz zmęczona i leżała. Siri rzadko dopominała się o paszę, zanim ta stała tuż przed nią. Wtedy żarła jak szalona, ale nie darła się i nie wspinała jak inne maciory, które wszystkie były zdania, że powinny dostać jeść pierwsze.

Po odgłosach dobiegających z innych boksów znać było, że nie podoba im się jego dzisiejsze tempo, w chrząkaniach i parsknięciach słycać było rozczarowanie, że tak bez sensu przysiadł sobie na podłodze.

– Zostaliśmy sami, Siri. Tylko my. Znowu sami.

Grzebała mu w kieszeniach i szukała swoim gigantycznym ryjem, na którym pył ze słomy przywierał do wilgoci, a muchy lądowały i startowały tak, jakby to był ich dom.

– Już nie ma.

Oparł tył głowy o stalową rurkę i zamknął oczy, tak bardzo chciałby być małym, nażartym prosięciem, chociaż przez chwilę. Leżeć ciasno przytulony do braci i siostr i spać słodko. Nie wiedzieć, nie musieć. Zanim się zorientował, płakał. Nie było po co powstrzymywać tych łez, mogły sobie spływać, drzwi do chlewu były dobrze zamknięte.



## ROZDZIAŁ 4

Samoloty na lotnisku Kastrup wyglądały jak migające stwory, opadające na ziemię tylko po to, żeby zaraz ponownie się wznieść. Ponieważ ledwie jeden samolot zdążył wylądować, następny już startował, łatwo było odnieść wrażenie, że to ten sam. *Touch and go*. Erlend stał boso na tarasie na dachu wzniesionym wysoko ponad rynkiem Gråbrødretorv i napawał się widokiem kopenhaskiego nieba nad wyspą Amager i lotniskiem Kastrup. Był sylwester, właśnie skończył przygotowywać jedzenie, do przyjścia gości miał czas na pielęgnację ciała. Ostrzegł wszystkich, że przyjęcie odbędzie się „w pełnej prostocie”, zważywszy na to, że on i Krumme właśnie wrócili z Norwegii. A zatem dziś po wstaniu z łóżka Krumme sądził, że pojedą kupić tylko trochę przekąsek, sera i owoców. Musiał jednak szybko zmienić swoje wyobrażenia.

Erlend mianowicie obudził się tej nocy z postanowieniem, że uderzy w wielki dzwon. W końcu jestem synem marnotrawnym, pomyślał sobie, i wróciłem właśnie do Kopenhagi. A ponieważ nikt inny nie miał czasu zabić cielca, będzie musiał zrobić to sam. Niewyraźnie zarejestrował jakąś sprzeczność w tej refleksji, ale nie zamierzał głębiej się nad tym zastanawiać. Stek cielęcy, nie, to było zbyt banalne. Równie nudne jak ser i przekąski. Zrobi jedzenie w formie koreczków! We wszystkich możliwych wariantach! Przywieźli ze sobą z Norwegii suszoną jagnięcinę, i leżąc w ciemności nocy, zaczął od razu planować, jak można jej użyć do koreczków. Owinąć wokół kostek z mango? Zebrać kawałki w środku plastrem czerwonej cebuli? Nie... zamarynowane w oliwie pomidory suszone w słońcu! Duży kawałek pożeniony z podwójnie złożonym kawałkiem jagnięciny!

Wymknął się z łóżka i upewnił się, że szuflada noworoczna nadal jest pełna dóbr.

Oto ona. Noworoczna szuflada na samym dole kredensu w jednym z salonów, przez cały rok robił zakupy i wkładał je tam za każdym razem, gdy trafił na coś wyjątkowo ładnego. Leżały tam tradycyjne papierowe czapki, tyle że kupione w Kairze, a do obrzeży miały przyczepione małe dzwoneczki, po dwadzieścia, w różnych kolorach. Specjalne rakiety do wystrzeliwania mieniących się złotych drobinek za jednym pociągnięciem sznurka, łatwiej je było później wciągnąć odkurzaczem niż papierowe konfetti. Fajerwerki, długie i krótkie, oraz diadem. Nacisnął guzik i sprawdził baterię. No, po prostu działał. Drobne punkciki, zielone, złote i czerwone, nerwowo pulsowały wzdłuż łuku. Miał zwyczaj zniecka zakładać diadem na głowę osoby, która została zobowiązana do wygłoszenia świątecznego przemówienia, improwizowane przemówienia były zawsze najlepsze, a diadem pasował równie dobrze kobietom, jak i mężczyznom, tak uważał, chociaż od czasu do czasu prowokował trochę męskich protestów.

Kiedy nakrywał stół na przyjęcie odbywające się w jakimkolwiek innym czasie w roku, musiało być stylowo i oryginalnie. Ale w sylwestra stawał się zagorzałym wielbicielem kiczu. Wtedy wszystko mogło być odblaskowe, kontrastowe oraz *too much*, to miała być prawdziwa zabawa! Girlandy z hologramowymi ozdobami leżały ładnie pozwijane, miały zwieszać się z sufitów, z dala od świec, iskrzyć się jak kryształy przy każdym przejściu przez pokój.

Tak naprawdę chciał tylko sprawdzić, czy w szufladzie są wykałaczkę. Małe patyczki do wetknięcia w koreczki. Wtedy potrzebne już będą jedynie półmiski, serwetki i szkło, i ludzie będą mogli przechadzać się pomiędzy salonami oraz tarasem na dachu, siedzieć i stać, gdzie tylko zechcą.

W poprzedniego sylwestra Krumme zaserwował indyka. Na trzy sposoby: jednego po azjatycku, podobnego do kaczki po pekińsku; jednego z curry, czosnkiem i nadzieniem z ziół i fenkułów; i jednego tradycyjnego, owiniętego plasterkami bekonu i nadzianego angielskim farszem. Przed osiemnastą odbył się *sitdown dinner*, a coś takiego trzeba było oczywiście zaplanować kilka tygodni wcześniej. Od potrójnego indyka do serów i przekąsek byłby zbyt wielki przeskok, pomyślał sobie. Zbyt drastyczny, w końcu mieli jakąś renomę i chcieli ją utrzymać. Koreczki będą dekoracyjne i bardzo odświeżające, na patyczkach ozdobionych błyszczącymi pióropuszcami na czubkach. Wykałaczkę były tam, torebka obok torebki. O Boże, leżały tam też te, które ostatniego lata znalazł w malutkim sklepiku z prezentami na rynku Halmtorvet! Zupełnie o nich zapomniał! Z pozoru były dość proste, zrobione z przezroczystego plastiku, ale na końcach miały wtopioną malutką imitację kamienia szlachetnego. Wyglądały jak małe berła, ile ich miał? Policzył. Trzy paczuski po czterdzieści wykałaczek w każdej.

Właściwie to chciał zacząć od razu, ale zmusił się do pozostania w łóżku, żeby być wypoczętym następnego dnia. Krumme leżał na plecach i spał z uchylonymi ustami, powieki drżały mu z powodu nagłego uderzenia światła. Erlend wyłączył je pospiesznie, a potem przytulił się mocno do Krumme i poszukał pod kołdrą jego dłoni. Nawet w głębokim śnie Krumme odpowiedział uściskiem, szczęśliwie nieświadom inferna zakupów, jakie czekało na niego następnego ranka.

Talerz serów. Też mi dowcip.

Siedząc przy śniadaniu, zaczął układać listę zakupów. Koreczki to była bardziej ozdoba niż jedzenie, dlatego do niego należał cały scenariusz. Krumme przyrządzał tylko duże rzeczy. Krumme był najprawdziwszym kucharzem. Ale do koreczków nie potrzeba było kucharza, tutaj niezbędny był **kompozytor** i organizator.

– A co się stało z pomysłem pod tytułem talerz serów? – rzekł Krumme, ziewając.

– Sam rozumiesz, że to zbyt banalne!

– Myszko, zrobienie koreczków zajmuje długie godziny. Czy nie możemy pozostać przy serze...

Siedzieli przy stole kuchennym z dużymi kubkami świeżo zaparzonej jamajskiej kawy, obaj w jedwabnych szlafrokach i puchatych kapciach.

– Zastanów się, Krumme. Prostacka taca serów to przecież nie my!

– Wcale nie musi być prostacka. A obaj jesteśmy zmęczeni. Muszę jeszcze zajrzeć do pracy.

– Daj spokój, nie skupiaj się tak bardzo na samych problemach. Delikatesy otwierają o dziewiątej. Pójdiesz ze mną i pomożesz mi w zakupach, ja potem wezmę taksówkę do domu, a ty pojedziesz na parę godzin do pracy. Napoje kupisz w drodze powrotnej, dzisiaj od początku do końca ma być tylko szampan, kup siedem-osiem skrzynek. Bollingera oczywiście. Pamiętaj, żeby sprawdzić, czy skrzynki są prosto z chłodni, inaczej nigdy w życiu nie uda nam się ich schłodzić na czas. I może jeszcze koniak, ile nam zostało?

Krumme wstał ciężko i poszedł do salonu sprawdzić barek.

– Pięć butelek – krzyknął.

– To potrzebujemy jeszcze kilku. Ale mój Boże, skoro tak, to musimy jeszcze mieć coś słodkiego! Do kawy i koniaku. Jak sądzisz, co? Może designerską czekoladę? Mógłbyś przecież...

– Sękacz i lody – powiedział Krumme, siadając na swoje miejsce. – Nie mam zamiaru przemierzać pół miasta tylko po to, żeby kupić czekoladę, przy której ktoś stał i grzebał mozolnie jedynie w tym celu, żeby dwa kawałki nie były do siebie podobne.

– Oni używają sterylnych rękawiczek, nie bądź śmieszny, Krumme.

– Na pewno czasami jej próbują i oblizują koniuszki palców w tych rękawiczkach.

Erlend roześmiał się. – Jakie ty masz brzydkie myśli! Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek jest jeszcze w stanie włożyć do ust choćby jeden kawałek czekolady, pracując przy niej cały dzień? Nie wydaje mi się.

– Talerz serów byłby dziś idealny. Trochę Samsø, trochę Danbo...

– Ty i ten twój Danbo. Ten ser śmierdzi tak, jak moje skarpetki, gdy byłem nastolatkiem.

– To na pewno pięknie.

– Ależ Krumme. Zrobię talerz serów. Dodatkowo!

Krumme westchnął. – Jestem zmęczony, to była trudna wycieczka. Mocne przeżycia. Ale cieszę się, że pojechałem. Teraz wiem, kim jesteś, skąd pochodzisz.

Popatrzyli na siebie. Erlend skinął głową, teraz Krumme wiedział, kim on jest. A przynajmniej tak sądził. Jednak to, że musiał nagle brodzić w swoich norweskich korzeniach i odgrywać rolę najmłodszego syna w gospodarstwie, nie oznaczało jeszcze wcale, że nie miał zamiaru równie szybko powrócić w słodkie objęcia wielkomiejskiego życia. Dlatego dziś wieczorem chciał mieć przepych i blask. Anie tylko śmierdzący ser. W paru kwestiach jednak będzie musiał zapewne pójść na kompromis.

– Okej. To zrezygnujmy z designerskiej czekolady. Sękacz i lody Häagen Dazs to wcale nie jest zły pomysł, Krumme. Możemy zjeść je z toffi i orzeszkami pekan. Wpisuję to na listę. Czy to nie jest całkiem zabawne, powiedz? Świątować Wigilię jednego dnia, a następnego przejść bezpośrednio do obchodów sylwestra?

Poprzedniego wieczoru zrobili sobie własną wigilię. Zjedli pięciodaniowy obiad w restauracji „ZłodziejKucharzJegoŻonaJejKochanek”, a następnie poszli do domu odpakować prezenty, pić koniak i słuchać Brahmsa, napawając się przy tym widokiem choinki na tarasie, która stała tam równie piękna w dniu, gdy wrócili z Norwegii, cała w światełkach, koszyczkach napełnionych sztucznym śniegiem, z gwiazdą Georga Jensena na szczycie. W czasie, gdy ich nie było, zdążył spaść i stopnieć prawdziwy śnieg, więc ani drzewko, ani koszyczki nie były już równie ładne w świetle dziennym, ale po zapadnięciu zmroku iluzja wracała. Krumme kupił mu kryształowe szachy Swarovskiego, które tak gorąco pragnął mieć, a Erlend uhonorował go płaszczem z filmu *Matrix*, uszytym z czarnej skóry, przerobionym za bajońską sumę przez krawca, tak aby pasował na kuliste ciało Krumme. Nigdy chyba nie widział Krumme tak zadowolonego i zarówno on, jak i jego płaszcz zostali kompletnie pozbawieni czci w chwilę później, gdy w końcu mogli głośno i radośnie kochać się w swoim prywatnym, odizolowanym od świata miejscu.

– Wkładasz dziś płaszcz? Do pracy?

– Oczywiście! – rzekł Krumme i uśmiechnął się, wyciągając do niego rękę ponad stołem. – Kocham cię, ty dziwny, uroczy chłopski synu...

– Dobrze, dobrze. Już koniec z ogrodniczkami i źdźbłem słomy wystającym z ust. W końcu mogę znów używać mojej kredki do oczu bez wywoływania u ludzi napadów hysterii.

– Zawsze mnie przegadasz. Jak upłynie trochę czasu, będziemy musieli te sprawy gruntownie omówić. Ze względu na Torunn. Nie może zostać z tym całkiem sama. Czuje się odpowiedzialna.

– Ale przecież ona jest w Oslo! Prawie tak daleko jak my! – powiedział Erlend, zabierając dłoń.

– Ale czuje tę odpowiedzialność. Widzieliśmy to. Sama też to przyznała. Nie dzwoniłaś do niej wczoraj? Miała porozmawiać z Margidem o tym, że staruszek chce iść do domu opieki.

– Aaaaaach! Teraz jesteśmy tutaj i planujemy przyjęcie! Tym wszystkim możemy się zająć jutro. Jestem przekonany, że gdy tylko Torunn wróci do swojego domu i pracy, odłoży na bok całą tę **odpowiedzialność**, z powodu której tyle marudzisz. Ja też przecież wykazałem **odpowiedzialność**, prawda? A może nie?

– Ależ tak, to prawda, Erlendzie. Jestem z ciebie dumny, bardzo dumny. Nie jest dobrze tyle rzeczy ukrywać.

– Zaraz ukrywać. Nigdy przecież cię nie okłamywałem, nie miałem tylko siły o tym wszystkim myśleć.

– A teraz znowu przestałeś się nad tym zastanawiać?

– Nie! To nie tak! Łapiesz mnie za słowa! Ja po prostu... Jestem też sobą. Tutaj! A Torunn przyjedzie do nas z wizytą, do wujka Erlenda i wujka Krumme. Pomyśl, mam najprawdziwszą na świecie bratanicę.

– Bardziej niepokoję się o nich tam w gospodarstwie. Torunn też tak czuje.

– Tak, tak, tak. Porozmawiamy o tym. Ale nie dzisiaj! Będę teraz stał przez długie godziny i komponował koreczki oraz przyozdabiał cały dom, chcę być w twórczym nastroju...

Przybrał lekko narzekający ton, który zawsze działał na Krumme. Krumme westchnął i oparł się mocno o kuchenne krzesło.

– To teraz się ubierzemy i pojedziemy po zakupy, hm? – rzekł Erlend.

– Tak, tak właśnie zrobimy – powiedział Krumme, uderzając się w grube uda i obdarzając go uśmiechem, może z odrobiną wysiłku, ale przynajmniej był to uśmiech. Poza tym będzie mógł za chwilę włożyć swój nowiusieńki matrixowy płaszcz, to też miało pewne znaczenie. – Mam tylko nadzieję, że moja karta Diners nie zapali się od ciepła generowanego przez ruchy frykcyjne.

– Zabiorę ze sobą gaśnicę – odparł Erlend.

Gdy kuchnia była już wypełniona zakupami po brzegi, a on został sam w domu, włożył do odtwarzacza CD płytę Marleny Dietrich i wyciągnął wszystkie półmiski i tace, jakie mieli w domu. W jednym z pokoi gościnnych rozłożył niski stolik, a kołdry i poduszki schował do szafy. Potrzebował dużo miejsca na talerze, jeden stół i jeden podwójny materac powinny wystarczyć, nie mógł znieść stawiania jedzenia na podłodze, mimo że sprzątaczką zawsze myła i pastowała parkiet do połysku. Otworzył okno i – proszę – już miał doskonałą chłodnię. Gdy przyjdą goście, okna się zamkną, wszystkie półmiski z jedzeniem znajdą się w salonie, a tutaj przybyli położą swoje ubrania. Drugi pokój gościnny służył za biuro i był jedynym pomieszczeniem w całym domu, w którym zawsze panował bałagan, tego pokoju nie pokazywało się gościom.

Rozmieszczył półmiski na blatach kuchennych, a potem wyjął butelkę Bollingera z lodówki zarezerwowanej tylko dla napoi. Tak, tak, gdyby ktoś późnym wieczorem chciał się napić czegoś innego niż szampan, to na półkach leżały zarówno dżin, jak i wódka, a także tonik oraz napój marki Schweppes.

Otworzył szampana ostrożnie, aby nie zmarnować ani kropli, nalał do kieliszka i pił łąpczywie, a następnie z ogromnym skupieniem przesunął spojrzeniem po kupionym jedzeniu. Najpierw przyniósł kolorową folię aluminiową, czerwoną i złotą, i zapakował w nią półmiski. Nie było to łatwe, musiał przyczepić folię taśmą od spodu, to z kolei nie wyglądało ładnie, ale w końcu chodziło o górę. Siedem złotych półmisków i osiem czerwonych. Takie proste, a takie skuteczne. Sposób prezentacji i *display*, to był klucz do uciechy i dla oczu, i dla żołądka. Ach, cudownie będzie zacząć znów pracować, usunąć święta ze wszystkich wystaw, podążać myślami nowymi, odważnymi ścieżkami, bardziej trafiającymi do przekonania niż pomysły konkurencyjnych dekoratorów wystaw. Nawet będąc w Neshov, wpadł na pomysł wystawy,

którą będzie mógł zaproponować Benettonowi. Zamierzał zbudować wiejską scenę z balotami słomy i elementami z nieociosanego drewna, korytem i sznurami oraz dzwoneczkami. Czyste kolory ziemi będą stanowiły doskonałe tło dla kolorowych ubrań dziecięcych, mogłyby nawet umieścić tam jakieś zwierzęta. Mieszkańcy Kopenhagi nie mrugną okiem, widząc wypchaną owcę albo kozę, albo końską głowę wystającą z boksu. Zaraz po powrocie do pracy drugiego stycznia będzie musiał skontaktować się z taksydermistą.

Zabrał się do pasków jagnięciny i do suszonych pomidorów, zawinał mięso i pomidora, łącząc je wykałaczką z zielonym pióropuszem, napełnił tym delikatesem złoty półmisek i zaniósł do pokoju gościnnego. Talerz przypominał mieniącego się jeża. Ugotował jajka, schłodził je, podzielił na pół zwilżonym nożem, żeby żółtko nie przywarło, i każdą połówkę przykrył morskim kawiozem, francuskim majonezem czosnkowym aïoli oraz udekorował świeżymi gałązkami kopru. Pokroił w plastry świeżą mozzarellę i nadział ją na patyczki razem z plastrami świeżego pomidora oraz liściem bazylii na szczycie, cały półmisek skropił oliwą z oliwek i posypał grubym pieprzem z młynka. Ułożył na talerzu malutkie, gotowe miseczki z kruchego ciasta, posmarował ich dna roztopionym masłem i napełnił wszystkie czerwonym kawiozem z białugi, skropił sokiem z cytryny i na wierzchu zrobił małe punkciki z *crème fraîche*. Kielbasę chorizo pokroił w grube plastry i nadział je na wykałaczki razem z częsteczką pora i dużym kaparem królewskim na szypułce. Wylał zawartość puszki z owocami koktajlowymi i czarnymi oliwkami na durszlak, żeby odciekły, pokroił łagodny ser w duże kostki i ostry ser szwajcarski w mniejsze i zrobił kolorowe patyczki serowe. Napełnił nimi kolejne dwa półmiski, złoty i czarnoczerwony, a następnie musiał wypić cały kieliszek szampana, żeby naprawdę nacieszyć się tym widokiem, zanim wyniesie talerze do pokoju gościnnego. Zrobił sałatkę z tuńczyka, musztardy ziarnistej, pokrojonych ogórków kiszonych i sosu majonezowego, wyszła fantastycznie, a jednocześnie była taka prosta, że **nawet matka**, pomyślał, ale równie szybko odrzucił tę myśl, teraz był tutaj, w twórczym oszołomieniu szampanem, nic nie mogło mu przeszkodzić, telefon też nie, włączony na bezgłośny odbiór za pomocą automatycznej sekretarki.

Marlena śpiewała gardłowym, erotycznym głosem z głośników Bang & Olufsen, wiszących na ścianie w kuchni, a on napełniał sałatką z tuńczyka miniaturowe, świeżo upieczone tartoletki z ciasta maślanego, kupionego w piekarni na rogu, ozdabiał je odrobiną musztardy oraz resztą suszonych pomidorów pokrojonych w paseczki i posypywał na szczycie tartą skórką cytrynową. Resztę sałatki z tuńczyka wcisnął między podwójnie złożone, okrągłe kruche grzanki. Co jeszcze mogłyby zrobić?

Jego rozgorączkowane spojrzenie przesunęło się po składnikach. Szparagi! Boże, zupełnie o nich zapomniał. Pospiesznie oczyścił je i wstawił do gotowania w wysokim rondlu przeznaczonym specjalnie do gotowania szparagów. W środku był metalowy koszyczek, który później wystarczyło wyjąć. Kiedy szparagi się gotowały, ostrożnie podzielił szynkę parmeńską, odkładając ją na stosik, drobno posiekał czosnek i pietruszkę i zmieszał je z odrobiną oliwy, soli morskiej i żółtkiem. Gdy szparagi po ugotowaniu zostały błyskawicznie schłodzone w zimnej wodzie z kostkami lodu, pozwolił im odciec, a następnie zapakował je w plastry szynki parmeńskiej napełnione prócz tego pastą czosnkową.

Teraz potrzebował kilku półmisek z koreczkami zrobionymi tylko z płodów ziemi. Powstał więc jeden z patyczkami skomponowanymi ze świeżego kalafiora, fenkułów, oliwek i truskawki na końcu każdej wykałaczki oraz drugi z mango, krwistej pomarańczy, czerwonej cebuli i selera. Obydwa półmiski spryskał octem balsamicznym, tak jak pokazał mu to Krumme. Krumme był mianowicie zwolennikiem teorii, że potraw nie należy nigdy polewać octem balsamicznym, tylko spryskiwać je nim delikatnie, tak jak widział to kiedyś w programie kulinarnym telewizji Rai.

Wtedy zauważył opakowanie z serem kupionym przez Krumme, zupełnie o nim zapomniał, powinien był go wyjąć, skoro chłop najwyraźniej miał jedynie na to ochotę. Przyozdobił kawałki sera resztą składników koreczków: owocami koktajlowymi, selerem i oliwkami. Liście selera zawinął pod jeden z serów i przykrył półmisek celofanem, aby uniknąć zasmrodzenia reszty jedzenia, a potem wyniósł go na miejsce.

Zmienił płytę z Marleny na Neila Diamonda *Best off* zaczął ozdabiać salony, wieszał girlandy, wstawiał złote i srebrne świece do lichtarzy, nakrywał stoły złotym szyfonem, który co prawda miał parę plamek, ale półmiski doskonale je przykryją. Na końcu jednego stołu umieścił pod obrusem duże, metalowe pudełka, ukradł je po pracy nad wystawą w Pamfiliusie, dzięki nim obrus wznosił się miękkimi fałdami na różne poziomy, gdzie zamierzał ustawić kieliszki i wiaderka z szampanem. Musiał pamiętać o napełnieniu wodą zbiornika w lodówce, żeby maszyna do robienia kostek lodu nie przestała działać. Ustawił półmiski jeden na drugim, kupione tego dnia serwetki ułożył w wachlarze, obsypał złotym pyłkiem, którego odrobina na pewno wpadnie do jedzenia, ale trudno, w taki wieczór jak ten trzeba to będzie znieść. Na końcu drugiego stołu ustawił sękacz. Był mało ozdobny, więc dodał mu spódniczkę z gniecionej, czerwonej folii aluminiowej, obsypanej małymi srebrnymi gwiazdkami, które znalazł w noworocznej szufladzie. Resztę gwiazdek rozsypał po obrusach. Filiżanki do kawy, kieliszki do koniaku oraz salaterki deserowe musiały stać w pobliżu sękacza. No i miseczka z chińskimi ciasteczkami z wróżbami. Właśnie tak.

– Na zdrowie! – Podniósł kieliszek przed sobą, a następnie opróżnił, stojąc w kuchni, napełnił go zaraz resztką z butelki i wyszedł na taras.

Migające samoloty lądowały i startowały jednym ciągiem, a on cieszył się chłodem marmurowych płytek pod stopami. Za nim stało drzewko, gdy spoglądał na północ, Norwegia była gdzieś tam, daleko, w ciemności. Gdyby zadzwonił, Krumme na pewno byłby z niego zadowolony i przestałby marudzić. A gdyby zadzwonił teraz, zanim wejdzie do wanny i zagłębi się w pieszczocie płynów i kremów, przygotowując się mentalnie na przyjęcie gości, będzie mógł zrobić to ze znacznie lżejszym sercem. Ale kolejność?

Postanowił zadzwonić według tej samej kolejności, jaką stosował w dzieciństwie przy jedzeniu – zjadał po kolei różne rzeczy z talerza, najlepszą zostawiając na koniec. Zawsze narażał się przy tym na ryzyko, że dostanie dokładkę tego, co najmniej lubił, na przykład brukwi, bo matka sądziła, że skoro na nią pierwszą się rzuca, to najwidoczniej bardzo mu ona smakuje.

Wybierając numer, czuł przykre łomotanie serca. Ale tę ofiarę ponosił dla Krumme i Torunn.

– Tutaj Erlend! Spodziewamy się dziś wieczorem paru gości, dlatego dzwonię już teraz!

Tor był ciekaw, dlaczego.

– Dlaczego...? Przecież jest sylwester! Dzwonię, żeby powiedzieć, że dotarliśmy szczęśliwie do domu, i życzyć wszystkiego dobrego w Nowym Roku!

Nigdy przecież tego nie robił. I czego tu znowu życzyć.

– Ale...

Poza tym teraz musiał iść do chlewu i trochę się spieszył, czekał na weterynarza, jedną maciorę trzeba będzie zszyć.

– Zraniła się?

Tak, wdała się w bójkę.

– Nie wiedziałem, że one się biją – powiedział Erlend i potarł zimne stopy jedną o drugą. Marzył tak, że bolały go nogi wysoko w górze, weźmie potem gorącą kąpiel, nie tylko prysznic.

Ależ tak, wiedziałyby to, gdyby tylko słuchał uważnie. Tak więc nie zamierzają niczego świętować, raczej położą się o zwykłej porze.

– To dobrze, że zadzwoniłem teraz. Żeby nie przeszkadzać wam później! To wobec tego wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, dla was obu.

Dziękuję i nawzajem, odrzekł Tor i odłożył słuchawkę.

Musiał wzmocnić się odrobiną koniaku, zanim ponownie był w stanie podnieść słuchawkę, a przy okazji wetknął palce w kapcie. Obie te rzeczy pomogły, a dodatkowo rzucił pospiesznie okiem na wnętrze pokoju gościnnego i przez krótką chwilę podziwiał stojące tam w oczekiwaniu doskonałe półmiski.

Margido odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

– Szczęśliwego Nowego Roku! Wiem, że jest jeszcze trochę wcześniej, ale u nas będzie...

O, a więc to on dzwonił, to było prawdziwe zaskoczenie.

– Myślałeś pewnie, że to klient? – rzekł Erlend i zaśmiał się cicho. Miał wrażenie, że teraz powinno już dać się pośmiać trochę wspólnie z Margidem, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale być może to tylko szampan i łyk koniaku wzbudziły w nim przesadne oczekiwania, bo Margido się nie śmiał. Zamiast tego odpowiedział, że tak, właśnie tak sądził, zawsze mu się tak wydawało.

– Poza tym pewnie wiele osób nie dzwoni? – powiedział Erlend trochę szyderczo. Margido mógłby się zaśmiać, dać mu przynajmniej tyle.

Margido nic nie odpowiedział na przypuszczenie, że niewiele osób dzwoni do niego poza tym, wspomniał tylko, że jest zaproszony na kolację. Czy powiedział to nieco triumfująco, czy Erlend odniósł tylko takie wrażenie?

– Ach, tak? Ktoś, kogo znam?

Nie, Margido nie sądził, aby Erlend znał tę osobę. Dawniejsza klientka.

– Żywa? – Teraz trochę przesadził, ale nie był w stanie się powstrzymać. No, ale w końcu Margido odrobinę się roześmiał.

Tak, ta klientka była żywa w najwyższym stopniu.

– Czyli jakaś pani? Boże święty, Margido, a więc masz randkę? Erlend związał w kapciach palce u nóg, teraz to już świat nie dotrwa do Wielkanocy, i że w ogóle Margido to powiedział! Ale tego z Bogiem nie powinien chyba ciągnąć za daleko, Margido w końcu był chrześcijaninem.

– Nie zamierzałem powiedzieć „Boże święty” – dodał pospiesznie.

Tak, to prawda, to jedna pani, przerwał mu Margido, ale nic poza tym.

– Jedna pani, ale nic poza tym? – rzekł Erlend.

To tylko znajoma, to wszystko, chciała zaprosić go na obiad w czystym geście wdzięczności za wspaniały pogrzeb, jaki urządził jej mężowi, i głupio ze strony Margida, że w ogóle o tym wspomniał.

– Ależ skąd, ależ skąd! Tylko żartuję! Ty... wy... szczęśliwego Nowego Roku zatem dla was! Krumme także pozdrawia.

Niech również przekaże pozdrowienia dla Krumme.

Bardziej go to obchodziło, niż był skłonny przypuszczać. Zrobił to przecież tylko ze względu na Krumme i Torunn, a jednak stał tutaj i był prawie wytrącony z równowagi. Pomyślał o tej pani i znowu poczuł zadowolenie. Pomyśleć, że Margido mógłby jeszcze mieć w życiu dobrze, może nawet mógłby spotkać jakąś młodą kobietę, która dałaby mu dziecko. Jeszcze mogłoby być z niego ludzie. Nakręcony tą myślą zadzwonił do Torunn, wtykając jednocześnie butelkę koniaku pod pachę, zdejmując zębami nakrętkę i upijając łyk prosto z butelki.



– To ja! Zgadnij, co! Margido ma dziś wieczorem **randkę!** – Wokół niej panował okropny hałas, nie słyszała, co on mówi, i krzyknęła, że musi wyjść, niech poczeka. W końcu słyszał ją wyraźnie.

– Tu wujek Erlend! Margido ma **randkę** dziś wieczorem! Z jakąś panią!

Śmiała się tak, że dźwięczało mu w uszach, czy to prawda? Rozmawiała z nim wczoraj i o niczym takim nie wspominała, ale może Margido nigdy nie opowiadałby jej takich rzeczy. Powiedziała mu, że dziadek chce iść do domu opieki.

Ech, czy muszą o tym teraz rozmawiać.

– A co na to Margido?

Stwierdził, że dziadek nie jest dostatecznie chory, że to się z pewnością nie uda, byłoby bardzo trudno o miejsce, ale że Margido na pewno spróbuje im załatwić pomoc domową chociaż raz w tygodniu.

– Świetnie, to wszystko się jakoś ułoży – rzekł Erlend.

Torunn nie była tego taka pewna, sądziła, że ojciec nie będzie chciał mieć w domu nikogo obcego, kto przyjdzie i będzie się rządził w jego sprawach, nawet jeśli chodziłoby tylko o niewielkie sprzątanie.

– Znasz go przecież dobrze! Lepiej niż ja!

Nie zdążyła na to odpowiedzieć, bo rozległ się gwałtowny skowyt psów, wyjaśniła, że jest na wycieczce w lesie, została zaproszona razem z kilkorgiem przyjaciół, cała paczka ludzi i pięć psów, a teraz najwyraźniej toczyła się tam zacięta walka.

– To u ciebie też będzie wesoło! Nie wiem, jak w kwestii walki, ale pewnie macie tam igły i nici! A propos, twój ojciec czekał właśnie na weterynarza, kiedy z nim rozmawiałem, tam z kolei pobiły się maciory!

A więc dzwonił do jej ojca, to bardzo ładnie z jego strony. Zauważył, że głos jej poweselał, a więc warto było mimo wszystko znieść tę nieprzyjemność.

– Zaraz ładnie, w końcu to mój starszy brat. Nawet jeżeli jest bardzo dziwny. Ale jeśli masz do niego też dzwonić, musisz to zrobić przed dziesiątą. Wtedy idzie spać.

Dobrze, że to powiedział, bo zamierzała telefonować o północy.

– W Byneset nie będzie specjalnie dużo fajerwerków! Nie więcej niż te, które wystrzelą sami! Pod kołdrami!

Zachichotała. Za nią zabrzmiało wściekłe szczekanie, najwyraźniej sytuacja między psami się pogarszała.

– To wobec tego najlepszego w Nowym Roku! Zobaczymy się w nim, prawda? Przyjedziesz nas odwiedzić?

Tak, bardzo by tego chciała, powiedziała, a potem zakończyła rozmowę, mówiąc, że muszą trzymać kciuki za Margida.

– O, on już pewnie krzyżuje, co tylko może. Na przykład kolana, tak więc my się w to nie mieszajmy, brataniczko. Krumme pozdrawia i śle tysiąc całusów!

Opadł do wody w wannie, nieskończenie zadowolony z siebie. Drzwi wejściowe się otworzyły.

– Jestem w łazience! – zawołał.

– Wniosę tylko skrzynki i przychodzę! – odparł Krumme.

– Są zimne? Skrzynki znaczy?

– Ależ tak!

– Wstaw je po prostu na taras, nie muszą przechodzić przez lodówkę!

W końcu leżeli, każdy po swojej stronie jacuzzi, dwa ciała zanurzone w bulgoczącej wodzie, do przyścia gości zostało jeszcze półtorej godziny. Erlend przyglądał się rybom pływającym w wielkim akwariium morskim wzdłuż całej długości łazienki. Śledził wzrokiem Tristana i Izolę, były jaskrawoturkusowe, jego ulubione ryby. Ale od wewnątrz zgromadziło się już za dużo glonów, musiał pamiętać o zamówieniu wizyty pracownika z firmy zajmującej się czyszczeniem akwariów, sprząтали je i wymieniali rośliny, może trzeba też trochę przesunąć kamienny zamek, przez który przepływały ryby.

– Byłeś teraz gdzieś daleko – rzekł Krumme.

– Myślałem sobie o zamku i glonach, takie tam zwykłe rzeczy. A co powiedzieli w pracy na twój płaszcz z *Matrixa*?

– Nic specjalnego. Ale na pewno myślą sobie swoje – odparł Krumme.

– A co sobie myślą, jak sądzisz?

– Że jestem najszcześniejszym facetem na świecie. I mają całkowitą rację.



## ROZDZIAŁ 5

Margido trzymał grzebień pod kranem i przeciągał go od czasu do czasu przez włosy, a później dodatkowo wygładził je zwilżoną dłonią. Przyjrzał się sobie krytycznie w lustrze nad szklaną półką, gdzie leżała szczoteczka do zębów, pasta i buteleczka Old Spice. Węzeł krawata był równy i gładki i znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien. O dziwo, wiązanie podwójnego Windsora było jedną z pierwszych rzeczy, których nauczył się jako praktykant w biurze pogrzebowym, no, ale dzisiaj wiedział już przecież, że sposób prezentowania się stanowił niezwykle ważną część pracy. Pod wieloma względami od tego właśnie zależało, czy zapewni bliskim zmarłego profesjonalne poczucie bezpieczeństwa.

Węzeł był idealny. Gorzej z garniturem. O wiele za ciemny i zbyt pachnący **pracą**. Przeszukał jeszcze raz szafę, zupełnie jakby miał się z niej wyłonić garnitur, o którym nie miał pojęcia, że go posiada. Ale wszystkie były czarne albo ciemnobrązowe, z wyjątkiem grafitowego, którego używał latem, ten był z lekkiego, mocno już zniszczonego materiału. Zwykli ludzie w każdej chwili mogli pójść na noworoczną kolację w czarnym garniturze, pomyślał, ale on nie był zwyczajnym człowiekiem. Każdy kojarzył go ze smutkiem. Najlepiej, gdyby miał garnitur jasnoszary, zdecydował szybko, że kupi sobie taki w pierwszej wolnej chwili, przyda mu się również na inne okazje, na przykład do pracy w dni, gdy nie musi się spotykać z rodzinami. Dzisiaj jednak grafitowy musiał wystarczyć.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Było wpół do siódmej, świeżo upieczona wdowa zaprosiła go na siódmą trzydzieści. Selma Vanvik, pięćdziesiąt dwa lata, jego rówieśniczka. Od tygodni go nagabywała, on zachowywał się z dystansem, lecz uprzejmie. Pomyślał, że skoro zgodził się przyjąć zaproszenie na dzisiejszy wieczór, to może w końcu zorientuje się, jaki z niego jest nudny gość, i przestanie marudzić. Chciał wrócić z powrotem do swojej codzienności, do swoich zwyczajów i przemieszczania się pomiędzy pracą a wolnym czasem spędzonym w odosobnieniu własnego mieszkania. Od kilku miesięcy zaczął myśleć o kupieniu nowego mieszkania, nie dlatego, żeby to było za małe lub brzydkie, w sumie było w sam raz, ale tak bardzo pragnął mieć saunę, gdzie mógłby siedzieć, pocąc się i nie robiąc nic poza tym. Tutaj zbudowanie sauny przy łazience nie było możliwe, pochłonęłaby ona małą kuchnię po drugiej stronie ściany, ciągle jednak nie był jeszcze gotowy na studiowanie ogłoszeń mieszkaniowych. Myśl o przeprowadzce wzbudzała w nim gwałtowny niepokój, wizja opróżniania przedmiot po przedmiocie tych bezpiecznych pomieszczeń – to będzie dla niego stres.

Wszystko nagle stało się płynne, a przynajmniej tak to odczuwał. Przepływało mu między palcami, nie chciał stracić kontroli. Praca i czas wolny spędzany tu w domu – to jedyne, do czego był przyzwyczajony. Najpierw to wszystko, co stało się z matką, i że Erlend i Krumme przyjechali, i jeszcze do tego Torunn. W końcu przez te wszystkie lata jakoś dawali sobie radę w Neshov, również przez ostatnich siedem, kiedy to jego noga już tam nie stała, a teraz, gdy matki nie ma, a natura spraw została częściowo wyjaśniona, powinno w końcu nastać trochę

spokoju. Ale nie, telefony, telefony... Najpierw Torunn, która wczoraj chciała, aby staruszkowi załatwić dom opieki, a teraz Erlend.

Nie podobało mu się to.

Kwestie prawne związane z gospodarstwem pozostawił adwokatowi Berlingowi, mądrymu i rozsądnemu człowiekowi, którego zazwyczaj polecał rodzinom mającym kłopot ze sprawami spadkowymi. Berling załatwi wszystko, nie było tutaj przecież żadnej niezgodności. Gospodarstwo zostanie przepisane na Tora, staruszek nie będzie się temu sprzeciwiał, a on sam i Erlend póki co zrezygnują z udziału w spadku.

Wtedy Torunn zostanie dziedziczką gospodarstwa, ale z tą klauzulą o spadku. Czy ona rozumiała rządzące tym mechanizmy? Odpowiedzialność, jaka spadnie na nią w dniu, gdy Tor umrze lub stanie się niedołączny? Nie wydawało mu się.

Musiał jednak w każdym razie załatwić im pomoc domową, żeby przynajmniej to było zrobione i żeby uniknąć dalszego marudzenia w kwestii domu opieki. Stan ojca nie był na tyle zły, nie potrzebował jeszcze doglądania w aż takim stopniu. To, że nie zmieniał majątek i że był w stanie zgubić sztuczną szczękę w drewnutni, nie stanowiło wystarczającego powodu, aby gmina zaproponowała mu miejsce w domu opieki. Chciał pewnie dostać się do tego nowego ośrodka w Spongdał, otwartego zaledwie kilka lat temu. Sądził zapewne, jak wielu starszych ludzi, że do takiej instytucji trafia się w pobliżu miejsca zamieszkania. Jednak gmina Trondheim zmuszona była do takiego komponowania tej układanki, żeby przyznawać miejsca zgodnie z czasem oczekiwania, bez względu na to, czy dom opieki położony był tu, czy tam. Może powinien przy okazji wspomnieć staruszkowi, że istnieje niebezpieczeństwo umieszczenia go w instytucji daleko od Byneset. Ech. W końcu jego też było szkoda. Jeśli w ogóle kogoś należało żałować, to tylko jego.

Zgasił światło w łazience i wszedł do salonu. Poczł gwałtownie, że chętnie by się czymś wzmocnił. Potrzeba ta napełniła go zdumieniem. Praktycznie nigdy nie pijał, ale teraz wyraźnie zrobiłoby mu to dobrze. A co będzie, jeśli ona zacznie się do niego przystawiać, zdarzyło się już, że go uścisnęła, przytulając się równocześnie.

Nigdy nie powinien był się na to zgodzić, czuł, jak nieprzyjemnie szybko bije mu serce, i zamknął oczy. Obiecał sobie, że weźmie taksówkę i że nie będzie prowadził, do domu mógł wrócić na piechotę, trochę co prawda było daleko, ale do zniesienia, najlepiej będzie zabrać ze sobą dobre buty w siatce. Albo może zadzwonić i powiedzieć, że...

Nie. Musiał się na to odważyć bez względu na wszystko. Gdyby tylko one wiedziały, panie Marstad i Gabrielsen, jego pracownicy, że zostawił na automatycznej sekretarce wiadomość odsyłającą ewentualnych klientów do jednego z większych biur. Robił tak tylko wówczas, gdy sam miał nawał pracy, ponieważ żadna z pań nie lubiła przyjmować zgłoszeń. Teraz tu stał, z policzkami spryskanymi Old Spice, i wcale nie miał nadmiaru roboty. Ale jeżeli pojedzie do niej dziś wieczorem, to na pewno skończą się jej nalegania.

Znalazł w szafie butelkę czerwonego wina, stary zakurzony prezent od jakiegoś członka rodziny. Wyciągnął korkociąg z samego dna szuflady i wyjął korek. Strzeliło. Dźwięk odbił się echem od ścian kuchennych. Nalał sobie kieliszek, przykrywając jednocześnie folią szyjkę butelki, nie wiedział nawet, jak długo taka butelka może stać, na wszelki wypadek wstawił ją do lodówki. Wypił zawartość kieliszka o wiele za szybko i natychmiast poczuł tego skutki.

**Randka...** Czy ktoś słyszał o podobnym szaleństwie? W tym momencie poczuł, jak lód przenika całe jego ciało, nie miał nic dla niej, oczywiście powinien był kupić jej coś w prezencie! Kwiatów ciętych nienawidził, ale może coś innego. Oszołomiony z ulgą pomyślał nagle o

nieotwartym pudełku czekoladek Król Haakon, które dostał od dostawcy trumien, a które nadal leżało na regale, nawet obwiązane złotą wstążką. Teraz musiał zadzwonić po taksówkę, zrobić to, zanim zmieni zdanie.

Przed jej domem na schodach płonął znicz. Otworzyła mu natychmiast.

– Czekoladki! Jak miło! Jakim ty jesteś dżentelmenem, Margido!

Skinął głową i wysilił się na uśmiech, a widząc, że gotowa jest go uścisnąć, pospiesznie zaczął mocować się z płaszczem.

– Ładnie pachnie – powiedział.

– Ja czy coś innego? – zapytała, przechylając głowę na bok i bawiąc się złotą wstążką przy pudełku z czekoladkami.

– Jedzenie – odparł i najchętniej by się odwrócił i poszedł w swoją stronę. A więc zaczęło się od razu. Ale lepiej, żeby sobie niczego nie wyobrażała.

– Wiesz, Selmo, to, że jestem tu dziś wieczorem, to tylko dlatego, że uważam, że tak będzie przyjemniej. Wiem przecież, że jesteś sama i...

– O nie, mylisz się, zaproszono mnie w mnóstwo miejsc, ale wszystkim podziękowałam – powiedziała i się roześmiała. – Po tym, jak nie mogłeś przyjść na wigilię i musiałam spędzić cały wieczór z dziećmi i hałaśliwymi wnukami, chcąc tak naprawdę tylko spokoju i ciszy, jeszcze tego by brakowało, żebyśmy tego wieczoru nie mieli dla siebie. Kupiłam nawet fajerwerki.

– Czy to nie jest tutaj zabronione?

– Nie, tutaj jest centrum miasta. Więc wolno.

– Nigdy w życiu nie wystrzeliłem ani jednego fajerwerku – rzekł, stojąc z opuszczonymi ramionami.

– Jest na nich instrukcja, bądź zupełnie spokojny!

Powinien był bardziej uważać z alkoholem, skoro nie był do tego przyzwyczajony...Wdowa żywiła błędne przekonanie, że on nadal jest praktykującym chrześcijaninem, wszyscy tak sądzili, nikt nie wiedział, że wiara w Boga opuściła go już dawno temu, a jednak ciągle dolewała mu do kieliszka. Jedzenie było znakomite, a on przyzwyczajony był do tego, że każdy kęs posiłku poprzedzały małe łyki napoju. Zupełnie jakby zapomniał, że siedzi tam i pije alkohol, a nie zwykły sok albo mleko.

Na przystawkę podała sałatkę z krewetek, z białym winem, a jako danie główne – stek jagnięcy z ziemniakami zapiekanymi w śmietanie, do tego groszek, brukselka i czerwone wino. Siedzieli naprzeciwko siebie.

Stół był szeroki i przestronny i dawał mu bezpieczne poczucie dystansu, pomyślał później, że to zapewne ta fizyczna odległość pozwoliła mu się zrelaksować i cieszyć posiłkiem. Gdyby tylko mogło tak zostać; ona tam, a on tutaj.

Kiedy podniosła się, żeby zabrać talerze po steku z jagnięcia, on również wstał, aby jej pomóc, ale zaraz został życzliwie szturchnięty.

– Ależ nie, siedź sobie! Jesteś zmęczonym, pracującym mężczyzną, teraz po prostu odpocznij sobie, a ja trochę posprzątam i nakryję do kawy. Może jakaś muzyka?

Wodził za nią oczami, gdy prawie płynęła przez dywany, najpierw w stronę sprzętu muzycznego, gdzie naciskała guziki i manewrowała pokrętłami, następnie jak podmuch wiatru odpłynęła do kuchni razem z półmiskami. Miała na sobie czarną sukienkę, perły na szyi i w uszach. Ubierała się staroświecko, pomyślał, kobiety ledwie po pięćdziesiątce nosiły się dzisiaj

jak młodzież, był do tego przyzwyczajony, nagle poczuł dla niej wyjątkową tkliwość, bo może chodząc tutaj, czuła się stara. Dokładnie tak jak on.

Spojrzał na swoje dłonie, leżały na obrusie i były jakby nie jego. Zauważył, że rozlał trochę czerwonego wina i brązowego sosu, pogrzebał chwilę przy plamie z sosu, wcierając ją w obrus. Język i wargi miał nabrzmiałe; dotknął ust, ale były takie jak zawsze, a ciało miał palące i rozgrzane, najbardziej czoło i szyję oraz łydki. Siedział tutaj i był pijany? Jeśli tak, to zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu, już jako młody chłopiec w Byneset był członkiem związków chrześcijańskich i nie miał potrzeby eksperymentowania z alkoholem, ani też z niczym innym, jeśli już o to chodzi. Co to za muzykę ona włączyła. Ależ tak, teraz ją rozpoznał, *In The Mood* Glenna Millera. Stwórco wszechmogący, teraz już naprawdę powinien się zbierać do domu.

Ponownie podniósł się, przytrzymując się brzegu stołu. Ona była już obok, z filiżankami do kawy, talerzykami deserowymi i kieliszkami do koniaku.

– Nie sądzę, aby...

– Ależ **usiądź** sobie, Margido. Mam tu wszystko pod kontrolą, nie musisz nic robić! Teraz wypijemy tu kawę, a potem przeniesiemy się do salonu z szampanem.

Kiedy odwróciła się do niego plecami, rzucił okiem na zegarek, dochodziła dziesiąta. Kiedy ten czas minął? Opowiadał dużo o swojej pracy, wydawała się szczerze zainteresowana, jedzenie serwowała mu kilka razy, a jednak, żeby czas tak szybko płynął, może to było powodem, dla którego ludzie zostawali alkoholikami, chcieli przyspieszyć upływ czasu, pomyślał sobie, a w jego ciele rozlało się uczucie nasycenia. Był w pułapce, nie uda mu się uciec, równie dobrze może się od razu poddać, nagle nie wiedział, czy w ogóle ma jeszcze siłę się przeciwstawiać.

– Jedzenie było znakomite – powiedział, wsłuchując się we własny głos. Czyżby bełkotał?

Koniak obudził go, nagle w głowie miał całkowitą jasność. Zdumiony wypił kolejny łyk, a potem popił kawą, teraz znowu był w świetnej formie. Coś podobnego, pomyślał, nic z tego nie rozumiem, piję, aby trzeźwieć. Teraz ona chciała opowiadać o sobie, z wdzięcznością pozwolił jej na to, zwracając starannie uwagę na jej słowa. W chwilę potem już o nich zapomniał i musiał pytać od nowa. To było prawie zabawne, zaśmiał się nieco z siebie samego.

– Chyba straciłem pamięć krótkotrwałą – rzekł.

Strzeżliła w jego stronę oczami, cień świec kładł się na jej powiekach tak, że przypominała kota. Nie wyglądała wcale staroświecko, sukienka miała duży dekolot, a zagłębienie pomiędzy piersiami było lekko widoczne.

– Teraz przeniesiemy się do salonu – powiedziała.

Już? Podniósł się powoli i z godnością. – Naprawdę się najadłem – rzekł. – To dlatego jestem trochę powolny.

Na stole w salonie stały ciastka, przekąski i czerwony koszyk z mandarynkami. Zapaliła świece, wysokie i białe, oraz roznieciła ogień w kominku, gdzie wszystko zostało wcześniej starannie przygotowane. Usiadła obok niego na sofie i wręczyła mu butelkę szampana. Kieliszki stały już na stole, wysokie i wąskie.

– Otwórz ją, to męska robota.

W wieku pięćdziesięciu dwóch lat miał po raz pierwszy w życiu otwierać butelkę szampana, przyjął ją i napawał się chłodem szkła w zetknięciu z ciepłem dłoni. Na szczęście oglądał sporo telewizji. Odwinął metalowy koszyczek i zaczął odkręcać drucik, tak jak gdzieś to widział. Następnie ostrożnie wysunął korek. Wskoczył z gwałtownym hukiem, przeleciał nad stołem i trafił w podłogę po drugiej stronie.

– Booooo! – zawołała, śmiejąc się do rozpuku, a następnie szybko dodała: – O, przepraszam, nie zamierzałam...

Nadal jednak się śmiała, on śmiał się również, ona trzymała kieliszek pod strumieniem białej piany wylewającej się z szyjki butelki. Poczuł, że natychmiast musi złapać powietrze. Rozlał nieco na stół i dywan.

– Ach, to nie ma znaczenia, przecież mamy sylwestra! Wtedy można trochę pobałaganić!

Spijając pospiesznie pianę z kieliszka, napotkał jej spojrzenie, było rozgrzane i błyszczące, zupełnie jakby śmiały się do niego same gałki oczne, poruszył palcami w czarnych butach, myśląc, że teraz powinien się wziąć w garść i nie pić już więcej, ale myśl ta umarła równie szybko, jak się zrodziła, zamiast tego zaśmiał się znowu, w głupkawy sposób, sam był w stanie tyle usłyszeć, ale nawet to nie odgrywało już żadnej roli.

– Zdaje się, że na spodnie też trochę sobie rozlałeś – powiedziała i już dotykała go palcami, strzepując bezceremonialnie krople.

Wtedy wróciła mu przytomność umysłu. Co on właściwie robił. Odstawił kieliszek ostrożnie na stół, ale tego nie powinien był robić, bo ona uczyniła to samo, i nagle miał dwoje ramion, nie mając pojęcia, do czego ich użyć, a ona podobnie, tylko że ona wiedziała dobrze, co ma zrobić ze swoimi, położyła mu je na karku, zaglądając jednocześnie w jego twarz.

– Margido – wyszeptwała.

– Tak.

– Dlaczego aż tak się boisz?

– Wcale się nie boję, tylko nie wiem, co powinienem...

– Co powinienem w sensie?

– Zrobić – odrzekł.

– Ze mną? – Rozchyliła usta. – Możesz mnie na przykład pocałować.

Przyłożył swoje wargi do jej ust i przycisnął, poczuł, jak wdziera się w niego językiem, słuchał swojego pulsu walącego w uszach jak wodospad, huczało i szumiało, muzyka obecna w pokoju znikła, stawał się jakby głuchy. Odsunęła twarz i usiadła bliżej, zrobiła to powoli, prawie z wielką powagą, i już teraz się nie uśmiechała.

– Margido – wyszeptwała.

– Tak.

– Nie musisz odpowiadać. Wypowiadam tylko twoje imię, lubię to robić.

Położyła mu dłoń na rozporoku, nie poruszył się ani odrobinę. Chciał ponownie schwycić kieliszek, ale nie sądził, aby udało mu się go podnieść.

– Jesteś tu przecież – szepnęła.

Zrozumiał, o co jej chodzi, serce waliło mu jak oszalałe, siedział niby wmurowany, teraz to już nie uda mu się ujść z **życiem**, a zresztą do diabła z całym tym życiem, jej dłoń była jak jedwab, chociaż dzieliło ją od niego kilka warstw materiału, majtki i spodnie od garnituru. Rozsunął kolana, nie było już miejsca na to, aby pozostały ściśnięte, i bezwolnie odchylił się do tyłu na sofę, czy zaraz miał zemdleć, czy serce mu zaraz stanie? Nadal był głuchy, a muzyka nie istniała, jego przyrodzenie wypełniało całe ciało, jej suknia była z aksamitu, zupełnie jakby dotykał mokrego zwierzątka futerkowego, nigdy tego nie robił, ale czuł, że to podobne uczucie, może to była mokra wydra. Zamknął oczy i powoli wypełniło go poczucie wielkiej świętości, czy to tak właśnie się odbywało. Otworzył oczy, siedziała teraz na jego kolanach, dekolt stał się dużo większy, potem już go nie było, zostały już tylko piersi. Czubek jednej z nich smakował w ustach jak rodzynek, z delikatną nutą soli.

– Wystarczy przeczytać instrukcję – powiedziała, gdy stali już ubrani w ogrodzie. A raczej... ona stała, on usiadł na murku, nie oczyściwszy go uprzednio ze śniegu. Świeciła na fajerwerk latarką, ale nie udawało mu się odróżnić liter. Ręce miał drżące. Wręczyła mu butelkę szampana.

– Zajmij się lepiej tym. Przygotowałam już wcześniej w śniegu pustą butelkę, tam możemy je wstawić, ale chciałam przekazać to tobie, mężczyźni lubią takie rzeczy.

Zachichotała, on też, poczuł się ospały i nieswój, ja jestem Margido, pomyślał, teraz ona wystrzeliwuje fajerwerk, czy mam zadzwonić do Tora i mu to powiedzieć, nie, do Erlenda, Tor już spał.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, przez nieznośnie długie sekundy po włączeniu go musiał się zastanowić nad kodem, a ona w tym czasie, mocując się z zapalniczką, zawołała: – Teraz mi się przypomniało, że kupiłam również cygara!

W końcu to jego kciuk, a nie on, przypomniał sobie kod, wybrał następnie numer Erlenda i nacisnął zielony guzik. Fajerwerk wystrzelił w powietrze, rozsypując iskry i sycząc jak oszalały, złoty wąż lecący w czarne niebo, śmiała się histerycznie i klaskała w dłonie.

– Halo? Halo? Czy to Erlend? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszał donośne **taaaak!!!**

– Tutaj Margido! Szczęśliwego Nowego Roku, braciszku!

Erlend odpowiedział coś trudnego do rozszyfrowania.

– **Jestem** na randce!

W tym momencie przerwał rozmowę. Siedział, trzymając telefon w ręce. Podbiegła do niego, podskakując w zaspach świeżego śniegu.

– Chodź! Odlóż ten głupi telefon, przecież nie będziesz teraz z nikim rozmawiał! – zawołała, ciągnąc go za wolną rękę. – No chodź! Margido! Kupiłam całe rodzinne opakowanie fajerwerków!

To właśnie słowo go otrzeźwiło, przywróciło przytomność: rodzinne.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Selmo, teraz muszę już iść – rzekł, podnosząc się, udało mu się pozostać w tej pozycji. Co też on zrobił, co on na miłość boską zrobił. Zadzwonił do Erlenda.

– Oszalałeś? Oczywiście, że nie pójdziesz...

– Miałem telefon. Jest sytuacja kryzysowa w pracy – rzekł, starannie wypowiadając każde słowo.

– Ale ty piłeś! Nie możesz przecież... – szarpała go za płaszcz.

– Nie mogę prowadzić, ale mogę robić całą resztę.

Sam słyszał, że bełkocze. Ale ona też była pijana i na pewno tego nie słyszała.

– Muszę iść. Przepraszam. Było...

– Ale przecież my właśnie... Sądziłam, że chcesz...

– Zaraz chcesz – powiedział. – Tutaj chodzi o ważniejsze sprawy, człowiek leży martwy w łóżku, a ja muszę...

– Ale, Margido, przecież może się tym zająć ktoś inny?

– Nie. Tylko ja.

Szedł wzdłuż odśnieżonych brzegów drogi do samego domu, jakoś się udało. Wszedł do środka i skierował się prosto do lodówki, wyjął czerwone wino i wylał je do zlewu. Nagle przypomniała mu się historia człowieka siedzącego w celi pozbawionej czegokolwiek, który popełnił samobójstwo, połykając własny język.



Wciągnął język jak najgłębiej do przełyku. Prawdopodobnie musiał sobie pomagać palcami. Ale z tym trzeba było poczekać do jutra, najpierw musiał znaleźć łóżko, zanim zemdleje. Nie miał siły przedtem się rozebrać.



## ROZDZIAŁ 6

Posadziła je dość daleko od siebie w dużej poczekalni w podziemiach kliniki. Szczenięta szalały, żeby się do siebie dostać, a odgłosy popiskiwań, poszczekiwań oraz drapania pazurami o linoleum wypełniły pomieszczenie, prawie ją ogłuszając. Wiedziała, że wiele szkół tresury psów przeprowadzało pierwsze lekcje tylko z właścicielami bez zwierząt, ale wydawało jej się to bezcelowe.

Teraz, w połowie stycznia, zaczynał się kurs podstawowy dla szceniąt w wieku od czterech do sześciu miesięcy. Powoli robiło się spokojniej. Szczenię border collie leżało już z głową złożoną na łapach, do innych także powoli docierało, że ta bitwa została przegrana.

– Ważne jest, żeby pies nauczył się przebywać z innymi istotami bez bawienia się z nimi i bez dominacji. To dla zwierzęcia ważny trening społeczny. Uczy się, że musi zachowywać się spokojnie w czasie, gdy wokół niego dzieją się różne rzeczy, a ono nie jest w centrum wydarzeń. Założę się, że już w domu jest dostatecznie w centrum...

– Nie da się ukryć – powiedział mężczyzna z brodą, ubrany w klasyczny islandzki sweter, i się zaśmiał. Właściciel szczeniaka border collie.

Pozostali zachichotali, kiwając zgodnie głowami.

– Właśnie – rzekła. – To, co wasze psy przeżywają teraz, to konieczność odstąpienia od natychmiastowego zaspokojenia swoich potrzeb.

Powiedziała to ze śmiechem, tak aby zrozumieli, że rzuca takie psychologizujące, fachowe terminy głównie żartem, ale jednocześnie sygnalizowała wyraźnie, że wie, o czym mówi.

– Ten kurs tak naprawdę ma nauczyć wasze psy przyjmowania nauki. Gdy pies będzie starszy, nauczanie będzie bogatsze w treść. Oczywiście, o ile zapiszecie się na kolejne kursy. Ale na tym szkoleniu państwo jako właściciele psów mają zyskać dostatecznie dużo poczucia bezpieczeństwa i wiedzy, aby poznać właściwe sposoby postępowania. Wasz szczeniak żyje we własnym wszechświecie i jest całkowicie przekonany, że stanowi jego centrum. Przeprowadził się od swojej matki do was. Jego matka była dla niego surowa, wiele osób szokuje odkrycie, jak suka traktuje swoje nieposłuszne szczenięta. Ludzie tulą, głaszczą i niańczą szczeniaka. Nie chodzi o to, żebyście go bili, ale nie należy się obawiać ustanawiania granic. Wyraźne „nie”, kiedy trzeba, oraz czytelna pochwała, gdy szczenię zachowuje się właściwie albo przynajmniej nie robi niczego nieodpowiedniego. Jednak to nie wystarczy, jeśli równocześnie wasza córka woła: *nie bądź zły na Fido, on jest przecież taki mały i kochany! Chodź do mnie, Fido, biedactwo, tatuś jest dla ciebie taki niedobry...* Wiele osób zachichotało cicho, najwyraźniej dostrzegając w tym opisie coś znajomego.

– Szczeniak, który nie zna wyraźnie postawionych granic, stanie się psem pozbawionym poczucia bezpieczeństwa – kontynuowała. – Ale z drugiej strony szczenię bite czuje się niechciane w stadzie, czyli w rodzinie. To jeszcze gorzej. Pochwała, i tylko pochwała, gdy pies przejawia właściwe zachowanie, oto klucz do całej sprawy. Trzeba jednak nauczyć się tak

komunikować ze zwierzęciem, aby rozumiało, że to od ciebie ma pochodzić stosowna informacja.

– Jak, na Boga, mamy tego dokonać? – zapytała kobieta ze szczeniakiem rasy sznaucer olbrzym.

Torunn wiedziała, że jej pies jest samcem i że ta rodzina nigdy wcześniej nie miała psa. Zastanawiała się, co właściwie myślał sobie hodowca, sprzedając właścicielom nowicjuszkę samca rasy sznaucer olbrzym, jednej z najtrudniejszych ras. Będzie musiała szczególnie uważnie obserwować tę parę, inaczej pies na pewno zostanie uspiiony, jak tylko większa porcja testosteronu zacznie mu krążyć w żyłach.

– Zaczniemy od nauczania psa, żeby skupiał uwagę na naszej twarzy, na naszych oczach i na tym, co mówimy. Szczenięta koncentrują się najczęściej na ruchach rąk. Trochę to się różni u psów w zależności od rasy, na przykład ten border collie, na pewno już pan zauważył, że patrzy panu w oczy, gdy zastanawia się, czego pan od niego chce?

Mężczyzna w islandzkim swetrze przytaknął. Był przystojny. Ale miał obrączkę.

– Border collie jest jak pusty twardy dysk, wystarczy umieścić tam dane – powiedziała. – Z nimi jest wręcz tak, że mogą być sfrustrowane i stwarzać problemy, jeśli nie uczą się wystarczająco dużo. Zauważy pan, że łatwo jest z nim nawiązać kontakt i uczyć go różnych rzeczy, ale problemem może się stać coś innego. Tego psa nie można nie dostrzegać ani zaniedbać pod względem umysłowym. Wtedy oszaleje. Natomiast sznaucer musi nauczyć się, jak przyswajając wiedzę, i musi wiedzieć, kto tu rządzi. Mogę go wziąć na chwilę? Jak ma na imię?

– Nero – odparła kobieta.

Torunn wyprowadziła czarnego sznaucera przed inne szczenięta. Ciągnął za smycz i chciał wrócić do właścicielki, ale zaraz potem poddał się i zaczął obwąchiwać podłogę oraz stojące obok krzesło.

– Nero? – powiedziała.

Nie reagował, dalej wachając. Wyciągnęła z kieszeni smakołyk i podetknęła go szczeniakowi pod nos. Natychmiast się zainteresował, ale nie dała mu smakołyku. Zamiast tego podniosła rarytas powoli na wysokość twarzy, do chwili uzyskania kontaktu wzrokowego. Wtedy wyraźnie psa pochwaliła.

– Masz chęć na to? – zapytała. Szczeniak usiadł. Nie dlatego, że go tego nauczyła, wiedziała o tym, ale dlatego, że tak było mu najwygodniej patrzeć w górę. Znow go pochwaliła. Powoli schowała rękę ze smakołykiem za plecami. Szczenię śledziło jej dłoń spojrzeniem aż do zniknięcia przysmaku za plecami, wtedy szarpnęło smyczą i chciało za nią pójść. Drugą ręką przytrzymała je mocno.

– Nero?

Spotkał się z nią spojrzeniem i znow dobitnie go pochwaliła. Wtedy szybko dała mu smakołyk i zaraz wyjęła z kieszeni kolejny. W końcu zrozumiał, co miała na myśli. Patrząc jej w oczy, uzyskiwał smakołyk, gapiąc się na rękę – nie. Oddała szczenię właścicielce, a mały Nero rzucił się uszczęśliwiony na kolana swojej pani z taką radością, jakby właśnie wrócił z samotnej podróży przez Grenlandię.

– Należy to ćwiczenie powtarzać codziennie – rzekła. – Jeśli tylko skupicie na sobie wzrok psa, będzie słuchał tego, co do niego mówicie. Czy są już jakieś pytania?

– Czy to naprawdę może być aż tak proste? Że Cox nauczy się wszystkiego, jeśli tylko będzie mi patrzył w oczy? – zapytała rudowłosa kobieta ze szczeniakiem rasy airedale terrier, śpiącym grzecznie u jej stóp.

Uśmiechnęła się. – Takie proste i takie trudne. Jak pani zauważy, zajmie to nieco czasu. Wszystko trzeba powtarzać. A jeśli przez jakiś czas zaniedba się ćwiczenia, pies będzie znow

wodził wzrokiem za ręką. Są trzy sprawy, których musicie dobrze psa nauczyć, zanim będzie mógł pójść w nauce dalej: pierwsza to ćwiczenie, które właśnie pokazałam. Następne to trening przy jedzeniu oraz w trakcie zabawy, do nich zaraz dojdziemy. Po wyuczeniu psa tych trzech rzeczy mogę w zasadzie wam zagwarantować, że dalsza tresura stanie się sto razy łatwiejsza. No i cała rodzina musi być w to zaangażowana. Teraz jest właśnie ten czas, kiedy budujecie podstawy dobrej współpracy z psem przez resztę jego życia. Możecie spokojnie wprowadzić już teraz takie komendy, jak „siad” i „waruj”, ale nie skupiajcie się na tym – żeby pies nie poczuł, że w stresujący go sposób musi się wykazać.

– Jeżeli to faktycznie jest takie proste – rzekł młody człowiek z owczarkiem niemieckim, który leżał i żuł jego sznurówki – to jakim cudem w ogóle mamy psy z problemami?

– Może dlatego, że nie były na kursie? – powiedział mężczyzna w islandzkim swetrze i mrugnął do Torunn.

– Właśnie! – odparła, obdarzając go uśmiechem. – Teraz wyjaśnię wam, na czym polega ćwiczenie z jedzeniem i zabawą. Będziecie je wykonywać przez cały tydzień do naszego następnego spotkania. Zbierzecie przez ten czas wiele doświadczeń, z którymi będziemy dalej pracować, analizować je i zgłębiać. Jeśli chcecie przyprowadzić innych członków rodziny, zróbcie to. Ćwiczenie z jedzeniem jest niezwykle proste do wyjaśnienia, ale męczące w realizacji. Chodzi w nim generalnie o to, że gdy stawiacie przed psem na podłodze miskę pełną kuszącego jedła, to musi on nauczyć się trzymać od niej z daleka. Może siedzieć albo leżeć, ale nie może tknąć pokarmu, zanim nie powiecie „proszę”. Na początku będziecie musieli go wręcz przytrzymać do chwili wypowiedzenia tego magicznego słowa. Jednego dnia uda się poczekać przez dziesięć sekund, następnego dnia przez trzydzieści, zmieniajcie ten czas według własnej fantazji. Pies musi zrozumieć, że to ty jesteś szefem. Bez krzyków, bida i czegoś podobnego.

– Kurczę – rzekł człowiek w islandzkim swetrze. – To brzmi cholernie logicznie.

Uśmiechnęła się. Był naprawdę pociągający. Szkoda, że miał tę obrączkę.

– Tak, to cholernie logiczne. Gdy to ćwiczenie zostanie już opanowane, niech zmieniają się osoby w rodzinie podające psu jedzenie. Jeśli pies zupełnie nie przejmuje się pięciolatkiem, który właśnie postawił mu miskę na podłodze, i pędzi się najeść, państwo jako dorośli członkowie rodziny musicie się wtrącić i pomóc. Zwierzę musi słuchać również pięciolatka – powiedziała, patrząc jednocześnie wprost na właścicielkę Nero.

– Ćwiczenie z zabawą jest równie proste i równie ważne. Połóż się na podłodze i baw się ze szczeniakiem. Baw się naprawdę! Niech cię gryzie, odgryź się mu, jeśli nie przeszkadza ci sierść w ustach. Nagle podnieś się i idź do kuchni zrobić sobie kawę, i całkowicie ignoruj psa. Ani jednego dotknięcia, żadnego spojrzenia. Na początku będzie piszczał i narzekał, kłapał zębami i gryzł cię w nogawki, ale ignoruj go. To również powie jego głęboko zakorzenionym instynktom, kto tu rządzi.

Po długiej rundzie pytań i indywidualnej rozmowie z każdym z właścicieli pomachała im na pożegnanie i poszła schodami na górę do kliniki. Wieczorny niezapowiedziany ruch pacjentów powoli się kończył, po południu mieli otwarte od szóstej do ósmej, nadal jednak w poczekalni siedziały cztery osoby. Dwie z kotami w klatkach, jedna z dziwnym kundlem, który w napięciu zerkał na klatki, oraz młoda dziewczyna z małym psem rasy bichon frise, który najwyraźniej miał wszy albo roztocza uszne, bo drapał się w uszy bez przerwy.

W pokoju dla personelu było pusto, wszystkie trzy gabinety były zajęte. Kiedy Sigurd, jeden z trzech weterynarzy, wyszedł z pierwszego gabinetu, prowadząc za sobą utykającego psa ze śnieżnobiałym bandażem zawiniętym wokół przedniej łapy, weszła do środka, aby posprzątać przed przyjęciem następnego pacjenta. W zasadzie w te wieczory, gdy prowadziła kurs tresury, nie pracowała jako asystentka weterynarza, ale będąc współwłaścicielką kliniki, czuła się

odpowiedzialna za wszystko i pomagała tam, gdzie mogła. Szybko zdezynfekowała stół zabiegowy i usunęła krwawe, prowizoryczne bandaże, z którymi pies najwyraźniej przyszedł do lekarza, zabrała też narzędzia do sterylizacji. Kiedy z drugiego gabinetu wyszła Anja, niosąc znieczulonego kota, weszła również tam i wykonała te same czynności. Na stole leżała wielka, krwawa, drewniana drzazga, wyciągnięta gdzieś z kota, jak obstawiała – najpewniej z pyska.

Była zmęczona, pracowała przez cały dzień, a jej głowę wypełniały myśli, które praca pomagała utrzymać na dystans. Teraz zaczynały do niej napływać, miała obawy przed włączeniem komórki. Poszła do pokoju dla personelu i wstawiła kolejny dzbanek kawy, zapaliła świeczkę na stole i dorzuciła do świątecznego koszyka, który nadal tam stał, trochę pierniczek kupionych za pół ceny. Obudziła telefon do życia i czekała. '

Przyszły dwie informacje od matki, jedna w postaci SMS-a, druga w poczcie głosowej. SMS mówił, żeby sobie nie wyobrażał, że kiedykolwiek będzie mógł wrócić, skoro raz ją opuścił. Zadzwoiła na pocztę głosową i usłyszała tylko płacz i wściekłość, ale Torunn nie potrzebowała przyjeżdżać i jej pocieszać, jakoś sobie bez niego poradzi. Gdy zaczynała mówić dialektem północnonorweskim, Torunn zawsze uspokajała się nieco. To oznaczało, że jest bardziej zła niż zrozpaczona.

Matka i Gunnar pojechali na Barbados, aby świętować tam Boże Narodzenie i Nowy Rok i tam Gunnar spotkał jakąś inną kobietę. Przez trzydzieści trzy lata byli małżeństwem, od chwili gdy Torunn skończyła cztery lata, a teraz matka w wieku pięćdziesięciu pięciu lat została kobietą opuszczoną. O dziwo, nowa dama nie była żadną siksą, ale dorosłą, czterdziestodwuletnią panią. A zatem Gunnar nie załapał się na klasyczny scenariusz życiowy, pomyślała sobie Torunn po wysłuchaniu szczegółów całej historii pierwszego dnia po Nowym Roku, gdy tylko matka z Gunnarem wrócili do domu. On do wszystkiego się przyznał, spakował czyste ubrania do walizki i pojechał. To, że ta druga nie była siksą, czyniło sprawę jeszcze gorszą do zniesienia dla matki, bo nadawało temu poważniejszy charakter.

Jedno to obserwować, jak znika na horyzoncie ktoś, kto był twoim mężem przez trzydzieści trzy lata, ale matkę ogarniała też histeria na myśl, że opalała się spokojnie na plaży na Barbados, a on zdradzał ją tam tuż za jej plecami. Miał na to sporo czasu, biorąc pod uwagę fakt, że cierpiał na poważne uczulenie na słońce i w ciągu dnia musiał zajmować się czymś innym niż opalanie, a na takie wakacje jeździł wyłącznie ze względu na Cissi. Opowiadał oczywiście mnóstwo rzeczy o wszystkim, co widział na wypadach autobusowych i w muzeach, i każda z tych rzeczy musiała być kłamstwem, powiedziała matka. Sam Gunnar utrzymywał przed Torunn, że tę drugą panią poznał dopiero na pięć dni przed powrotem do domu. Torunn spotkała się z nim w kawiarni na okropnej, realistycznej rozmowie, powiedziała od razu jasno, że nie chce być żadnym pośrednikiem, ale Gunnar chciał jej tylko wyjaśnić, powiedział, i to wszystko, tak żeby źle sobie o nim nie myślała, to była miłość od pierwszego wejrzenia, nigdy w życiu nie przeżył czegoś takiego, nawet z Cissi, musiała mu w to uwierzyć. Był za stary, żeby zaprzepaścić taką szansę. Ma tyle samo lat co Cissi, pięćdziesiąt pięć lat to nie jest jeszcze starość. Chciał mieć jeszcze dziecko, powiedział, a Marie też tego chciała.

Marie. Miała już dwoje dorosłych dzieci z poprzedniego związku, ale pragnęła mieć jeszcze jedno. Torunn nie mogła wyjść z podziwu, jak wiele Gunnar i ta pani zdołali ustalić w tak krótkim czasie, i dała temu wyraz, na co Gunnar odpowiedział, że przecież to wcale nie jest pewne, czy to będzie ich dwoje, ale musiał mieć odwagę na to teraz postawić, a nie mógł tego robić, opierając się na kłamstwie, i dlatego musiał opuścić Cissi. Po trzydziestu trzech latach, odpowiedziała mu, i może za kilka miesięcy zostaniesz bez nikogo, jak tylko zakochanie

przejdzie. Ale takie ryzyko musiał podjąć, a Cissi w żadnym razie nie ucierpi finansowo, a może nawet przeciwnie, rozkwitnie i znajdzie sobie nowego mężczyznę, znów poczuje, jak to jest być zakochaną. Na to Torunn nic już nie odpowiedziała, zrozumiała, że to daremne, zobaczyła jego egoizm, ten maniackalny egoizm, który zawsze pojawiał się wraz z zakochaniem. Wiedziała z własnego doświadczenia, że zakochanie to taki rodzaj psychozy, gdy nic innego nie ma żadnego znaczenia. Zapytała, czy Gunnar powiedział Cissi, że planuje mieć dziecko z tą drugą kobietą, ale nie zrobił tego. Nie wolno d więc tego robić, powiedziała, jeszcze nie teraz, to by ją zniszczyło.

Matka przez wszystkie te lata, kiedy była płodna, opierała się możliwości posiadania dziecka, Torunn sądziła, że w dużej mierze przyczyną tego były wspomnienia, jak to jest być samotną matką przez cztery lata. Nie było to racjonalne, ale takie były fakty.

Od tamtej pory nie widziała się z nim, ale kilkakrotnie nocowała w domu u matki i dużo z nią rozmawiała. Wszystko było nazbyt świeże, czternaście dni, chyba jeszcze nie całkiem to do niej dotarło. Na szczęście miała serdeczne przyjaciółki, które czekały tylko w gotowości, aby wspólnie z nią i w jej imieniu wylewać pomyje na Gunnara. Torunn bardzo chętnie, żeby matka korzystała z pomocy tych przyjaciółek, zamiast wysłać do niej takie SMS-y lub zostawiać histeryczne wiadomości. Nie miała siły teraz do niej dzwonić, chętnie wypić kawę z kolegami z pracy i odpocząć chwilę przed powrotem do domu.

Trzeci SMS pochodził z nieznanego numeru. Otworzyła wiadomość. „Pojedziesz jutro ze mną na krótką przejażdżkę? Mogę na ciebie czekać na końcu Maridalen, przy Skar”.

To musiało być od Christera, którego poznała w sylwestra. Powożącemu psimi zaprzęgami. „Kto wie”, odpisała. Jego odpowiedź przyszła prawie natychmiast. „Ciepłe ubrania. Bądź tam o szóstej”. A potem uśmiechnięta buźka.

Nagle nie była już tak bardzo zmęczona. Sigurd wszedł i opadł na sofę.

– Świeżo zaparzona kawa? Właśnie tego potrzebuję. Ale tymi pierniczkami to już rzygam – dodał.

– Jadę jutro na wycieczkę psim zaprzęgiem!

– Boże, to takich ludzi też znasz? Sądziłem, że trzymasz się raczej tych bardziej cywilizowanych młodzieniaszków z miasta, którzy chcą, aby ich pies grzecznie chodził przy nodze na smyczy.

– Poznałam go w sylwestra. Byłam w domku z przyjaciółmi... Kilkoma „cywilizowanymi” przyjaciółmi... A on tam po prostu przyszedł, mieszka na stałe w pobliżu w lesie i usłyszał, że jest impreza.

– Lepiej trochę uważaj, Torunn – rzekł Sigurd i miał naprawdę poważny głos. Sigurd był w klinice najbliższą jej osobą i wszystkie beznadziejne wybory Torunn, jeśli chodzi o mężczyzn, zostały już z nim gruntownie przedyskutowane.

– Nie jesteśmy razem ani nic takiego – powiedziała. – On mnie po prostu zaprosił na wycieczkę.

– Tacy od zaprzęgów są całkiem popieprzeni i straszne macho – dodał.

– O tym to ty nic nie wiesz. A nawet jeśli on jest rąbnięty, to mnie to tylko kręci.

– Jeśli tylko się nie zakochasz. Dawaj no mi wreszcie tę kawę, a nie stój tam tylko z dzbankiem jak jakiś głupol.

W drodze do domu zadzwoniła do niego z samochodu i uzyskała dokładne wskazówki, gdzie ma zaparkować. Tam jest dobry zasięg telefoniczny, łatwo będzie się połączyć i znaleźć. Przyjedzie z siedmioma psami, będzie dla niej miejsce na saniach.

Podobał jej się jego głos. Nieco misiowaty facet, który nagle stanął w drzwiach domku ze śnieżnobiałą suką husky na rękach. Do tego wszystkiego niósł ją jak jakiegoś kanapowca. Pies miał uderzająco błękitne oczy.

– Usłyszałem tutaj taki psi jazgot, że zamierzałem już przyjechać z policją – powiedział wówczas.

– Z policją? – zawołali chórem Torunn i pozostali. Siedzieli wokół kominka z butelkami piwa i wędzonką z chlebem.

– Z nią, znaczy – rzekł, sadzając psa na podłodze. – Ale teraz widzę, że tu wszystko jest bardzo grzecznie. Nie widać nawet żadnego psa.

– Zamknęliśmy psy w kojcu z tyłu, a dwa w klatkach – powiedział Aslak, brat Margrete, która ich tutaj zaprosiła.

– A jakie to są psy? – zapytał mężczyzna, a jego biała suka obwąchiwała w tym czasie badawczo podłogę w domku. – Dwa boksery, jeden wyżeł i dwa mieszańce – odparł Aslak. – Może chciałbyś piwo?

– Chętnie. Jestem Christer. Suka nazywa się Lima. Waży tylko dwadzieścia dwa kilogramy, ale jest moją przewodniczką zaprzęgu i żebyście widzieli, jaki trzyma porządek w szeregach!

– Ach tak, wobec tego masz taką samą pracę jak Torunn! – powiedział Aslak i wyszczerzył zęby.

Otworzyła zamek w drzwiach, zrzuciła z siebie wszystkie ubrania i stanęła pod prysznicem. Zapach medykamentów i środków dezynfekujących długo pozostawał na skórze i we włosach. Zamknęła oczy, kierując twarz pod strumień wody, i pomyślała, że to może być dobre. Zrobić coś zupełnie innego niż zazwyczaj, innego niż powinna. Siedzieć w styczniowym mroku w saniach za siedmioma psami, z facetem, który kieruje tym wszystkim. Cieszyła się. Wiedziała, że dziś wieczorem znów musi zadzwonić do ojca, dowiedzieć się, jak on się ma w związku z pomocą domową, którą załatwił mu Margido. Kobieta miała przyjść jutro po raz pierwszy. No i matka, tam też musiała zadzwonić.

Jeszcze miesiąc temu oboje radzili sobie zupełnie bez jej pomocy, a teraz nagle po same uszy tonęła w odpowiedzialności.

Erlend nazywał to samozwańczą odpowiedzialnością, ale co z tego, skoro tak właśnie czuła.

Chciał, żeby Torunn z matką przyjechały do Kopenhagi, i miał zamiar dolewać Cissi tyle szampana, aż łuski opadłe wreszcie z oczu pozwolą jej zauważyć świat pełen wspaniałych facetów. Często gadała z Erlendem, zawsze była szczęśliwa, słysząc jego głos, zabawnie było posłuchać o wszystkim, czym się zajmował, żaden jego dzień nie był podobny do drugiego, teraz musiał zdobyć wypchane zwierzęta gospodarskie, koniecznie prawdziwe, nie miała wątpliwości, że uda mu się je zdobyć, potrzebował nawet głowy konia, najlepiej z kawałkiem szyi. Ciągle powracał do rozmowy, którą, jak twierdził, odbył z Margidem o godzinie dwunastej w noc sylwestrową, jednak Torunn do końca mu nie wierzyła. Margido był pijany, nazwał go braciszkiem i chwalił się, że jest na randce. Torunn miała nieodparte wrażenie, że to raczej Erlend był pijany. Ona sama nie zauważyła niczego odmiennego u Margida, rozmawiając z nim w sprawie pomocy domowej, która właśnie została sfinalizowana. Margido miał zapłacić swoją część, nie było to dużo.

Wytarła się dokładnie ręcznikiem i nasmarowała mleczkiem do ciała, poczuła, jak spływa na nią spokój. Chciała nalać sobie również kieliszek wina i zrobić grzanekę z serem. Taką, jaką najbardziej lubiła, przygotowaną w mikrofalówce, z całkiem roztopionym serem i szynką w środku. I nagle zdecydowała, że nie zadzwoni dziś wieczorem ani do matki, ani do ojca. Dorosły

mężczyzna musi jakoś, do licha, podjąć przyjęciu pomocy domowej bez moralnego wsparcia, a matka niech raczej wyje i zanosi się płaczem w towarzystwie swoich przyjaciółek. Dzisiaj wieczorem pozwoli sobie na wagary. Wagary od odpowiedzialności, w szlafroku i grubych skarpetach. Będzie jadła i piła wino, znajdzie coś odmószczającego w telewizji, położy się wcześnie i będzie się cieszyć na jutrzejszy wieczór. Będzie myśleć o Christerze i jego małej, dzielnej suce przewodniczce z błękitnymi oczami, no i o jego rękach.

To je właśnie zapamiętała najlepiej, szerokie i owłosione, silne. Ręce, a także jego zapach, gdy uścisnął ją krótko, zanim pojechał do siebie, po tym, jak przegadali długie godziny o psach, z nieśmiałościami tylko wtrętami na temat życia prywatnego, nie więcej jednak niż tyle, aby zrozumiała, iż mieszka samotnie w tym leśnym domku, i żeby on także zdał sobie sprawę, że jest wolna i z nikim niezwiązana. Musiał sporo się natrudzić, żeby zdobyć jej numer telefonu, pomyślała, a potem nagle przypomniała sobie, że pytał o jej nazwisko. A zatem już wtedy planował, że do niej zadzwoni.

Nic jednak o nim nie wiedziała ponad to, co powiedział jej Sigurd, że tacy ludzie są całkowicie świrnięci.

Tyle musiało jej na razie wystarczyć.





## ROZDZIAŁ 7

Nie chciał tego. Włożył czystą koszulę i zrezygnował ze swetra, bo nie był zupełnie czysty z przodu. Następnie usiadł w kuchni i czekał. Miała przyjechać o pierwszej. Ojciec siedział w salonie i czytał swoje odwieczne książki z czasów wojny, ze szkłem powiększającym trzymanym drżącą ręką tuż nad każdą fotografią.

Stukał palcami o szary stół z tworzywa udającego marmur i wyciągał szyję ponad nylonową zazdrostką, chociaż wiedział, że usłyszy samochód z wyprzedzeniem. Była klarowna pogoda, nieśmiałe styczniowe światło, śmiesznie niskie słońce, świecące bardziej dla ozdoby niż pożytku. Śnieg był twardy i błyszczący po wielokrotnych odwilżach i ponownym zamarzaniu. Nie, naprawdę tego nie chciał. Gdyby tylko mógł pójść do chlewu i uniknąć tego cyrku, ktoś jednak musiał przecież ją przyjąć.

Że też Margido uciekał się do tak obrzydliwych trików, nie sądził do tej pory, że był do tego zdolny. Żeby oczekiwać, że Tor zgodzi się na pomoc domową ze względu na Torunn. A zatem będą musieli teraz pogodzić się z obecnością w domu obcej osoby, która będzie im grzebała po kątach ze względu na Torunn. Na nią, która przebywała daleko stąd, w Oslo!

– Kurwa! – powiedział, uderzając płaską dłonią w stół.

Ojciec podskoczył na fotelu w salonie. – Już jest? – zapytał.

– Nie.

– O.

– Brzmi, jakbyś się cieszył. Może jesteś rozczarowany?

– Ależ skąd.

– Bo to nie będzie zabawne, jestem tego pewien! – rzekł Tor. – A teraz siedź cicho! Już dość się nagadałeś!

Z salonu nie dobiegł więcej żaden dźwięk. Tor podniósł się i podszedł do drzwi, przyjrzał się skulonej postaci w fotelu, szkłu powiększającemu, nastroszonym kosmykom tłustych, siwych włosów, okalających błyszczącą czaszkę.

– Mogłeś najpierw porozmawiać ze mną – powiedział. – Żebym nie musiał słuchać od Margida, że chcesz iść do domu opieki.

– Powiedziałem to Torunn. To ona miała...

– Torunn nie może przecież załatwić ci pobytu w domu opieki, siedząc w Oslo, tyle chyba jesteś w stanie pojąć! Poza tym nie jesteś chory! Jesteś po prostu stary, a to nie to samo.

– Nie biorę prysznic – szepnął ojciec.

– Nie bierzysz prysznic? To jeszcze nie jest powód, żeby dostać miejsce w domu opieki! Ale tylko dlatego, że marudziłeś, musimy teraz mieć pomoc domową. To wszystko twoja wina! Moglibyśmy radzić tu sobie sami całkiem dobrze, bez takich głupot!

Wetknął ręce w kieszenie i poszedł z powrotem do kuchni. Wziął głęboki oddech, gapiąc się na pusty karmnik na podwórzu, a potem ruszył z powrotem do drzwi.

– To nie jest wszystko twoja wina. Jestem tylko tak strasznie zmęczony samą myślą, że obcy ludzie będą nam się tutaj pałętać. Raz w tygodniu! Wystarczyłoby najwyżej raz w miesiącu.

Ojciec skinął głową na znak zgody, ale Tor wiedział, że każde jego skiniecie to kłamstwo, ojciec cieszył się z każdej wizyty, kwitł w czasie świąt, gdy dom był pełen ludzi, dostawał mocne drinki, mógł porozmawiać o wojnie i nawet miał zaróżowione policzki, zupełnie jak nie on. I nie dał rady powstrzymać się od wypowiedzenia rzeczy, które nigdy nie powinny były ujrzeć światła dziennego, prawd, których należało wszystkim oszczędzić.

Usłyszał samochód i wyjrzał na dwór. Taki sam samochód jak ten, który Duńczyk wynajął na lotnisku Vaemes, tylko biały. I z literami nadrukowanymi na drzwiach auta.

– Boże święty – powiedział.

– Co takiego? – zapytał ojciec.

– To jakaś siksa. Nie mogą chyba przysyłać nam kogoś takiego!

Wyobrażał sobie pełną dostojeństwa starszą kobietę. Wypakowała rzeczy z bagażnika, wiadro i szczotkę na kiju oraz białe, wypełnione po brzegi plastikowe torby. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy i dzinsy, czerwona skórzana kurtka. Przyglądał się jej, gdy tak szła obciążona w kierunku ganku, była już prawie na miejscu, kiedy wyszedł do korytarza, aby jej otworzyć.

– Witam! Jestem! Mam ze sobą trochę różnych rzeczy, wie pan, skoro pierwszy raz u was sprzątam, ale zostawię wszystko tutaj. Ponieważ potrzebujecie, żebym przychodziła, to zapewne nie zużyjecie sami tych rzeczy w międzyczasie.

Zaśmiała się głośno i nieco figlarnie, w jednym uchu miała dziurki z małymi srebrnymi kółeczkami, utorowała sobie drogę obok niego i poszła prosto do kuchni, tak jakby od wieków poruszała się po tym domu. Przyniesione rzeczy upuściła na podłogę, a potem podała mu rękę.

– Nazywam się Camilla Eriksen.

– Tor Neshov.

– A nie mieszkanie we dwóch?

– On siedzi w salonie.

Wpadła również i tam, wyciągnęła rękę do ojca, który właśnie usiłował wstać.

– Ależ proszę siedzieć! Nazywam się Camilla Eriksen, jedyne, co musi pan robić, gdy jestem tutaj, to podnieść nogi, kiedy będę odkurzała pod pana fotelem!

– Tormod Neshov – rzekł ojciec i uśmiechnął się. Na szczęście obie szczęki miał na miejscu.

– Tor i Tormod. Jak zabawnie. Ale na wsi pewnie często tak jest, że nazywa się kogoś po kimś innym. Te rośliny tam są martwe.

Wskazała palcem na parapet okienny.

– Niech sobie stoją – rzekł Tor.

– Mają tak stać? Nie można po prostu kupić nowych? A te wyrzucimy.

– Niech stoją.

– Ach, tak. Ale, k propos odkurzacza, muszę zobaczyć, czy ten, który macie, porządnie ciągnie. Bo jeżeli nie, to muszę też i to przywieźć.

– Stoi w korytarzu – powiedział Tor. – Pod schodami.

Ruszyła z powrotem i dalej na korytarz.

– Muszę sprawdzić siłę ssania – krzyknęła. – Gdzie jest kontakt?

– Za ubraniami, które tam wiszą.

– Ble, ależ one śmierdzą!

– Ma-pani ochotę na kawę? – zapytał, może to ją trochę uspokoi.

– No tak, przecież wy macie chlew. Zapomniałam. Tak, poproszę o filiżankę kawy. Czy tutaj można palić?

Zanim zdążył odpowiedzieć, odkurzacz został włączony. Dźwięk na przemian wznosił się i opadał, zupełnie jakby zatykała wlot rury, i zapewne właśnie tak było.

– Jest znakomity! – wykrzyknęła.

Poczuł gwałtowną ulgę, zupełnie jakby sam zdał egzamin. Odkurzacz był osiemnastoletnim Electroluxem. Napełnił dzbanek wrzątkiem, tak aby kawa szybciej była gotowa, gapiąc się jednocześnie na stertę na podłodze. Ona już była obok, przypominała mu pojawiającą się i znikającą łasicę.

– Jest pani bardzo młoda – rzekł.

– Oszczędzam pożyczkę na studia – odparła. – A moja matka umarła, gdy miałam trzynaście lat, było sporo młodszego rodzeństwa, więc musiałam nauczyć się sprzątać, to przecież jest dobra praca. Jednak są różne rzeczy, których mimo tego nie robię. Nie usłyszałam w końcu, czy wolno tu palić?

Znalazł spodek od kawy i postawił przed nią, zapaliła papierosa w taki sposób, jakby za sekundę groziła jej śmierć z powodu głodu nikotynowego, zaciągała się energicznie przez chwilę, a potem wypuściła dym z odchyloną głową i zadowolonym spojrzeniem skierowanym w sufit.

– A więc, jak mówiłam, są rzeczy, których nie robię.

– Aha..?-rzekł.

– Nie robię zakupów, nie chcę mieć do czynienia z pieniędzmi. Ale nie, żebym się bała pieniędzy, wręcz przeciwnie!

I znów ten histeryczny śmiech.

– To tylko tak na wszelki wypadek – kontynuowała. – Starzy ludzie często... Oczywiście **nie to** miałam na myśli. Ale oni często trzymają w domu dużo gotówki, przekładają ją z jednego schowka do drugiego i zaraz o tym zapominają, a potem pomoc domowa słyszy, że kogoś okradła. Dlatego wolę nie mieć z pieniędzmi nic do czynienia. To tylko moja **zasada**, której nie musicie brać do siebie.

Skinął poważnie głową, myśląc jednocześnie o tych dwudziestu tysiącach schowanych w szufladzie jego nocnego stolika. W gruncie rzeczy zostało ich już tylko piętnaście, po inseminacji, kastracji i szyciu oraz zapłaceniu kilku rachunków, w sprawie których przyszły ponaglenia.

– Ja sprzątam – rzekła z nagłą powagą, jakby chcąc podkreślić znaczenie tych słów.

Dzbanek już bulgotał, żeby tylko jak najszybciej się zagotował.

– Ach tak.

– Domy. Nie ludzi.

Znów się zaśmiała i powiedziała: – Jakby co, to musicie mieć dochodzącą pielęgniarkę.

Milcząco skinęła głową w stronę salonu.

– Jakoś się udaje póki co. Dajemy sobie niezłe radę – powiedział.

Gdyby ojciec wypowiedział teraz z salonu **jedno jedyne** słowo, wyrzuciłby go przez okno, prosto na zamarznęty, zlodowaciały śnieg. Ale jedyne, co usłyszał, to staranne odchrząkiwanie.

W końcu woda na kawę zagotowała się, wrzucił do środka ziarna i zamieszał widelcem, przytrzymał dzbanek pod kranem w zlewie i puścił na wierzch krótki strumyk lodowatej wody.

– Zaraz zobaczę, czy mamy coś do kawy – powiedział. – Zdaje się, że mamy...

– Nie dla mnie, ja się odchudzam.

No tak, te zwały tłuszczu. Nie ważyła więcej niż czterdzieści pięć kilo, był tego pewien, w końcu przyzwyczajony był do oceny wagi rzeźnej na oko.

– To może kostkę cukru.

– Chyba pan oszalał!

Zaniósł ojcu do salonu kubek z kawą oraz dwie kostki cukru i był bardzo zadowolony, że powodowany starym zwyczajem nie zamierzał on stamtąd wychodzić. Słyszał wszystko, co zostało powiedziane, to w zupełności wystarczy. Camilla Eriksen chciała wiedzieć, jakie zwierzęta trzymają w budynku gospodarczym, czy nie uważa, że to okropne, iż właściciele owiec chcą zabijać wilki, i czy jego zdaniem dorsz czuje ból.

– Dorsz?

– No, ryba!

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł i demonstracyjnie popatrzył na zegar na ścianie.

– Chyba muszę zaczynać! – zawołała, uderzając się w opięte dżinsami uda i uśmiechając się szeroko. Poczuł taką ulgę, że zapytał:

– A co pani studiuje?

– Robię licencjat z prawa. Ile litrów ma tutaj bojler?

O tej porze dnia nie miał nic do roboty w chlewie, mimo to poszedł tam, gdy tylko zaczęła. Bardzo spieszył się z zamknięciem za sobą drzwi.

Świnie leżały i drzemały. Zaczął czyścić boksy prosiąt, rzuciły mu obojętne spojrzenia i spały dalej, czując intuicyjnie z rytmu dobowego, że to nie pora na jedzenie.

Zwilżył wodą kawałek papieru oderwany od worka po paszy i oczyścił z pajęczyn świetlik w pomieszczeniu gospodarczym, po czym wyjrzał stamtąd prosto na ganek. Szmaciany dywanik z kuchni leżał wyrzucony na podwórze, czy to rzeczywiście było konieczne, przecież podłoga w kuchni była myta na święta. Nagle przyszło mu do głowy, że nie powiedziała, gdzie zamierza sprzątać, więc pospiesznie wypadł z chlewu i przebiegł przez podwórko.

– Proszę posłuchać – rzekł, widząc ją, jak niesie zwinięte chodniki z salonu.

– Camilla – odpowiedziała.

Zdjęła swoją czerwoną skórzaną kurtkę, a na ubranie naciągnęła T-shirt z wizerunkiem męskiej głowy z przodu. Pod spodem czerwonymi literami napisane było „Robbie”.

– Nie musi pani sprzątać na górze w sypialniach, wystarczy umyć łazienkę.

– Okej. Nie ma problemu. Będę sprzątać tylko tam, gdzie życzyście sobie mieć czysto.

– Chciałem tylko to powiedzieć.

Pospiesznymi krokami oddalił się ponownie przez podwórko do chlewu i tam się zamknął. Teraz zamierzał obudzić Siri, nawet jeśli miałyby być bardzo zła, że nie ma dla niej niczego dobrego w kieszeniach.

W połowie obiadu przyszedł Margido. Biały citroen kombi zajechał na podwórko w czasie, gdy Tor i ojciec siedzieli przy kuchennym stole i jedli smażone parówki położone na chlebie razowym. Termin ważności parówek upłynął trzy dni temu, ale nic nie śmierdziało, gdy wrzucił je na patelnię. Do posiłku pili zimną wodę, a na brzegu talerza każdy z nich miał po odrobinie keczupu. Jedzenie było smaczne, a w kuchni pachniało mydłem i amoniakiem.

– Margido – odezwał się ojciec.

– Nie jestem ślepy.

To naprawdę było zbyt wiele, brakowało tylko, żeby Torunn zadzwoniła i zapytała, jak przeżyli fakt, że ktoś u nich posprzątał.

Margido otworzył sobie sam.

– Zrobiłem akurat dla nas dwóch – rzekł Tor. – Więc nic już nie zostało.

– Jadłem w pracy – powiedział Margido. – Jak tam poszło?

– Jest czysto – odparł Tor. Ojciec nie odezwał się ani słowem, kroił chleb na małe kosteczki i podnosił je do ust. Radio nastawione było na popołudniowy program w NRK<sup>2</sup> dla południowego Trøndelagu, właśnie śpiewały grubasy z Namsos. Margido odsunął krzesło od stołu na środek kuchni i usiadł na nim. Wygląda na zmęczonego, pomyślał Tor, na zmęczonego i poszarzałego, pewnie tak musi być, jak człowiek pracuje z nieboszczykami przez cały dzień. Ale w tym momencie przypomniał sobie o matce, o pogrzebie, i zrobiło mu się głupio.

– Nastaw czajnik – powiedział. – Jeszcze trochę zostało. Dolej trochę wody.

Margido podniósł się i zrobił to, o co go Tor poprosił. To też było dziwne, żeby Margido przyjeżdżał tutaj i robił to, o co został poproszony.

– Idę zaraz do chlewu – rzekł.

– Wiem o tym – odparł Margido. – Byłem akurat w pobliżu i chciałem tylko zorientować się, jak poszło.

Na to już odpowiedział wcześniej, więc nic nie musiał dodawać.

– Czy Torunn coś mówiła? Bo chyba rozmawiasz z Torunn? – zapytał Margido, nadal stojąc tyłem przy kuchence, co on takiego robił? Stał tam i gapił się w czeluść czajnika?

– Czy mówiła? Niby o czym? Tutaj marudzi się tylko w sprawie domu opieki i pomocy domowej, i nie wiadomo, co jeszcze.

Ojciec odchrząknął. – Dziękuję za jedzenie.

– Proszę bardzo! – odparł Tor.

– To ja idę pooglądać trochę telewizję.

– Zrób tak – powiedział Tor. – A Margido za chwilę poda d kawę.

Ojciec podniósł się i poczłapał do salonu, po dłuższych wysiłkach włączył jakoś telewizor, głośność była nastawiona na pełny regulator, grzebał dalej przy pokrętkach, usiłując ściszyć dźwięk, telewizor był stary i nie miał pilota.

– Nie, nic takiego – rzekł Margido.

– Co masz na myśli, co takiego Torunn miałyby powiedzieć? – zapytał Tor.

– Jeśli rozmawiała z Erlendem.

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – powiedział Tor. – Co masz na myśli?

Margido odwrócił się w jego stronę, opierając się z tyłu rękami o brzeg kuchenki. Stał jakoś dziwnie, zupełnie jak nie on, jakby do czegoś się szykował, jego twarz sprawiała wrażenie obcej, wypełniało ją coś na kształt intensywnego **wyjaśnienia**. Było to jedyne słowo, które przyszło Torowi do głowy, gdy w kilka godzin później leżał w łóżku, myśląc o tym wszystkim.

– Ja... – zaczął Margido.

– Tak?

– Straciłem na chwilę z oczu Chrystusa. Nikt z was o tym nie wiedział. Teraz On do mnie powrócił.

– I o tym właśnie opowiadałeś Erlendowi? **Ze wszystkich ludzi na świecie...**

– Nie! Ale...

– Idę do chlewu. Mów, o co ci chodzi.

– Zbłądziłem.

– W jaki sposób? – zapytał Tor. Margido nigdy nie błędził, niby kiedy miał mieć ku temu sposobność?

---

<sup>2</sup> NRK - skrót nazwy Norsk Rikskringkasting AS. NRK to państwowa spółka radiowo-telewizyjna w Norwegii (przyp. tłum.).

Margido odwrócił się w stronę czajnika. – Zbłądziłem – wyszeptał. – Pozwoliłem się zwieść samemu Szatanowi. Pozwoliłem się zwieść na pokuszenie.

– A niby kiedy się to zdarzyło? I co takiego zrobiłeś?

– Chciałem tylko to powiedzieć. Nie chcę o niczym opowiadać. I sędzę, że to sam Bóg wystawił mnie na próbę. Nie sprawdziłem się. Muszę teraz błagać Go o przebaczenie. Jezus musi mnie przyjąć z powrotem.

– Zapewne tak zrobi. W końcu czy nie powiesił się na krzyżu za **wszystkich** grzeszników tego świata? Czy nie o to w tym wszystkim chodziło?

– Tor! Nie możesz mówić o tym tak, jakby... jakby to było jakieś błahe, codzienne zdarzenie!

– Jestem zmęczony.

– Sądziś, że to ty masz najciężej, ale Chrystus zawsze będzie czekał na ciebie, Tor. Na ciebie i na mnie też. Modlę się za nas wszystkich.

Tor podniósł się. – Nie rozumiem chyba, o czym mówisz. Ja nie zbłądziłem, więc módl się sam za siebie. A teraz muszę iść do chlewu. Kawę wypijesz sobie sam. Albo razem z... twoim ojcem.

Teraz świnię wiedziały już, co za chwilę nastąpi, teraz wszystko się zgadzało. Ciemność za oknami chlewu, jego zaabsorbowanie, szeroko otwarte drzwi do pomieszczenia z paszą, jego buty stukające głośno o mokrą, betonową podłogę.

– Wszyscy dostaną! – zawołał tak, jak to miał w zwyczaju. Prosięta podbiegały w jego stronę, maciory chrząkały, wydając bulgoczące dźwięki, nawet najmniejsze, nieodstawione jeszcze prosięta zaczęły biegać w kółko, aby też wziąć udział w ogólnym podnieceniu. Wszyscy się cieszyli, tylko nie on.

Wszystko stało się takie niespokojne! Czyż, do cholery, nie można było oczekiwać, że wkrótce w tym gospodarstwie zapanuje znów trochę spokoju? Jeżeli Torunn zadzwoni po jego powrocie z chlewu, kiedy jedyne, czego będzie chciał, to wypić letnią kawę i odpocząć, to na pewno dokładnie powie jej, co też takiego tutaj rozpełtała.



## ROZDZIAŁ 8

W zasadzie to chciał też uwzględnić kota, ale temu szef marketingu Poulsen stanowczo się sprzeciwił. Nie miał zamiaru oglądać przed swoimi wystawami płaczących małych dzieci. A jeśli chodzi o myszy, to musiały być brązowe, podobne do dzikich, jak je nazywał, a nie żadne białe. W kwestii wypchanych zwierząt obowiązują pewne zasady etyczne, powiedział Poulsen.

Erlend wziął sobie z biura dwoje pomocników, którzy pracowali dzień i noc. Cała wystawa została zbudowana na dodatkowej platformie, poruszającej się na małych, gumowych kółkach. Gdy wszystko będzie gotowe, wystarczy przepchnąć wystawę do okna. Obecnie stała przykryta szarym papierem. Zdążył już doprowadzić taksydermistę do białej gorączki, żądając nowych oczu dla zwierząt. Te, które początkowo zostały użyte u owiec i kozy, a także w wypadku głowy konia, przypominały mu stare filmiki Ivo Caprina.

Wystawa była genialna, wierna kopia fotografii, którą znalazł w książce o życiu na wsi na przełomie poprzednich stuleci, siedział całymi dniami w „Czarnym Diamencie” i przeglądał książki, które nieszczęsny bibliotekarz znosił mu cierpliwie w nadziei, że znajdzie to, czego szuka. W końcu przerzucając kolejne strony, znalazł. Belki, podłoga, światło wpadające przez drzwi z grubych desek, baloty słomy, narzędzia, koń wystawiający głowę z boksu. Inne zwierzęta dokomponował sam. Uwiązana koza z bystrymi oczami wyzierającymi spod ciemnej grzywki oraz owca z dwójką jagniąt. No i myszy. Pięć brązowych myszy, tak ustawionych względem siebie, że wyglądało, jakby szaleńczo się bawiły, w kącie za balotem słomy, gdzie Benettonowe dzieci nie mogły ich zobaczyć. Dzieci były naturalnie manekinami i nie zostały wypchane, małe lalki wystawowe ubrane w ciuchy marki United Colors of Benetton. Nie ograniczały się bynajmniej do stania i prezentowania swoich ubrań. Jedno trzymało kankę z mlekiem, drugie łopatę, trzecie poklepywało kożę, a kolejne stało z ręką wyciągniętą w stronę konia. Mała dziewczynka siedziała na podłodze, trzymając w ustach źdźbło słomy, które zostało przyklejone klejem szybkoschnącym.

Kot leżący po drugiej stronie balotu siana, przycajony i nadśluchujący myszy, stanowiłby kropkę nad „i”. Jednak najlepsza ze wszystkiego była głowa konia, ten wyraz pyska, jaki w końcu udało się uzyskać taksydermiście, zupełnie jakby koń tam stał i przeżuwał coś pocziwie nad głowami dzieci! Poulsen doznał ekstazy i pełni szczęścia, widząc, jak wystawa przybiera ostateczną formę. Wtedy asystenci według dokładnych wskazówek Erlenda złożyli już do końca wszystkie ściany i podłogę. Materiały pochodziły z likwidowanego gospodarstwa, były autentyczne: stare, pocięte, pełne zadrapań i dziurek po komikach. Ustawili baloty słomy i rozrzučili jej resztki na podłodze, na ścianie powiesili zabytkową uprzęż. Rozmieszczeniem oświetlenia Erlend zajął się osobiście – stworzenie złudzenia promieni słonecznych wpadających przez cienkie, drewniane drzwi to była cholerna praca zważywszy, że cała wystawa musiała być doskonale oświetlona.

- Ubrania muszą znajdować się w centrum uwagi – rzekł Poulsen.
- Nie masz racji, mój dobry człowieku – odparł Erlend. – W centrum uwagi musi być totalne doznanie nostalgicznego szczęścia.
- Ale też nie musi być tak **całkiem** á la Laura Ashley – powiedział Poulsen.
- O to nie musisz się martwić. Ta wystawa wzbudzi zainteresowanie, a w związku z tym ubrania także.
- Żebyśmy tylko nie mieli potem na karku towarzystwa opieki nad zwierzętami.
- Mamy pozałatwiane wszystkie zezwolenia, biuro się tym zajęło. Zwierzęta zostały kupione i za nie zapłacono, a następnie delikatnie i z pełnym szacunkiem pozbawiono je żyda. A rolnik wiedział, do czego mają zostać użyte. Gdybyśmy tylko jeszcze mieli kota...
- *In your dreams* – rzekł Poulsen.
- Tam jest bardzo mało kotów – odpowiedział Erlend.
- Żeby tylko nikt nie rozpoznał konia. Skąd on jest?
- To kłusak z południowej Jutlandii, który złamał nogę podczas wyścigów. Miał czterech właścicieli i wszyscy na nim sowicie zarobili. Jeśli któryś z nich wybuchnie spazmatycznym płaczem przed wystawą, to tylko dlatego, że tracąc tego konia, stracił dojną krowę, dosłownie rzecz ujmując.

Tego przedpołudnia, gdy szary papier został w końcu zdjęty, a szybę dokładnie wypucowano, Erlend z największym zadowoleniem i w wielkim podnieceniu dyrygował wszystkimi osobami, które wstawiały wystawę na miejsce.

– Uwaga na kable! Nie tak szybko, koza może się przewrócić! Kiedy w końcu wyszedł na ulicę, aby popatrzeć, jego oczy napęliły się łzami szczęścia. Doskonałość. To był naprawdę majstersztyk.

– Zaczynajcie! – powiedział do jednego z asystentów. – Pstrykajcie fotki!

Wszystkie nowe wystawy musiały zostać dokładnie sfotografowane do katalogu reklamowego biura.

– Gratulacje! – zawołał Poulsen, waląc go serdecznie w ramię.

– To ja gratuluję – powiedział Erlend. – Posiadania nowej, fantastycznej wystawy. Fakturę przyślemy za tydzień.

– Mam nadzieję, że nie powyżej ustalonych kosztów.

– Zobaczymy. Jeśli okaże się za drogo, to mogę po prostu przyjść i zabrać... powiedzmy, konia.

– Nie! Oszalałeś! Mam ochotę na przejażdżkę konną od samego patrzenia na niego. A nawet nie umiem jeździć konno. Na pewno dogadamy się co do kwoty końcowej.

– Jeszcze jedna sprawa. Gdyby inne sklepy Benettona chciały powielić ten pomysł, to prawa autorskie są nasze. Oczywiście mogą wykorzystać tę ideę, ale to będzie kosztować.

– Dużo?

– Na pewno dogadamy się co do kwoty końcowej – rzekł Erlend.

Ponieważ otrzymywał wynagrodzenie od dzieła, czuł więc teraz nieprzepartą chęć świętowania. Jak najszybciej. Zabrał ze sobą Poulsena i pomocników do najbliższej piwniczki. Asystenci byli parą kochanków z Fionii, szybcy w pojmowaniu i działaniu, a przy tym dokładni i pełni wprawy. Pracowali za zwykłe stałe wynagrodzenie, a w takich wypadkach koniecznie trzeba było doceniać wkład pracy.

Zamówił śniadanie dla wszystkich. **Składanka** z sadzonego jajka, buraczków i chleba razowego, do tego piwo i kieliszek mocnego Aalborga.



– Ani jeden zestresowany kopenhaski rodzic małego dziecka nie zdoła minąć tej wystawy bez pochorowania się od wyrzutów sumienia z powodu całego tego wiejskiego spokoju i harmonii, jakich pozbawia swoje dziecko – powiedział Erlend, z patosem podnosząc szklankę piwa. – To czysta psychologia, dać im możliwość osiągnięcia czegoś niemożliwego, i natychmiast rzucać się na to zachłannie.

– Ta wystawa jest jak marzenie – rzekł Poulsen.

– Właśnie. Marzenie, które można kupić – odparł Erlend. – Wasze zdrowie!

Wypili, obcierając górne wargi z piany.

– Jesteś genialny – powiedział Poulsen.

– Tak, to prawda – dodała Agnete, kobieca część pary kochanków.

– Niewiarygodnie dużo się od ciebie uczymy – rzekła część męska, o imieniu Oskar.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Erlend. – Teraz należy głośno wyjaśnić, że bez was dwojga ta wystawa nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. Pracowaliście jak niewolnicy. Dziękuję. Jutro w biurze będzie czekała na każdego z was skrzynka **najlepszego** czerwonego wina. I możecie wziąć sobie dwa dni wolnego.

– Czy to prawda? – zapytał Oskar, który w wieku dwudziestu pięciu lat zaczynał już łysieć. Powinien zgolić te resztki, pomyślał Erlend, i wtedy będzie śliczny.

– Jasne, że to prawda! Zaangażowanie się opłaca. Spędźcie parę dni w łóżku. Ze skrzynkami. To moja skromna rada. Jeszcze raz wasze zdrowie!

W stanie zawodowej euforii, w jakim się obecnie znajdował, najchętniej opowiedziałby im o wszystkich swoich nowych pomysłach na kolejne wystawy, ale nie miał odwagi. Poulsen mógłby je przekazać dalej i lada chwila zostałyby skradzione i zrealizowane przez kogoś innego. Bo on zamierzał nadal myśleć **obrazami**, a nie tylko skupiać się na produktach eksponowanych na wystawie. Chciał wywoływać przeżycia, które byłyby dla oglądającego źródłem wielu skojarzeń.

Tuż przed świętami przygotowywał wystawę dla jubilera, gdzie biżuteria została oczywiście pięknie pokazana, ale na dole, w rogu okna, stworzył dodatkowo miniaturowy obraz w postaci pustego pudełka po pierścionku, wokół którego znajdował się rozdarty papier ozdobny, dwa do połowy opróżnione kieliszki z szampanem oraz rzucone niedbale damskie majteczki. W taki sposób zasugerował wdzięczność kobiety za luksusowy prezent. Było to dość bezczelne, ale właścicielowi sklepu podobał się ten pomysł. Wkrótce będą potrzebowali nowej wystawy i jeśli tylko uda mu się przekonać właściciela do swojej idei... Był pewien, że wówczas wyląduje w tabloidzie „BT” – Krumme na pewno przedłoży to swojej redakcji mimo tego, że byli parą.

Dwóch mężczyzn, oczywiście w postaci manekinów, miało siedzieć obok siebie przy stole kuchennym, ubrani w dżinsy i białe T-shirty, z okularami przeciwsłonecznymi podniesionymi nad czołem. Trzeba ich wystylizować trochę topornie, pomyślał. Kolczyki w uszach, tatuaże, brudne adidas. Na stole zamierzał postawić butelkę whisky i szklanki, pełną popielniczkę, jeden będzie trzymał między palcami papierosa. Oglądającemu natychmiast przyjdzie do głowy, że to jest sytuacja, w której dwóch złodziei dzieli się łupami. Na ścianie za nimi zwisa podarta roleta, a na stole wszędzie leży porozrzucana biżuteria, kilka sztuk wystaje też z pasiastej torby na podłodze. Żeby wprowadzić element humoru, chciał dodać biało-czarne pasyki więzienne porzucone gdzieś w rogu, tak jak na filmach amerykańskich. Prawdopodobnie będzie zmuszony sam kupić farbę do tkanin i namalować te czarne paski na białej bieliźnie. A może jeszcze kula z łańcuchem, świeżo odpilowanym? Ci więźniowie właśnie uciekli z kolonii karnej! A oświetlenie będzie musiało być doskonałe, mężczyźni usiądą w cieniu, a idealne światło punktowe oświetli biżuterię i zegarki. Boże, żeby tylko udało mu się namówić na to właściciela. To będzie wyrefinowane, kryminalne, sensacyjne. Ale nie mógł o tym opowiadać teraz, zamiast tego rzucił

na tapetę dyskusję, jaka obecnie toczyła się w Nowym Jorku. Agnete i Oskar wiedzieli, o co chodzi, ale Poulsen nie.

– Moralistycznie nastawione ugrupowania bojkotują sklep, ponieważ wystawa była zbyt śmiała – rzekł Erlend. – Pokazali na niej prawie **nagie** manekiny, pomyślcie tylko, u samego Henriego Bendela.

– Bojkot? Przecież wtedy traci się pieniądze – powiedział Poulsen.

– Obroty im **wzrosły** – wtrąciła Agnete. – Bojkot to znakomity PR!

– W Nowym Jorku często przekraczają pewne granice, nawet H&M pokazuje zabawki seksualne na swoich wystawach z bielizną. Szyby wystawowe są zaparowane od sapania klientów... I każdy przechodzący człowiek ma na ten temat swoje zdanie i głośno je wyraża, w Kopenhadze aż tak to się zazwyczaj nie odbywa.

– Amerykanie są purytanami, a my nie – rzekł Poulsen, dopijając piwo. Erlend dał znak kelnerowi, że prosi o następne.

– Tak, tutaj nikogo by to nie zdziwiło – powiedział Erlend. – W USA też zdarzają się odważne sex shopy, ale żeby ci najwięksi, Saks Fifth Avenue, H&M, Bendel i Victoria's Secret mieli odwagę na takie rzeczy, to coś zupełnie nowego. Ta dziewczyna, która zrobiła pierwszą erotyczną wystawę dla H&M, była także stylistką dla „Seks i życie singla”, więc ma doświadczenie w przekraczaniu granic i wymyślaniu śmiałych koncepcji.

– Co wobec tego byłoby szokujące w Kopenhadze? – zapytał Oskar.

– Wiem to bardzo dokładnie – powiedział Erlend. – Gdyby jeden z eleganckich domów mody dla mężczyzn, dajmy na to z okolic deptaka Strøget, ubrał dwa męskie manekiny w garnitury od Calvina Kleina i pozwolił im się całować. Jeden mógłby siedzieć z lekko rozchyłonymi nogami na fotelu, drugi stałby zwrócony do nas plecami, schylając się nad siedzącym mężczyzną, trzymałby się poręczy fotela, z głową lekko przekrzywioną na bok. Widzimy, co on robi, chociaż to tylko manekiny. Prawdziwy, głęboki francuski pocałunek.

– To wzbudziłoby zgorszenie – rzekł Poulsen.

– Właśnie – odparł Erlend. – To stałoby się prawdziwym magnesem dla klientów i zwiększyłoby sprzedaż zarówno w tym sklepie, jak i całej marki Cabana Kleina. Tylko że żaden właściciel sklepu się na to nie odważy.

– Tego możesz być całkowicie pewien. Cieszę się, że sprzedaję ubrania dla dzieci – powiedział Poulsen.

– Dzieci mają tyle pomysłów – rzekł Erlend. – W stodole. Może na jakimś balocie słomy, gdy bawią się w lekarza i pacjenta. W ubraniu albo **częściowo bez** ubrania firmy United Colors of Benetton.

Poulsen spojrzał na niego z przerażeniem.

– Miałbyś odwagę? – zapytał.

– **Ja** tak, ale **ty** nie – odpowiedział Erlend.

Wrócił do domu na piechotę, chciał wciągnąć w płuca trochę świeżego powietrza. Przy pracy zawsze za dużo palił. Czuł w środku intensywne szczęście, aż do przesiąkniętych nikotyną koniuszków płuc. Jak on kochał tę pracę, jak bardzo kochał całe swoje **życie!** Nie chciałby w nim zmienić ani jednej, najmniejszej rzeczy! No, może kominek w domu, kosztowny gazowy kominek z szybą. Ale niedawno przeczytał o ostatnim krzyku mody: kominku hologramowym! Perfekcyjne ognisko płonące iluzorycznym płomieniem, można było wetknąć w nie dłoń i się nie sparzyć, bo płomień wydobywał się z ramy za otworem. Gdy się przed nim siedziało, nikt nie był w stanie zorientować się, na czym polega różnica. Bez brudu, bez popiołu, i o wiele ciekawsze

niż kominek gazowy. Zamierzał podjąć ten temat bardzo ostrożnie w rozmowie z Krumme, kominek hologramowy kosztował niewyobrażalną fortunę.

Sprawdził komórkę, włączoną na tryb cichy, trzy SMS-y od Torunn i jeden od Krumme, najpierw przeczytał właśnie ten. Krumme prawdopodobnie się spóźni, ale obiecał przywieźć coś dobrego do jedzenia. Erlendowi bardzo to pasowało, mógł teraz pójść prosto do domu i znaleźć łóżko, zajmowali się wystawą do drugiej w nocy i później znów od siódmej rano. Jedno piwo i wódeczka, wypite wspólnie z Poulsenem i pomocnikami, doprowadziły go do strasznej senności, miał już przed oczami wzór na kołdrze, białe półksiężycy na czarnym tle.

Odczytał SMS-y od Torunn z mieszaniną zazdrości i niepokoju. Popadała w głęboki i totalny stan zakochania względem tego typu, którego poznała w sylwestra i z którym umówiła się po raz pierwszy na randkę dwa tygodnie temu. Troska Erlenda wynikała z faktu, że nie wiedział, jak Torunn daje sobie radę w tych sprawach z mężczyznami, całość jednak wydawała się taka **gwałtowna**, jakoś niepodobna do tej Torunn, którą poznał. A ona otwierała się przed nim całkowicie, wysyłała SMS-y, dzwoniła i zwierzała mu się na temat tego Christera, syna dzikiej puszczy. Prawie już nie wspominała o Torze. Niewiele słyszał również ostatnio o jej matce, wzgardzonej pani z Røa. Tak więc w zasadzie powinien czuć ulgę i być zadowolony w jej imieniu. Ale to co teraz... W taki sposób? Nie, czuł zaniepokojenie. Akurat pisała, że Christer przyszedł do niej do pracy tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie pracuje, chciał wiedzieć, w jakim znajduje się otoczeniu, gdy rozmawiają ze sobą przez telefon. A w drugim SMS-ie napisane było, całkiem po prostu: **On jest idealny. Dla mnie.**

Z drugiej strony, jeśli odłożyć na bok wszelkie zmartwienia, to był do szaleństwa zazdrosny. Wspaniały facet, który w styczniową noc zabiera cię z parkingu wraz ze swoimi siedmioma polarnymi psami, wiezie cię przez otwarty zimowy krajobraz pod rozgwieżdżonym niebem, przyświecając sobie czołówką, i rozkłada w śniegu skórę renifera, a na niej serwuje cytrynowe bułeczki i gorące kakao z termosu...

Oczywiście skończyłoby się to kompletnym szaleństwem erotycznym, tego by tylko brakowało. Na skórze renifera... Tego jeszcze nie próbował. Czy one nie mają trochę ostrego i zwierzęcego zapachu? Oczami wyobraźni zobaczył siebie i Krumme zagrzebanych w skórach, nad nimi wędrujący Wielki Wóz, a w oddali wyjące wilki. Och, nie, chyba lepsze jest jacuzzi i podgrzewana podłoga, pomyślał i wysłał do niej SMS-a: Baw się dobrze i *take care*. Buziaki i uściski od wujka, który właśnie odsłonił jedną ze swoich rewolucyjnych wystaw. Benetton rządzi! ;-D

Samego uczucia zakochania mu nie brakowało. Oczywiście podniecali go inni mężczyźni, ale tylko na poziomie fizycznym, wystarczyło wtedy znaleźć najbliższą toaletę. Samotnie.

Wiele par gejowskich dawało sobie *carte blanche* na szybkie numerki z przypadkowymi mężczyznami, spotkanymi w barze czy w saunie, nie traktując tego jako niewierność. Jego i Krumme to nie dotyczyło. Nikt, po prostu **nikt** nie miał prawa poczuć na czole ciepła jędrnego, okrągłego brzuszka Krumme, ani tym bardziej zaznać tego szczęścia, jakim było przytulenie do niego zalanego łzami policzka. A ceną, jaką musiał zapłacić za żądanie takiej wyłączności, było oczywiście to, że nikt obcy nie miał prawa dobierać się do jego własnego brzuszka.

Otworzył drzwi i wszedł do środka, rozebrał się, rzucając ubrania prosto na podłogę w łazience, wziął prysznic i poszedł nagi do łóżka, nie odsłuchując nawet automatycznej sekretarki. Sypialnia była zimna i przyjemna. Krumme powiedziała by, że jest tylko zimna, nie znosił spania przy otwartym oknie, ale zaakceptował jakoś norweskie zwyczaje Erlenda. Poza tym mieli podwójną kołdrę i ogrzewali się nawzajem swoim ciepłem. Ale akurat teraz był zbyt zmęczony,

żeby tęsknić za ciepłem ciała Krumme. Albo za jego chrapaniem. Kochał chrapanie Krumme, przypominało ono dźwięk wydawany przez lecące gęsi, bulgoczący jednostajnie, dzięki któremu spał jak kamień.

Zbudził się gwałtownie od mocnego uścisku ręki.

– Krumme, jesteś już, byłem bardzo zmęczony, więc poszedłem się położyć. Dobrze, że już jesteś, co takiego masz do jedzenia...

– Erlend.

– Tak?

Podniósł się na łokciu, to była prawdziwa orka, wręcz nadludzki wysiłek, ale coś w głosie Krumme powiedziało mu, że sprawy źle się mają.

– Ja...

– Ale co się STAŁO, Krumme? – rzekł i zapalił światła nad wezglowiem łóżka.

Krumme wyglądał okropnie, krew ciekła mu z rany na brodzie, a jego matriksowy płaszcz był szary od brudu na jednym ramieniu, włosy miał zmierzwiłone, w oczach widać było łzy.

– Ależ, Boże święty, Krumme, co się STAŁO? Co takiego...

Wyskoczył z łóżka i objął go, Krumme zaczął sucho łkać, Erlend usiłował wydobyć z siebie jakieś rozsądne pytanie.

– Czy ktoś cię POBIŁ? Czy ktoś...

– Przejechał. Prawie zabił – powiedział Krumme.

– Ale... TUTAJ? TU przed domem?

– Nie. Dwie godziny temu, tuż przed wejściem do redakcji. Policja zawiozła mnie na izbę przyjęć do Bispebjerg, ale tam powiedzieli, że wszystko ze mną w porządku. Nawet nie mam wstrząśnienia mózgu. A tego na brodzie nie trzeba szyc. Wszystko jest w porządku, ale...

Erlend rzucił szybkie spojrzenie na radiobudzik, spał już od kilku godzin. Doprowadził jakoś Krumme do pionu i do łazienki, zdjął z niego płaszcz i ubrania, wepchnął go pod prysznic, wszedł tam razem z nim i pod lejącą się na nich wodą objął go mocno. Krumme płakał i mówił coś od rzeczy, drżąc na całym ciele. Erlend czuł, jak bardzo kocha tego faceta, że kocha go ponad wszystko na świecie, małego, grubego Krumme, przypominającego postać z dzieciństwa – Karlssona z Dachy.

– Myślałem, że umrę. Nie... **wiedziałem**, że umrę. Leżałem na bruku z twarzą w brudzie i błocie i wszystko widziałem z boku, ludzi, samochody, leżałem tam po prostu. Nadjechał kolejny samochód z dużą prędkością, widziałem, jak zbliżają się do mnie zderzaki i opony. Jemu... udało się zatrzymać. Hamulce zapisały, zarzuciło go na bok, tuż przede mną... tam, gdzie ja leżałem. Tam leżałem, Erlendzie, na środku ulicy.

– Ale teraz jesteś tutaj, mój drogi Krumme, trzymam cię, jesteś ze mną.

– Wiedziałem, że umrę i pomyślałem...

– Tak, tak, spokojnie...

– Pomyślałem... Co z resztą mojego życia? Co z nim?

– Jestem tu przecież. A ty żyjesz.

– Chcę, żebyśmy mieli dziecko, Erlendzie. Dziecko.

– Co?

– Już długo o tym myślę. Od dawna.

Erlend uwolnił go ze swojego uścisku i głaszcząc Krumme po włosach, usunął z nich nadmiar wody. Krumme stał z zamkniętymi oczami i zwisającymi ramionami, pod płynącą na niego wodą składał się z samego ciała i skóry. Rana na brodzie już nie krwawiła, ale na rękach i ramionach

pojawiły mu się siniaki, o czym on mówił, jakie dziecko, co tu się działo, czy to był dalej sen i sam środek jakiegoś koszmaru?

– Dziecko – powtórzył Krumme.

– Ale... ale z kim? – zapytał Erlend. – I po co? Masz przecież mnie.

Krumme, nie otwierając oczu, stojąc nadal pod strumieniem wody, odpowiedział:

– Nie mam pojęcia, z kim, naprawdę nie mam pomysłu. Z jakąś matką zastępczą, tak jak robi to wiele gejowskich par, albo z kobietą, która dokładnie tak jak my chciałaby... Nie wiem! Ale jestem pewien, że chcę, abyśmy mieli dziecko, Erlendzie. Dziecko, które będzie nasze. Kocham cię, o mało co nie umarłem, mogłoby mnie już nie być, chcę, żebyśmy mieli dziecko. To chodzi o resztę naszego żyda, Erlendzie. Musi być coś więcej. Niż tylko to, co mamy teraz. Więcej. Coś, co przeżyje nas, co będzie trwało dłużej niż my. Kontynuacja. Życie.

– Teraz zakręcam wodę – rzekł Erlend. – Wytrzymaj się i włożymy szlafroki. A potem zapalimy w kominku i trochę odpoczniemy. Jesteś w szoku, Krumme.

– Tak, na pewno masz rację. Ale w zasadzie trochę się też z tego cieszę.

Krumme otworzył oczy, były teraz ciemne i intensywne. Zazwyczaj były błękitne i radosne. Erlenda przeszył dreszcz, chociaż woda była ciepła, co tu się działo, co on tu słyszał, on, który kochał swoje życie, pracę i Krumme. Niczego mu nie brakowało, niczego! Czy to był jakiś omen, bo zaledwie parę godzin temu igrał w myślach z Losem i nie odpukał w stół, mówiąc sobie o tym, jak bardzo jest szczęśliwy i zadowolony?

– Drżysz, Krumme, chodź, natrę cię ręcznikiem, wszystko znów będzie dobrze – powiedział. – Zrobimy nam po dużą irish coffee. Albo nie, potrójną. Na pusty żołądek, i sam zobaczysz, wszystko zaraz wróci do normy.



## ROZDZIAŁ 9

Panie Margido, jest tu jakaś pani, która chciałaby z panem porozmawiać – powiedziała pani Marstad. – Czy mam ją zaprosić do środka?

– Kto taki? Nie mam teraz co prawda żadnych spotkań, ale jest tysiąc innych rzeczy do zrobienia.

– Jej mąż był naszym klientem ostatniej jesieni. Selma Vanvik?

– Ach, tak. Tak, teraz pamiętam, kto to taki.

– Mam ją zaprosić? Czy ma usiąść i poczekać?

– Proszę powiedzieć, żeby weszła. Za... pięć minut.

Głowa pani Marstad zniknęła z wylotu drzwi, usłyszał jej kroki schodzące po schodach w kierunku poczekalni.

– Boże, mój Panie, okaż mi swą łaskę, bądź ze mną teraz – wyszeptał, zakręcając dokładnie pióro, a następnie odłożył je ostrożnie do wąskiej kieszonki pomocnika stojącego na biurku. Właśnie wygodnie rozsiadł się w fotelu, siedział sobie i myślał o tym, że fotel typu Håg był wart swojej wysokiej ceny. Podparcie kręgosłupa, siedzenie, podłokietniki – wszystko można w nim było idealnie ustawić. A zatem siedział sobie tutaj, sądząc, że już po wszystkim, tkwił tu przesadnie zadowolony, napawając się komfortem fotela, czy to była jakaś kolejna próba, na którą został wystawiony, nowe kontrasty, w które nagle miał zostać ponownie wrzucony?

Splótł dłonie i usiadł za biurkiem. Tak zastała go, wchodząc do pokoju i gwałtownie zamykając za sobą drzwi. Nie podniósł wzroku, ale trzaśnięcie odbiło się boleśnie w całym jego ciele. Błogosławieni ubodzy duchem, bo ich jest Królestwo Niebieskie, nieustannie powtarzał sobie w duchu, jestem ubogi. A zarazem bogaty, był bogaty w wiarę, właściwie to powinien być jej prawie wdzięczny. Coś mówiła, nie do końca słyszał co, ale o czym to on ostatnio myślał, ach tak, że powinien być wdzięczny, Selma Vanvik uosabiała tę próbę, na którą Bóg go wystawił, ale nawet jeśli była narzędziem w rękach Boga, była też człowiekiem. A narzędziem bywał każdy człowiek, powinien być więc patrzeć na nią z miłosierdziem. Podniósł głowę i wzrok, stała tuż przed jego biurkiem, o wiele za blisko, ubrana w coś zielonego, jej usta poruszały się, nie chciał już patrzeć w podłogę, tylko na jej usta, albo w oczy. Rzucił szybkie spojrzenie na jej oczy, ale zaraz skupił się znów na ustach, w te oczy nie dało się patrzeć, były pociemniałe i obce, teraz miał słuchać, co ona ma mu do powiedzenia. Mówiła teraz bardzo głośno, co będzie, jeśli pani Marstad albo pani Gabrielsen przyjdą się wmieszać w rozmowę, w tym biurze zawsze mówiło się cicho.

– Chyba nie usłyszałem dokładnie, co powiedziałaś – rzekł i wyjrzał przez okno.

Opadła na jedno z krzeseł przed jego biurkiem, stojących w pozycji zarezerwowanej dla zbolelej rodziny, i wybuchnęła płaczem.

Trochę się rozluźnił wewnętrznie, o płaczu wiedział bowiem wszystko. Ludzie płaczący byli w bezpieczny sposób przewidywalni. Pozwolił jej szlochać przez chwilę, po czym powiedział:

– Przepraszam. Przykro mi z powodu tego, co się stało, Selmo. Bardzo mi przykro.

– Ale dlaczego? Było nam tak miło, Margido. Kiedy mówisz o tym w ten sposób, robi mi się jeszcze gorzej... – rzekła głosem małej dziewczynki, od którego zamarło powietrze wokół jego głowy. Gdyby tylko mógł teraz znaleźć się w innym miejscu, gdziekolwiek, mógłby to być nawet ciemny grób.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – rzekł. – Gdyby pani Marstad albo pani Gabrielsen dowiedziały się...

– To co z tego? Może to twoje żony, co? Nie masz prawa do własnego życia?

Najchętniej na oba te pytania odpowiedziałaby przecząco, ale z rosnącym niepokojem usłyszał, jak wzbiera w niej kolejna fala złości. Słabo sobie z tym radził. Gdyby siedziała przed nim kobieta, która właśnie przeżywała dramatyczny smutek, wszystko byłoby o wiele prostsze.

– Przykro to powinno ci być z tego powodu, że nie chcesz ze mną rozmawiać! Dzwoniłam, napisałam nawet do ciebie list, próbowałam tak przez **miesiąc**! Jak sądzisz, jak ja się czuję? Początkowo sądziłam, że potrzebujesz czasu. Jaka ja byłam idiotką!

– Ciiiiii, nie krzycz, słyszę, co mówisz.

Wtedy na szczęście ponownie uderzyła w płacz, odważył się na nią spojrzeć, na jej dłonie zasłaniające twarz, zielone okazało się wełnianym kapeluszem z białym tekstylnym kwiatem przypiętym do rądo. Jej torebka również była zielona, siedziała, trzymając ją na kolanach i opierając na niej łokcie.

– Nie możesz tak po prostu w ten sposób postępować – wyszeptwała przez rozchylone palce. – Przespać się z kobietą, a potem zniknąć, twierdzić zawsze, że jesteś w ferworze ważnych spraw, kiedy do ciebie dzwonię, wiem, że kłamiesz, opowiadałeś mi o tym, jak bardzo pilnujesz, żeby zawsze wyłączyć telefon, jeśli naprawę robisz coś ważnego.

Ten cholerny telefon, o ile wszystko było kiedyś prostsze bez niego. Bardziej pracowite, ale prostsze.

– Wydawało mi się, że się dobrze dogadujemy, Margido. Naprawdę tak mi się wydawało.

– To nie jest takie proste. Jestem głęboko wierzącym człowiekiem, Selmo.

– Też mi coś! Akurat w sylwestra nie zachowywałeś się **jak ktoś głęboko wierzący**!

– Nie toleruję alkoholu, nigdy nie pijam. To wszystko dlatego.

Fala złości znów napłynęła, Selma Vanvik podniosła się, oparła o biurko, on bezwiednie się cofnął, kosztowny fotel podążył za jego ruchem.

– A zatem to wszystko niby przez pijaństwo. To chcesz mi powiedzieć?

Zamknął oczy. Coś tak wulgarnego. Stała się nagle kimś innym, koniec z delikatnymi dowcipami i kokieterią, kobieta, która przed nim stała, była brutalna i prostacka, i to wszystko czyniło sprawę nieopisanie wręcz prostą. Podniósł się i spojrział jej w oczy.

– Chciałbym, żebyś już; poszła, Selmo. Naprawdę jest mi ogromnie przykro. Jesteś bardzo... wspaniałą kobietą. Ale utrzymywanie z tobą tego rodzaju relacji nie da się pogodzić z moją wiarą w Boga.

– Jesteś jakimś mnichem, czy jak? Księdzem katolickim? Co? Pracujesz w cholernym biurze pogrzebowym i zdaje mi się, że kobiety nie spadają d raczej z nieba! Ale w moich oczach byłeś wspaniałym mężczyzną, kimś, kto dał mi poczucie bezpieczeństwa. Fascynował mnie twój spokój. Powinnaś była zauważyć, że ten spokój to tylko prostacka pasywność. Jesteś kurewskim tchórzem, Margido Neshov. A teraz idę. Nie będziesz zmuszony więcej ze mną rozmawiać.

Gdy wszystkie zadania na ten dzień zostały już ukończone, a papiery poukładane w segregatorach, kiedy ważne rozmowy telefoniczne się odbyły, a pogrzeb, który miał mieć miejsce następnego dnia w kościele w Ilen, został zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach, pojechał prosto do domu, chociaż było dopiero wpół do czwartej. Na użytek pań zrobił wrażenie, że zamierza jeszcze zajrzeć do magazynu z trumnami i przejrzeć jego zawartość, sam słyszał jednak, jak głupio to brzmi, ponieważ wszelkie tego typu informacje znajdowały się w komputerze pani Marstad, i dlatego dodał, że chyba jedna trumna jest wadliwa, rączka była jakby nieco obłuzowana, chciał zajrzeć i zobaczyć, czy da radę naprawić to sam, żeby nie robić sobie kłopotu ze zwracaniem jej dostawcy.

W zasadzie miał w planie kupić jedzenie na cały tydzień, zazwyczaj robił to w czwartki, ale kiedy wszedł do samochodu, poczuł wyraźnie, że nie ma na to siły. Gdyby panie Marstad i Gabrielsen powzięły najmniejsze podejrzenie, że coś jest nie tak... Cóż za wstyd. Potrzebował ich szacunku, był od niego wręcz zależny, on był tym, który nigdy nie robił niczego złego ani nieetycznego.

Wszedł do swojego mieszkania, zamykając za sobą drzwi na klucz, teraz był dostępny pod telefonem stacjonarnym, wyłączył komórkę i odetchnął z ulgą, widząc czarny wyświetlacz. Miała również jego domowy numer telefonu, ale teraz chociaż był dostępny na jednym kanale mniej. Jakkolwiek w gruncie rzeczy wierzył w jej słowa, że więcej nie będzie się z nim kontaktować.

Tchórz, pomyślał sobie, jak ona mogła go tak nazwać, jego, który z podniesioną głową zmierzył się z grzechem, odkładając własne potrzeby na bok. Takie rzeczy należało raczej nazwać siłą, chociaż odmawiał sobie prawa do odczuwania z tego powodu pychy. Siła była oczywistością, stanowiła potwierdzenie stałej obecności Boga i Jezusa Chrystusa w jego umyśle, w jego duszy. To nie z niego samego pochodziła ta siła, ona była bezpośrednim skutkiem wiary. Tego ona nigdy nie byłaby w stanie zrozumieć, ze swoim czerwonym winem i **opakowaniem rodzinnym**.

Usmażył sobie jajko i pół grubej parówki, pokroił pomidora i położył go na talerzu razem z kromką razowego chleba, poszedł do lodówki ze szklanką w dłoni i napełnił ją mlekiem, zaniósł wszystko do salonu i zjadł, siedząc w swoim wygodnym fotelu, z talerzem na kolanach, nie włączając telewizora. Po skończonym posiłku odstawił talerz i szklankę na mały stolik kawowy i odchylił się do tyłu.

Było tak cicho. Zaczął padać śnieg. Rzucił okiem na cyprysa stojącego w donicy na werandzie, był piękny ze swoją zielenią przykrytą częściowo śniegiem, zawsze cieszył go jego widok, ale nie dzisiaj. Chciał się przeprowadzić, znaleźć mieszkanie z sauną albo z miejscem na jej wybudowanie, podniósł się i znalazł aktualną gazetę, przekartkował strony z ogłoszeniami mieszkaniowymi. Wtedy zadzwonił telefon i tętno skoczyło mu gwałtownie, waliło mu w uszach, a jego ręce drżały, gdy podnosił słuchawkę.

– To ja – rzekła pani Gabrielsen.

– Ach, to pani, tak.

– Oni właśnie dzwonili, dzwoniła Randi Lagesen, Randi i Einar Lagesenowie, d od dziecka zmarłego w kołysce, tego, które wczoraj przygotowywaliśmy do poniedziałkowego pogrzebu.

Pani Gabrielsen miała obrzydliwy zwyczaj podawania mu oczywistych informacji. Wystarczyłoby powiedzieć Lagesen, przecież zaledwie kilka godzin temu robił dla nich ostateczną korektę śpiewnika.

– Ależ tak, wiem, kogo ma pani na myśli.



– Oni jednak chcą mieć chwilę skupienia w kaplicy. Jego rodzice przyjechali z Oslo dziś po południu. Dzwoniłam już do szpitala w sprawie kaplicy i dziś mają wolne, ale zajęte jutro. Czy sądzi pan, że da radę zająć się tym dzisiaj? Jest wolne o godzinie siódmej.

– Tak, mogę. Proszę im tylko przekazać wiadomość w tej sprawie. Zdamę spokojnie.

Starannie złożył gazetę i przyniósł sobie jeszcze jedną szklankę mleka. To była rzeczywistość, jego rzeczywistość. Z której Selma Vanvik najwyraźniej nic nie rozumiała.

– Dobry Boże, który nas widzisz i znasz, obdarz nas swoją pociechą.

Zarówno matka, jak i ojciec dziecka byli wierzący. Cieszył go ten fakt, zapewne dzięki temu łatwiej im było znieść smutek. To było ich pierwsze dziecko, a zarazem pierwsza wnuczka w obu rodzinach. Matka i ojciec stali tuż obok siebie ze złożonymi rękami, mając za plecami dwie rodziny dziadków, którzy na zmianę poklepywali ich albo trzymali się za ręce. Przed nimi stała otwarta dziecięca trumna, a w niej trzymiesięczna dziewczynka, ubrana w różowo-białą, dzierganą sukienkę. Czapeczka także była w kolorach różowym i białym, zawiązana pod brodą jedwabną różową wstążką. Oczodoły zdążyły już pociemnieć, ale udało mu się pokryć je odrobiną jasnego pudru przed przyjściem rodziny. Światło płonących białych świec rzucało refleksy na ścianę. Małe wieko trumienne leżało na krześle przy ścianie.

Wszyscy słuchali jego słów, dobrze było je wypowiadać, być kimś dla tych ludzi, pomóc im pójść chociaż o mały kroczek dalej. O wiele za dużo czasu spędził, stojąc tak i odczuwając pustkę własnych słów, teraz słowa grały go w takim samym stopniu, w jakim pocieszały rodziców i dziadków.

– Posłuchajmy o tym, jak Jezus otwiera Królestwo Boże przed dziećmi.

Podniósł wzrok i napotkał ich spojrzenia. Oczy matki były czerwone, wypełnione nieskończonym smutkiem i czymś na kształt fizycznej tęsknoty, co zawsze widywał u matek, które straciły dzieci.

– „Przynosili Mu również dzieci, żeby ich dotknął; lecz uczniowie szorstko zabraniali im tego. A Jezus, widząc to, oburzył się i rzekł do nich; «Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże. Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego». I biorąc je w objęcia, kładł na nie ręce i błogosławił je”<sup>3</sup>. Jezus mówi: „Ja jestem dobrym pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają. [...] Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z mojej ręki. Ojciec mój, który Mi je dał, jest większy od wszystkich. I nikt nie może ich wyrwać z ręki mego Ojca”<sup>4</sup>.

Matka łkała, a jej własna matka obejmowała ją ramieniem.

– Oto słowo Boże.

Zrobił kilkusekundową przerwę, a potem kontynuował:

– Odmówmy teraz wspólnie Ojcie Nasz.

Żałobnicy wypuścili się nawzajem z objęć, złożyli dłonie i pochylili głowy. A zatem wszyscy byli wierzący, a dziecko na szczęście zostało ochrzczone, świętowali chrzest zaledwie dziesięć dni wcześniej. Dziewczynka otrzymała imiona Sara Emilie.

Margido przymknął oczy, poczuł, jak wypełniła go wielka podniosłość przy odmawianiu Ojcie Nasz wspólnie z tą rodziną.

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam

---

<sup>3</sup> Mk 10,13-16. (Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z wydania: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 1983 (przyp. red.).)

<sup>4</sup> J 10,14; 10,28-29

nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Bo twoje jest królestwo, i potęga, i chwała na wieki. Amen.

– Amen – wyszeptali pozostali.

Podniósł wieko trumny i przez chwilę je trzymał.

– Czy chcecie nakryć jej twarz? – zapytał cicho.

Jedna z babć wzięła jedwabną chustkę, złożoną na poduszce obok małej główki, i po pogłaskaniu policzka dziecka przykryła nią jego twarz. Z piersi wyrwało jej się suche łkanie.

– Moja malutka... Nawet nie zdążyłam cię dobrze poznać.

W chwili, gdy nakrywał trumnę wiekiem, a ojciec dziecka przykręcał śruby, panowała całkowita dciza.

Wszyscy sześcioro podeszli potem do Margida, by uścisnąć mu rękę w podzięce, z prawdziwą, ciepłą wdzięcznością.

– Wszystko powiedziałaś tak pięknie – rzekł jeden z dziadków. – Dobrze było poczuć, jak sam Pan zbliżył się do nas z pociechą. Bo przecież On tak właśnie czyni. Bardzo, bardzo dziękujemy, teraz już jakoś poradzimy sobie z pogrzebem.

Musiał oczyścić samochód ze śniegu, robił to długimi, posuwistymi ruchami, czując przy tym coś w rodzaju szczęścia. **Nie wódź nas na pokuszenie...** A jednak to już się stało. Stało się i nie można było niczego odwrócić. Lecz mimo to wiedział, że teraz był już znowu w domu, w domu w objęciach Boga, został uwolniony, stał się znów jednym z nieskończenie wielu, nie był już sam.



## ROZDZIAŁ 10

Był zupełnie inny niż wszyscy faceci, z którymi kiedykolwiek była związana i dlatego starała się przekonać Sigurda, żeby trochę wyluzował w tej sprawie. Sigurd twierdził, że naprawdę się martwi, a to ją wkurzało, starała się jednak tego nie pokazywać, rozumiała przecież, że to tylko dlatego, że ona go obchodzi, a on mocno stał na ziemi.

– Mógłbyś zamiast tego choć trochę cieszyć się wspólnie ze mną, przecież widzisz, że fruвам!

– Dziękuję, to faktycznie widzę, w zasadzie wszyscy to widzimy.

– Widziałeś przecież, jak tu był, że z czoła nie wyrastały mu rogi, a spod kurtki nie wystawał karabin uzi. On jest porządnym facetem, a ja jestem...

– ...po samiuteńkie uszy zakochana. Sprawiał bardzo miłe wrażenie, ale znasz go od zaledwie...

– Trzech tygodni! Dużo można się dowiedzieć przez trzy tygodnie! Poza tym poznałam go w sylwestra, to już będzie pięć.

– Ale tobie zupełnie odwała z tego powodu, Torunn. Tak jak wczoraj na spotkaniu, gdy siedziałaś i zadawałaś w kółko te same pytania. Ten biedny księgowy o mało nie zwariował!

– Naprawdę? No dobrze, ale wykaż w stosunku do zjawiska trochę poczucia humoru – rzekła.

– Mamy przecież ładną nadwyżkę, to chyba nie szkodzi, że facet musiał to parę razy powtórzyć. A te relacje, w które wdawałam się przez ostatnich kilka lat, też zaczynały się zawsze dobrze, a potem wszystko się waliło w cholere, bo zaczynałam tym gościom szefować, i w końcu oni dawali sobą rządzić, a wtedy traciłam dla nich szacunek, a oni usiłowali odzyskać poczucie własnej wartości przy innych paniach. Wersja psychologiczna skrócona! Ale Christerem nie da się rządzić, Sigurd.

– Chciałbym jedynie, żebyś podchodziła do tego nieco spokojniej. Ja przecież tylko chcę twój dobra, Torunn.

Wziął pierniczka, przypominając sobie zbyt późno, że ma ich już dosyć, i się skrzywił.

– Święta Bożego Narodzenia trwają teraz do samej Wielkanocy – powiedziała. – Ale szczerze mówiąc, Sigurd, mam się naprawdę cudownie i nie musisz mnie aż tak pilnować. W zasadzie on jest całkiem normalnym facetem, nawet jeśli zaprzęgiem złożonym z siedmiu psów rozbija się w kompletnych ciemnościach po dolinie Maridalen. Ale gdy tak się nade mną znęcasz, jestem zmuszona chwalać go nieco przesadnie pod niebiosa. Nie rozumiesz tego zjawiska? Trzymaj się faktów.

– Czyli czego?

– Że to **nie ma** nic wspólnego z moimi wcześniejszymi związkami. Że ten jest dla mnie **zdrowy**. Nie musisz się martwić.

– Pod jednym warunkiem. Że przełożysz te pierniczki na talerz i postawisz je w poczekalni dla odwiedzających nas psów, a tu znów pojawią się ciasteczka Maryland Cookies.

– Jasne, wyrzucę już te pierniczki. Ale Mary kup sobie sam.

Nie podobało jej się to, że Margrete w dużym stopniu czepiała się tego samego w kwestii Christera. Że wszystko idzie zbyt szybko i że ona od razu rzuca się na głęboką wodę. Ale jak mogłaby tego uniknąć? Być z Christerem to było takie uczucie, jak dotrzeć do domu, chociaż dla innych mogło to brzmieć jak banał. A fakt, że go w ogóle spotkała, to jak wygrana w Lotto. Nie włączył się przecież po mieście, nie udzielał się towarzysko w tych samych kręgach, co ona. Od czasu do czasu zjawiał się na chwilę w swoim mieszkaniu przy Bogstadveien w dzielnicy Majorstua, ale poza tym siedział w domku w lesie. Prawo nie pozwalało na korzystanie z domków letnich przez cały rok, stąd to mieszkanie w Majorstua, gdzie przychodziła też jego poczta. I gdzie miał podany swój adres stały.

– Nawet Lima nigdy tam nie była – rzekł. – Ale ona to przecież moja inwestycja, jej wartość rośnie codziennie jak cholera. Ja mam klaustrofobię od samego wejścia tam. Dziwne, że tylu jest ludzi, którzy chcą mieszkać w pudełkach jedni nad drugimi.

– Takich jak ja – powiedziała. – Gdy jestem w moim mieszkaniu, zupełnie nie mam uczucia, że ktoś jest nade mną lub pode mną.

Oczywiście wolała jego leśny domek znacznie bardziej niż swoje mieszkanie, nie do pomyślenia byłoby czuć inaczej. Chętnie mieszkałaby sama w ten sposób, gdyby tylko było to możliwe. Gdy patrzyło się z zewnątrz, domek wydawał się prosty, choć dosyć duży, wewnątrz natomiast był po prostu idealny. Podgrzewana podłoga łupkowa, łazienka ze ścianami z drewnianych bali i z piecem na drewno, ogromny niebieski stół jadalny, wielki kominek, stare, głębokie fotele wyściełane owczymi skórąmi, kuchnia z sympatycznym bałaganem i z takim samym piecem na drewno, jaki stał w Neshov. Ściany salonu zastawione półkami pełnymi książek i starych numerów magazynów dla mężczyzn, tygodników łowiecko-turystycznych oraz „Reader's Digest”. Panował tu prawdziwy nastrój leśnej chaty – aż do chwili, gdy otworzyło się drzwi do pokoju komputerowego. Trzy monitory, drukarki, faks i zegary pokazujące aktualny czas zarówno w Nowym Jorku, jak i w Londynie oraz w Tokio. Pierwszy raz weszła tutaj podczas ich drugiego spotkania, odwróciła się wówczas do niego i zapytała: – Ależ, na Boga, czym ty się właściwie zajmujesz?

O tym jeszcze nie mieli okazji dotąd rozmawiać, nie miała odwagi go o to zapytać. Dużo i dogłębnie rozmawiali o psach, a od czasu do czasu nie mówili wcale, tylko byli ze sobą blisko, kochali się, poznawali się zapachem, smakiem i dotykiem. Czysto fizycznie zawładnął nią w taki sposób, o jakim marzyła kiedyś jako dorastająca dziewczynka, ale już dawno zrezygnowała z nadziei, że to może się stać rzeczywistością. Była pewna, że to tylko takie beznadziejne, różowiutkie marzenie nastolatki.

– Czym się zajmuję? Zarabiam pieniądze.

– A na czym?

– Na akcjach. Funduszach giełdowych. Kupnie i sprzedaży.

– Sam? Tylko ty? Nigdzie nie pracujesz?

– Tutaj. W domu w lesie.

Przez wiele lat pracował w banku jako makler, biorąc udział w wyścigu szczurów, jak to sam nazwał, i nie wątpiła, że tak właśnie było. A jednocześnie coraz bardziej fascynowały go psie zaprzęgi i w którymś momencie musiał uznać, że tych dwóch rzeczy nie da się pogodzić. Za pierwszym razem, gdy uczestniczył w biegu przez Finnmark, zdecydował, że chce tak żyć na pełen etat. To było trzeciego dnia, stał akurat i rozdzielał cztery wyrosnięte psy, walczące w

samym środku zaprzęgu wśród poplątanej uprzęży. Pojechał stamtąd prosto do domu i oddał do Fretexu<sup>5</sup> wszystkie swoje garnitury oraz koszule, zachował jeden jedyny czarny garnitur Bossa na wypadek, gdyby na przykład musiał wziąć udział w pogrzebie.

– Wszystko odbywa się przez komputer. Mogę w związku z tym pracować w zasadzie tam, gdzie chcę. W chatce myśliwskiej na Svalbardzie na przykład.

– Ale czy to nie kosztuje strasznie dużo? Czy nie trzeba mieć kapitału i tak dalej?

– Tak, ale tyle to już sobie wypracowałem. Jestem ustabilizowany w tym biznesie. Dzielę środki równo pomiędzy wysokie i niskie ryzyko. Ostatnio, jeśli mam być szczerzy, z przewagą dla wysokiego ryzyka. Ale idzie mi nieźle, wręcz dobrze jak cholera.

Później nie chciał już więcej rozmawiać o pracy, zamknął drzwi do pokoju komputerowego i przytulił ją, podniósł wysoko z podłogi, całował w szyję aż do samej nasady włosów i powiedział, że napalą teraz w kominku, i czy ona zostanie na noc. Chciała zostać, aż do samego domu tutaj dochodziła dobra droga, za– I chatką stał jej samochód, dojazd do pracy zajmie jej stąd tylko nieco ponad pół godziny. Gdyby tylko mogła sobie po prostu być zanurzona w tym stanie bez niczyjego marudzenia, ale nie, nie udawało się. Matka marudziła. Ojciec nie marudził, ale to było w zasadzie jeszcze gorsze, że to zawsze ona musiała do niego zadzwonić, a nigdy odwrotnie. Było w tym jakieś męczennictwo. Kiedyś od czasu do czasu dzwonił, aby z nią pogadać, teraz już to się nie zdarzało. Zupełnie jakby zamierzał udowodnić, że radzi sobie świetnie, a wtedy za żadną cenę nie mógł do niej dzwonić ani jej **potrzebować**. W pracy miała mnóstwo roboty z kursami dla psów i w klinice. Najchętniej zamknęłaby się tutaj razem z Christerem, wyrzuciła komórkę do klozetu i nie wychodziła na powierzchnię świata aż do nadejścia wiosny.

– I jeszcze jedna sprawa, Sigurd. Jak cudownie jest jeździć zaprzęgiem z psami! Wyobraź sobie, one mnie słuchają! To daje prawie... jakieś upojenie! I ten czarny las dookoła, otwarte przestrzenie i żadnych innych dźwięków niż sapanie i płozy przesuwające się po śniegu.

– Te psy raczej nie zostaną naszymi klientami – odpowiedział. – Tacy ludzie sami zszywiają swoje psy w razie konieczności, a jeśli zwierzęta skaleczą się poważniej, to czeka je raczej kraina wiecznych łowów.

– Tak, tam obowiązuje trochę inne podejście do zwierząt – rzekła, przyznając mu rację.

Psy pociągowe były zwierzętami użytkowymi, nawet jeśli Christer miał z każdym z nich bardzo bliską relację, a tak było, o ile zdążyła zauważyć. Jego faworytką była Luna, dzielna, mała Luna dowodząca stadem, w którym wszyscy byli od niej więksi. A jeśli w szeregach panował jakiś niepokój, odwracała się po prostu i wywarkiwała kilka soczystych poleceń, zrozumiałych tylko dla psów, ale na pewno bardzo skutecznych. Kiedyś, gdy jechała z Christerem, dwa samce zaczęły się gryźć.

– Chwileczkę, chwileczkę – rzekł Christer i dał komendę do zatrzymania. Pozwolił psom bić się, przebiegł tylko obok nich i uwolnił Lunę z uprzęży. Jak białe tornado wpadła pomiędzy samce, kłapiąc zębami na wszystkie strony, i nieomal stanęła na tylnych łapach, przednimi opierając się o piersi napastników. Psy natychmiast przerwały walkę, przypadły do ziemi, a następnie Luna utrwaliła przekazaną właśnie informację, gryząc oba samce za uszami, najpierw jednego, potem drugiego, cały czas warcząc przy tym wściekle. Samce skowytaly jak szczenięta.

– Czy ona robi im krzywdę? – zawołała Torunn.

– Ona ich ledwie musnęła, wyją tylko dlatego, żeby powiedzieć, że się poddają.

---

<sup>5</sup> Sklepy z używanymi rzeczami, prowadzone przez Armię Zbawienia (przyp. tłum.).

Zanim Luna skończyła, pozostałe psy również leżały płasko w śniegu, a Torunn mogła dosłownie zobaczyć, jak z grzbietów wyrastają im skrzydła. Gdy Luna ponownie została przypięta na czele zaprzęgu, otrząsnęła się energicznie i parsknęła z zadowoleniem, rzucając przez ramię szybkie spojrzenie.

– Taka suka warta jest swojej wagi w złości – rzekł Christer i wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem dał zaprzęgowi komendę do startu: – Hiii-ja!

Dzisiaj jednak nie miała się z nim widzieć, zamierzała pojechać do matki. Dlatego siedziała z Sigurdem w pokoju dla personelu i trochę zwlekała. Sigurd był żonatym ojcem czworga dzieci, żonatym od tysiąca lat, co on jeszcze mógł wiedzieć o zakochaniu. W końcu matka zadzwoniła z pytaniem, gdzie też ona się podziała.

– Już jestem w drodze, coś mnie tutaj zatrzymało. Kupić ci coś?

– Co takiego na przykład?

– Nie wiem. Coś dobrego. Może coś, na co miałabyś ochotę? – zapytała Torunn.

Matka na nic nie miała ochoty.

Otworzyła jej drzwi ubrana w swoją białą jedwabną piżamę.

– Witaj, kochanie – powiedziała i krótko uściśnęła Torunn, a potem odwróciła się i powoli poszła z powrotem korytarzem.

– Leżałaś już?

– Nie. Tylko jeszcze się nie ubrałam.

– Ależ, Boże święty, mam. Jest dziewiąta wieczór!

– To już na pewno nie ma sensu ubierać się teraz. I tak pójdę spać za parę godzin.

– Mamo, tak się nie da żyć, po prostu się nie da.

– Nie opowiadaj mi, proszę, co się da, a co nie, jesteś tu niecałe pół minuty. Zdejmij kurtkę, zanim zaczniesz dzielić się ze mną swoją życiową mądrością.

– Jeśli masz zamiar być okropna, to jadę. W zasadzie to jestem dosyć zmęczona.

Mogłaby pojechać do Christera, zaskoczyć go, zabrać ze sobą pizzę i coś do picia i chrupania. Matka stanęła na środku salonu, zasłoniła dłońmi twarz i zaczęła głośno szlochać.

– Przepraszam dci, kochanie. Przepraszam! Wiem przecież, że chcesz tylko mojego dobra!

I znów było tak samo jak zawsze, że to ona musiała pocieszać matkę, chociaż w zasadzie powinno być odwrotnie. Szybko podeszła do matki i przyciągnęła ją do siebie.

– Dobrze, już, dobrze, mam, nie płacz. Ale musisz zacząć więcej wychodzić z domu. Nie możesz przez cały czas tutaj siedzieć, może pojedziemy sobie na wycieczkę do Kopenhagi? Erlend tak bardzo chce nas zaprosić. Obie. Mogłabym przedłużyć sobie weekend.

– Kto wie... Chociaż on jest z rodziny Neshov, tej cholernej bandy. Ale akurat ten Erlend wydaje się bardzo zabawnym gościem.

– Naprawdę taki **jest**, mam! Pokochasz go! I wie, gdzie znajdują się wszystkie sklepy, w których chciałabyś porobić zakupy!

– Zakupy... Tylko za co? Jak się zastanowię, to nie mam pieniędzy nawet na wycieczkę do Kopenhagi.

Torunn wypuściła matkę z objęć, poszła i usiadła w fotelu, ściągnęła z siebie kurtkę i upuściła ją na podłogę obok fotela.

– Przecież Gunnar nie zamierza cię wyrolować finansowo – rzekła.

Matka szybkimi ruchami otarła łzy i dramatycznie skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie będzie przecież utrzymywał mnie przez resztę żyda. A ja nie pracowałam od chwili, gdy go spotkałam, Torunn. A to było, jak sama wiesz, sporo lat temu. I, o czym także wiesz, nie mam żadnego wykształcenia. Gunnar chce, żebyśmy sprzedali dom.

- Ach tak.
- **Ach tak?** Tylko tyle masz do powiedzenia? Mój dom przez ponad trzydzieści lat!
- To jest również dom Gunnara. A ta willa na pewno warta jest majątek. Mogłabyś kupić sobie przyjemne mieszkanie i...
- Powiedz mi, jesteś po jego stronie? Jesteś czy nie?
- Mamo. Czy nie możesz wykazać się odrobiną realizmu? Nie możesz przecież mieszkać sama w dwupoziomowej willi w Røa, podczas gdy Gunnar mieszka...
- Przerwała, bo nie miała pojęcia, gdzie Gunnar mieszka. Jedyne, co wiedziała, to że Marie prawdopodobnie posiadała mieszkanie na poddaszu przy Aker Brygge, gdzie Gunnar mógł teraz grać bogatego, siedząc tam z cygarem i podziemnym garażem.
- Jestem po twojej stronie, mamo. Chcę, żebyś miała dobrze. Żebyś się z tego wszystkiego... uwolniła.
- Poddawa, masz na myśli.
- Tak naprawdę mam na myśli coś przeciwnego. Żebyś się **nie** poddawała – rzekła Torunn.
- Poddawa się w kwestii Gunnara, znaczy.
- Torunn gapiła się na matkę bez zrozumienia. – Ale przecież powtarzałaś mi tysiąc razy, że nigdy w życiu nie przyjeżdżałabyś go z powrotem, nawet gdyby przyczołgał się z ogonem między nogami.
- No tak. Ten jego ogon nie jest znów taki długi, żeby w ogóle mógł go włożyć pomiędzy...
- Mamo! Nie chcę słuchać takich rzeczy!
- Ojoj, wrażliwa duszo. Może chcesz herbaty, moja kochana?

Gdy się uwolniła, było już prawie trzydzieści minut po północy. Pierwsze, co zrobiła, gdy dotarła do bezpiecznego schronienia w swoim samochodzie, to zatelefonowała do Christera. Odezwał się dopiero po bardzo długim dzwonieniu i powiedział, że siedział i pracował.

- Teraz, o tej godzinie?
- W Szanghaju było wpół do ósmej rano.
- W Szanghaju?
- To w Szanghaju wszystko się odbywało.
- Wszystko co? – zapytała.
- Inwestycje, odparł, to stulecie należy do Chińczyków, można już spokojnie zapomnieć o USA i Japonii, pieniądze robiło się teraz, inwestując w Chinach. Turbokapitalizm, jakiego świat nie widział od czasu, gdy Hong Kong został uwolniony dla zachodnich inwestycji. A to było jeszcze bardziej dzikie.
- Wierzę.
- Jego głos wydawał się jakiś inny i w tym momencie nie potrafiła go sobie wyobrazić ze sforą psów. Już prędzej w garniturze i białej koszuli z błyszczącym jedwabnym krawatem. W czarnym garniturze, który zostawił sobie na pogrzeby. Miała nadzieję, że powie: przyjeżdż. Przyjeżdż, nawet jeśli jest strasznie późno, a ty musisz wcześniej wstać, Torunn. Ale nie powiedział tego, wydawał się zajęty, oczywiście nie mógł przecież wszystkiego rzucić tylko dlatego, że ona zadzwoniła. W końcu z tego żył.
- To do usłyszenia – rzekła.
- Do usłyszenia – odpowiedział. – I pamiętaj, co powiedziałem. Jakbyś miała pięćdziesiąt wolnych kawałków, to mogę puścić je w ruch. Zazwyczaj nie zajmuję się tak małymi kwotami, ale dla ciebie zrobię wyjątek.

– **Miałam** pięćdziesiąt wolnych kawałków, a nawet więcej, ale wszystko pakujemy z powrotem w klinikę, inwestujemy w sterowany elektronicznie sprzęt rentgenowski i może nawet zatrudnimy nowego...

– Ale pamiętaj w razie czego, co powiedziałem! Do zgadania!

Odłożył słuchawkę. Pomyślała: Siedzi i pracuje, wiedział, że zamierzam robić coś innego dziś wieczorem, jest po prostu nastawiony na inny tryb, nie mogę mieć do niego o to pretensji, gdybym podjechała tam teraz i zapukała do drzwi, na pewno bardzo by się ucieszył.

Gdy otworzyła drzwi do pustego mieszkania, w dziwny sposób nagle poczuła się sama. To było dla niej nietypowe. Lubiła wracać do domu ze świadomością, że to jest jej własna, mała jama. Zagotowała wodę na herbatę, rozebrała się i nałożyła szlafrok, przejrzała stertę poczty i odrzuciła na bok ulotki reklamowe. Rachunki i wezwanie na zebranie w spółdzielni mieszkaniowej, nawet nie chciało jej się spojrzeć na plan spotkania. Wystawiła głowę na korytarz, żeby zobaczyć, czy w szparze pod drzwiami Margrete widać światło, ale było tam ciemno. Gdy weszła z powrotem do siebie, poczuła ulgę, bo o czym miałyby rozmawiać z Margrete? Czyż nie mogła, do diabła, w wieku trzydziestu siedmiu lat mieć historii miłosnej z wolnym facetem w tym samym wieku? Dzięki Bogu, że nie pisnęła matce ani słówka na temat Christera. Ale jak mogłaby to zrobić. Opowiadać, że jest po uszy zakochana, podczas gdy matka siedziała tam i oczekiwała wyłącznie tego, żeby życie Torunn stanowiło odzwierciedlenie jej własnego, pozbawionego miłości życia.

Znów poczuła chęć, aby do niego zadzwonić, siedziała z komórką w ręce, wyświetliła jego numer, ale bez naciskania zielonego guzika. Tak czy owak miała przed sobą jego numer. Jeśli naciśnie, usłyszy jego głos.

Erlend. Zawsze wspaniale było z nim porozmawiać. Ale było już późno. Godzina pierwsza w nocy. Wysłała testowego SMS-a do Erlenda: „Czy mogę do ciebie zadzwonić?”

„OK”, odpowiedział po kilku minutach.

– To ja. Wiem, że jest późno, ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że w Szanghaju jest teraz ósma rano.

Ach tak, już tak późno. Miała prawdziwie globalny ogląd spraw.

– Wy też jeszcze tam siedzicie?

Krumme już nie. Tylko on.

– A co wobec tego robisz?

Nic specjalnego, siedział sobie z kieliszkiem koniaku i przyglądał się nocnym światłom nad Kopenhagą.

– Brzmi uroczo.

Tak, było mu przyjemnie.

– Brzmisz jakoś... jakby ci było przykro? Coś się stało?

Nic szczególnego się nie stało. Zauważył nową fałdę, na dodatek zrobiła mu się pod jednym pośladkiem, ale powiedział to bez swojego zwykłego błyskotliwego humoru i dramaturgii.

– Ale coś nie brzmisz całkiem jak ty, Erlendzie, czy jednak coś się **stało**? Oprócz tej fałdy, oczywiście.

Miała być spokojna i niczego sobie niepotrzebnie nie wyobrażać. Dzień wcześniej odebrał oprawiony plakat Aladdina Sane, wspaniale się prezentował po odświeżeniu i wygładzeniu załamań, naprawieniu rogów i usunięciu śladów po pinezkach i resztkach taśmy. Wisiał teraz w ich sypialni w ogniszcie czerwonej ramie. A poza tym odesłał dzisiaj adwokatowi Berlingowi do Trondheim stos podpisanych papierów, teraz już Tor powinien szybko zostać pełnoprawnym właścicielem gospodarstwa.



– To wspaniale – powiedziała, myśląc: **Muszę** zadzwonić jutro do mojego ojca. – A poza tym coś nowego?

No cóż, Krumme o mało nie zginął tego dnia w wypadku, na szczęście skończyło się na kilku zadrapaniach i siniakach, samochód zdołał wyhamować w ostatniej sekundzie.

– O Boże święty! I mówisz o tym dopiero teraz? Czy Krumme nie przestraszył się ciężko? Och, biedny Krumme!

Nagle Erlend zniżył głos, powiedział, że chyba Krumme właśnie wstał i że słyszy go w łazience.

– Pokłóciliście się? – odszepnęła. – Skoro mówisz szeptem?

Nie, ale trochę było... nieprzyjemnie między nimi w tej chwili.

– Nieprzyjemnie? No nie, teraz to sobie żartujesz. Przecież ty i Krumme jesteście bardzo... To nie do pomyślenia!

Jak najbardziej do pomyślenia, ale to na pewno przejdzie, niech mała brataniczka więcej sobie tym nie zaprzęta głowy, a teraz musiał się rozłączyć, zgadają się przy okazji.

Położyła się w lodowatej pościeli, zwinęła się w pozycji embrionalnej i zacisnęła oczy. Przez otwarte okno słychać było rozpaczliwy płacz dziecka, a ścieżką przed domem szło kilku młodych ludzi, prowadząc hałaśliwą dyskusję. **Trochę nieprzyjemnie w tej chwili...**

Było całkowicie bezwietrznie, przyroda nie wydawała żadnego dźwięku. Lubiła zasypiać przy akompaniamencie wiatru albo deszczu, kiedy wielkie brzozy trzeszczały i kołysały ją do snu. Ciepłe łóżko miało znacznie większą wartość przy prawdziwie psiej pogodzie na dworze. Ale dziś w Stovner panowała zupełna cisza. Wstała, włączyła komórkę, wysłała SMS-a: Tęsknię za tobą. Czy jutro się zobaczymy? Leżała, patrząc na czerwone cyfry na wyświetlaczu radia aż do chwili, gdy pokazały godzinę 02:43. Wtedy zasnęła, a Christer nadal nie odpowiedział.



## ROZDZIAŁ 11

Gdy jak zwykle wstał o wpół do siódmej i zszedł do kuchni, spojrzął na termometr zewnętrzny, który wskazywał minus dwanaście stopni. Od razu poczuł niepokój. Miał dwa nowo narodzone mioty, najmłodszy zaledwie pięciodniowy. Zazwyczaj jedno prosię na siedem umierało w pierwszym tygodniu, takie były statystyki i średnia, nienawidził jednak, jeśli stawały się także jego rzeczywistością. A zimno było potężnym wrogiem. Wtedy natura przejmowała rządy.

Po tym jak matka kilka lat wcześniej zdecydowała się odsprzedać krowę mleczną i przejść na hodowlę świń, przebudował oborę, nie miał jednak pieniędzy na zainstalowanie kabli grzewczych w podłodze boksów porodowych. Prosięta spały w skrzynkach w rogu, ogrzewała je lampa zawieszona u góry, ułożone były na grubej warstwie słomy, ale gdy maciora zaczynała chrząkać i nawoływać do jedzenia, musiały wyjść na betonową podłogę i później wrócić tą samą drogą. Dla małego stworzonka poruszanie się pomiędzy ogromnym cielskiem matki a resztą świata oraz ciągle lawirowanie pomiędzy strefą ciepła i zimna nie zawsze było łatwe. A jeśli już wcześniej było trochę słabe, wystarczyło kilka minut, żeby zamarzło i leżało bez życia, tak powstawało błędne koło.

Ale najpierw musiał się napić kawy. Na niewiele się zdawał bez kawy.

Napalił porządnie w piecu na drewno, a w czasie, gdy kawa się gotowała, napalił również w salonie. Ojciec zawsze wstawał później i mógł w związku z tym cieszyć się przywilejem zejścia na dół do ciepłego pomieszczenia i łyka letniej kawy. Kiedy matka jeszcze żyła, to ona zawsze paliła w piecu, a on schodził wówczas do ciepła. A także do filiżanek postawionych na stole, kostek cukru, domowych ciasteczek owsianych z brązowym serem. Wcześniej rano nigdy nie chciał za wiele jeść, wiedziała o tym, dopiero po powrocie z porannego obrządku w chlewie robił się głodny jak wilk.

Staął przy oknie, pijąc kawę, zanim opadły w niej fusy. Niebo było purpurowe, jasne od gwiazd, jedynie na wschodzie odznaczał się już mały pasek światła. Wzdrygał się na myśl o przejściu przez podwórko w tym kłuszącym mrozie, nienawidził zimna najbardziej na świecie. Nie tylko dlatego, że wgrzyzało się podstępnie do domów, ale też z tego powodu, że wszystko robiło się takie trudne, palce grabiły, traktor nie chciał zapalić, gdy musiał jechać do sklepu, a właśnie dzisiaj tak było. Lodówka świeciła pustkami. Nigdy nie używał volvo do jazdy do sklepu, stało sobie suche i bezpieczne w stodole i było używane tylko do wyjazdów do miasta, a te nie zdarzały się często. Olej napędowy mógł sobie odliczyć od podatku, więc było oczywiste, że nie należało wyrzucać pieniędzy na benzynę, żeby jeździć volvo do sklepu spółdzielczego jak jakiś gość.

Ale teraz w zasadzie już nim był. Wielkim gościem. Posiadał gospodarstwo. Chociaż... posiadał jak posiadał, ani Margido, ani Erlend nie wzięli swojej części dziedzictwa, tak więc nie było ono tylko jego. Ale zostało zapisane na jego nazwisko. Po raz pierwszy miał uniknąć

noszenia wszystkich formularzy rozliczeń rocznych i zeznań podatkowych do salonu do ojca i patrzenia, jak tam siedzi i skrobie na nich swoje nazwisko.

W tym roku wpisał własne nazwisko nad wszystkie przerywane linie.

Czy czuł radość w tym dniu, gdy wszystkie papiery zostały przysłane pocztą, a Margido zadzwonił i mu pogratulował? Nie był do końca pewien. A to, że Margido użył słowa „gratuluje”, wydało mu się w najwyższym stopniu absurdalne i dość idiotyczne. Gospodarstwo oznaczało przecież odpowiedzialność, to nie był ładnie opakowany prezent, który ktoś położył mu na kolanach wyłącznie ku jego radości.

Śnieg skrzypiał pod nogami; szedł ostrożnie, żeby się nie przewrócić. Mróz nie powinien go zaskakiwać, w końcu była połowa lutego, tylko styczniowi udało się tak ich oszukać łagodną pogodą, znacznie odbiegającą od normy. W spółdzielni usłyszał, że nad zatoką Gaulosen zaobserwowano nawet stada ostryojadów.

Włożył kombinezon oraz buty robocze i ruszył do chlewu, zapalił świetlówki pod sufitem. Dopiero co otwarte oczka mrugały ku niemu ze wszystkich boksów, maciory podniosły się i przywitały go chrząkaniem, ukucnął, żeby dotknąć podłogi. Tak, była zimna. Trzeba tu będzie przynieść bardzo dużo słomy. Leżącym maciorom, pełnym mleka, też nie służyło zimno ciągnące od podłogi. Będzie z tym strasznie dużo dodatkowej pracy, przy takiej ilości słomy, którą trzeba będzie w kółko zmieniać, ale co zrobić, nie było zmiłuj.

Poszedł szybko dalej do najmłodszego miotu. Światło spowodowało, że obie maciory zaczęły wzywać na jedzenie, a on uważnie przyglądał się młodym. Każdy dostał swój sutek, zazwyczaj po kilku dniach hierarchia wśród młodych była ustalona i każdy miał zapewnione swoje prywatne wymię. Jeśli któryś później się pomylił, pokrzywdzony ruszał natychmiast do ataku. Maciory miały zazwyczaj dość sutków dla wszystkich prosiąt, to były młode maciory, więc ich mioty nie liczyły więcej niż jedenaście, dwanaście prosiąt. Oglądał teraz ten najmłodszy miot, maciora miała na imię Trulte i była spokojną, ładną świnią, z którą wiązał wielkie nadzieje. Rzadko wcześniej podczas prosienia się miał okazję obserwować u świni tak spokojne i ufne zachowanie, chyba tylko Siri przewyższała ją pod tym względem, ale nawet Siri udało się zagnieść na śmierć jedno ze swoich młodych. Zajrzał do boks, w którym młode Siri i Sary chodziły razem, odstawione czternaście dni temu. Stały i gapiły się na niego, jedno obok drugiego, a ryjki drżały im w powietrzu, zupełnie jakby sam jego zapach mógł im wyjaśnić, dlaczego stał tam i nic nie robił, kiedy one czekały tu głodne.

Sama Sara została zabrana przez samochód z rzeźni Eidsmo w kilka dni po tym, jak odebrał jej młode. Zdołała wydać na świat jeden jedyny miot i z dziewięciu młodych cztery zabiła podczas porodu. Na taką maciorę nie można było dalej liczyć w hodowli. Co prawda została przestraszona w samym środku porodu przez helikopter ratunkowy, który leciał zbyt nisko nad polami, kierując się w stronę Szpitala Świętego Olava, ale mimo wszystko. Pójdzie na salami i mielone. Zamierzał teraz wybrać dwie świnię z jednego z nowych miotów i zrobić z nich maciory hodowlane. Trzeba je będzie karmić inaczej niż zwykle świnię rzeźne, wolniej, skoro celem nie było osiągnięcie pełnej wagi rzeźnej w określonym terminie. Zamiast tego należało dążyć do uzyskania zdrowej, żywotnej świni o prawidłowej wadze. Ciekawe, jak by je nazwać? Może Doiły i Diana. Tak, to były dobre imiona. Lubił nadawać świniom imiona, a nie tylko ograniczać się do ich numerów produkcyjnych.

Dwa prosiaki od Trulte wydawały się słabe. Nie jadły równie energicznie jak pozostałe. To były dwie najmniejsze sztuki. Kiedy skończyły ssać, wziął jednego z nich za tylne nogi i podniósł przed sobą w powietrzu. Prosię drżało.

– Nie ma na tobie na razie zbyt wiele mięsa, nie da się ukryć. I do tego marzniesz.

Położył prosię na samym środku pod lampą grzewczą. Gdy młode się kłóciły, zdarzało się często, że spychały konkurenta na bok, również w czasie układania się do snu. Porządek dziobania obowiązywał tutaj tak samo jak wszędzie.

Miot Trine był żwawy i ładny, nie dostrzegł żadnych oznak, żeby któreś z młodych czuło się gorzej. One też miały osiem dni i już minął najgroźniejszy dla nich okres. Nawet najmniejsze prosięta sprawiały wrażenie bystrych i ruchliwych i nie wydawały się w żaden sposób dotknięte faktem, że za ścianami z szarego kamienia na świecie panował dwunastostopniowy mróz.

Posprzątał wszystkie boksy, przyniósł paszę i posypkę torfową. Poczochrał świnię za uszami, gdy wsadziły głowy do granulatu, pogawędził z maciorami, zwracając się do nich po imieniu, uśmiechnął się na widok prosiąt, wspinających się na siebie, żeby znaleźć się w miejscu, które pozwoli im królować nad całą gromadką.

– Przy takiej waszej aktywności nie muszę się martwić, że zamrzniecie, o nie. Ale dostaniecie trochę dodatkowej słomy, będziecie miały czym się tutaj zajmować.

Wyciągnął dwa wielkie baloty słomy na środek przejścia i rozerwał sznurki, znalazł widły i rozniósł wszystkim szczodre porcje sterczącej słomy. Prosięta od razu zaczęły wyrzucać całe jej kłęby w powietrze i uganiać się za sobą. Maciory chrząkały z ukontentowaniem, ryjąc w ściółce. Siri stała i jak zawsze czekała na coś więcej niż tylko słomę, a on podetknął jej gotowanego ziemniaka z wczoraj, którego wciągnęła do środka z głośnym zadowoleniem.

– I dostaniesz też dodatkowej ściółki z powodu mrozu.

Siri miała w brzuchu kolejny miot, chciałby bardzo, aby okazał się liczny, bo to od Siri najchętniej miałyby nowe maciory hodowlane. W skrzynkach dla nowo narodzonej młodzieży ułożył trochę dodatkowej słomy i uklepał ją ręką. Tyle musiało wystarczyć.

Kiedy wypełnił już wszystkie obowiązki, a z chlewu dobiegały odgłosy zucia i krzątania się, poszedł do pomieszczenia gospodarczego, żeby w butelce ze smoczkiem przygotować letni roztwór wody z cukrem. Obawiał się o tych dwóch słabeuszy od Trulte. Torba z cukrem zawilgła w szafce, znalazł śrubokręt i odłupał kawałek, zagotował wodę na pojedynczej płytce stojącej na blacie, wymieszał ją z cukrem. Gdy cukier się rozpuścił, dopełnił butelkę zimną wodą, aż płyn uzyskał letnią temperaturę, i poszedł z powrotem do boks porodowego Trulte.

Dokładnie tak jak myślał: dwa najmniejsze maluchy leżały już wypchnięte na zewnątrz kłębowiska śpiących pod czerwoną lampą dał. Wziął jednego na rękę, młody spał i prawie nie dawał się obudzić, musiał długo się starać, aby wetknąć smoczek w mały ryjek, a wtedy instynkt doszedł do głosu i prosię zaczęło gwałtownie ssać.

– Tak, właśnie tak, myślę, że dobrze d to zrobi. Ale nie wszystko, twoja siostra dostanie drugą połowę.

Młody nadal drżał, również po odłożeniu go na miejsce pod lampą grzewczą. Trzydzieści cztery stopnie stanowiły idealną temperaturę dla takich prawie nowo narodzonych i miał wrażenie, że tyle właśnie mają, jednak jeżeli zimno już raz je dopadło, to musiały potem zużyć mnóstwo energii na odzyskanie prawidłowej ciepłoty ciała. Podniósł drugie prosię i dał mu resztę wody z cukrem. Nagle przypomniał sobie coś, o czym czytał w magazynie „Nationen” jakiś czas temu, o gospodarzu, który wkładał nowo narodzone prosięta do wiadra z ciepłą wodą, ubrane w żółciutkie kamizelki pływackie związane wokół szyi. Uśmieł się serdecznie, widząc to zdjęcie, pokazywali je chyba nawet w dzienniku telewizyjnym. Chodziło właśnie o statystyki dotyczące śmiertelności wśród nowo narodzonych prosiąt.

Nie miał wprowadzić żółtej kamizelki pływackiej, ale wiadro i ciepłą wodę przecież miał. I dwie ręce.

Przyniósł wiadro z podgrzaną wodą i kilka suchych ręczników i złapawszy młodego za tylną nogę, wyłuskał go ze stada. Schwycił go mocno pod pachy i zanurzył w wodzie. Prosię rzuciło się jak szalone i piszczało, zupełnie jakby nadziewał je na rozżarzony pał. W całym chlewie zrobiło się nagle cicho, panowała atmosfera nadsłuchiwanie i natężonej uwagi.

– Uspokój się, przecież cię nie zabiję. Żyję z ciebie, ty mały głuptasie.

Nie minęło wiele sekund i protesty ucichły, a na małym ryjku prosiaka odmalowała się senna błogość. Po kolejnych kilku sekundach zwiślał bezwładnie w rękach Tora i spał zanurzony w ciepłej wodzie.

Stał niewygodnie. Jak długo to prosię w kamizelce pływackiej było trzymane w wodzie? Tego to już na pewno nie pamiętał, o ile w ogóle coś na ten temat zostało powiedziane.

Powinien był usiąść na balocie słomy, zanim zanurzył młodego w wiadrze. Teraz już było za późno. Stał w pozycji, która sprawiała mu ból niemal rozrywający kręgosłup, a młody prawdopodobnie już się rozgrzał, podniósł go zatem do góry, owinął suchym ręcznikiem i wytarł. Prosię ledwie się obudziło, położył je obok reszty, w środku kłębowiska, odepchnął kilka opornych młodych na bok. Poszedł do pomieszczenia gospodarczego i dolał do wiadra nieco ciepłej wody, a potem powtórzył tę samą procedurę z drugim maluchem. Następnie położył go w środku sterty prosiąt, tuż obok pierwszego. Lepiej mające się i ciepłe rodzeństwo będzie musiało zaakceptować fakt, że tutaj kto inny decyduje.

Zamiótł korytarz z resztek słomy, potem wylał wodę z wiadra i przejechał miotłą jeszcze raz, stojąc, oparł się w zamyśleniu o kij od szczotki. Należało umyć dokładnie cały chlew, zarówno ściany, jak i podłogi, a także sufit, gdyby odwiedził go tutaj inspektor nadzoru z KSL<sup>6</sup>, na pewno te rzeczy zostałyby wytknięte. Jednak w tym zimnie można było na razie o sprawie zapomnieć. Ale nagła myśl o inspektorze, który mógłby się wyłonić, przyprawiła go o pewien strach. Jeśli nie spełni wszystkich wymogów stawianych producentom zdrowego mięsa, ryzykuje obniżoną cenę skupu żywca. Przyniósł więc kilka wiader z wodą i rozlał ją tu i ówdzie, a potem zebrał brązową wodę szczotką tak dokładnie, jak tylko potrafił. Następnie starannie opłukał szczotkę i skierował ją pod sufit, zdejmując liczne pajęczyny, przejechał nią również wzdłuż świetlówek i od razu uznał, że teraz lepiej wygląda. W pomieszczeniu gospodarczym przetał ławki tą samą ścierką, którą wycierał prosięta, stał chwilę, przyglądając się płytce, nie była czysta, a kiedyś przecież świeciła bielą. Otworzył szafkę i jedną ręką szukał czegoś gwałtownie w ciemności całkiem z tyłu. Tak jak przypuszczał, znalazł tam bardzo starą, plastikową butelkę proszku Ata. Biało-srebrna etykieta była pomarszczona od wilgoci i ani jedno ziarenko Aty nie wypadło przez dziurki. Odciął górę butelki i zajrzał do środka, a widząc tam stwardniałe grudki białego proszku, ponownie ruszył do dzieła uzbrojony w śrubokręt. Następnie wyposażony w ścierkę, proszek Ata oraz letnią wodę szorował płytkę i czuł, że się sobie podoba, że jest w stanie sprostać sytuacji, zrobić to, co należy. Butelka proszku Ata przypominała mu dawne czasy, teraz już takich rzeczy nie sprzedawano. To, czego dzisiaj używali ludzie, nazywało się Cif i było w płynie. Matka zawsze stosowała tylko stalową wełnę i mydło Sunlight, a przecież było czysto.

Kiedy odstawił środek czyszczący z powrotem do szafy, stał chwilę, przyglądając się najniższej półce. Znajdowała się tam półlitrowa butelka okowity, jeszcze z odrobiną płynu na dnie, wysoka, ciemna butelka duńskiej wódki z podobnie symbolicznym łykiem na dnie oraz kilka butelek z piwem. Pozostałości świąteczne, które przeniósł tutaj, żeby mieć je do swojej dyspozycji. Poza tym stary człowiek tam w domu nie tolerował alkoholu.

---

<sup>6</sup> KSL - norweska organizacja do spraw nadzoru jakości produkcji rolnej (przyp. tłum.).

Podniósł jedną butelkę z piwem. Było dokładnie tak, jak się obawiał, właśnie zaczęła zamarzać, za ciemnym szkłem pływały już pojedyncze kawałki lodu. Zabrał wszystkie piwa i zaniósł je do chlewu, stawiając w przejściu przed jedną ze skrzynek dla maluchów.

Zanim opuścił pomieszczenie gospodarcze, odkręcił wodę tak, aby leciała cieniutkim strumieniem. Dzięki temu rury nie zamrzną. Teraz pójdzie do domu i zje porządne śniadanie oraz posłucha prognozy pogody, a potem wsiądzie na traktor i pojedzie do sklepu.

Dzień później przyszła pomoc domowa. Temperatura wzrosła do minus dziesięciu. Pierwsze słowa, które wypowiedziała, wchodząc do kuchni, brzmiały:

– To mój ostatni dzień pracy tutaj.

– Ale...

– Ależ tak, będziecie mieć pomoc domową, tylko będziemy trochę zmieniać grafik, więc do was przyjdzie ktoś inny.

Przyzwyczał się już do niej. Nie była wścibska, robiła tylko to, co do niej należało, a potem jechała do domu. W czasie sprzątanía słuchała muzyki przez słuchawki, nucąc przy tym do taktu. Ojciec był z tego akurat niezadowolony, bo chętnie by sobie porozmawiał. Nie rozumiał, że tak młoda osoba jak ona nie miała ochoty słuchać marudzenia starszego pana o pogodzie, wojnie i dawnych czasach w Byneset, a także o tym, jakie to okropne, że na dobrej uprawnej ziemi zrobili w Spongdał pola golfowe.

– To chyba raczej zrezygnujemy z gosposi – powiedział Tor.

– Głupstwa pan mówi, przecież musicie mieć tutaj czysto. Nastawię dzisiaj pralkę z ubraniami z chlewu, proszę przynieść te, które pan chce mieć wyprane. A poza tym to się teraz nazywa pomoc domowa, a nie gosposia, takich określeń używało się w dawnych czasach. W zasadzie to też już wyszło z użycia, teraz mówi się „jednostka do utrzymania czystości”. Ale brzmi to tak głupio, że nawet ja nie nazywam tak naszej pracy, choć faktycznie **tak** się nazywa.

– Tak czy owak kończymy. Niezależnie od nazwy.

W tym momencie przypomniało mu się, że to Margido opłacał udział własny związany z tą pomocą i natychmiast zauważy, jeśli z tego zrezygnują. Zaklął w duszy, to nic nie da. Ze względu na Torunn...

– A kto to miałby być? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia. Zobacz pan, jak przyjedzie, a teraz proszę mi podać ten tam pana kombinezon od chlewu. I grube skarpety, i podobne historie, a ja w tym czasie wyrzucę na dwór ten obrzydliwy plastikowy dywanik.

Dostrzegł je w chwili, gdy stał z kombinezonem w rękach i ledwo zdążył wetknąć głowę do chlewu, żeby zobaczyć, czy wszystko tam w porządku. Trzy tłuste szczury na samym końcu przejścia, stały tam i jadły rozsypyany przypadkiem przy porannym obrządku granulát.

– DO KURWY NĘDZY!

Szczury przebiegły pod ścianą do pomieszczenia z paszą, skoczył za nimi długimi susami, ale już ich nie było. W środku ściany były popękane we wszystkie strony, powstało w ten sposób doskonałe przejście zarówno do stodoły, jak i do starego wychodka oraz na schody do silosu.

– SZCZURY! Ja, do cholernej kurwy, nie chcę mieć SZCZURÓW wśród moich świń! – wrzasnął, waląc zacisniętą pięścią w ścianę. Sama myśl o tym, co powiedziałaby na to inspektor KSL... Z myszami w gospodarstwie trzeba się było pogodzić, ale **szczury!**

Wskoczył tylko do domu podać gosposi kombinezon i już był z powrotem na zewnątrz, zamierzał natychmiast wsiąść na traktor, ale szybko się zreflektował.

Nie mógł kupić pułapek na szczury oraz trutki w spółdzielni, pogłoski natychmiast by się rozeszły po okolicy. Będzie zmuszony pojechać do miasta, do sklepu chemicznego Osterlies, tam może zaparkować tuż przed wejściem. Ciężkimi krokami skierował się z powrotem do domu i poszedł na górę do łazienki, żeby się trochę oporządzić. Żeby tylko volvo w tym przeklętym zimnie dało się odpalić.

– Jadę po coś do miasta, zapewne pani skończy, zanim wrócę. Dziękuję za pomoc – powiedział, gdy już zszedł na dół i włożył kurtkę. Ona akurat myła podłogę w kuchni i nie zareagowała na jego słowa. Musiał szturchnąć ją palcem lekko w ramię, wyjęła wtedy słuchawkę z jednego ucha. Słuchawka była malutka, zwisała teraz na czarnym kabelku. Nieprawdopodobne, żeby coś tak małego wydawało dźwięk.

– Mówił pan coś? – zapytała.

– Jadę tylko do miasta, pewnie pani skończy sprzątać, zanim wrócę, więc dziękuję za dotychczasową pomoc.

– Nie ma za co. To moja praca. Proszę o siebie dbać!

Skinął głową i poszedł. Ojciec siedział w salonie i zapewne słyszał wszystko, co zostało powiedziane, więc nie potrzebował jego też powiadamiać, że właśnie jedzie do miasta.

Fiord leżał lodowaty i bezwietrzny, ani jednego muśnięcia, wioska po drugiej stronie migotała za błękitną, mroźną mgiełką, statek turystyczny płynął właśnie w stronę fiordu Flakk, biały i rozciągnięty, z kropkami wskazującymi rząd okien. Słońce w śnieżnej bieli codziennie przesuwało się na niebie trochę wyżej, nie dawało jednak jeszcze żadnego ciepła. Zastanawiał się, jak udało się przetrwać ostrygojadom, pewnie zamarły, oczyma wyobraźni widział cienkie, czerwone nóżki brodzące w lodowatej wodzie przy dwunastu stopniach mrozu. Tłoki silnika pracowały nierówno, jeszcze się nie rozgrzał, musiał skrobać szybę od wewnątrz aż do chwili, gdy dawno już minął Rye.

Nowa gosposia. I szczury w chlewie.

Nie dalej jak wczoraj udało mu się znów odczuć zapomnianą radość z panowania nad sprawami dnia, odzyskać poczucie, że wszystko gra i idzie zgodnie z planem. Jakimż był durniem. Nikt nie znał dnia przed zachodem słońca, najwyraźniej nic nie miało mu iść łatwo.



## ROZDZIAŁ 12

Erlend stał przed szklaną witrynką i podziwiał swoje figurki Swarovskiego. Sto trzy miniatury z fasetkowo szlifowanego kryształu, małe cuda, oświetlone punktowym światłem, rozstawione na lustrach i szkłe. Miniaturki zwierząt i kwiatów, kieliszki do szampana nie większe niż kilka centymetrów, owady z nóżkami i małymi, srebrnymi czułkami, idealne kopie codziennych zjawisk aż po najdrobniejsze detale, między innymi telefon komórkowy z kryształu i złota, zaledwie czterocentymetrowy, na którym za pomocą szkła powiększającego można było dostrzec cyfry i łabędzia Swarovskiego, ukrytego w okienku wyświetlacza.

Witrynką stanowiła symbol jego wielkiej pasji zbierackiej, a plansza szachowa z przezroczystego i czarnego kryształu otrzymała należne jej miejsce na środkowej półce. Na podstawie zagadki szachowej zamieszczonej w tabloidzie „BT” ustawił figury w taki sposób, aby dać czarnym mata w dwóch ruchach. Krumme oczywiście rozwiązał zagadkę błyskawicznie, nie było rzeczy, której ten człowiek by nie potrafił. Jednak gdy Krumme w pierwszy dzień nowego roku zaproponował, żeby rozegrali partyjkę kryształowymi szachami, Erlend stanowczo oznajmił, że do niczego takiego nigdy nie dojdzie. Do grania mieli używać starej, drewnianej szachownicy, z drewnianymi figurami. Kryształowa szachownica mogła się zarysować, nie mówiąc o tym, że figurka mogłaby spaść na podłogę, a poza tym on przegra, zawsze tak było. Ale stojąc przed tą błyszczącą, mieniącą się szachownicą, zawsze będzie zwycięzcą, bo była ona jego własnością.

Był sam w domu i miał tak być przez kilka godzin. Krumme pracował do późna, zaczęli już przygotowywać dodatki do wydania świątecznego, wszystko: począwszy od reportaży na temat tradycji zajęczka wielkanocnego i ozdabiania jaj, kończąc na wywiadach przeprowadzanych w domach celebrytów ustalających trendy, którzy ozdabiali swoje mieszkania na święta już w końcu lutego tylko po to, żeby ich twarz znalazła się w tygodniku.

Zjadł kawałek tarty znalezionej w lodówce, napił się czerwonego wina i przyrządził sobie filiżankę espresso. Stał, trzymając ją w dłoni i popijając kawę drobnymi łyżkami, jednocześnie podziwiał cały bezmiar przejawów niepotrzebnej piękna, które dawały mu tyle radości. **Zazwyczaj** dawały mu tyle radości, więcej niż to miało miejsce obecnie.

Po tym, jak Krumme wyrzucił z siebie te swoje marzenia o rodzicielstwie, jakoś zabrakło we wszystkim sensu. Przecież musi istnieć taka możliwość, myślał sobie, żeby potrącenie przez samochód nie powodowało nagłej chęci rozmnażania się. W zasadzie gdyby miał być szczerzy, to nie Krumme chciał się rozmnażać, chciał natomiast, żeby to Erlend został ojcem, utrzymywał, że Erlend ma lepsze geny, wystarczyło stanąć przed lustrem, a wybór kandydata na ojca stawał się całkiem oczywisty, zdaniem Krumme.

Dziecko. Nie znał żadnych dzieci, nigdy ich nie dostrzegł, nie miał do nich żadnego stosunku. Znał tylko sztywne i zimne manekiny wystawowe u Benettona. A zbiór kryształów Swarovskiego, który właśnie podziwiał – zmuszony byłby zbudować wokół witryнки fosę pełną



wody i wpuścić do niej żywe aligatory. Dzieci i aligatory powinny się chować razem, słyszał przecież, że najlepiej jeśli dzieci dorastają razem ze zwierzętami.

Tym, co całkowicie zbiło go z tropu, nie był sam fakt, że Krumme chciał mieć dziecko. Ale to, że Krumme ukrywał przed nim odczucie, że jego życie nie jest doskonałe. W zupełnej tajemnicy uważał, że czegoś w nim brakuje, że to, co mają, jest niewystarczające.

To było absolutnie najgorsze.

Jedyne, co było jeszcze straszniejsze, to perspektywa, że Krumme na pewno odejdzie, może znajdzie sobie kobietę, która zechce dać mu dziecko. Krumme miał przecież dwa związki z kobietami, zanim się spotkali. Oczywiście z mężczyznami też, ale w końcu dwie kobiety, czyli myśl nie byłaby mu obca, gdyby ta histeria w kwestii dziecka całkowicie przeważała.

Więcej już o tym nie rozmawiali. Erlend podejrzewał, że Krumme chce mu dać czas do namysłu, jednak wszystko, o czym myślał Erlend, to był ich związek, w którym coś się popsło i zostało zniszczone. Kiedyś dzielił się z Krumme natychmiast wszystkim, co mu przyszło do głowy, robił to całkowicie spokojnie, a przez kilka ostatnich tygodni zaczął ważyć dokładnie każde słowo. Pilnował też, żeby żadne zdanie nie zawierało wyrażenia ani sugestii mogących skierować rozmowę na temat dzieci.

Zabrał filiżankę z kawą i poszedł do kominka, usiadł, nie zapalając gazowych płomyków wokół sztucznych polan. Nie był szczęśliwy i nienawidził tego uczucia. Chciał być szczęśliwy! Myślał o tym koszmarnym wieczorze, gdy Krumme został potrącony. Gdyby tylko można było wyjąć z przeszłości tych kilka godzin i w ten sposób mieć je z głowy, to tak właśnie by zrobił. Wiele by dał za taką możliwość, zapłaciłby chętnie nawet kryształową szachownicą. A o hologramowym kominku nie zamierzał więcej nawet **pomyśleć**. Gdyby tylko nie rozmarzał się tak na ten temat, Krumme nie zostałby potrącony. To była kara. Więcej jest wrogiem dobrego.

Nie był też w stanie porządnie pracować. Działał głównie według wskazań autopilota. W takim stanie, w jakim się obecnie znajdował, nie było nawet co myśleć o wystawie ze złodziejami w zakładzie jubilerskim. Właściciel sklepu marudził o nowy wystrój okna, jednak Erlend twierdził zdecydowanie, że ta obecna wystawa będzie nowością jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie, co oczywiście było wierutnym kłamstwem. Sporo prac przekazał Agnete i Oskarowi, jednak w zeszłym tygodniu w Illums udało mu się skupić i wtedy do głowy przyszedł mu świetny pomysł. Dział prezentów w Illums chciał zasygnalizować dostępność towarów w każdej klasie cenowej, kosztowne rzeczy i tanie drobiazgi stawiające kropkę nad „i”, zrobił więc dokładnie taką wystawę. Zawiesił płachtę czarnego aksamitu jako tło i pod materiałem zbudował dwa niewielkie podia. Na jednym z nich postawił ręcznie robiony półmisek z zamku Steninge za trzydzieści siedem tysięcy na drugim podium ułożył wyplataną obrączkę na serwetkę, ozdobioną drobnymi, niebieskimi serduszkami, po czternaście koron za sztukę. Półmisek i obrączka zostały wyposażone w duże metki z cenami ustawione obok. Oświetlił oba podia wraz z przedmiotami tak, jakby to były gwiazdy filmowe, i to wszystko. Efekt był uderzający, a Illums po trzech dniach miał wyprzedane wszystkie obrączki na serwetki z niebieskimi serduszkami i musiał je wymienić na obrączki z ciemnego drewna w złote kropki za dwadzieścia trzy korony.

A zatem podobało im się jego rozwiązanie. Ale oczywiście nie mógł im jednak wystawić sowitego rachunku akurat za **tę** wystawę.

Nagle wydało mu się, że słyszy szum windy zatrzymującej się na ich piętrze, spojrzął na zegarek, czy Krumme już wracał do domu? Nadśluchiwał. Było zupełnie cicho. To chyba sąsiedzi z dołu. Nagle jak ostrze noża przeszła go świadomość: Poczł **ulę**, że to nie jest Krumme! Rozpłakał się.

Nalał sobie gorączkowo spory kieliszek koniaku, zaparzył kolejne espresso i zabrał papierosy oraz czystą popielniczkę do pokoju gościnnego, którego używał jako biura. Postawił wszystko obok klawiatury, wytarł oczy obiema rękami, nie troszcząc się o rozmazaną kredkę, wypił do końca koniak i nalał sobie więcej, włączając przy okazji płytę Donny Summer. Przełączył głośniki do biura, a potem zapadł w fotel przed monitorem. Będą zmuszeni w końcu porozmawiać. Wszystko zostało zamiecione pod dywan. Chodzenie po dywanie z tyłoma rzeczami pod spodem było niemożliwe. Będzie musiał spojrzeć temu wszystkiemu w oczy, a sama ta myśl przerażała go do głębi.

– Do cholery z tym – pomyślał, logując się w sklepie internetowym Swarovskiego.

Ekran monitora wypełniły zakładki strony internetowej. Jako członek klubu kolekcjonerów figurek Swarovskiego miał możliwość zakupu okazów produkowanych w limitowanej serii, po zalogowaniu się zobaczy natychmiast The Eagle z roku 1995, którą już miał, Peacock z roku 1998, którą również miał, oraz The Buli z roku 2004. Tej nie posiadał. Kliknął ikonkę „Dodaj do koszyka” i poszedł dalej. Dotarł do figurki roku, którą każdy członek klubu mógł kupić tylko w jednym egzemplarzu, dwóch małych ryb błazenków żyjących w symbiozie z ukwiałem. Pochylił się w stronę monitora i upił łyżeczek koniaku, ta figurka była naprawdę wyszukana, wykonano ją w dwóch wariantach, jeden był kolorowy, a drugi przezroczysty, wybrał przezroczysty, „Dodaj do koszyka”, znów zaczął odczuwać coś na kształt radości, wkrótce będzie zmuszony dokupić nową witrzynę, a to z kolei oznaczać będzie kolejną fosę i więcej aligatorów.

Nacisnął na pasek z nowościami. Rak pustelnik. Pełzający ze swoim ukradzionym ślimaczym domkiem na grzbiecie, pokazany na ekranie z trzech stron, „Dodaj do koszyka”. Może już teraz „Idź do kasy”? Ależ skąd, wcale nie, czemużby, siedział tutaj i miał coraz lepszy humor. A co z jednorożcem? Krumme dał mu jednoroźca Swarovskiego w prezencie i udało mu się go stłuc przy odkurzaniu witrzynki przed świętami Bożego Narodzenia, chciał więc kupić nowego. Naprawdę tego chciał, Krumme by się cieszył, mógłby kupić jednoroźca tylko po to, żeby ucieszyć i zaskoczyć Krumme. Donna Summer rozciągała swoje struny głosowe do granic możliwości, a on w tym czasie wpisał w okienku „Szukaj” słowo *unicorn*, a następnie pobiegł do salonu i przyniósł sobie kolejny kieliszek koniaku. Kiedy wrócił, jednorożec był już na ekranie, z kręconym rogiem i podniesioną przednią nogą. Tylko tysiąc dziewięćset koron, to była okazja, „Dodaj do koszyka” i „Idź do kasy”.

Czy Krumme nie mógłby wreszcie wrócić. Musieli porozmawiać, nie mógł dalej tak się czuć. Krumme twierdził, że nie da się z nim rozmawiać, że reaguje zbyt emocjonalnie, ale jak inaczej można było reagować, gdy całe życie zostało postawione na głowie i rozsypane po podłodze? Gdyby tylko mógł dopaść tego gościa, który potrafił Krumme! Zbiłby go do nieprzytomności i pozbawił jaj. Teraz jednak miał dostać byka, dwie rybki z ukwiałem, raka pustelnika oraz jednoroźca, figurki były już w drodze do niego, ta myśl nieco go rozgrzewała. Przypomniały mu się raki pustelniki na płyciźnie w Øysand nad zatoką Gaulosen, uciekające przy odpływie. Razem z dziadkiem Tallakiem zaśmiewali się z bezczelności raków, które zrzucały stare, ukradzione ślimakom muszle, gdy zrobiły się za małe, i kradły sobie nowe i większe. Dziadek Tallak pomagał mu łapać je do wiadra. Wkładali do środka mnóstwo pustych muszli i śmiali się z raków, które nagie biegały dookoła i przymierzały się do nowych domków, żeby sprawdzić ich fason i przestronność. Starają się wybrać ten właściwy i są niespokojne, że mają tyle domków do wyboru, powiedział wówczas dziadek Tallak. Wyobrażają sobie, że jest im źle w starym domku, skoro tylko zauważą nowy. Erlenda zafascynowała ta myśl – że właśnie po to są na świecie, urodziły się, aby kraść cudze domy i w nich przeżyć.

Że urodziły się całkiem bez ochrony.

Chodzili tam sobie, on i dziadek, brodzili w wodzie aż do zamoczenia nogawek podwiniętych spodni. **Dziadek.** Tak, w końcu tak cię nazywałem, pomyślał, zamykając oczy, myślał o falach wgrzających się w piasek na brzegu, o palcach u nóg, które w słonej wodzie stawały się białe i pomarszczone.

Spał w jednym z foteli przy kominku, gdy zjawił się Krumme i obudził go, głaszcząc go szybkim ruchem po policzku. Całując go w czoło, rzekł: – Przywiozłem pizzę. Zamówiliśmy w pracy i okazała się za duża. Jesteś głodny, myszko?

– Chyba zasnąłem...

Otrzeźwiało go śnie i natychmiast poczuł ukłucie wyrzutów sumienia za to, że zamówił tego jednorożca. Będzie zmuszony trzymać go przez chwilę w ukryciu, postawić go całkiem z tyłu na jednej z półek. Krumme nigdy nie chodził przyglądać się witrynce, chyba że Erlend popchnął go w tamtą stronę, chcąc, by dzielił z nim entuzjazm.

Krumme pachniał cygarem, czosnkiem i piwem. Jego matriksowy płaszcz leżał przerzucony przez poręcz jednego z empirowych foteli w korytarzu. Krumme i ten płaszcz stali się nierozłączni.

– A czym ty zajmowałeś się przez cały dzień? – zapytał Krumme.

– Niczym specjalnym. Pracowałem w biurze, zamówiłem nowe katalogi dodatków, opracowałem plan, na które jarmarki staroci trzeba wysłać naszych asystentów, takie tam sprawy. Nigdy nie wiadomo, co uda im się tam znaleźć, jeśli chodzi o dziwne i rzadkie przedmioty, których będziemy mogli użyć na wystawach, sam wiesz. W ostatnią sobotę Sally, ta nowa, wyszukała absolutnie, nieprawdopodobnie piękną starą wannę w stylu Ludwika XVI, z nóżkami z prawdziwych morskich żółwi. Na pewno ją wykorzystamy, robiąc coś dla firm zajmujących się wyposażeniem łazienek. Albo na przykład dla sklepów z seksowną bielizną, gdzie manekiny zostaną ustawione w łazience, będą tam stały, szykując się na przyjęcie. Możliwości jest bardzo wiele...

Paplał o byle czym i sam to słyszał, zauważył na sobie spojrzenie Krumme.

– Co będziemy pili do pizzy? – zapytał i podszedł do lodówki, odwracając się do Krumme plecami. Pizzy nigdy nie jadali. Jeśli kupowali coś na wynos, było to jedzenie afrykańskie albo chińszczyzna, ewentualnie tajskie lub sushi.

– Może czerwone wino – powiedział Krumme i zsunął pizzę na ruszt jednego z piekarników. – Podgrzeję ją trochę na grillu.

Erlend wypił butelkę wody mineralnej, zdjął flaszkę czerwonego wina ze statywu, nie patrząc nawet na jego markę, po czym ją otworzył.

– A co pijemy? – zapytał Krumme.

– Nie mam pojęcia – odparł, siadając ociężale. – Nie patrzyłem, co to jest, po prostu otworzyłem.

– Nie jesteś w najlepszej formie?

– Nie. Jestem tym wszystkim... całkowicie zniszczony.

Zaczął płakać, chyba jednak nie był jeszcze całkiem trzeźwy. Spał nie więcej niż godzinę, a wątroba potrzebowała zapewne nieco więcej czasu na uporanie się z czterema kieliszkami koniaku, na których ostatecznie zakończył wieczór.

– Ależ mój kochany Erlendzie...

– A JAK SĄDZISZ, JAK JA SIĘ CZUJĘ! GDY NAGLE NIE JESTEM DOSTATECZNIE DOBRY!

– Dostatecznie dobry? Ależ ty mnie całkowicie źle rozumiesz, stawiasz wszystko na głowie! Jest wprost przeciwnie! Powiedziałem tylko, że bardzo chciałbym, abyśmy mieli dziecko. A gdy

w dodatku chcę, abyś to ty został jego ojcem, jak możesz mówić, że nie jesteś dostatecznie dobry? – rzekł Krumme, siadając po drugiej stronie stołu.

Dlaczego on usiadł tam, dlaczego nie przyszedł, nie objął i nie pocieszył, nie wysłał tych głupich uczuć do diabła.

– Nasze życie nie jest dostatecznie dobre, to starasz się mi powiedzieć. Nasze życie! TO ŻYCIE! – powiedział Erlend i wyciągnął ramiona. – Sądziłem, że żyjemy dla siebie nawzajem! Dla naszych prac, miłości, podróży, przyjaciół. Dla naszego ŻYCIA!

– Mam czterdzieści trzy lata – odparł Krumme cicho. – Ty kończysz czterdzieści za kilka miesięcy. Myślałem tylko, że... że to by nas przeniosło na nowy poziom. Przepraszam, jeśli tak okropnie cię zraniłem. To nie jest coś, czego ja chcę, tylko coś, co chciałbym, aby było **naszym** pragnieniem.

– Ale ja nie chcę na inny poziom, Krumme! A teraz ten nasz obecny został w jakiś sposób... zniszczony.

– Posłuchaj mnie. Skoro nie chcesz mieć dzieci, to ich nie będzie. To proste.

– To wcale tak NIE JEST! Będziesz chciał mnie opuścić.

– Dlaczego miałbym tego chcieć?

– Żeby mieć dziecko.

– Głuptas z ciebie – rzekł Krumme.

– A jak ty sobie wyobrażałeś tę kwestię, co? Tego dziecka?

– Powiedziałem przecież, że jeszcze tego nie wiem. Musielibyśmy przemyśleć to wspólnie, gdybyś ty również tego chciał. Jytte i Lizzi mówiły przecież, że też chcą mieć dziecko, ale że nie są jeszcze do końca przygotowane na rezygnację z całej swojej wolności. Moglibyśmy również skorzystać z matki zastępczej, ale wtedy musiałyby to być za granicą. Jest jeszcze taka opcja, że moglibyśmy dziecko po prostu adoptować.

– O tym wszystkim już mi mówiłeś.

– To po co pytasz? – odparł Krumme.

– Pachnie spaloną pizzą.

Krumme podniósł się i przyniósł pizzę z piekarnika. – Jest tylko trochę spalona na brzegach.

– I tak jestem wkurzony – powiedział Erlend. – Jeśli powiem nie, będziesz mnie nienawidził. Jeśli powiem tak, będę nienawidził **siebie**, bo tak naprawdę tego nie chcę.

– Ale czego w istocie się obawiasz? Mogę o to zapytać? Co tak cię przeraża w myśli o byciu ojcem?

Nie mógł przecież odpowiedzieć: witryna, rysy na parkiecie, brud i syf, i osiemnaście lat ciężkiej pracy, bo przecież dzieci nie wyprowadzają się z domu wcześniej niż w wieku osiemnastu lat.

– Odpowiedzialność – odparł. – Oraz to, że nic nie wiem o dzieciach. Nie znam ich, nie zauważam, nie myślę o nich. Nie interesują mnie.

– Będziesz miał się z kim bawić. Kochasz się bawić, Erlendzie.

– Chcę się bawić z tobą. Z tobą.

– Zjedz teraz kawałek pizzy.

Siedzieli tam, żując kawałki pizzy, a Erlend myślał sobie, że rodzice małych dzieci na pewno odżywiają się czymś takim na co dzień. W Norwegii, według słów Torunn, mrożona pizza Grandiosa była jednym z najlepiej sprzedających się produktów obiadowych, ponieważ ojcom i matkom nigdy nie chciało się gotować ziemniaków. Unikał spojrzenia Krumme, nadal znajdowali się w tym samym miejscu, cała rozmowa prowadziła donikąd, stanowiła tylko kolejne

potwierdzenie tego, że Krumme czegoś **brakowało**. Odłożył na bok spalony brzeg pizzy, opróżniając jednocześnie do dna kieliszek z czerwonym winem.

– Myślę o musicalu *Klatka szaleńców* – powiedział. – O Albinie, który biega dookoła i chce dowieść, że potrafi być matką. Głupi świr, oto czym jestem! Jestem pewien, że wyobrażasz mnie sobie w damskich ciuchach, pchającego przed sobą wózek i paplającego cienkim, damskim głosem!

– To byłoby zabawne – odparł Krumme. – Wobec tego ja mógłbym być Pierre'em. Przystojnym i męskim.

– Ja wcale teraz nie żartuję, Krumme! Chcesz może, żebym sobie operacyjnie zmienił płeć? I chodził z poduszką na brzuchu do czasu, aż jakiś ten lub inny babiszon zniesie nam jajo i będziemy wtedy udawać, że to dziecko wyszło ze **mnie**?

– Teraz już jesteś okropny. Chcesz się kłócić?

– **MAM DOSYĆ TEGO, ŻE NIE JESTEM JUŻ SZCZĘŚLIWY!**

– Gdybym tylko wiedział, że to tak będzie... – powiedział Krumme i odłożył pizzę. Wina prawie w ogóle nie ruszył, dlaczego nie pił? Jakim ten Krumme w gruncie rzeczy był idiotą.

– I tu niby ma chodzić o resztę twojego życia! Nagle to, co mamy, to nie dość tylko dlatego, że prawie przejechał cię samochód! A co z resztą **mojego** życia, jak sądzisz? Co? Wiesz o tym, że dzieci w obecnych czasach sikają w pieluchy do czwartego roku życia? **CZTERY LATA**, Krumme! Napisane tak było w twojej własnej gazecie! I nagle nabierasz ochoty, aby tym właśnie zajmować się przez cztery lata tylko dlatego, że poleżałeś chwilę z twarzą na bruku. Myślę na serio, że musiałeś porządnie uderzyć się w głowę.

– Nie chcę o tym więcej rozmawiać. Nie będziemy mieli żadnego dziecka. Ty go nie chcesz, a zatem nic takiego nie nastąpi – powiedział Krumme.

– Daj spokój, nie będę cię hamował w twoich ojcowskich instynktach! Tryśnij sobie do filizanki i daj ją Jytte i Lizzi! Gdy twoja maszyna do sikania będzie cię odwiedzała, zawsze mogę wyjechać, na przykład co drugi weekend. Dlaczego nie pijesz swojego wina?

Erlend nalał sobie kolejny kieliszek, przelało mu się przez nieuwagę.

– Czy dużo wypiełeś wcześniej? – zapytał Krumme. – Zanim przyszedłem?

– Ani kropli. Ale właśnie zamówiłem sobie figurek Swarovskiego za ponad sześć tysięcy koron. Może to właśnie uderzyło mi do głowy.

– Chyba pójde się położyć – rzekł Krumme.

Posiedział trochę w kuchni i opróżnił całą butelkę czerwonego wina oraz wypił to, co zostało w prawie nietkniętym kieliszku Krumme. Potem poszedł do salonu i położył się na sofie, nakrywając się dwoma wełnianymi kocami.

– Kurwa – wyszeptał. – Kurwa, kurwa, kurwa.

Myślał o tym, o co spytał go Krumme, czego właściwie się obawia, co go tak przeraża w perspektywie zostania ojcem. Znał odpowiedź: Nie miał żadnego dzieciństwa do przekazania dalej, jego własne dzieciństwo zostało zbudowane na kłamstwie. Nie miał nic **do ofiarowania**, był niczym, a teraz on i Krumme też mieli zostać zniszczeni. A przynajmniej to, czym byli **razem**.



## ROZDZIAŁ 13

Zajechał do kościelnego i wziął od niego klucze, otworzył kościół, w którym panowało gryzące zimno, i opadł na ostatnią ławkę, tuż pod skarbonką na datki dla biednych.

Powinien był to zrobić już dawno temu, przyjść tutaj i posiedzieć w pokoju Domu Bożego samotnie, bez tłumu otaczających go i oczekujących czegoś od niego żałobników, bez wstęp z napisami, które należało odczytać, bukietów kwiatów z bilecikami i nazwiskami, które trzeba było zanotować, bez trumny stojącej na katafalku, za którą był odpowiedzialny. Nawet jeśli pogrzeby tutaj odbywały się nie tak znów często.

Kościół w Byneset był tym kościołem, który kochał najbardziej, wiedział o nim wszystko. Nawet katedra Nidaros znajdowała się w jego hierarchii na drugim miejscu. Katedra była zbyt wielka i majestatyczna i nadawała się raczej do chwalenia Pana i śpiewania psalmów niż do przeżywania smutku. Smutek potrzebował zacisznej, ciasnej przestrzeni kościelnej, takiej jak ta, wśród ścian, które zamykały w sobie prawie tysiąc lat historii, ścian, które chroniły, a nie ugiwały się tylko od przesadnych ozdób.

Splótł ręce, tak że rękawy płaszcza utworzyły coś na kształt mufki, rękawiczki zostały na siedzeniu w samochodzie. Na dworze było siedem stopni mrozu, światło dzienne wpadało przez okna umieszczone wysoko na ścianach, tworząc białe słupy kurzu, wszystkie kąty kościoła były ciemne i lodowate. Pustka, a zarazem wyraźna obecność Boga. Wypuścił powietrze z płuc, przyglądając się parze lecącej z ust, rzucił okiem na zużytą skośną półeczkę przed sobą, służącą do położenia na niej śpiewnika. Podniósł wzrok i skupił się na wapiennym obrazie na północnej ścianie. Obraz przedstawiał Grzesznika oraz siedem grzechów głównych w postaci tłustych węży wysuwających się z ciała mężczyzny, każdy wąż miał w pysku pęk przerażonych ludzi. Które z tych śmiertelnych grzechów stały się jego udziałem tylko przez ten jeden, jedyny wieczór? Na pewno nieumiarkowanie. I nieczystość. Przede wszystkim nieczystość. A przez tych wiele lat, kiedy to straciwszy wiarę w Boga, wyobrażał sobie, że może żyć bez Niego – również pycha.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza Biblię i otworzył ją w miejscu, które wskazywała jedwabna zakładka wciśnięta między stronami, na Liście św. Pawła do Rzymian.

– „Albowiem grzech nie powinien nad wami panować, skoro nie jesteście poddani Prawu, lecz łasce” – odczytał głośno. – „Dzięki jednak niech będą Bogu za to, że gdy byliście niewolnikami grzechu, daliście z serca posłuch nakazom tej nauki, której was oddano, a uwolnieni od grzechu oddaliście się w niewolę sprawiedliwości... Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć, a łaska przez Boga dana to życie wieczne w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”<sup>7</sup>.

Zamknął oczy i słuchał własnych słów, ich echa odbijającego się od kamiennych ścian, ich prostej logiki oraz miłości w nich zawartej. Pomyślał o tym, gdy był tutaj ostatni raz, najpierw

---

<sup>7</sup> Rz 6,14; 6,17-23.

zajęty krzątaniem się wokół trumny matki, a później siedząc w pierwszej ławce razem z Torem i Erlendem, Torunn i Krumme oraz starszkiem. O dziwnym uczuciu, że oto siedzą tutaj wszyscy razem, i o tym, jak odmiennie przeżywali swój smutek. U niektórych właściwie go nie było, wiedział o tym. Był tutaj również w Wigilię i dzień przed nią: na pogrzebie siedemnastoletniego syna Larsa Kotuma, który tuż przed świętami popełnił samobójstwo we własnym łóżku. Pierwsze pogłoski mówiły, że to z powodu dziewczyny, która go odrzuciła, potem jednak okazało się, że chodziło o chłopca.

W ostatnich tygodniach wiele rozmyślał o Erlendzie, jak niesprawiedliwie został potraktowany. Był nieskończenie wdzięczny losowi za to, że nie jest księdzem, ksiądz musiałby w imieniu wszystkich mieć na ten temat jakieś zdanie i do tego byłby narażony na napomnienia ze strony biskupa, a on był od tego wolny. Bo kto właściwie miał prawo oskarżać Erlenda o grzech? Czy on nie był również dziełem Bożym? Czyż Bóg nie stworzył go z jakąś głębszą myślą, właśnie takiego? Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł twierdzić, że Erlend świadomie wybrał swoje skłonności, aby oddawać się nieczystości. Już w czasach, gdy był małym chłopcem, można było wyraźnie zauważyć, że Erlend jest inny, bardziej kobiecy. A potem zaczął narastać w nim bunt, aż poczuł, że musi bronić swojego prawa do bycia tym, kim jest, i to go zmusiło do opuszczenia miejsca, w którym został osądzony.

Tak, **osądzony**, pomyślał. Ponieważ uważali, że specjalnie ich prowokuje, kreując się na kogoś odmiennego. A tak przecież nie było. To prawdziwy Erlend.

A synek Larsa Kotuma... Gdyby miał wybór pomiędzy śmiercią a zakochaniem się w bezpieczny i powszechnie akceptowany sposób w jakiejś dziewczynie... Ale jego sytuacja była taka, że wybór nie wchodził w rachubę. Chłopak był po prostu sobą. W pełnej tajemnicy, poniżeniu i poczuciu wstydu. I to go zabiło.

Tak. Erlendowi stała się wielka krzywda.

Nie wiedział też, na ile święta złagodziły gorycz, jaką Erlend z pewnością czuł, chociaż okazało się wtedy również, że historia Erlenda ma znacznie szerszy kontekst. Tak bardzo chciałby mu to powiedzieć, że nikt go za nic nie ocenia, ale po tym telefonie, gdy jak zbłąkany idiota siedział na murku i w swoim delirycznym oszołomieniu sądził, że stał się kimś innym, kto nie musi odpowiadać za własne czyny, po tym telefonie będzie to zapewne niemożliwe.

Oparł twarz o dłonie, mocno wciskając palce w oczodoły, tarł je intensywnie i długo, aż zobaczył czerwone i zielone koła, pulsujące na zewnątrz czarnego centrum. Najdziwniejsze było to, że stawiał wyższe wymagania samemu sobie niż Erlendowi. Siedział długo z twarzą opartą o dłonie i zastanawiał się, dlaczego tak jest, aż w końcu doszedł do wniosku, że przyczyna jest prosta. On sam był silny, a Erlend nie. Teraz nauczył się ponadto, że siła wynika z wiary. W chwili, gdy oddał się we władzę nieumiarkowaniu i żądom ciała, stał odwrócony plecami do Boga. Bóg musiał wiele zrobić, by pokazać mu właściwą drogę.

Podniósł się sztywno dopiero wtedy, gdy poczuł, że stopy ma prawie całkowicie zdrętwiałe od mrozu. Wyszedł z kościoła i zamknął za sobą drzwi wielkim, żelaznym, ręcznie robionym kluczem.

Tor siedział przy stole kuchennym i czytał „Nationen”, starszek usadowiony w salonie czytał książkę, radio cicho grało. Obaj mieli przed sobą puste filiżanki po kawie.

– Czy to ty – rzekł Tor.

– Tak. Kawa jest ciepła?

– Czy tu był jakiś pogrzeb? Nie słyszałem dzwonów.

– Nie, chciałem tylko trochę posiedzieć w kościele, sam ze sobą.

– A po co? Znowu zbłądziłeś?

- Tor...
- Jeśli nawet nie jest już ciepła, to na pewno letnia.

Kawa przybrała już postać gotowanej wielokrotnie wody z fusami, czuł to wyraźnie po smaku.

– A więc ciągle prenumerujesz „Nationen” – rzekł zamiast tego, siadając przy kuchennym stole.

– Przyzwyczaiłem się. Przychodzi codziennie. A „Bondebladet” tylko w piątki.

– A nie wolałbyś raczej lokalnej gazety? – zapytał Margido.

– Nie. Takich rzeczy mogę sobie posłuchać w radio.

– A co tam w chlewie? Prosięta rosną na tłuszczutkie i ładne świnię?

– Pewnie, że tak. Ale nie będą tłuste. Wtedy dostałbym gorszą cenę. Muszą mieć odpowiedni procent mięsa.

– A jak ty sprawdzasz takie rzeczy?

– To się samo reguluje rodzajem i ilością paszy – odparł Tor.

– Ja już... Załatwiam teraz nagrobek dla matki. Z białego granitu.

– Dlatego przyjechałeś?

– Ale nie postawimy go wcześniej niż wiosną. Po lewej stronie będzie na nim róża z brązu i nazwisko wypisane literami wtopionymi w czarne tło.

Mówił nieco głośniej, niż gdyby rozmawiał tylko sam z Torem, tak żeby staruszek siedzący w salonie również wszystko usłyszał.

– To brzmi drogo – rzekł Tor.

– Trochę to kosztuje, to prawda. Ale nagrobek musi wyglądać porządnie.

– No i przy okazji będzie tam miejsce na kolejne nazwiska – powiedział Tor.

Margido skinął głową. Tor złożył gazetę i poszedł do starego, który natychmiast ją wziął, odłożył szkło powiększające i zamiast tego nasadził na nos okulary. Margido zastanawiał się, ile czasu minęło od chwili zrobienia tych okularów, i że może powinien zamówić wizytę u optyka, przyjechać tutaj i zabrać staruszkę ze sobą, po uprzednim skłonieniu go do umycia się i zmiany ubrań.

Tor dolał sobie kawy do kubka, na dnie dzbanka były już prawie same fusy, ale to mu najwyraźniej nie przeszkadzało. – Mam tu szczury – powiedział, wzdychając głęboko.

– **Szczury?**

– W chlewie. Przekłęte gówno. Tak, mówię prosto z mostu jak jest, mimo że masz wrażliwe uszy. Cholerne gówno. Te kurewskie gryzonie nie wchodzić nawet do pułapek, są na to zbyt mądre. Ale jedzą trutkę, więc leżą potem gdzieś w ścianach i zdychają. Tylko że nie dość szybko, bo cały czas przychodzą nowe, widziałem ich ślady daleko na podwórku.

– Musisz chyba skontaktować się z firmą deratyzacyjną.

– Ale wtedy muszę podpisać **umowę**. Dzwoniłem i pytałem. To idzie w tysiące koron. Nie ma mowy – rzekł Tor, potrząsając głową.

– Czy one mogą pogryźć świnię? Albo je czymś zarazić?

– To była też moja pierwsza myśl. Zobaczyłem je oczyma wyobraźni przy wymionach macior, co za paskudztwo. Ale teraz zabiłem deskami i zamknąłem cały chlew, a w paszami mogą znaleźć tylko to, co rozsypię na podłogę, tylko że jestem teraz cholernie ostrożny, zamiatam cały czas i pilnuję czystości. Ale ciepło, wiesz, ciepło od zwierząt. I one rozmnażają się tak szybko...

– Słyszałem kiedyś o okropnym sposobie pozbywania się szczurów – rzekł Margido.

– Ach tak?

– Łapiesz jednego żywego...

– Dzięki, nie.



– Łapiesz jednego żywego – kontynuował Margido – i wypalasz mu oczy, a potem puszczasz go wolno. Piski tego jednego podobno są w stanie odstraszyć wszystkie pozostałe.

– O, kurwa. Nie brzmi to specjalnie w tonie miłości bliźniego.

– Przecież to szczury – powiedział Margido.

– Ale to w końcu też stworzenie Boże, co nie? – odparł Tor, uśmiechając się krzywo.

Margido musiał się uśmiechnąć w odpowiedzi i poczuł natychmiast, że teraz, w cieniu tych uśmiechów, jest dobry czas na powiedzenie czegoś. Obniżył głos, zerkając jednocześnie w stronę salonu, starszek siedział pochylony nad gazetą, Margido na wszelki wypadek poszedł nastawić głośniejsze radio. – Myślałem o Erlendzie – powiedział.

– W jakim sensie?

– Że nie byliśmy dla niego dobrzy. Dla tamtego... też nie.

– Przecież obaj byli tutaj na święta – rzekł Tor. – A gdy wyjeżdżali, podałem Duńczykowi rękę i powiedziałem, że jest mile widziany u nas ponownie latem. Mówiłem, że wtedy jest tutaj ładnie.

– Naprawdę tak powiedziałeś?

– Przecież tu jest ładnie latem.

– Nie o to mi chodzi. Ale czy zaprosiłeś go tutaj znowu.

– Tak zrobiłem.

– To ładnie z twojej strony, Tor.

– Ale ty przecież jesteś chrześcijaninem i tak dalej. Jak możesz zatem... To wszystko nie trzyma się kupy. Jesteś tak jakby **zmuszony** powiedzieć, ty właśnie, że to nie jest w porządku. Że to grzech i tak dalej – powiedział cicho Tor.

– Nie, wcale nie muszę czegoś takiego mówić. Dlatego zdecydowałem się powiedzieć w tej sprawie to samo, co o niej powiedział Jezus.

– A co on powiedział?

– Nic takiego – odparł Margido.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, gapiąc się wspólnie na pusty karmnik dla ptaków, na którym zwisały puste, zielone siatkowe torebki.

– Tak, siedzimy tu sobie – rzekł Tor. – I nie mamy nikogo, a właśnie Erlend ma. Głupia sprawa.

– Tak to się dzieje.

– Ale ty mógłbyś znaleźć sobie kobietę, Margido.

W dalszym ciągu patrzyli na karmnik.

– Tak. Ale ja nie chcę nikogo. Chcę żyć sam. W spokoju.

– Przez resztę życia?

– Tak. Oczywiście. Skoro już tyle przeżyłem sam, to i resztę pewnie dam radę.

– To prawda. Ale i tak to jest dziwne. Ja miałem przynajmniej matkę.

– Tak – odparł Margido.

– Czy mam... może zrobić więcej kawy?

– Dla mnie nie, dziękuję.

– Będziemy mieli nową gosposię, bo jest inny grafik, słyszałeś podobne głupoty! – powiedział Tor i już nie mówił zniżonym głosem.

– Czy ta poprzednia była lepsza?

– Nie wiem, ta nowa jeszcze tutaj nie była. Ale ta poprzednia była dość dobra, po prostu sprzątała i jechała do domu.

– Ja też muszę już jechać – rzekł Margido, podnosząc się. – Dziękuję za kawę.

– Dziwne, że miałeś czas tu przyjechać. W zwykły dzień tygodnia.

– Mało jest do roboty o tej porze. Najwięcej jest tuż przed świętami Bożego Narodzenia i zaraz po nich. W tym tygodniu mam tylko dwa pogrzeby. Jeden był przedwczoraj, a drugi będzie jutro.

– Dziwne – powiedział Tor – że na takie rzeczy jest jakiś **sezon**. Matka także... Ale ona najpierw chorowała.

– Większość ludzi najpierw choruje. Wypadki są znacznie rzadsze. Nie powiedział Torowi, że musi jechać, bo umówił się w domu z rzeczoznawcą. Tor nie zrozumiałby kwestii sauny, pewnie nigdy nawet w czymś takim nie był i nie potrafiłby pojąć potrzeby porządnego wypocenia się po pogrzebach, pozbycia się zapachu ciętych kwiatów oraz kapiących, woskowych świec.

Mieszkanie było posprzątane i idealnie czyste. Komiczny młody człowiek w ciemnoniebieskim garniturze powoli przechadzał się z pokoju do pokoju i robił notatki na sztywnym bloczku konferencyjnym, spiętym u góry metalowym klipssem.

– Musimy je trochę przyozdobić przed ewentualnym okazaniem. Podrasować pokoje.

– Podrasować pokoje? – zapytał Margido i poczuł się bardzo zakłopotany obecnością tego człowieka, tak zimno kalkulującego w swoich sprawach. Nikt tu nigdy nie był. A ten tutaj był taki młody, o wiele za młody na prezentowanie takiej wielkiej pewności siebie, jakiej wrażenie starał się stworzyć.

– Załatwimy to sami. Wiele nie potrzeba.

– Ale co ma pan na myśli? – zapytał Margido.

– Kilka dużych doniczek z kwiatami, patera z owocami na stole, parę obrusów i świec, jakieś obrazki do powieszenia na ścianach, przecież te ściany wyglądają jak w celi więziennej. Musimy sprawić, żeby tutaj przyjemnie wyglądało.

– W zasadzie mówi pan o moim domu. A mnie jest tak dobrze.

– Ależ tak. Jesteśmy przecież po tej samej stronie, czyż nie, panie Neshov. Ludzie mają tutaj przyjść i natychmiast poczuć ochotę, żeby tu zamieszkać. Mają w myślach już się wprowadzać. W taki sposób uzyskamy najlepszą cenę. A punkt wyjścia mamy świetny, praktycznie nie widać żadnych oznak zniszczenia. Może jeszcze dodamy jakieś dywany.

– Dywany? Ale podłogi są dobre.

– Są zbyt zimne i nieprzyjemne. My to wszystko przywieziemy i załatwimy sprawę przed pokazaniem mieszkania, to jest wliczone w cenę, oczywiście później całość zabierzemy. A co pan zamierza kupić w zamian? Mamy wiele mieszkań w ofercie, które mógłbym pokazać, gdyby chciał pan przenieść się bliżej centrum.

– Muszę mieć saunę – rzekł Margido.

– Zanotowałem. A co poza tym?

– Nic specjalnego. Poza tym może być podobne. Dlatego właśnie chcę się przeprowadzić.

– Czy **tylko** dlatego?

Człowiek stał i przyglądał się Margido z takim rodzajem zdumienia, którego ten nie był w stanie zaakceptować, chyba to nie było specjalnie dziwne, że lubiło się saunę.

– Tak! – powiedział Margido.

– Przepraszam; ale... Nie do końca rozumiem. Chyba muszą istnieć poza tym jakieś powody. A jeśli mam znaleźć panu nowe mieszkanie, to ważne jest, abym... Może tutaj jest bardzo głośno? Za dużo rodzin z dziećmi?

– Nie! Posiadanie sauny to jedyny powód, dla którego chcę się przeprowadzić!

– Ale... – Człowiek wydawał się zdezorientowany i zaczął nieestetycznie drapać się po krawędzi jednej z dziurek od nosa. Nagle Margido nie był w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Christian albo Thomas, albo Magnus, dzisiaj wszyscy młodzi ludzie tak się nazywali.

Chętnie przypomniałby sobie, tu i teraz, jego imię i trochę go napomniał, używając pełnego imienia.

– Ciągle nie do końca rozumiem. To dlaczego pan sobie wobec tego nie zrobi sauny? Czy chodzi o to, żeby kupić za **niższą** cenę? Że nie było pana stać na...

– Zrobić sobie saunę? Oczywiście, że mnie na to stać! Ale sam pan widział, jak mała jest tutaj kuchnia i że graniczy ona ścianą w ścianę z łazienką. Nie ma tutaj miejsca na takie rzeczy! – odparł Margido, starając się ze wszystkich sił opanować złość. Jakiś dzieciuch przyjeżdża tutaj i wyobraża sobie, że można tak po prostu wyczarować kolejne metry kwadratowe...

– Ale sama łazienka – powiedział powoli człowiek.

– Przecież tam też nie ma miejsca na saunę. Właśnie był pan w środku i widział!

Czy ten gość był ślepy?

– Oczywiście, że tam jest miejsce – rzekł mężczyzna. – Ma pan przecież wannę.

– I co z tego?

Facet zajrzał mu w twarz, przechylił głowę, uśmiechnął się nieco z wyższością.

– Proszę mi powiedzieć, czy w ogóle sprawdził pan, jak wygląda możliwość zrobienia tutaj sauny? Może pan połączyć funkcję sauny z łaźnią parową.

Margido gapił się na niego. Dla niego sauna to były ciężkie drzwi, prowadzące do pomieszczenia pełnego ławek aż po sufit, z wielkim piecem na podłodze, gdzie na kamienie lało się wodę, tak wyglądała sauna w starej, obecnie zlikwidowanej łaźni na końcu ulicy Prinsens. Oczywiście rozumiał, że nie potrzebuje sauny aż tak dużej, ale od **tego** przekonania do pomysłu, że w jego małej łazience...

– Proszę posłuchać – rzekł człowiek. – Chętnie zajmę się sprzedażą pańskiego mieszkania, ale jeśli to jest jedyny powód sprzedaży, to oszukałbym pana, nie mówiąc tego. Pana łazienka ma ponad osiem metrów kwadratowych, więc to żaden problem. Najlepiej skontaktować się ze sklepem z wyposażeniem łazienek przy Fjordgata. Jeśli nie spodoba się panu ich oferta, proszę znów do mnie zadzwonić. A jeśli pan nie zadzwoni, to będę mógł sam siebie kopnąć w tyłek za przepuszczenie okazji do dobrej sprzedaży. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że ta sauna to jest jedyny powód. A wyglądałoby kiepsko, gdyby to nowe mieszkanie, które bym dla pana znalazł, miało dokładnie tej samej wielkości łazienkę. Tylko z sauną.

– Szczerść sprawdza się najlepiej – powiedział słabo Margido.

– Tak, to prawda, słyszałem takie pogłoski – odparł człowiek.

Następnego dnia w czasie przerwy obiadowej poszedł do sklepu z wyposażeniem łazienek i przyniósł stamtąd naręczę broszur. Z trudem uwierzył w to, co zobaczył. Oto tutaj chodził przez lata i miał marzenia, a nie sprawdził, jakie są możliwości ich spełnienia.

Sauna kompaktowa. Była najmniejsza i potrzebna była do niej jedynie pełna wysokość pod sufitem i powierzchnia podłogi równa wielkości wanny. Generator pary zamontowany w suficie wypełniał pomieszczenie parą, a człowiek siedział sobie na drewnianej ławce, opierając stopy o podnózek, i plecy miał również oparte o drewnianą ścianę. Po zakończeniu pobytu w saunie drewnianą ławeczkę składało się na ścianę i nagle stało się pod wielkim prysznicem. Kafelki na podłodze i na ścianach, delikatna armatura prysznicowa. Gdyby jeszcze do tego przesunął odrobinę umywalkę, uzyskałby miejsce na wersję narożną, jeszcze obszerniejszą.

Po opuszczeniu sklepu poczuł kolosalną ulgę, pomieszaną z dziecięcym oczekiwaniem, czuł, że nie jest w stanie opanować uśmiechu, to był po prostu cud.

Teraz nie musiał się już przeprowadzać.

Przyjadą wszystko dokładnie wymierzyć, zamiana marzenia w rzeczywistość była już tylko kwestią czasu. Będzie miał wszystko, czego mu potrzeba na tym świecie.

– Dzięki, dobry Boże – wyszeptał.

Tyle miał powodów do radości, wczorajsza rozmowa z Torem, gdy uśmiechali się do siebie, to, że Tor zaprosił Krumme ponownie do Neshov, że może była dla nich wszystkich nadzieja. Przez chwilę nie dłuższą niż mgnienie oka przypomniał sobie sylwestra i wewnątrz nieco mu pociemniało, ale Erlend pewnie o wszystkim zapomniał, a może nawet w ogóle nie słyszał jego słów w tym całym hałasie wokół siebie.

Zamierzał kupić drożdżówki i zabrać je ze sobą do biura do popołudniowej kawy. Panie się ucieszą, pracowały ciężko, powinien im dać podwyżkę, niedużo, ale tyle, aby wiedziały, że je docenia. Wszedł do piekarni w Byhaven.

– Poproszę trzy te z posypką orzechowo-czekoladową. I może do tego trzy pączki. Z nadzieniem.



## ROZDZIAŁ 14

Samo jego spojrzenie ją podniecało. Wystarczyło, że popatrzył na nią w ten szczególny sposób, który nauczyła się już rozpoznawać, to było coś w oczach, robiły się węższe i ciemniejsze, podobne do oczu Styrka, tego spośród psów, który najbardziej przypominał wilka. Po tej nocy dwa tygodnie temu, gdy leżała w domu w ciemności, sądząc, że to koniec, bo nie odpowiadał na jej SMS-y, a ona czuła się jak zaborcza i marudna baba, której każdy mężczyzna chciałby się jak najszybciej pozbyć, coś po tej nocy się zmieniło.

Opowiedział jej później, że tej nocy zarobił ponad dwieście tysięcy koron. Nie rozumiała, jak to możliwe, człowiek słyszał o takich rzeczach, ale nie do końca w nie wierzył. Gdy pewnego dnia zadzwonił do niej do pracy i telefon zastał ją stojącą w charakterze asystentki przy operacji oka u suki bokserki, która zraniła sobie rogówkę, ledwo udało jej się utrzymać pęsetę w stabilnej pozycji, żeby Anja mogła zszyć trzecią powiekę. Przypisała jego numerowi osobny sygnał w telefonie, który nosiła w kieszeni spodni.

– Specjalny sygnał – rzekła Anja, regulując ustawienie lampy operacyjnej, a potem wyciągnęła pierwszy element pełniący funkcję podpórki dla szwów między powiekami.

– To z filmu – powiedziała Torunn.

– Słyszałam to już wcześniej, ale nie mogę sobie przypomnieć, z czego to jest.

– *Dobry, zły i brzydki.*

Ale on był dla niej zawsze po prostu pierwszy. Robił jedzenie, zakładając, że jeśli zadzwoni i ją zaprosi, to ona przyjedzie, i zazwyczaj tak było. Gdy mówił, że będzie teraz pracował, zostawiała go w spokoju, w końcu miał zarobić setki tysięcy koron.

Teraz pokonywała ostatnie zakręty na podjeździe pomiędzy wysokimi jak wieże świerkami, świeżo wykąpana, w czystych dżinsach i koszulce oraz w nowiusieńkim polarze firmy The North Face, był trochę bardziej stylowy niż jej pozostałe ubrania na wycieczki, miała pewność, że mu się spodoba. Była odrobinę spóźniona, miała wcześniej godzinną konsultację z całą rodziną Nero. Szczeniak ugryzł najmłodszą dziewczynkę w rodzinie i warczał na wszystkich w domu bez wyjątku. Doradzała im oddanie psa z powrotem hodowcy, ale oni zbyt mocno już się do niego przywiązali, dlatego postanowili wziąć byka za rogi. W zasadzie miała wielką chęć zadzwonić do hodowcy i porządnie go opieprzyć, musiał przecież zauważyć już w okresie szcenięcym, że Nero zanosí się na dominującego osobnika alfa, i nie powinien być pod żadnym pozorem sprzedawać go rodzinie z małymi dziećmi, w dodatku kupującej psa po raz pierwszy w życiu.

Nagle na drogę wyskoczył zając, gwałtownie zakręciła, mijając go dosłownie o centymetry, ale zobaczyła w lusterku, że pokicał dalej, równie cały i ładny. Na szczęście jechała na oponach z kolcami i dopiero co umyła światła z przodu, tutaj droga była całkowicie nieoświetlona.

Pomyślała, że przenocuje, ale jeśli będzie musiał w nocy pracować...

Tak się również zdarzało, niekiedy wieczorami przychodziły do niego e-maile i wtedy jego spojrzenie stawało się jakieś nieobecne. Spojrzenie pieniężne, tak je na swój użytek nazywała. Gdy dostawał ważne e-maile, informacja o tym przychodziła na komórkę, a ją wyłączał, jedynie jadąc z psami.

Akurat tego nie rozumiała. Wyskoczył z wyścigu szczurów, żeby zajmować się psami, ale już w chwili, gdy psy stały nakarmione w kojcach, stawał się dostępny dla swoich komputerów. Czy to była wolność? To, że gdzieś na kuli ziemskiej zawsze był akurat dzień roboczy, a on dobrze wiedział, która tam jest godzina? Ale przez ostatnich czternaście dni spała we własnym łóżku tylko przez trzy noce, a kiedy nie byli razem, nosiła go w sobie przez cały dzień. Cały czas obowiązkowo telefonowała do matki, nie wspominając ani słowem o Christerze i do znudzenia powtarzała, że Cissi i Gunnar na pewno lepiej wyjdą na sprzedaży domu i podziale pieniędzy. Faktowi, że to był dom jej dzieciństwa, nie poświęciła ani jednej myśli. Była za stara, żeby szlochać z powodu dziecięcych uczuć, chociaż na pewno dziwnie będzie opróżnić strych, gdzie pudło obok pudła stało jej dzieciństwo. Pluszaki i książki, zeszyty i bloki rysunkowe z całego okresu szkolnego. Ubrania również, a także narty i łyżwy figurówki, deskorolka i jej pierwsza hulajnoga śnieżna, którą Gunnar pomalował na czerwono, żeby nikt jej nie ukradł.

Nie rozmawiała z Gunnarem od tego dnia w kawiarni, gdy wygłosił swoją mowę obrończą. Nie miała siły, chociaż zostawił jej kilka wiadomości na sekretarce. Intuicyjnie zrozumiała, że będzie chciał ją wykorzystać do reprezentowania jego interesów w kwestii sprzedaży domu. Gdyby tylko wiedział, że i tak to robiła. Matka była wspaniałą kobietą, gdy tylko uda jej się rozprawić z poczuciem porzucenia, rozkwitnie, dokładnie tak, jak powiedział Gunnar. Może nawet znajdzie sobie pracę, miała zamożne przyjaciółki pracujące dla rozrywki w galeriach sztuki albo w małych sklepikach z biżuterią, jako dodatek do pracy charytatywnej pod patronatem klubów Rotary albo Wheel. Nie była typem osoby, która chciałaby siedzieć z założonymi rękami. Przez wszystkie te lata, kiedy – jak to się nazywało – „była w domu”, miała zawsze tysiące zajęć, między innymi jako przewodniczka po Oslo dla podróżujących kobiet zrzeszonych w różnych organizacjach czy dla innych eleganckich zgromadzeń. Zazwyczaj prawie nie brała za to pieniędzy, w końcu miała solidne źródło utrzymania. Teraz będzie musiała zacząć zarabiać. Nie należy jej żałować, Torunn po raz pierwszy sama pocieszyła się tą myślą. Ale do tego Cissi będzie już musiała dojść sama.

Dbiała także o obowiązkowe telefony do ojca. Mieli mieć teraz nową pomoc domową i okazywał z tego powodu wielkie niezadowolenie. Najwyraźniej jednak była to obecnie jedyna chmura na niebie nad gospodarstwem. Ale ojciec dość szybko dostosował się do pierwszej pomocy domowej, więc pewnie z następną wszystko pójdzie dobrze.

Psy ostrzegły o jej przybyciu szczekaniem i przeciągłym wyciem, rzucając się przy tym na siatkę. Pięć z nich biegało luzem, między innymi Lima, reszta stała w swoich kojcach i w podnieceniu szczekała chórem – nawet te psy, które jeszcze jej nie dostrzegły.

– Halo! To tylko ja!

Podbiegła do siatki i wetknęła palce w otwory, przykładając jednocześnie do niej całą twarz. Czuła liźnięcia wszędzie tam, gdzie psy zdołały dojść. Każdy starał się podskoczyć wyżej niż pozostałe.

– Luneńko, moja śliczna...

Szkoda, że nie mogły być w domu przez dłuższą chwilę, ale w takich sytuacjach strasznie męczyły się z gorąca. O tej porze roku ich futro zaprogramowane było na mróz. Również w sylwestra, gdy Luna przyszła jako policjantka, po krótkim czasie została uwiązana na dworze i szczęśliwa zwinęła się w kłębek w zimnym śniegu.

Spotkał ją w drzwiach, objął ramionami i pocałował szybko w czoło, w oba policzki i w usta.

- Zostaniesz na noc? – wyszeptał prosto w jej włosy.
- Chętnie. Jeśli chcesz.
- Chcę. Ładna bluza. Nowa?
- Nie. Kupiłam ją jesienią.

Zrobił jednogarnkowe danie, korzystając z gotowej torebki oraz smażonego mielonego mięsa z ryżem, połączył wszystko w jednym naczyniu. Nie było rewelacyjne, ale to w końcu on je przyrządził. Napełnił kieliszki czerwonym winem, w kominku palił się ogień. Po zaparkowaniu wyłączyła komórkę. Siedziała tutaj i czuła się szczęśliwa i na swoim miejscu, w środku chwili, **razem**. Bardziej razem niż kiedykolwiek wcześniej z innym mężczyzną. Wino spowodowało, że zadała głupie pytanie: – Co ci się właściwie we mnie podoba? We mnie...?

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się lekko, wypił łyk z kieliszka.

- Może to, że **ja** ci się podobam? I moje psy?

Nigdy nie rozmawiali o przyszłości, zajmowali się tylko bieżącym dniem, nie robili niczego jako para, niczego poza byciem razem w tym leśnym domku. Właściwie to za tym nie tęskniła, nie chciała się nim z nikim dzielić, chociaż na pewno byłoby uroczoko pokazać go światu, ozdobić się troszkę takim męskim misiem, zobaczyć zazdrość w oczach innych kobiet.

- O której musisz wstać? – zapytał.
- Siódma.
- To chyba powinniśmy się już położyć.
- Jest dopiero wpół do dziewiątej – odparła, uśmiechając się.
- Właśnie.

I znów to wilcze spojrzenie.

Kiedy długo potem wstał i przyniósł do łóżka resztę wina w butelce oraz kieliszki, zaczęła opowiadać o Erlendzie.

Nie mogła go ostatnio w żaden sposób złapać, minęło już czternaście dni od chwili, gdy opowiedział jej, że między nim a Krumme jest trochę **kwaśno**. Te nieliczne razy, kiedy usłyszała jego głos na żywo, a nie nagrany na sekretarkę, był zajęty i nie mógł rozmawiać, ale wszystko było w porządku, nie ma się o co martwić, robił teraz nowe wystawy, zaraz Wielkanoc i wiosna, miał trylion zleceń, jak powiedział. Ale nie nalegał już, że koniecznie musi przyjechać do Kopenhagi, i to wydało się jej dziwne.

Nigdy wcześniej nie rozmawiała z Christerem o Erlendzie. Jedyne, co wiedział o jej rodzinie, to że jej matkę właśnie opuścił mąż i że jej ojciec prowadził gospodarstwo w Byneset koło Trondheim. Nie zapytał nawet, jakie to było gospodarstwo: krowy, świnie, owce, zboże, ziemniaki czy truskawki, czy może wszystko naraz.

Ale teraz leżała tutaj w tak totalnym zadowoleniu erotycznym i spełnionej miłości, że życzyła całemu światu takiego nastroju. W takiej chwili myśl o Erlendzie i Krumme sprawiała jej ból, dlatego słowa same się z niej wylewały.

- A więc on jest homoseksualistą – rzekł Christer po wysłuchaniu części historii.
- Tak. I jesteśmy tak bliscy sobie wiekiem, wiesz, on jest tylko trzy lata starszy ode mnie, dlatego nie jest tak do końca wujkiem. To prawie jak brat. Nigdy nie miałam rodzeństwa.
- I on oraz jego partner się kłócą?
- Tak, coś tam się stało i nie podoba mi się to. Dużo o tym myślę. Kiedy nie myślę o tobie, myślę o nich. Oni tak do siebie pasują.

Leżała na jego ramieniu, spocona szyja na spoconej ręce, czuła zapach jego pachy, prześcieradło pod nimi było wilgotne, było dopiero wpół do dwunastej, przed nimi długa noc. Uniosła się na łokciu i wypila łyk wina z kieliszka stojącego na nocnym stoliku, musiała pochylić się nad nim, musnął jej pierś.

– Świat jest pełen gejów – rzekł.

– Co masz na myśli?

– Tego Erlenda... twojego wuja. Znajdzie sobie po prostu kogoś nowego. Oni tak robią przez cały czas, poznają się w saunach i restauracjach. Te chłopaki tam nie owijają w bawełnę. George Michael podobno poznawał chłopców w pisuarach. Pomyśl tylko, milioner, a szuka sobie partnera w pisuarze. Ale też i zrobiła się z tego afera! Jego umowa z wytwórnią poszła się paść, to była kosztowna macanka.

– To nie jest całkiem tak samo. Erlend i Krumme mieszkają ze sobą od dwunastu lat – powiedziała.

– No tak, ale na pewno mieszkają innych na boku. Pary gejowskie żyją w otwartych związkach.

– Najwyraźniej wszystko o tym wiesz – rzekła. – Ale akurat oni są sobie bardzo wierni, tak sądzę.

– Dobrze, dobrze. Skoro tak mówisz.

– Dlatego to takie smutne. Jeśli coś między nimi źle się dzieje.

– No na pewno – odparł.

Leżała, patrząc w sufit. Drzwi do salonu były otwarte, usłyszała, jak dokłada polana do ognia, idąc jednocześnie po wino. Wiedziała, że nie powinna teraz mówić nic więcej.

– Uważałbyś, że to bardziej smutne, gdyby byli parą heteroseksualną i mieli po dwunastu latach wspólnego życia kłopot? – zapytała.

– Byłoby to dla mnie w każdym razie bardziej naturalne.

Zaśmiała się cicho i spytała: – Jesteś może homofobem? – a zaraz potem go pocałowała.

– Po prostu nie uważam, żeby to było całkowicie normalne. Szczególnie gdy pomyślę, jak oni to **robią**.

– Więc akurat o tym możesz nie myśleć.

– Ale to obrzydliwe. Uważam, że to obrzydliwe.

– Nikt nie każe przecież **tobie** tego robić – rzekła.

– Nie. Ale czułbym się źle w towarzystwie takich ludzi.

– Takich?

– Gejów – dodał.

– Myślisz, że Erlend by cię zgwałcił, czy coś w tym rodzaju? – powiedziała, śmiejąc się, czuła, jak jej serce bije, on też musiał to poczuć, jak jej serce wali jak młotem.

– Nie. Ale może trochę by poflirtował. A wtedy bym się porzygał.

– Boże jedyny, Christer...

– Mówię po prostu, jak to czuję. Porzygałbym się.

Więcej się nie kochali. Poszła do łazienki i siedziała tam długo, licząc sęki w boazerii, a kiedy wróciła, on już zasnął. Pomyślała o tych pięciu psach, które nie zostały zamknięte na noc, ubrała się więc i wyszła do nich.

Same wiedziały, który ma gdzie iść, zadowolone i zmęczone wpełzały każdy na swoją słomę. Ukucnęła przy Lunie i długo ją głaskała.

– Dzielna, mała dziewczynka... Ten twój pan to prawdziwy macho. Prawie jakby sam trochę był homoseksualistą.

Luna zamerdała ogonem i polizała ją po przegubie.



Zamknęła kojce, a potem stała długo, patrząc na niebo. Nad polami unosił się słaby odblask zorzy polarnej. Nie ma w tym niczego złego, pomyślała, przecież ludzie, którzy się kochają, mogą mieć różne zdanie na wiele tematów. Tak bardzo jednak chciałaby, żeby to nie był właśnie ten temat. Już lepiej polityka albo religia, albo czy to słuszne wydawać dziesięć tysięcy na chemioterapię kota. Wszystko inne, tylko nie to.

Była w pełnym ubraniu. A tam stał samochód. Postąpiła tak jeszcze trochę, a potem weszła do środka, rozebrała się i wpełzła do niego pod kołdrę. Nie obudził się. Jego oddech był taki jak zawsze, wszystko w gruncie rzeczy było takie jak zawsze.



## ROZDZIAŁ 15

Dzisiaj miała przyjść nowa gosposia. Odnosił wrażenie, jakby dopiero wczoraj chodził tutaj, obawiając się wkroczenia do domu obcej osoby, a teraz znowu musiał to przeżywać. Napomniął sam siebie, że ostatnio w gruncie rzeczy wszystko przecież poszło dobrze i że odkurzacze okazał się sprawny. Ale mimo wszystko. Mógł to być ktokolwiek. Teraz zdarzały się nawet gosposie płci męskiej, słyszał o tym w radio. Dobrze, że miał okazję popatrzeć w czasie świąt na Erlenda, żeby nie doznać szoku, jeśli okaże się, że jakiś facet będzie się tutaj krzątał w fartuszkach.

Po porannym obrządku w chlewie mimo wzbierających mdłości ruszył do walki ze szczurami. Wszystko poza tym znosił dobrze, świńskie odchody i resztki poporodowe, zgniłe jedzenie w lodówce, wypijał nawet bez zmruczenia oka zepsute mleko, już lepsze to niż wylać je do zlewu. Wsadzał również do pralki bez zatykania nosa zdejmowane okazjonalnie gacie ojca. Ale to tutaj. Szczurze trupy w ścianach. Słodkawy odór, przypominający nieco zapach świeżo pieczonego chleba, naturalnie jeśli nie znało się źródła.

Teraz szczury zaczęły pojawiać się również w stodole, doczołgiwały się tam, żeby zdechnąć, z krwią lejącą z pyska. W tej truciźnie podobno było tłuczone szkło, rozdzierające gryzonie od wewnątrz.

Dobrze im tak. Przychodzą tutaj i niszczą dzieło jego życia. Gdyby sanepid albo któryś z inspektorów KSL zorientował się w tej kwestii, zakazano by mu kontynuowania dostaw do rzeźni.

Znalazł kolejne dwa przy traktorze i podkopał je łopata. Pułapki pełne płatków owsianych jak zwykle stały puste. Jeszcze jednego znalazł przy przejściu do chlewu, które zostało zabite deskami, i ostatniego przy volvo. Przenosił łopata zwłoki ze zwisającymi ogonami na zewnątrz i wyrzucał je na tyłach stodoły, gdzie zazwyczaj palił wszystkie śmieci. W swoim czasie wylądował tam materac po matce oraz wszystkie padłe prosięta. Na szczęście udało mu się uratować dwa maluchy Trulte za pomocą ciepłych kąpiei, naprawdę nie wierzył, że to może się udać i że coś tak prostego, jak wiadro z ciepłą wodą rano i wieczorem przez kilka dni było wszystkim, czego potrzebowali.

Polał szczurze trupy obficie parafiną i podpalił, a potem wszedł ponownie do stodoły i zaczął węszyć. Słodkawy trupi zapach odcinał się ostro od zwykłego zapachu chlewu. Ciepło chlewu powodowało, że szczury zaraz po zdechnięciu gdzieś w przestrzeniach wzdłuż belek zewnętrznych gniły bardzo szybko. Dotarł tam, opierając się na stołku, i wpychając łopata do środka, wyciągał na niej tyle, ile mu się udało – przegniłe, śluzowate, rozkładające się resztki zwisającego futra. A gdy przyjdzie wiosna i ciepło – Bóg jeden wie, ile jeszcze takich zwłok znajdzie za deskami. Chyba że wyschną od mrozu, pomyślał z nadzieją.

Gdy zajmował się tym, przyszło mu do głowy, że ta bitwa została przegrana, nie jest w stanie truc ich dostatecznie szybko, będzie musiał mieć w tym pomoc. Zaraz jednak odrzucił tę myśl.

To była porażka, nikt nie mógł się o niej dowiedzieć. Sam był zdziwiony tym, że opowiedział o wszystkim Margido, a także tym, co Margido opowiedział jemu o Erlendzie. On sam chodził tutaj, wierząc głęboko, że to Jezus we własnej osobie orzekł, że mężczyznom nie wolno sypiać z mężczyznami.

Zebrał resztki z podłogi, wyglądało to na dwa-trzy szczury, będzie musiał od teraz sprawdzać tę belkę codziennie, zbierać je, zanim zgniją. Wyniósł obrzydliwość i wrzucił w płomień, dołączył też nieco parafiny. Później kilkakrotnie wetknął mocno łopatę w śnieg, aż była czysta. W pomieszczeniu gospodarczym szorował ręce mydłem Sunlight w zimnej wodzie, aż zrobiły się całkowicie czerwone. Zdjął z siebie stary kombinezon, którego używał do tej pracy, i wywiesił go na dwór. Nie mogło istnieć nic, co łączyłoby jego świnie ze szczurami. Oprócz much, naturalnie. Z muchami jeszcze żaden rolnik na tym Bożym świecie sobie nie poradził.

Kot. Powinien pożyczyć skądś kota albo pięć. Zamknąć je w stodole na noc. O kodaku można było od razu zapomnieć, z nim szczury łatwo by sobie poradziły. Nie, to musiał być zupełnie dorosły kot-morderca, tylko skąd takiego wziąć. Może zadzwoni do Røstada i jego o to zapyta, weterynarz powinien wiedzieć takie rzeczy.

Gdy samochód wjechał na podwórko, siedzieli w tych samych pozycjach, on przy stole kuchennym, ojciec w salonie. Ojciec w ogóle nie zdradzał podniecenia i oczekiwania, jak to było za pierwszym razem.

– To raczej dorosła pani – rzekł Tor, obserwując, jak w taki sam sposób jak studentka prawa zbierała swój sprzęt z tyłu samochodu.

– Ach, tak – powiedział ojciec.

– Gruba.

– Ach, tak.

– Wygląda jak gosposia. Staroświecka gosposia.

– Ojej – rzekł ojciec.

– Tak, to twoja wina.

– Marit Bonseth – przedstawiła się po odłożeniu sprzętu w korytarzu.

– Tor Neshov.

Zobaczył, że już się poci, tylko po przyniesieniu rzeczy z samochodu. Ciemnobrązowe loczki, trochę wąsa po obu stronach nad górną wargą, brwi zrosnięte jak u faceta, gdyby miał obstawiać, to około pięćdziesiątki, wielkie piersi schowane za swetrem robionym na drutach, z guzikami rozłazącymi się na boki.

– Staromodny zlew. Dawno czegoś takiego nie widziałam! A wychowałam się w gospodarstwie w Fosen. Ale teraz, po tym jak wszystko przejął mój brat, zrobili tam remont, mają nawet półkę na czerwone wino, zawieszoną obok wyciągu nad kuchenką. A wy nie macie wyciągu, jak widzę.

– Nie. Mamy okno.

Przez otwarte drzwi do salonu zauważyła ojca.

– Marit Bonseth – rzekła, podchodząc do niego energicznie z wyciągniętą ręką, ojciec ledwie podniósł zadek z fotela i się przedstawił, rzucając przestraszone spojrzenie na Tora.

– Czy chciałaby pani kawy? – zapytał Tor.

– Dziękuję, tak, byłoby miło, zanim zacznę.

Obciągnięte plastikowym pokryciem krzesło kuchenne ze stalowych rurek jęknęło, gdy na nim usiadła.

– Mam tu parę herbatników – powiedział.

- Dziękuję bardzo, poproszę.
- I kostki cukru?
- Tak. A to jest porządna, gotowana kawa, jak widzę.
- Nie mamy ekspresu – rzekł Tor.
- Z tego akurat powinien pan być zadowolony. Kawa musi być porządna.

Rozejrzała się wokół, wtykając do ust herbatnik, jeszcze zanim zdążył nalać jej kawy. – Czuję się tutaj bardzo swojsko. Właśnie tak wyglądała kuchnia w moim domu. I macie też prawdziwy piec na drewno. Pamiętam jeszcze, jak mama dostała kuchenkę elektryczną. Wszystko jej kipiało.

Powinien być zadowolony z tej pochwały, ale niczego takiego nie odczuwał i nie wiedział dlaczego. Wypełniała sobą kuchnię po same brzegi, a nie po to przecież tutaj była.

– Ja zazwyczaj chodzę do chlewu, gdy... jest u nas pomoc domowa – powiedział. – A na górze wystarczy, jeśli sprzątnie pani łazienkę. Sypialnie sprzątam sami.

– Ach, tak? A dlaczego? Chyba mogę zdjąć pościel i przetrzeć podłogi tam na górze?

– Nie, nie potrzebuje pani.

– Jestem tutaj, żeby sprzątać, to moja praca, nie w tym rzecz, co ja potrzebuję – rzekła, uśmiechając się.

– Ale po prostu proszę tego nie robić.

– A co wy tam takiego macie? O co się tak boicie? – powiedziała i ryknęła śmiechem, aż widać było błyszczące plomby amalgamatowe, częściowo przykryte herbatnikami.

– Sami sprzątam w tamtych pokojach – rzekł Tor i wstał. – A teraz idę do chlewu.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi do chlewu, stał długo, nienawidząc ojca, który to wszystko spowodował swoim marudzeniem w sprawie domu opieki. Ale tutaj on przynajmniej mógł się schronić, a ojciec nie. Jedyne, co robił, to rąbanie i noszenie drewna, a w ostatnim czasie nawet tego rodzaju prac wykonywał mniej. W zasadzie można to było zrozumieć, rąbanie drewna to ciężka robota. Chociaż było pocięte, trzeba je było rozłupać na szczapy, właściwie to był zdumiony, że ojciec tak długo dawał sobie z tym radę. Widział go w wyobraźni, jak stoi z polanem wysoko nad głową, aby następnie uderzyć nim w pień, rozwalając je na kilka kawałków. Może nie doceniał staruszka. Lub też przeceniał go, zbyt wiele składając na barki starego człowieka. Będzie od tej pory trochę pomagał przy drewnie.

Podszedł do świetlika i spojrzał w stronę domu. Okna kuchenne już były zaparowane, a z drzwi właśnie wytoczył się ojciec we własnej osobie i pokuśtykał w stronę drewnutni w filcowych kapciach, z cynkową balią w rękach. Najwyraźniej mocno mu się spieszyło. To było coś zupełnie innego niż dziewczyna z miasta ze słuchawkami w uszach. No i to, że pochodziła z Fosen. Z chłopskiej rodziny. Gorszego obcego już nie można było sobie tutaj wyobrazić.

Jego spojrzenie padło na szafkę, otworzył ją, wyjął resztkę okowity, odkręcił korek i przyłożył butelkę do ust, opróżnił ją, wiele tam nie było, tylko jeden porządny łyk. Podstawił usta pod kran i przepłukał je zimną wodą. Stał, czekając na przypływ ciepła, i już było, a wraz z nim ulga. Oraz coś na kształt wesołości z powodu tego, co pojawiło się w domu, miał ochotę zadzwonić do Margida i wszystko mu opowiedzieć, może powinien sprawić sobie taki telefon komórkowy, Torunn mówiła, że to nic gorszego od zwykłego telefonu. Zamiast odkładać słuchawkę na widelki, naciskało się czerwony guzik, a zamiast ją zdejmować – zielony. Mógłby stać sobie w chlewie i rozmawiać z Torunn. Nagle jednak uświadomił sobie, że ukrywał to przed nią, całą sprawę ze szczurami. A co by było, gdyby nagle wyskoczył szczur, a on by wrzasnął i wszystko by się wydało.

Ponownie wyjrzał przez świetlik. Drzwi do drewnutni były uchylone, ojciec znajdował się teraz tam w środku. Czy będą zmuszeni ukrywać się od teraz w drewnutni i chlewie raz w tygodniu? Zaczął się śmiać, a potem jeszcze bardziej rozbawiło go to, że stoi tutaj i się śmieje, przyniósł sobie ostatni łyk duńskiej wódki i tę butelkę również opróżnił. Co zrobione, to zrobione, a woda smakowała w sam raz, jeszcze z posmakami wódki. Mieli dobrą wodę tutaj w Neshov, nikt nie mógłby twierdzić inaczej. Wyjrzał jeszcze raz przez świetlik i czknął. To ona, w drodze tutaj. Tutaj! Tutaj nikt nie przychodził, poza weterynarzem i Torunn. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach i otworzył je szarpnięciem.

– Tak?

– Ale, drogi panie, co się panu stało?

– Czego pani... czego pani tu chce?

– Telefon do pana. Jakaś Torunn.

– Proszę powiedzieć, że oddzwonię później.

– Nie ma sprawy. Ale nie musi pan być taki nieuprzejmy, dlatego że chciało mi się tu przyjść i pana poinformować.

– Przepraszam, nie zamierzałem... Po prostu się przestraszyłem.

– Ach, tak – rzekła, sznurując usta, a potem się odwróciła i poszła z powrotem do domu. Przebrana była w niebieski fartuch z kokardami na szyi i na plecach. Jej grube przedramiona wystawały ze sweterka z krótkimi rękawami. W połowie drogi na podwórku odwróciła się i krzyknęła w jego stronę: – Nie używa pan chyba tych samych ubrań w chlewie i w domu?

– Nie wolno tego robić! – odkrzyknął. – Takie sprawy reguluje sanepid!

– Wie pan dobrze, co mam na myśli – powiedziała. – Proszę nie udawać.

Przyniósł sobie jedną butelkę piwa spośród tych schowanych przy boksie porodowym, gdzie postawił je do odmrożenia, po czym ją otworzył. Była tutaj dopiero od godziny, a już zdążyła zmusić go do powiedzenia przepraszam oraz nakrzyczeć na niego za ubrania do chlewu. Oczywiście, że nigdy nie chodził w kombinezonie roboczym po domu, ale co do reszty, to specjalnie się tym nie przejmował, a zapach osadzał się wszędzie, łącznie z bielizną.

W Fosen zapewne zmieniają bieliznę po obrządzeniu zwierząt, pomyślał, zdaje mi się, że prawie to **widzę**. Co za baba. Matka też marudziła ciągle o smród chlewu.

– Toż to, kurwa, ten zapach, z którego żyję! – powiedział, waląc płaską dłonią w blat. Opróżnił butelkę z piwem jednym długim haustem, a potem beknął głośno i z zadowoleniem, ponownie zajmując stanowisko przy świetliku. Drzwi do drewnutni nadal były uchylone, ojciec na pewno słyszał całą wymianę zdań i radował się skrycie, stał tam w środku i marzył w stopy, nie mając nawet niczego, żeby się napić.

– Dom. Już ja ci dam **dom**, ty. Jeśli my tu, do kurwy nędzy, mamy mieć taką latającą furię...

Otworzył drzwi do chlewu jednym szarpnięciem, pomaszerował do drewnutni, wkroczył do środka, poczuł, jak upojenie oplata mu język niczym stal. Ojciec siedział na pieńku do rąbania, a w chwili, gdy Tor wynurzył się z półmroku, na jego twarzy malował się czysty strach.

– To tylko ja – powiedział Tor.

– Dzięki Bogu.

– Wiemy, czyja to jest wina.

– Tak.

– Dlaczego siedzisz więc tutaj i się ukrywasz?

– Powiedziała, że mam iść i wziąć prysznic – wyszeptał ojciec.

– Czy nie tego właśnie chciałeś? Dostać się do domu opieki, żeby ktoś mógł ci mówić takie rzeczy?

– Nie, nie chciałem.

– Czego nie chciałeś?

– Ja... nie wiem.

Nagle Tor zaczął się śmiać, ojciec uśmiechnął się krzywo w zaskoczeniu i tylko gapił się na niego, dmuchając sobie na palce. Tor nadal się śmiał, musiał złapać się za bok, nie pamiętał, kiedy ostatnio śmiał się tak szczerze, o ile w ogóle kiedykolwiek. Ale to wszystko było po prostu niepoważne, ojciec na pieńku do rąbania drewna, on sam w chlewie, baba z Fosen w środku, zachwycająca się ich marnym zlewem.

– Idziemy do środka – powiedział w końcu, ocierając oczy. – Idziemy powiedzieć, kto tu decyduje, gdzie co ma stać, i że ona tam... ona tam...

– Marit Bonseth – dodał ojciec.

– Że Marit Bonseth ma zostawić nasze zwyczaje w spokoju.

– Wypiłeś sobie drinka?

– Nie. Chodź. Idziemy do domu.

– Musimy wziąć drewno.

– Ja to załatwię – rzekł Tor. – Suń się.

Wszystko stało się przy trzecim polanie. Siekiera poszła ukosem, ześlizgnęła się z polana i wbiła głęboko w jego udo. Ojciec stał w tym czasie odwrócony do niego plecami i zbierał szczapy z poprzedniego polana do cynkowej balii.

– Ja... ja...

Ojciec odwrócił się i zaczął gapić się na udo Tora, a potem spojrzął mu w twarz, ich spojrzenia się spotkały.

– Chlew – powiedział Tor. To było jedyne, o czym pomyślał. Chlew. Nie udo.

– Zawołam ją! – krzyknął ojciec drżącym głosem i nieskładnie wybiegł z drewnutni długimi, roztrzęsionymi krokami. – Halo! – zaczął wołać, jeszcze zanim wyszedł. – Halo! Pomocy! Marit Bonseth!

Tor osunął się na podłogę, próbował rozerwać trochę spodnie, ale bez skutku, zrobiło mu się słabo. Kiedy doszedł do siebie, oboje już tam byli, górowali nad nim, ona z ręcznikiem kuchennym w rękach.

Leżał i gapił się na nią, nic nie mówiąc, patrząc, jak drze ścierkę na paski, zupełnie jakby była zrobiona z papieru. Następnie podwinęła mu nogawkę i ciasno zawiązała paski nad i pod raną; nie patrzył tam. Na koniec obwiązała całe udo kolejnym ręcznikiem.

– To jedziemy – powiedziała, prostując się.

– Jedziemy? A dokąd?

– Do szpitala.

– Ale czy nie możemy po prostu... **Pani** może przecież...

– To jest zbyt głęboka rana. Proszę teraz wstać. Zawiozę pana, przecież pan rozumie.

– Nie! Ja nie mogę zostawić chlewu!

Złapała go za ramię i zaczęła ciągnąć.

– NIE, powiedziałem!

– Musisz jechać, Tor – rzekł ojciec.

– Ty masz siedzieć tutaj – powiedział.

– Tak.

– I musisz... Zadzwoń do Margida. Nie... zadzwoń...

– Proszę teraz wstać! – zawołała. – Nie może pan tutaj leżeć! Krwawi pan jak Świnia! Ta rana jest do kości!

Pozwolił, aby go podniosła, wszystko przed oczami mu falowało, złapał ojca za ramię. – Musisz zadzwonić do Røstada, poproś go, żeby na wieczór znalazł zmiennika. A potem załatwię już resztę sam. Słyszysz?

– Tak – rzekł ojciec.

– Nigdy nie korzystałem ze zmiennika – powiedział, patrząc prosto na Marit Bonseth, jej twarz była oddalona tylko o kilka centymetrów, podparła go, ciągnąc jednocześnie do samochodu. – Nigdy w życiu! Zawsze dawałem sobie radę sam.

– Czuć od pana wódkę.

Otworzyła drzwi do samochodu, wepchnęła go do środka i zatrzasnęła je za nim, natychmiast opuścił szybę, panika go zalewała, silniejsza nawet niż ból i szok. Podczas gdy Marit Bonseth pobiegła do domu po torebkę, skinął ręką na ojca, który nadal bezradnie, z obnażoną twarzą stał przed drewnianą.

– Chodź tutaj! Chodź **tutaj**, zaraz! **Pośpiesz się!**

Ojciec podszedł szybko i chwiejnie, zupełnie jakby został wskrzeszony z martwych.

– Tak?

Mówił szeptem, rzucając szybkie spojrzenia w stronę ganku: – Idź do chlewu i do pomieszczenia gospodarczego. Zabierz puste butelki, które tam stoją! Dwie puste butelki po wódce i jedną po piwie. Postaw je...

Nie mógł poprosić ojca o wrzucenie butelek do starego wychodka, bo wtedy usłyszałby, jak szkło spada na szkło.

– Postaw je tam głęboko w dolnej szafce!

– Mówiłeś, że nie...

– Zrób, jak mówię! W środku przejścia stoi też kilka nieotwartych butelek z piwem, wstaw je do szafki w to samo miejsce. I ani słowa o szcurach Røstadowi lub zmiennikowi. Rozumiesz?

Ojciec skinął głową.

– I nie dzwonisz do Margida.

– Nie.

– Jutro będę już całkiem zdrowy. Nie musimy zawracać mu tym głowy.

– Nie.

Już była z powrotem, pani Marit Bonseth, wsiadła do samochodu, musiała jeszcze raz otworzyć drzwi, bo przytrzasnęła sobie nimi płaszcz.

– Proszę zamknąć okno – rzekła. – Jak ruszymy, zrobi się o wiele za zimno. Pod się pan? Albo marznie? To może mianowicie oznaczać, że jest pan w szoku.

– Czuję się całkiem dobrze. Proszę jechać – odpowiedział, zamykając okno.

Ruszyła. Szybko i zdecydowanie brała zakręty. Przez chwilę gapił się prosto przed siebie, potem spojrzął na ścierkę w kratkę owiniętą wokół uda. Przez materiał przesiąkała krew i ciekła na pokrowce na siedzeniu. Pokrowce były plastikowe, ale miały drobne dziurki i krew na pewno przez nie przejdzie i zabrudzi siedzenia. Spojrzął na nią, szybko odwzajemniła jego spojrzenie.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Nigdy przedtem nie miałem zmiennika – powiedział. – To jest prawda, a nie tylko takie gadanie.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – rzekła.

Jej ręce na kierownicy były zakrwawione, miała krew nawet pod paznokciami.

– Przepraszam za ten kłopot – powiedział. – Siedzenie tutaj będzie brudne.

– To się załatwi, proszę się nie przejmować.

– I wcale nie piłem – dodał.

– Jestem z chłopskiej rodziny w Fosen i nie urodziłam się wczoraj. Ale nie zamierzam z nikim akurat o tym rozmawiać. Skoro dla was pracuję i tak dalej. Mogło być gorzej.

Mógłby jej na to odpowiedzieć parę rzeczy, ale uznał, że zamiast tego będzie cicho, zamknął oczy i starał się nie myśleć o szczurach i butelkach.





## ROZDZIAŁ 16

Znalazł najbliższy wodopój, zamówił podwójne espresso, butelkę mineralnej oraz ciabattę z salami, fetą i czarnymi oliwkami. Mężczyzna za barem był młody i ciemnoskóry, miał widoczny kaloryfer na brzuszku, opięty ciasną, czarną koszulką bez żadnych ozdób z przodu, jedynie na brzegu rękawa widniał mały znaczek Levis. Ciasne džinsy, wąskie i długie palce. Wyglądały na silne, jak palce pianisty. Żadnych kolczyków ani pierścionków, cały facet wydawał się **czysty** i dziewiczy. Erlend od razu poczuł się lepiej, patrząc na niego, z premedytacją jednak westchnął ciężko, gdy ciacho wyszło ku niemu z jedzeniem i pić na okrągłej, czarnej tacy, stawiając wszystko tuż przed nim, łącznie z paragonem. Uwielbiał te fartuszki do kolan, których używali barwni pracownicy kafejek, z ogonkiem zawiązanym z tyłu, przypominającym małą, wyrośniętą bułeczkę cynamonową.

– Cóż za westchnienie. Czyżby świat się walił, a ja tego nie zauważyłem, schowany tutaj za żaluzjami?

– Tak. Właśnie tak – powiedział Erlend, podnosząc paragon i udając, że studiuje go uważnie.

– A jak **ty** byś się czuł, gdybyś w całkiem zwyczajny, zaszary dzień, dwudziestego czwartego lutego, dowiedział się, że twój starszy brat idiota gdzieś daleko w smutnym gospodarstwie w Norwegii uciął sobie nogę i na dodatek całe domostwo zostało zaatakowane przez szczury? I jeszcze do tego wszystkiego prawdopodobnie został alkoholikiem, bo w Wigilię poczęstowałeś go starką duńską?

– Jesteś nieźle wygadany.

Erlend rzucił mu szybkie spojrzenie. Flirtował? Mężczyzna odpowiedział na jego uśmiech. Nie, niestety, to był uśmiech bardzo hetero. Jeszcze jedna pozycja na liście przyczyn głębokiej depresji.

– Można tak powiedzieć, absolutnie wygadany – rzekł Erlend, smakując espresso.

– A więc to jest twój ostatni posiłek, zanim zamienisz się we flectistę z Hameln i będziesz bawił się w szczurołapa?

– Oszalałeś. Przecież tam nie **pojadę**.

– Chyba powinienes. Słabo łapie się szczury na jednej nodze.

– Mam jeszcze jednego brata. Tam. On się tym zajmie. Więc czemuż, do jasnej cholery, musiał zniszczyć **mój** dzień, **opowiadając** mi to wszystko? Do diabła z tym...

– Zdaje mi się, że potrzebujesz do tego espresso koniaku. Przyniosę kieliszek. Na koszt lokalu.

– Ale jest dopiero druga godzina – powiedział Erlend.

– Gdzieś na świecie na pewno jest dziewiąta.

– W Szanghaju.

– Poważnie?

– Tak, absolutnie tak sędzę. A zatem poproszę. A skoro mam już podwójne espresso, to i koniak powinien być podwójny – rzekł Erlend. – Oczywiście tę drugą połowę zapłacę sam. Mam

na myśli... ten jeden cały. Poza tym ja też mogę ci postawić kieliszek, jeśli zechcesz dotrzymać mi towarzystwa.

- Kończę teraz zmianę.
- No widzisz. Idealnie. Pośpiesz się.

Pasowałoby mu znakomicie, gdyby mógł teraz porozmawiać z kimś całkiem obcym. Na przykład zadzwonić pod numer kontaktowy telefonu zaufania, gdzie pozbawiony twarzy głos pełnił dyżur i miał za zadanie przeciwdziałać samobójstwom, pośpiesznym aborcjom lub zarąbaniu siekierą najbliższej rodziny. Gdy się nad tym zastanowił, to właściwie pasował do wszystkich trzech kategorii, chociaż w kwestii aborcji chodziło raczej o zapobieganie pośpiesznemu zapłodnieniu.

– A więc pochodzisz z Norwegii?

– Nie, **pochodziłem** z Norwegii. Teraz jestem tutaj. A na imię mam Erlend.

– A ja Jorge. Z Algierii, z przystankiem we Francji na wiele lat, w Paryżu. Znasz Paryż? – zapytał i wyciągnął rękę, która w dotyku była dokładnie taka, jak obiecywał jej wygląd, silna i ciepła, i potencjalnie przerażająco zdecydowana. Taka ręka mogłaby grać do białego rana *Tańce węgierskie* Brahmsa, gdyby tylko chciała.

– Podano mi kiedyś zepsuty kawior z białugi w restauracji w Les Halles – rzekł Erlend, cofając dłoń wyłącznie dzięki monogamicznej sile woli. – To jedyne, co kojarzy mi się z Paryżem. Muszla klozetowa i wzór płytek na podłodze hotelowej łazienki, wszystko było w kolorach czarnym, szarozielonym i spokrewnionym z bielą. Jestem bardziej człowiekiem Nowego Jorku i Londynu. Francuzi mnie niewyobrażalnie męczą, krzyczą i machają rękami, przypominają mi bergeńczyków, ale o tym z kolei ty nie masz pojęcia, no i za tymi krzykami nic się nie kryje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie bierz tego do siebie. Ale ty mówisz prawie idealnie po duńsku, Jorge.

– Dzięki. I jestem hetero.

– To zauważyłem od razu, niestety. Ale i tak sobie chwilę poflirtuję, to po prostu jest wpisane w moją naturę. Tak więc tego również nie bierz osobiście. Właśnie, bardzo głupio, że zdjąłeś ten fartuszek. Wyglądałeś w nim fantastycznie.

– Mam przecież wolne od drugiej.

– Ale on ci pasuje. Noś go przez całą dobę. Również do łóżka. Fartuszek i nic innego.

Jorge roześmiał się, pokazując zęby tak białe, że każdy, kto miał okazję je zobaczyć, powinien był dostać przedtem okulary przeciwsłoneczne. Jego podniebienie było różowe i żebrowane, jak u kota.

– Teraz to ty flirtujesz – powiedział Erlend, przełykając ślinę.

– Śmiałem się!

– To na jedno wychodzi. Jeśli śmiejesz się w ten sposób, z otwartymi ustami.

– Okej. Już nie będę się śmiał. A więc twój brat uciął sobie nogę. Brzmi dramatycznie. A znaleziono ją? Nogę?

– Nie do końca ją uciął, ale wbił sobie siekierę do kości. Wczoraj znalazł się w szpitalu i jeszcze z niego nie wyszedł. Dostaje hysterii, bo musi zostać tam na kilka dni, a chce wracać do domu, do swoich świń, jest gospodarzem.

– Chyba jest ktoś, kto może mu pomóc przy zwierzętach?

– Ależ tak, ale on tego nie lubi. Świnie to wszystko, co ma.

– No i braci.

– No niby tak. Coś w tym jest. Ale pogrzebane głęboko, pod zdechłym psem, którego nie należy ruszać zbyt często. Twoje zdrowie, ty młody, piękny człowieku.

– Zdrowie.

Napawał się widokiem ust Jorge, z wargami wysuniętymi do przodu na brzegu szklanki. Jego czarne, kręcone włosy miały taki połysk, że wydawały się polakierowane, jeden lok był zakręcony za ucho.

– Wydaje mi się jednak, że to, co mówiłeś o drinku w Wigilię, nie jest raczej przypadkiem galopującego alkoholizmu – powiedział Jorge odstawiając szklankę.

– Mój ojciec mi naplotkował. No tak, w gruncie rzeczy to nie mój ojciec, ale opowiedział to bratu.

– To nie twój ojciec?

– Nie, półbrat. I on nagadał mojemu bratu, który powęszył tam trochę w chlewie i znalazł puste butelki w szafkach. I w wychodku też.

– Czyli on popija w chlewie? To brzmi dość okropnie. Czy to normalne w Norwegii?

– Nie mógł pić w domu, z powodu mojej matki.

– Czy ona też jest w zasadzie twoim półbratem?

– Nie. Ale tam w gospodarstwie pije się tak, żeby nikt nie widział. W zasadzie.

– Przyniosę jeszcze koniaku.

– W zasadzie zrób tak. Ale włóż na siebie fartuszek. Skoro to będzie prawie jak praca.

Odchylił się do tyłu. Nie ruszył jedzenia, ciabatta wydawała się sucha, wystające z niej plastry salami były ciemne, błyszczące i zwijały się na brzegach. W istocie był w drodze do domu, gdy zadzwonił Margido. A Margido był tak wytrącony z równowagi, że nie można z nim było żartować, ani o **randce**, ani o sylwestrze, ani o niczym innym. Wystawa sklepu papierniczego w Nørrebro została właśnie delikatnie przystrojona za pomocą ręcznie robionego japońskiego papieru, piór do kaligrafii oraz japońskich znaków, które specjalną techniką nadrukował w czerni i czerwieni na papierze ryżowym, stanowiącym tło. Jedyne elementy ozdobne, poza produktami i tłem, stanowiła pojedyncza, biała orchidea. Wystawa była malutka, nie było tam miejsca na zbyt wiele szczegółów, ale chcieli mimo to podkreślić swoją wysoką jakość, a do kogo się wówczas dzwoniło, jeśli nie do Erlenda Neshov. Każdy inny dekorator zagrabiłby to okno, przekraczając granice dobrego smaku, właśnie dlatego, że było takie niewielkie.

– Bardzo proszę, następny podwójny – rzekł Jorge. – Tylko dlaczego nie jesz?

– To wygląda na suche.

– Przykro mi. Posmarowane o godzinie dziewiątej.

– Widzę właśnie.

– Uważam, że powinieneś pojechać do swojego brata. Z uciętą nogą, szczurami i alkoholizmem nie ma żartów.

– Ale na co **ja** mogę się tam przydać? Boję się śmiertelnie tych wielkich świń. To **drapieźniki**, mój brat sam tak o nich powiedział, i do tego nie wytrzymuję zapachu chlewu. Poza tym byłem tam na święta, to wystarczy na bardzo długo. I pewnie Krumme powie mi to samo co ty, że powinienem tam pojechać, więc muszę to jakoś przed nim ukryć.

– Krumme. Twój partner?

– Tak.

– Ale takich poważnych spraw nie wolno ukrywać przed swoim partnerem, Erlendzie. Tak się po prostu nie robi.

– On też ukrywa przede mną różne rzeczy.

Jorge spojrzał pytająco na Erlenda.

– Na przykład, że chciał, żebyśmy mieli dziecko – powiedział Erlend, wypuszczając głośno powietrze. Teraz zostało to już powiedziane, całkiem obcemu, gapił się na dno kieliszka z koniakiem. Za małą chwilę ten płyn znajdzie się w jego brzuchu, to była cudowna myśl. W niej kryło się coś jeszcze, a mianowicie, że alkohol był absolutnie najlepszym sposobem na

osiągnięcie stanu zapomnienia i obojętności, doskonale rozumiał, że Tor popijał sobie czasem, a Margido na pewno mocno przesadził, te butelki w wychodku mogły tam leżeć już od lat. Miał wielką ochotę zamówić do Neshov porządną dostawę z monopolu, przywiezioną w dodatku uginającymi się od ciężaru samochodami firmowymi, ustawioną następnie w skrzynkach w chlewie, to dopiero dałoby Margido do myślenia.

– On uważa, że powinniśmy wznieść się na nowy poziom, bo został przejechany i prawie zabity i zaczął nagle zastanawiać się, co należy zrobić z resztą swojego życia.

– Długo jesteście razem? – zapytał Jorge.

– Dwanaście lat.

– A ty nie chcesz? Mieć dziecka?

– Nie.

– Kochasz go?

– Niewyobrażalnie.

– A jesteś mu wiemy, Erlendzie?

– Wierniejszego faceta nie ma po tej stronie kuli ziemskiej. Krumme jest taki sam.

– I on chce, żebyście mieli dziecko.

– Tak. Powiedział mi to.

– Ale, Erlendzie. To w końcu jest piękna deklaracja miłości.

– Co? Co masz na myśli? – zapytał Erlend.

– To, co mówię. Pragnienie posiadania dziecka, waszego wspólnego dziecka, to przecież największa możliwa deklaracja miłości. Totalne zaufanie.

Poczuł, jak w ułamku sekundy łyzy trysnęły mu z oczu. Przycisnął palce do powiek, Jorge złapał go za przegub.

– Sprowokowałem obcego człowieka do płaczu. Przepraszam.

– O Boże, Boże, Boże. To ja przepraszam. O Boże, ludzie pewnie się gapią...

– Knajpa jest pusta, czas lunchu dawno się skończył. Wyluzuj.

– O Boże, o Boże... Nie puszczaj mojej ręki! Dlaczego ja płaczę? Kurwa, kurwa... **Nie puszczaj**, powiedziałem!

– Bóg i kurwa w jednym zdaniu, czy to też typowo norweskie zjawisko?

Zaczął śmiać się przez łyzy, zabrał rękę, wziął serwetkę i wytarł nią ostrożnie oczy, żeby nie rozmazać sobie kredki, wydmuchał nos i spojrzał Jorge w oczy.

– Dzięki – powiedział.

– Bo przeze mnie się popłakałeś? – spytał Jorge.

– Tak. Powiedziałeś coś, o czym nie pomyślałem. A przynajmniej nie pomyślałem **w ten sposób**.

– Ale jakiego zdania jest Krumme? Co on mówi? I dlaczego ty nie chcesz, skoro jesteście razem od dwunastu lat?

– Zadajesz tyle pytań, że dziesięciu mędrców nie byłoby w stanie na nie odpowiedzieć. A ja nie mam innego wykształcenia niż norweska szkoła powszechna.

– Spróbuj – powiedział Jorge. – Przyniosę całą butelkę koniaku. Albo... to, co z niej zostało.

Godzinę później wziął taksówkę do redakcji gazety, gdzie pracował Krumme. W windzie dokładnie przyjrzał się w lustrze swojej twarzy. Oczy miał nadal czerwone, a nie zabrał ze sobą kropli Clear Eyes, ale zupełnie go to nie obchodziło. Serce waliło mu jak młotem, czuł je aż w krtani, miał dziką chęć na papierosa, ale skończyły mu się.

Nie zmniejszając tempa, skinął głową paniąkom w recepcji, które próbowały go zatrzymać.

– Musi się pan wpisać na listę! A poza tym, czy jest pan umówiony?

Nigdy tutaj nie przychodził. **Prawie** nigdy. Poprzednim razem zdarzyło się to dwa lata temu, gdy podczas pracy nad wystawą dla sklepu z futrami rzuciła się na niego grupa aktywistów z organizacji ochrony zwierząt. Opryskali zarówno jego, jak i manekiny oraz futra czerwoną farbą w sprayu, a na nich superdrogie naszyjniki z pereł, które po wielkich błaganiach udało mu się wypożyczyć w firmie A. Dragsted. Wszystko – wszystko! – było pokryte czerwoną farbą. Ruszył wtedy pędem do redakcji Krumme, żeby skłonić ich do wydania wyroku śmierci na aktywistów, ni mniej, ni więcej, tylko w szpalcie ze wstępniakiem, ale Krumme udało się go jakoś uspokoić. Zabrał Erlenda do domu, a tam wyszorował mu włosy i twarz rozpuszczalnikiem. Śmierdział później przez długie tygodnie.

Fakt, że tu prawie nigdy nie przychodził, nie wynikał w najmniejszym stopniu z tego, że Krumme w jakiś sposób wstydził się go albo ukrywał to, że żyje z mężczyzną. Krumme po prostu chciał mieć wodoszczelną gródź pomiędzy pracą a życiem prywatnym. Nie cierpiał ograniczać sobie wolności i z żadnymi kolegami z pracy nie spotykał się prywatnie. Erlend łatwo zawierał przyjaźnie i był w stanie pod wpływem nagłego impulsu zaprosić do domu kogoś, kogo polubił, dlatego Krumme obwieścił mu, że nie musi bratać się z nikim z jego firmy. Erlend w pełni to szanował, spotykał w końcu ciekawych ludzi w wielu miejscach i nie musiał zawierać znajomości z pracownikami tabloidu „BT”. Jorge został już zaproszony na jego czterdziestkę, chociaż trochę skłamał, mówiąc, że skończy trzydzieści pięć lat.

- Wpisać się na listę? Idę do... Carla Thomsena.
- Jest na spotkaniu. Czy jest pan **umówiony**?
- Srać na to, znajdę go, gdzie mam się wpisać? Proszę pokazać! Dajcie mi długopis!
- Mamy tu procedury bezpieczeństwa...
- Tak, ale ja **jestem** umówiony!
- Musimy to sprawdzić z jego sekretariatem. Proszę usiąść i poczekać.

Wolał postać. Sekretarki Krumme знаły go i po dwudziestu sekundach siedział już w zabałaganionym biurze Krumme i wciągał w płuca zapach papieru, kurzu i cygara. Trzy duże monitory stały rzędem na biurku, wydruki wały się wszędzie, a nad całym tym chaosem czuwało duże białe gipsowe popiersie Brahmsa. Krumme miał w biurze sprzęt muzyczny, telewizor i biały zestaw skórzanych mebli salonowych, które Erlend osobiście dla niego wybrał. Teraz zauważył, że biały kolor był pomyłką, farba drukarska i dzinsy zabarwiały go na ciemno, będzie musiał kupić parę butelek płynu do czyszczenia skór i dać Krumme do pracy.

Przeszukał bałagan na biurku, aż znalazł paczkę cygar „Romeo y Julieta” i zapalił jednego. Właśnie był w samym środku mało atrakcyjnego napadu kaszlu, gdy Krumme wszedł do gabinetu razem z olśniewająco piękną kobietą na obcasach wyższych niż Okrągła Wieża i z piersiami, z których można byłoby uszyć co najmniej pięć pelerynek przeciwdeszczowych z najlepszego silikonu.

- Czy to ty? Tutaj? – powiedział Krumme i się uśmiechnął. – Ktoś był dla ciebie niedobry?
- Tak, to cygaro – rzekł przy ostatnim, zdecydowanym kasznięciu. – Nie masz jakichś zwyczajnych papierosów? Potrzebuję przerwy.
- Ja mam – powiedziała kobieta, wyciągając z kieszeni żakietu paczkę Marlboro i częstując go. – Przyjdź do mnie później, Carl, obgadamy to.

Zostali sami. Erlend zapadł się w skórzaną sofę. – Zamknij drzwi, Krumme.

- Ale o co chodzi? – spytał Krumme, zamykając drzwi nogą i prawie tracąc przy tym równowagę.

– Proszę cię o wybaczenie, Krumme. Myślałem tylko o tym kominku, podczas gdy ty... i przecież ja cię kocham, wiesz o tym. A jednak...

W taksówce przemyślał dokładnie, co chciałby powiedzieć, teraz jednak wszystko mu uleciało. Rzucił niezapalonego papierosa na stół.

– Rozmawialiśmy o jakimś kominku? A kiedy? – zapytał Krumme.

– Nie, o dziecku!

– Dziecku? – wyszeptał Krumme, siadając przy nim.

Erlend złapał jego rękę i ją uściskał, zamknął oczy, odwracając jednocześnie twarz, skupił się na tym, aby pamiętać treść rozmowy z Jorge i słowa, które ułożył sobie w taksówce: – Sądziłem, że z tym dzieckiem to chodzi o ciebie, że nie jesteś zadowolony z naszego życia. Myliłem się. Rozumiem, że to była... jest... deklaracja miłości. Deklaracja zaufania. Do mnie. Byłem egoistą. Myśl o dziecku przeraża mnie do głębi, to muszę szczerze przyznać. Nie wiem, czy mam cokolwiek do dania dziecku. Ale mam coś do ofiarowania **dalej**. Myślałem też o dziadku Tallaku, tak go przecież nazywałem i nie mogę teraz nagle przestać... Myślę, że on mi sporo dał. Choć żyliśmy w kokonie kłamstw, to on dał mi masę miłości, właśnie dlatego, że wiedział, iż jest moim ojcem, nawet jeśli **ja** tego nie wiedziałem. Może część tej miłości może zostać wykorzystana do czegoś pożytecznego. Tak czy owak, nie mówię od razu tak, mówię tylko, że możemy o tym porozmawiać bez napadu hysterii z mojej strony...

Otworzył oczy i odwrócił się do Krumme.

Krumme płakał, siedząc bez ruchu na sofie, a łzy leciały mu z oczu. Mocno ścisnął dłoń Erlenda.

– Mówisz poważnie? – wyszeptał.

– Mój drogi, kochany Krumme, mówię dokładnie to, co myślę. Że ta perspektywa przeraża mnie do głębi, ale że możemy o tym porozmawiać, może wspólnie z Tizzi i Jytte. Być z dzieckiem zupełnie **samemu** bez matki, żeby to dziecko było **tylko** nasze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zapłacone i kupione u matki zastępczej, ta myśl w ogóle mi się nie podoba, ale chętnie posłucham, jakie zdanie na ten temat mają Jytte i Lizzi. Rozmawiałeś z nimi, Krumme? Bez mojej...

– Nie o nas. Oczywiście, że nie. O takich sprawach przecież nie rozmawia się z nikim, zanim się samemu...

– Nie. Jasne, że nie – rzekł Erlend.

– Wspominały tylko, że **one** mają chęć mieć dziecko, a ja powiedziałem, że dobrze to rozumiem. Ale one mogą sobie załatwić plemniki skądkolwiek.

– Możemy przecież zaprosić je na obiad w któryś wieczór – powiedział Erlend.

– Tak, właśnie. Dziś wieczorem?

– Już dziś wieczorem? Tak... Tak, w sumie możemy.

– Och, Erlendzie, moja mała myszko.

Objęli się mocnym uściskiem.

– Jakkolwiek będzie – wyszeptał Krumme – będzie dobrze. Gdy już wiem, że odważyłeś się zmierzyć z tą myślą. Będzie dobrze, niezależnie od tego, co ustalimy. Skoro jesteśmy w tym razem.

Erlend skinął głową. Wspominanie teraz o innych nowinach, takich jak ucięte nogi, szczury i potajemne picie w wychodku, było raczej nie na miejscu, chociaż oczywiście będzie zmuszony powiedzieć i to. Ale teraz miał dosyć powodów do szczęścia, czuł, jak to szczęście w nim płonie, fizycznie i tak mocno, że zagłusza nawet największy lęk odczuwany na myśl o dziecku. Niezależnie od tego, co będzie. Zawsze przecież można było spodziewać się, że Jytte i Lizzi

uznają ich za całkowicie nienadających się na ojców. Wtedy będzie tak, że przynajmniej próbowali.

– Chcesz się kochać? – wyszeptał.

– Zdaje się, że zwariowałeś – powiedział Krumme, odsunął go od siebie i roześmiał się. – Żeby Brahms na nas patrzył? Jego serce tego nie wytrzyma. Uciekaj stąd teraz, zrobię zakupy w drodze do domu, a ty zadzwoń do pań i zaproś je, ja mam tu jeszcze tysiąc rzeczy do zrobienia.

– Wspólnie z tymi silikonowymi cyckami?

– Tak, między innymi. Czy poza tym jest coś nowego? Wszystko się udało z wystawą w tym papierniczym?

– Wszystko poszło dobrze. Poza tym jest trochę drobnych nowin z północy, ale o tym możemy porozmawiać później. No i muszę kupić ci preparat do czyszczenia skór, ta sofa po prostu już zupełnie **nie wygląda!** Na razie, skarbie.

Pocałował Krumme w czoło i wyszedł, rzucając po drodze pogardliwe spojrzenie paniom w recepcji. W drodze do domu zaszedł do biura podróży i wybrał kilka broszur reklamujących wyjazdy do najbardziej egzotycznych krajów.

Czuł, że nie ma czasu do stracenia, że jeśli kiedykolwiek jeszcze mają zobaczyć Wielki Mur Chiński albo Wielką Rafę Koralową, to musi to być kwestia wręcz najbliższych godzin. Poraziła go nagle wizja ich obu zamkniętych w mieszkaniu na osiemnaście długich lat z dzieckiem, które nigdy nie nauczy się korzystać z toalety. Ale jeśli Krumme będzie siedział w tej izolacji razem z nim, istniała pewna szansa, że jakoś to wytrzyma. **Po tym**, jak już zobaczą Wielki Mur Chiński oraz Wielką Rafę Koralową. Postanowił, że to będzie konieczny warunek. Może Krumme będzie chciał zanurkować na rafie.

Krumme w stroju nurka, to może być nawet lepsze niż Krumme w swoim obcisłym skórzanym płaszczu.



## ROZDZIAŁ 17

Margido bardzo współczuł Torowi i nawet nie był w stanie wykrzesać z siebie szczególnego oburzenia z powodu potoku przekleństw, który wypłynął z Tora od chwili, gdy wsadził go do samochodu przed Szpitalem Świętego Olava, aż do momentu, gdy pomógł mu wejść przez ganek i kuchnię w Neshov. Tam usadowił Tora w fotelu w salonie z telewizorem, z nogą podpartą na stołku. Miał pełne prawo przeklinać, zważywszy na to, że lekarze założyli mu sporo szwów i zabandażowali nogę od pachwiny aż do połowy łydki, tak że kolano zostało usztywnione. Lekarze przygotowali Tora na pięć-sześć tygodni leczenia, zanim ostatecznie będzie można zdjąć gips i bandaż.

Na szczęście Tor nic nie wiedział o odkryciu butelek, staruszek i Margido umówili się, że nie będą mu o tym wspominać. Tor i tak nie dałby rady od razu dowiec się do chlewu, a poza tym wszystkie szafki zostały przeszukane. Oprócz pustych butelek znaleziono tam kilka nieotwartych piw, ukrytych obok świńskiego boksu. Stary wstawił je do szafki w pomieszczeniu gospodarczym razem z pustymi flaszkami. Przedtem pokazał je Margido.

– Jak zimno jest na dworze? – zapytał Tor, trzymając się kurczowo poręczy fotela.

– Minus pięć – odrzekł ojciec. Siedział w drugim fotelu, na brzeżku siedzenia, z rozwichrzonymi włosami, w zawrotnym tempie obracając jeden kciuk wokół drugiego.

Stół w salonie stanowił jedną wielką górę kubków po kawie, gazet, okularów. Leżało tam również szkło powiększające oraz talerz pełen okruchów, a także paczka rodzynek otwarta z niewłaściwego końca.

– Jaki on jest – rzekł Tor.

– Zmiennik?

– Tak. A niby kto.

– Ja przecież nie... On sam wszystko robi, przecież. Ale szczury...

– Dlaczego tak marudzisz z powodu tych cholernych szczurów? Co ja ci **powiedziałem** przed odjazdem? Co ja powiedziałem?

– Sam je zobaczył. Albo raczej... usłyszał. Tak sędzę – powiedział ojciec, gapiąc się w podłogę.

– Zobaczył je – dodał Margido. – Rozmawiałem z nim. Ten Rostad do mnie zadzwonił. Weterynarz.

– Wiem, kim jest Rostad – powiedział Tor. – Teraz, do kurwy nędzy, będzie z tego tylko bałagan!

– Już **jest** bałagan – rzekł Margido. – Ale ubezpieczalnia pokryje koszty zmiennika, masz do tego prawo. I była tutaj firma deratyzacyjna. To musisz zapłacić sam. Byli tu dziś. Rozpruli parę ścian i rozrzučili tu i ówdzie nową trutkę. Ale mówili, że jest ich dużo. Strasznie dużo.

– Kurwa żesz...



– Uspokój się trochę, proszę – powiedział Margido. – Wszystko jakoś się ułoży, trzeba na to tylko nieco czasu. A ty masz przecież sporo roboty z rachunkami, będziesz miał na to teraz więcej czasu i nie będziesz musiał myśleć o chlewie. Zrobię nam kawy.

– **Nie będę** musiał myśleć o chlewie? **Uspokoić się?** Czy ty nic nie rozumiesz? Jeśli szczury opanują moje świnie... A rzeźnia odmówi ich przyjęcia...

– Zmiennik, który poza tym nazywa się Kaj Roger Sivertsen, powiedział, że dopóki jest szczelna izolacja od strony stodoły i paszami, wszystko będzie dobrze. Ten Røstad też tak mówił – rzekł Margido.

– A Marit Bonseth będzie przychodziła co drugi dzień – dodał szybko ojciec.

– Co ty takiego **mówisz?** – zapytał Tor. – **Co drugi dzień?**

– Tak załatwiłem – powiedział Margido.

– Boże święty... – rzekł Tor.

– Zrobi wam zakupy i obiad na dwa dni, pomoże w kwestii prania ubrań i tak dalej. Nie dasz rady wejść po schodach, mam dla ciebie tutaj składane łóżko, które kupiłem w Ikei, musisz zainstalować się z nim w kuchni. Gorzej ze sprawą toalety. Mam też... przenośną ubikację.

– Czy to jest to wiadro, które widzę z tyłu w samochodzie?

– Tak. Jest całkiem nowa. Należę na dno trochę specjalnego płynu, wtedy podobno nie będzie śmierdzieć. Postawię ją w schowku przy korytarzu.

– Ty to naprawdę wszystko przemyślałeś – powiedział twardo Tor.

– Przyniosę ci zaraz z góry pościel, szczoteczkę do zębów i ręczniki, będziemy mieli już to wszystko z głowy. Ale najpierw kawa – rzekł.

– Śmierdzi tu jak cholera – powiedział Tor, potrząsając głową i wbijając wzrok w staruszkę. – I wygląda strasznie! Mogłeś chociaż trochę tutaj posprzątać. Może nie musielibyśmy wtedy mieć gosposi!

Ojciec siedział ciągle w tym samym miejscu, gapiąc się w podłogę. Nie odpowiedział. Jego kciuki poruszały się szybko, w kółko i w kółko.

Łóżko Tora nie było specjalnie czyste. Margido rozejrzał się po pokoju, od lat tutaj nie był. Stolik nocny stał nagi, jeśli nie liczyć starego budzika z małymi dzwoneczkami na górze, metalowy patyczek stuknął w dzwoneczki, gdy budzik dzwonił, i trzeba było nakręcać go ręcznie. Oczyma wyobraźni zobaczył Tora w długich, białych kalesonach i podkoszulku, jak siedzi na brzegu łóżka i robi właśnie to, nakręca budzik w wielkiej ciszy, tylko przy dźwięku obracanego z tyłu zegara kluczyka, którym kręci i kręci, aż do uzyskania oporu. Wielka, jasnozielona szafa na ubranie wbudowana w ścianę, szmaciany chodniczek, niebieskie zasłony, kredens pod ścianą, grzejnik elektryczny zamontowany tuż pod parapetem, z plamkami rdzy od zabłąkanych kropli deszczu, wpadających przez otwarte okno przy zachodnim wietrze. Przy wszystkich listwach podłogowych leżał szary rząd kłaczek kurzu, na podłodze przed kredensem walał się stary, oderwany plaster. Otworzył szafkę nocną, zszyty rocznik pisma zrzeszenia hodowców świń, odsunął go nieco na bok, pod spodem leżała książka, podniósł ją, wstrzymując oddech, studiował ją przez kilka sekund, a potem otworzył od tyłu. Dziesiątego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Szybko odłożył książkę z powrotem, zmienił poszewkę na poduszce i kołdrze, znalazł czyste prześcieradło i ręczniki, myjkę i majtki. W łazience w kubeczku z żółtego plastiku stały dwie szczoteczki do zębów, na szczycie schodów najpierw porządnie odchrząknął, sprawdzając, czy głos zabrzmiał normalnie, a potem krzyknął na dół:

– Czyja jest ta czerwona szczoteczka?

– Moja – odpowiedział Tor.

W domu robotnicy uwijali się w ferworze pracy, udało mu się skrócić czas oczekiwania do niecałego tygodnia, niewiele osób miało pieniądze na zaczynanie takich remontów zaraz po świętach. Za dwie godziny miał pogrzeb w kaplicy Tilfredshet, panie miały załatwić świeczniki i kwiaty, wcześniej pomógł już wnieść trumnę na miejsce i ustawić na katafalku. Potem odebrał z drukami śpiewniki, a następnie pojechał do Szpitala Świętego Olava, żeby odwieźć Tora do domu. Dzięki Bogu, że ta Marit Bonseth była chętna na tak częstą pracę u nich. Trudno było z krótkim wyprzedzeniem załatwić oficjalnie tak częsty nadzór, dlatego sama zaproponowała, że weźmie zwolnienie lekarskie z pracy, a Margido zapłaci bezpośrednio jej. Starał się nie myśleć o nieetycznej części tej sprawy, ale nie do końca mu się to udawało. Ostatecznie to był przecież jej pomysł, sama na niego wpadła, więc co miał zrobić, budżet gminy napięty był do ostatecznych granic, wielokrotnie zdarzyło mu się oporządzać zwłoki w domach starych ludzi, żyjących w okropnych warunkach, dzięki Bogu, że istniały jeszcze pomoce domowe i pielęgniarki, które kładły ich do łóżka zaraz po dobranocce i nie zwracały uwagi na rozpad i rozpacz. To też byli tylko ludzie i nie zdążali ze wszystkim. Marit Bonseth wiedziała o tym równie dobrze jak on sam, powinien być jej na zawsze wdzięczny za ulitowanie się nad nimi i myśleć o jej zasiłku chorobowym raczej jako o innej formie tego, co należało się Torowi i staruszkowi. Do kasy państwowej popłynęło z Neshov wiele koron podatkowych i prawie nigdy wcześniej nie obciążali państwowej służby zdrowia. Starał się nie myśleć również o wszystkich pieniądzach wpływających z jego konta, chociaż w głębi duszy wiedział, że nie stanowi to większego problemu. Nigdy nie pozwolił sobie na nic kosztownego, firmie szło dobrze, mieszkanie zostało spłacone już dawno temu, wszystkie konta w banku puchły do tego stopnia, że co miesiąc odbierał telefony od pracowników banku z pytaniem, czy nie chciałby zainwestować w fundusze i akcje. To jednak zawsze wydawało mu się mało bezpieczne i trochę przerażające i dziś był z tego zadowolony. Pieniądze były dostępne, a nie zablokowane w jakichś głupstwach. Teraz, kiedy były potrzebne, miał je pod ręką.

Trochę niezgrabnie rozłożył łóżko połowę w rogu salonu za telewizorem i zaczął je ścielić.

– Twoje leki przeciwbólowe i antybiotyki leżą na blacie kuchennym. Pamiętaj, że te przeciwbólowe są bardzo silne, nie wolno brać ich więcej niż jedną tabletkę trzy razy dziennie, w opakowaniu jest sto, więc masz ich na ponad miesiąc, ale wątpię, żebyś tak długo ich potrzebował. A Torunn zadzwoni dziś wieczorem. Wie, że wracasz dzisiaj do domu.

– Na pewno zadzwoni – rzekł Tor. – Nie chodziło przecież o to, żeby **ktoś** musiał...

– To Margido pierwszy tutaj zadzwonił – powiedział ojciec. – Inaczej nic bym nie powiedział.

– I musiałeś koniecznie mu opowiadać, że zraniłem się w nogę?

– Przestań gadać głupstwa. Przecież potrzebujesz pomocy, nie wejdiesz sam po schodach, musisz to zrozumieć. Dzwoniłem w zasadzie po to, żeby powiedzieć, że jadę do Kopenhagi na początku przyszłego tygodnia – rzekł Margido.

– Jedziesz? Dlaczego? – zapytał Tor z wielkim zaskoczeniem w głosie.

– Teraz już nie pojadę. Nie mam w zwyczaju wybierać się na takie targi, ale...

– Targi?

– Dostaje się różne zaproszenia tu i tam. Ludzie chcą nam sprzedawać produkty. Albo chcą, żebyśmy polecali je rodzinom. Zawsze jednak poprzestawałem na broszurach, które dostaję pocztą.

– W sprawie trumien?

– I nagrobków. Norweski kamień obrabiany przez duńskich kamieniarzy, różne nowoczesne modele, takie tam rzeczy. Płacą częściowo za podróż i pobyty.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Margido. Przekupne wycieczki. Widziałem o tym program w telewizji – powiedział Tor.

– To nie jest żadna przekupna wycieczka. Sam decyduję, od kogo biorę trumny i z usług których dostawców nagrobków korzystam. Ale teraz i tak nie pojedę.

– Dlaczego nie?

– Nie mogę przecież wyjechać stąd, kiedy ty...

– NO, TERAZ, DO KURWY NĘDZY, JUŻ WYSTARCZY!

– Tor – powiedział Margido. – Weź się w garść.

– Zmiennik, gospoia i do tego ty jak jakaś nadgorliwa BABCIA! Super będzie się ciebie pozbyć!

– Tor, proszę – rzekł ojciec.

– Tak? **Coś chciałeś?** – powiedział Tor, chowając gwałtownie twarz w dłonie. Margido złożył kódrę podwójnie i wygładził poszewkę. W salonie było zupełnie cicho. Ojciec ostrożnie odchrząknął.

W tym momencie Margido na szczęście usłyszał syk dobiegający z kuchni.

– Kawa – powiedział. – Woda zaczęła kipieć.

– Kawa, tak. To nam chyba dobrze zrobi – odezwał się cicho Tor, zdjął ręce z twarzy i podniósł się wyżej na fotelu. – I muszę jak najszybciej iść do chlewu zobaczyć, co też tam wyprawia ten zmiennik.

Wysapał się w kuchni, wycierając wodę z kuchenki i sypiąc kawę do dzbanka. Nie miał pojęcia, jak dużo trzeba jej wsypać, sam zawsze używał kawy rozpuszczalnej. – Mam ze sobą też chodzik, z ośrodka pomocy społecznej. Możesz z niego korzystać, aż wyzdrowiejesz.

Włożył go do samochodu za ubikacją, tak że Tor z przedniego siedzenia nic nie widział. W salonie zapadła jeszcze większa cisza niż przedtem, teraz nawet stary nie miał odwagi odchrząknąć.

– Chodzik...? – rzekł pytająco Tor. – **Chodzik?** Taki, jakiego używają starzy ludzie?

– Możesz się na nim oprzeć. Mówią, że jest o wiele lepszy niż kule – powiedział Margido, zagotowując ponownie kawę.

– Ja mam tylko pięćdziesiąt sześć lat – rzekł Tor.

– Będzie ci łatwiej się poruszać – odpowiedział Margido. – Łatwiej też dojdiesz z nim do chlewu.

Czekał, nad słuchując. Spodziewał się kolejnej tyrady pełnej przekleństw i zaprzeczeń.

– Pod jednym warunkiem – odezwał się Tor z pokoju.

– Jakim?

– Że pojedziesz do Kopenhagi.

– To w zasadzie nie odbywa się w samej Kopenhadze, tylko w małym miasteczku trochę bardziej na północ, które nazywa się Frederiksværk – powiedział szybko Margido, gapiąc się do dzbanka, gdzie woda bulgotała i tworzyła bańki ponad zasłoną z fusów.

– Byłeś kiedykolwiek za granicą?

– Nie.

– To pozdrów – rzekł Tor.

– Kogo?

– Wiadomo przecież, że ich odwiedzisz. Skoro już **będziesz** za granicą. I przynieś tutaj ten chodzik, żebym mógł mu się przyjrzeć. Może pójdę z nim do chlewu szybciej, niż wszyscy sądzicie. Świnie przecież nic nie rozumieją.

Zaparkował przed kaplicą Tilfredshet i przeciągnął grzebieniem po włosach, wyciągając głowę pomiędzy siedzeniami w stronę lusterka. Cieszył się na ten pogrzeb. Zmarł stary człowiek, miał ponad dziewięćdziesiąt lat, za sobą trzy miesiące choroby, czworo dzieci, niezliczone wnuki i prawnuki i cała ta duża rodzina miała się właśnie zebrać. Takie pogrzeby to był prawdziwy dar, biorąc pod uwagę wszystkie wypadki, raka i przedwczesne zgony. Cieszył się, że usłyszy słowa pastora, słowa Boże, ich wieczną treść, poczuje spokój kościoła, usłyszy dźwięk organów. Jedno z wnucząt miało zaśpiewać solo *Piękno wieczornego słońca*<sup>8</sup>, to na pewno wypadnie bardzo ładnie. Być może nastrój kaplicy pozwoli mu zostawić na zewnątrz wszystkie inne zmartwienia. No i miał wyjechać, nigdy nie sądził, że w takiej sytuacji może się to udać. Po raz pierwszy w życiu nabrał ochoty, żeby pojechać na takie targi, no i stało się to z Torem. Ale teraz pojedzie mimo wszystko.

Chciał bardzo, aby Torunn przyjechała. W Neshov zrobi się nie do wytrzymania z nimi dwoma siedzącymi w salonie telewizyjnym, z Torem uwięzionym w fotelu, oddzielnym od swoich świń. Ten zmiennik naprawdę mógł zjawić się jeden zimowy dzień wcześniej. Torunn miała na Tora szczególnie wpływ, bo dogadywała się z nim w kwestii świń, lubiła je i podziwiała. To ona właśnie powinna tutaj teraz być. Oczywiście dzwoniąc do niej, nie poprosił, żeby przyjechała, na to będzie musiała sama wpaść, ale usłyszał wyraźnie, jak bardzo się zmartwiła. Kwestię pustych butelek odsunęła jakoś od siebie, twierdząc, że to na pewno była jednorazowa sprawa, zwłaszcza że zostało trochę alkoholu po świętach, nie wspominał jej więc już o wychodku. Poświecił tam latarką do samego dołu i doliczył się co najmniej pięćdziesięciu butelek po piwie oraz sporej liczby półlitrówek po okowicie, dodatkowo też paru nieznanych mu innych flaszek. Na pewno wrzucano je tam latami.

Rana ojca i szczury były tym, co najbardziej poruszyło Torunn. Co do świń, to była pewna, że zmiennik doskonale sobie z nimi poradzi. To będzie pewnie gorsze dla Tora niż dla świń, tak powiedziała. Ale kwestia szczurów bardzo jej się nie podobała. Ona także wspomniała o zakazie dostaw do rzeźni.

Pani Marstad wyszła z kaplicy i poszła do samochodu. Pośpiesznie opuścił swój pojazd, zabierając torbę ze śpiewnikami.

– Wszystko pod kontrolą? – zapytał.

– Ależ oczywiście. To będzie przyjemny pogrzeb. Nieprawdopodobne morze kwiatów. Staraliśmy się zrobić wszystko jak najlepiej.

– To właśnie jest najlepiej, pani Marstad.

– O, dziękuję, to... Ale jak poszło z pana bratem?

– Siedzi teraz w fotelu w Neshov i klnie.

Szybko wciągnęła powietrze i zasłoniła ręką usta.

– Nie sądzę, żeby to było szczególnie dziwne – kontynuował. – Biorąc pod uwagę całą sytuację. Dla rolnika to nic zabawnego – leżeć na rozkładanym łóżku w salonie i nie być panem na własnym gospodarstwie.

– A jego córka? Torunn? Może ona też przyjedzie pomóc?

– Nie sądzę. Ma pewnie dość własnej roboty, pracuję na pełen etat.

– Ale przecież to w końcu jego córka. Nawet jeśli pan jest bratem, to córka powinna pomóc w takiej sytuacji.

---

<sup>8</sup> Niemiecka pieśń kościelna z 1837 roku (przyp. tłum.).

– Świat nie zawsze jest taki, jak powinien, pani Marstad. Wszyscy o tym wiemy. A, właśnie, jadę jednak w przyszłym tygodniu do Kopenhagi. Czy raczej... do tego małego miasteczka, przez Kopenhagę, pojedę pociągiem z Kopenhagi dalej.

– To dobrze panu zrobi. Oderwanie się trochę od wszystkiego.

– Nie jestem akurat tym typem człowieka, który chciałby wyjeżdżać w momencie, gdy wszystko się spiętrza, ale mój brat prosił, żebym pojechał. Zrobimy więc tak, jak mówiliśmy na samym początku, odeślecie po prostu klientów gdzieś indziej w sprawach wyjazdu na miejsca wypadków lub do dramatycznych zdarzeń domowych. Nie musicie tego brać.

– Niepokoję się tylko kwestią nabożeństwa przy zmarłym – powiedziała pani Marstad. – Chociaż mówiłam, że nikt z nas nie może tego poprowadzić, zmieniają zdanie i chcą jednak je mieć.

– Proszę wtedy po prostu zrobić okazanie ciała w kaplicy, przy świecach i w ciszy. Można zaproponować, że zmówicie razem Ojciec Nasz. Zadzwońcie do mnie, gdyby była taka potrzeba. Jeśli nie macie pewności, co robić, odeślijcie klienta dalej.

– Wszystko na pewno pójdzie dobrze. Damy sobie radę. A to z pewnością będzie wspaniały pogrzeb. Wnuczka już tu jest i ćwiczy razem z organistą, a śpiewa przepięknie.

Weszli do środka. Stół przy wejściu był gotowy, nakryty białym obrusem, na nim stały lichterze, oprawiona w ramki fotografia, leżała księga kondolencyjna i pióro. Wyciągnął śpiewniki z torby i położył je obok.

Pani Gabrielsen krzątała się przy wstęgach, doczepionych do bukietów stojących w wysokich wazonach na podłodze. Przejście było wypełnione wieńcami prawie do połowy odległości między rzędami. Stał długo i przyglądał się ogromnemu sercu z róż, ułożonemu na samym przodzie trumny.

Przeciągnął ręką po włosach, czuł, że węzeł typu Windsor jest poprawnie zawiązany pod szyją. Trochę się spocił, mocując się z łóżkiem polowym i pościelą, czuł jednak, że nie śmierdzi. Rzucił okiem na zegarek. Za dwadzieścia minut dzwony zaczną dzwonić.



## ROZDZIAŁ 18

N/lamo, nie możesz tak myśleć. Jeśli tylko trochę się zastanowisz. Mam trzydzieści siedem lat. Nie mogę tak po prostu odwrócić się plecami i zostawić wszystkiego, co wypracowałam sobie przez całe...

– Co twój **wiek** ma tutaj do rzeczy? Teraz to już opowiadasz bzdury. Podaj jakiś normalny argument, wymyśl coś rozsądnego!

– Chciałabym..., jak mam to powiedzieć, żyć własnym życiem?

– Przecież **możesz** to robić! Jeśli podzielimy dom na dwa poziomy, będziemy miały dwa mieszkania. Jeśli własny poziom mieszkalny to nie jest własne życie, to ja już nie wiem. Ale strych i piwnicę musimy dzielić – tyle chyba dasz radę, jeśli będziemy spotykały się tylko na krótką chwilę na schodach. Boże święty, Torunn, malutkie mieszkanko w bloku w Stovner, a tutaj połowa willi w Røa i ty się wahasz! Bez innych kosztów niż udział w remoncie.

– Poznałam mężczyznę. Może coś z tego będzie.

Matka opadła na sofę i zaczęła płakać. Długie, przeciągłe łkanie. Lakier na jej paznokciach łuszczył się i miejscami odpadał, siedziała tam tylko w nylonowych rajstopach i sięgającym do talii jaskrawozielonym polarze, w zasadzie szykowała się na wyjście z przyjaciółkami, gdy Torunn niespodziewanie zajrzała w drodze z pracy, żeby sprawić jej przyjemność. Chciała w ten sposób zasygnalizować, że odwiedza ją dobrowolnie, a nie z powodu błagalnych i pełnych goryczy telefonów.

Tak bardzo chciała przywrócić wszystko do normy, pokazać matce, że stanowi dla niej zwyczajną część codzienności, ale tak czy owak, cały czas rozgrywał się dramat. Tak jak teraz: rysunki architekta, które matka miała zamiar pokazać Torunn na specjalnym niedzielnym obiedzie, ale nie udało jej się powstrzymać od przedstawienia ich natychmiast.

– Ale czy ty nie miałaś spotkać się z kimś, mamó? Jest już ósma.

– A więc mężczyzna. Czy to... coś poważnego? Torunn, czy to coś poważnego?

– Być może.

– Ale połowa tego domu to sto dwadzieścia metrów kwadratowych. Czy to nie jest dość dla faceta? Dowolnego faceta?

– To nie jest dowolny facet.

– Nie, to prawda. Nie jest to Gunnar, na przykład – rzekła matka i już nie płakała. Zamiast tego wpatrywała się w Torunn zaczerwienionymi oczami. – A więc nie chcesz? – zapytała.

– Sądzę po prostu, że to nie jest najlepszy pomysł, żebyśmy my dwie...

– Jesteśmy przecież matką i córką? Co byłoby w tym złego?

– Ale Gunnar chce sprzedać ten dom. Czuję trochę, że wymyśliłaś to tylko po to, żeby...

W tym momencie zadzwoniła komórka. Dobry, zły i brzydki.

– Odbiorę na schodach – powiedziała, wybiegając.

– Tak, rozumiem, **kto** dzwoni! – krzyknęła za nią matka. – Nie sądzę, żebyś rzucała się na telefon równie szybko, gdy widzisz, że to ja dzwonię!

Umówili się, że przyjedzie do niego około dziewiątej. Może chciałby, żebym kupiła po drodze coś na ząb – zdążyła pomyśleć, odbierając telefon.

– Witaj! – zawołała wesoło. – Czy **aż tak** za mną tęsknisz?

Na to nie odpowiedział, ale coś mu przeszkodziło, plany się pokomplikowały, jego głos wydawał się dziwny i nieobecny.

– Plany się zmieniły? Masz na myśli mój przyjazd? **Tutaj** nic nie stoi na przeszkodzie planom, oprócz historycznej matki – powiedziała, zachowując wesołość w głosie.

Miał kogoś z wizytą, wszystko wyszło jakoś chaotycznie, lepiej, żeby nie przyjeżdżała dziś wieczorem.

– A co to wobec tego za wizyta?

Trochę trudno byłoby wyjaśnić to przez telefon.

– Mogę więc przyjechać później. Gdy wizyta już pojedzie. Właściwie to mi nawet pasuje, zdążę zrobić przepierkę i tak dalej.

Nie, lepiej, żeby spotkali się jutro.

– Okej. Będzie ci smutno samemu pod kołdrą wobec tego – powiedziała, śmiejąc się, nie mogąc zrozumieć zupełnie, skąd bierze siły na ten śmiech.

Zadzwoń do niej, rzekł odkładając słuchawkę.

Wciągnęła głęboko powietrze, przesuając wzrokiem ponad dachami willowej dzielnicy, zaczął padać śnieg, leciutkie jak piórko, nieliczne płatki. Poczowała trzepotanie w dołku, nie był to początek płaczu, ale coś innego. Może strach.

W salonie matka siedziała na sofie ze sporym kieliszkiem koniaku.

– Czy chcesz też, moja droga?

– Prowadzę. Przecież wiesz.

– Weź do domu taksówkę. Postawię ci. Ale może jedziesz w inne miejsce?

– Może.

Wyszła i w lodówce znalazła sobie butelkę wody mineralnej. Gdy wróciła, matka właśnie skończyła pić wielką porcję koniaku i nalewała sobie następną.

– Chcesz się upić czy jak? Miałaś wychodzić. Poza tym to wygląda dość obrzydliwie, jak przemieszczasz się tu w samych rajstopach.

– Dałam znać, że mnie nie będzie, w tym czasie, gdy ty rozmawiałaś ze swoim kochankiem – rzekła matka, opadając na matowozieloną, aksamitną sofę z poduszkami w kolorze łososiowym i czarnym. Wyglądała na zagubioną; drobna, pomarszczona i blada. Jej kolana przezierające przez nylon rajstop przypominały małe, ściśnięte twarzątki małp, zaczęła uderzać kolanami, cały czas, jednym o drugie, wciskając jednocześnie ręce pod uda, patrzyła w bok, jak obrażony dzieciak.

– Ależ dlaczego, mamó? Masz supermiłe przyjaciółki i nie chcesz się z nimi spotkać?

– Chcę być razem z moją córką, ale ona najwyraźniej chce czegoś innego! – rzekła matka, przygważdżając ją spojrzeniem.

– Przecież zajażdżałam do ciebie! Czy może nie? – zapytała. – Tak strasznie się zmieniłaś, nigdy wcześniej tak się nie zachowywałaś. Byłaś zawsze niezależną osobą, która wszystko załatwiała i prawie nigdy nie miała czasu, gdy zapraszałam ciebie i Gunnara na cokolwiek.

– Właśnie to powiedziałaś. Mnie i Gunnara. A teraz to już tylko mnie, więc nie jest tak samo ciekawie.

- Mamo...
- Pewnie się z nim często widzisz? – zapytała matka i ponownie utkwiała w niej wzrok.
- Z Gunnarem? Nie, raczej nie...
- Ona ma na imię Marie. Trochę się rozeznałam w sprawie. Ma duży dom jednorodzinny w Blommenholm i tam mieszkają. Byłaś tam?
- Nie!
- Nie wierzę ci. A gdyby Gunnar zaproponował ci połowę **tamtego** domu, to pewnie byś się nie wahała, tak obstawiam.
- Chyba już sobie pójdę. Jeśli masz dalej pić i być okropna. Kiedyś potrafiłaś siedzieć przez godzinę nad małym kieliszkiem koniaku.
- Wtedy siedziałam razem z **Gunnarem** i małym kieliszkiem koniaku.
- Zawsze uważałam cię za silną kobietę, mamo. Teraz jakoś... rozpadasz się po prostu na kawałki...
- A czyja to jest wina? Jeśli mogę zapytać?
- W zasadzie to nie jest wina Gunnara, że siedzisz tylko i użalasz się nad sobą.
- A kto ma się użalać, jeśli nie ja sama? A czy TY mnie pożałujesz? Czy GUNNAR mnie żałuje?
- Ależ mamo... Nic z tego nie rozumiem. Chcesz, żeby ludzie cię **żałowali**? Czy naprawdę **tego** chcesz? Czy to nie jest w gruncie rzeczy odrobinę... **niemiłe**?
- Trochę współczucia wcale by nie zaszkodziło...
- I przecież je masz, w dowolnej ilości! I w dodatku, muszę ci to powiedzieć, że jeśli zachowujesz się w ten sam sposób wobec swoich przyjaciółek, to je stracisz! Wszystkie po kolei. Ofiary losu to najgorsza rzecz, której ludzie się boją. Nikt nie chce przebywać w towarzystwie ofiary losu!
- Idź już sobie. Idź, proszę.

W hallu matka dogoniła ją chwiejnym krokiem w chwili, gdy Torunn stała na jednej nodze i zaciągała zamek błyskawiczny w jednym botku.

- Torunn! Nie idź!
- Muszę coś załatwić.
- Idziesz do tego faceta?
- Być może. Albo do domu i zadzwonić do ojca. On nie użala się nad sobą, zamiast tego wyrzeka i klnie i to jest w zasadzie znacznie lepsze.
- Z powodu tej nogi?
- Nie z powodu nogi, ale z powodu wszystkiego, czego przez tę nogę nie może **zrobić**.
- Maminsynek...
- Już nie. Przecież ona umarła, czyż nie?
- Kiedyś maminsynek, na zawsze maminsynek. A ta noga mu się zagoi. Małżonek za to nie odrośnie.
- Ale tak czy owak, to dla niego trudne.
- Pewnie zamierzasz pojechać **do niego**, czyż nie – rzekła matka.
- Tak, miałam taką myśl. Że powinnam. Ale mam teraz kilka kursów. Nie mogę ich zostawić. Matka oparła się o ścianę, wstrzymując powietrze: – **Naprawdę** tak uważasz, Torunn? Że powinnaś tam pojechać? Skoro dopiero co byłaś tam na święta? **A ja potrzebuję ciebie tutaj!**
- On mnie potrzebuje bardziej niż ty.
- Ależ co ty **MÓWISZ!** – rzekła matka z taką histerią w głosie, jakiej Torunn jeszcze nie słyszała. – Przecież to ja wzięłam za ciebie odpowiedzialność! On cię olał! OLAŁ! I nagle



pojawia się w zalotach, gdy masz prawie czterdzieści lat, i wabi cię śmiertelnie chorą babcią, której nigdy nie widziałaś, a ty nagle zamierzasz do niego jechać i opiekować się jego świniami tylko dlatego, że zranił się w **nogę**?! Podczas gdy ja tu siedzę i nie wiem, co mam ze sobą zrobić, a całe moje **życie** legło w gruzach?! Czy ty nie rozumiesz, jaka to jest drwina ze mnie i ze wszystkiego, co dla ciebie zrobiłam? Co? Czy ty w ogóle rozumiesz, co ty mi tutaj **STOISZ I OPOWIADASZ?**

– Porozmawiamy jutro. Zadzwoń do ciebie – powiedziała Torunn i wyszła pośpiesznie. Mimo poważnej ilości koniaku we krwi matka pojęła, że nie może tak po prostu wyskoczyć za nią w rajstopach. To była elegancka dzielnica, gdzie nie wywalało się uczuć w ten sposób na widok publiczny. Matka stała w drzwiach, patrząc za Torunn. Nie odpowiedziała, gdy Torunn pomachała jej ręką z samochodu.

W samochodzie włączyła R.E.M. na cały regulator, tak głośno, że głośniki zaczęły trzeszczeć. Jadąc, uderzała rytmicznie płaską dłonią w kierownicę. Czy ma zadzwonić do Gunnara i błagać go, żeby wrócił do matki, tylko po to, żeby samej zaznać trochę spokoju. Gdyby tylko mogła pojechać teraz prosto do Christera i zamienić wściekłość w bardziej pożyteczny rodzaj energii. Rzucić się na niego już w korytarzu i całkowicie go zaskoczyć. Jakiś samochód wcisnął się przed nią z przodu, w wolne miejsce o rozmiarach odpowiednich dla trójkołowego rowerka, zatrąbiła gwałtownie, trąbiła i trąbiła, aż w końcu samochód zmniejszył prędkość i ktoś pomachał jej stamtąd ręką zaciśniętą w pięść. Wtedy wzięła się w garść, zmieniła pas na lewy i dodała gazu, uciekając przed wszystkimi.

Uciec przed wszystkimi. Oprócz Christera.

To nie kursy w pracy powstrzymywały ją przed pojechaniem na północ, tylko Christer. W psim środowisku miała mnóstwo przyjaciół zdolnych zastąpić ją na kursach i podjąć temat tam, gdzie ona go przerwała, nawet na kursie dla szczeniąt. Tam trzeba było ćwiczyć nawiązywanie kontaktu wzrokowego, zabawy i spokojne czekanie przed miską, ćwiczyć stale i z pewnością siebie, przy zmiennym powodzeniu. Była z uczniów dumna. Tylko Nero stanowił wyjątek potwierdzający regułę, chociaż wszystko, co robił, sprowadzało się w gruncie rzeczy do potwierdzenia własnego znaczenia. Jeśli ta rodzina będzie miała go dłużej, stanie się niemożliwy do resocjalizacji i trzeba będzie go uspić. Miała nawet taki pomysł, że sama weźmie go do siebie na czternaście dni, żeby troszeczkę naruszyć jego pewność siebie, wiedziała jednak, że bez rozwijania kompetencji w jego własnej rodzinie będzie to tylko bolesne odłożenie czegoś na później.

Weszła do mieszkania. U Margrete było ciemno, nie było jej w domu. Cóż takiego dopiero co powiedziała matce o przyjaciółkach? Łatwo było udzielać rad innym. Jeśli to wszystko z Christerem rozpadnie się, to jak ona przyczołga się do Margrete po pociechę, skoro już prawie nigdy się z nią nie kontaktuje...

Wrzuciła rzeczy do pralki i włączyła ją, trochę poodkurzała, zrobiła sobie filiżankę kawy i usiadła przed komputerem, zapłaciła parę rachunków przez Internet, posprzątała kuchnię, umyła toaletę, wyszła na werandę i popatrzyła na świeży śnieg, obejrzała uważnie przemrożone wiechcie w skrzynce kwiatowej, weszła z powrotem do środka.

O godzinie jedenastej wyszła z mieszkania i zjechała windą do podziemnego garażu.

Na kilku ostatnich zakrętach przed jego leśnym domkiem dostrzegła w świeżym śniegu ślady samochodu, po małym, wąskim aucie. Za domem stał tylko jego landcruiser, tak zwana wizyta najwyraźniej już pojechała. Śnieg tłumił wszelkie odgłosy, zaparkowała obok jego samochodu,

wyłączyła silnik i siedziała cicho, czekając na sygnał, czy jednak ją usłyszał. Okna salonu były rozświetlone, w tle migąły płomienie, to znaczyło, że kominek palił się pełnym ogniem. Psy zaczęły szczekać. Kurna. Świeży śnieg ich nie oszukał. Pośpiesznie wyszła z samochodu i podbiegła do ogrodzenia z siatki.

- Ciiiiiii. To tylko ja. Spokojnie. Spokojnie...
- HALO? CZY KTOŚ TAM JEST?
- To tylko ja.
- Torunn?

Odwrócił się i szedł przed nią korytarzem. Nigdy wcześniej tak nie robił, zawsze przyjmował ją w drzwiach wejściowych.

– Nie powinnam była przyjeżdżać – powiedziała do jego pleców. – Wiem o tym. Ale zaczęłam się bać. Byłeś taki... dziwny przez telefon podczas ostatniej rozmowy.

– Bo nie chciałem rozmawiać. Chciałem tylko dać sygnał. Że nie masz przyjeżdżać – rzekł.

Jego plecy były szerokie i lekko zaokrąglone, obleczone w szary, robiony na drutach sweter. Usiadł przy stole jadalnym, od razu zobaczyła, że siedziały tutaj dwie osoby i że ta druga była kobietą. Nie była pewna, skąd to wie, ale było coś szczególnego w sposobie ułożenia serwetki na jednym talerzu, tym, który nie stał przed Christerem. Była złożona równo i starannie.

– Ona jest w ciąży – powiedział.

– Kto?

– Usiądź. Masz na coś ochotę?

Niech to się nie dzieje – pomyślała. – Woda – rzekła. – Zimna.

Podniósł się. Usłyszała, jak odkręca na całą wieczność kran w kuchni, nie musiał tego robić, wiedziała o tym dobrze, woda tutaj była zimna od razu po odkręceniu kranu. Przyniósł jej szklankę i postawił ją przed nico, nie patrząc jej w oczy.

– Kto.

– Byłem z nią na wyścigach zaprzęgów pod koniec listopada, więc nie sądz, że... W Ringebuefjellet. Tylko jeden wieczór. A teraz...

– I ona zaszła w ciążę.

– Tak.

– I mówi ci o tym dopiero teraz? Pod koniec **lutego**? Musi o tym wiedzieć już od dość długiego czasu.

– Tak.

– Ależ Christer – powiedziała i wyciągnęła rękę przez stół, aby ująć jego dłoń. Nie przyjął jej, złożył ręce na piersiach, odchylając się na krześle do tyłu i wpatrując w płomienie w kominku.

– Powiedziałem, że możemy porozmawiać jutro – rzekł. – A ty mimo wszystko przyjeżdżasz. Akurat **to** wydaje mi się nieco...

– Ale przecież jesteśmy parą! I chyba musisz powiedzieć mi, co się dzieje!

Spojrzał wprost na nią, oparł łokcie na stole i powiedział:

– Nie chciała mówić tego wcześniej niż w chwili, gdy będzie już za późno na aborcję. Ona chce mieć dziecko. Nie chodziło jej o to, żeby mieć dziecko **ze mną**, ale w ogóle o dziecko. I chciała mi to tylko powiedzieć. Nie do końca byłem pewien, jak mam zareagować, ale powiedziała, żebym się nie przejmował, że to jej odpowiedzialność. No i kurwa! Baby uważają, że... tylko dlatego, że mają macice, wolno im wywracać cudze życie do góry nogami. **Nie przejmować się... i jej odpowiedzialność.** Kurewskie bajdurzenie!

– O co ci chodzi z tym kurewskim bajdurzeniem? To brzmi dosyć rozsądnie.

– Oczywiście, że ja też poczuwam się do odpowiedzialności! Powiedziałem jej, że ma mnie, kurwa, przynajmniej podać jako ojca.

– Tak powiedziałaś, Christer?

– Jasne, że tak. Przecież muszę dać jej wsparcie.

– Dać jej wsparcie... w ciąży i tak dalej?

– To jest **moje dziecko**, Torunn! Ona je nosi! Oczywiście, że muszę ją wspierać, żeby wszystko poszło dobrze! I chcę poznać moje dziecko, być dla niego... lub dla niej ojcem.

Wypiła swoją wodę, czując, jak zimno spływa jej przez krtań i płuca, aż do samego żołądka. Miał zaróżowione policzki, był taki piękny. Nie miał już wilczego spojrzenia, jego oczy były okrągłe i błyszczące. Podniosła się.

– Jadę teraz. Było mi... miło, Christer.

– Siadaj, głuptasie. To nie chodzi o nas – powiedział, ale jego mowa ciała nie współgrała jakoś ze słowami, bo tylko tam siedział, nie wyciągał do niej ręki, nie okazał, że jej pragnie. Siedział tam i miał zostać ojcem, i tylko o tym myślał.

– Ach nie? To nie chodzi o nas? Na razie, Christer. I powodzenia. Będziesz na pewno wspinałym ojcem.

Nie poszedł za nią na dwór, nawet nie stanął w oknie, gdy odjeżdżała.

Nikt nie wciskał się przed nią na jej pas ruchu, droga była prawie pusta. Lewa wycieraczka się zepsuła i w swojej środkowej części zostawiała na szybie smugi zlepionego śniegu, dokładnie w miejscu, przez które usiłowała skierować wzrok na jezdnię przed sobą.

Rozpłakała się dopiero w domu, stojąc nago przed lustrem ze szczoteczką do zębów w ustach. Szorowała zęby mechanicznie, biała piana spływała jej z czubka podbródka. To widok własnych ramion w lustrze był tego przyczyną. Były takie szczupłe i blade. Samotne, nikt ich nie obejmował, żadne dłonie ich nie głaskały ani nie pieściły. A to były jej ramiona, jej własne ramiona. Zaraz miała je oblec w nocną koszulę, położyć je do łóżka pod zimną kołdrę, a ona sama jutro miała się obudzić bez absolutnie żadnego powodu do radości, mając nadal te same drobne, blade ramiona.



## ROZDZIAŁ 19

Musiał mocno się wysilić, żeby nie ryknąć, więc powiedział tylko:

– Nie, dziękuję, dam radę sam.

– Chciałabym to zobaczyć – rzekła Marit Bonseth. – **Jak daje pan radę sam**, panie Torze Neshov.

Chodziło o to, że jak dotąd nie próbował jeszcze zmienić majtek. Dostatecznie trudne było póki co ściągnięcie ich **na dół**, gdy już w końcu dowlekał się jakoś do przenośnej ubikacji, a cóż dopiero gdyby miał spróbować je całkowicie **zdzjąć**.

– Dam sobie radę – powiedział.

– Przez wiele lat pracowałam w domu opieki, zanim zaczęłam sprzątać po domach. Widziałam fiuty starszych panów tysiące razy. I umyłam równie wiele ich tyłków.

Ojciec odchrząknął w salonie, a Tor poczuł ogień na twarzy i nie był w stanie ani odchrząknąć, ani przełknąć śliny. Odwrócił się na krzesło kuchennym i odsunął zazdrostkę na bok, a potem długo i dokładnie przyglądał się termometrowi zewnętrznemu. Gdy puścił zazdrostkę, nie pamiętał już, ile stopni jest na dworze. Na szczęście Marit Bonseth odwróciła się znów w stronę blatu kuchennego, kroїła warzywa tak, jakby ktoś jej za to płacił, no i przecież w zasadzie tak było. Dobrze, że radio było włączone.

– Czy może pani zrobić trochę głośniej? – zapytał.

– Ach tak, interesują pana wiadomości w języku lapońskim?

Nie zamierzał na to odpowiadać, zamiast tego ponownie sprawdził temperaturę na dworze. W szpitalu było inaczej. Gdy kobiety chodziły w uniformach, jakoś bardziej naturalne wydawało się to, że rządzą się przy człowieku, wystarczyło zamknąć oczy i dać im zrobić, co trzeba. Kiedy jednak jakaś baba stojąca na środku jego własnej kuchni zaczynała opowiadać o fiutach i tyłkach, zupełnie jakby to były jakieś codzienne sprawy... Wszystko miało swoje granice. Poczł, jak narasta w nim złość, ale ponownie zapanował nad sobą, ze względu na Margida, który pojutrze miał jechać do Danii. On i Marit Bonseth na pewno rozmawiali ze sobą przez telefon i nie o to chodziło, aby Margido niepotrzebnie się denerwował.

– Jak już skończę robić, będziecie mieli tutaj zupę mięsną na dwa dni – powiedziała.

– Dziękuję.

Usłyszał, że ojciec stoi przy jednym z okien w salonie, jak cały czas drepcze, jego filcowe pantofle szurały po podłodze. Kiedy stał, nigdy nie potrafił stać całkiem nieruchomo, musiał przez cały czas robić coś z nogami, oglądanie tego i słuchanie było zawsze irytujące. Z tego jednego okna można było zobaczyć kawałek drogi, zaraz za końcem alei klonowej, tam gdzie stała skrzynka pocztowa, przytwierdzona do żerdzi. A samochód wiejskiego listonosza też łatwo było rozpoznać. Obaj teraz czekali. „Nationen” z wczoraj również leżało jeszcze w skrzynce, więc będą mieli dziś po jednej gazecie dla każdego i nie będzie zmuszony siedzieć i słuchać

namolnych westchnień ojca oraz jego chrząkania, podczas gdy on powoli przeglądał stronę za stroną, zaznaczając sobie, co chciałby przeczytać później dokładnie.

– To ona – usłyszał głos ojca.

– Dobrze – rzekł Tor. – Może Marit Bonseth...

– Proszę przestać nazywać mnie po nazwisku! – powiedziała, nie odwracając się. – To brzmi zupełnie idiotycznie. I będę robiła tak samo, dopóki z tym nie skończycie.

– Pani Bonseth, zatem – rzekł.

– Marit! – powiedziała.

– Nie jesteśmy do czegoś takiego przyzwyczajeni.

– Nieprzyzwyczajeni do czego niby? – zapytała i się odwróciła. Z jej rąk kapłała woda.

– Czy **możesz** przynieść pocztę ze skrzynki? – zapytał i spotkał się z nią wzrokiem, fiuty starszych panów czy nie, ale gazety chciał mieć w domu natychmiast.

– Oczywiście, że mogę – powiedziała. – Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego Tormod Neshov nie może przejść się do skrzynki, skoro daje radę przynosić drewno.

Ojciec stał przez chwilę w salonie całkiem cicho, Tor nie słyszał nawet jego filcowych pantofli szorujących o podłogę. Zaraz jednak nadszedł, człapiąc między nimi bez słowa, a potem wyszedł do korytarza. Zamknął za sobą ostrożnie drzwi kuchenne, a Tor słyszał dokładnie, nawet przez lapońskie bredzenie w radio, że walczy tam z kurtką i butami. Po długiej chwili przeszedł powoli pod oknem kuchennym. Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, był z powrotem w domu. Długo hałasował w korytarzu, zanim otworzył drzwi i położył przed Torem na stole gazetę i dwie koperty z okienkiem, a następnie poszedł dalej do salonu, trzymając w ręce drugą gazetę. Policzki miał czerwone.

– Ten spacer dobrze panu zrobi. Codziennie – powiedziała, nie odwracając się.

Nikt jej nie odpowiedział. Tor spojrzał na datę.

– Ta jest dzisiaj – rzekł głośno. – Chcę najpierw przeczytać wczorajszą. Inaczej zrobi się bałagan.

Ojciec wrócił z gazetą i ją zamienił.

– A jeśli on uważa tak samo? – zapytała, zsuwając warzywa z deski do parującego garnka z zupą. – Czy pomyślałeś o tym, panie Torze Neshov?

W chwili gdy gazeta znalazła się przed nim na kuchennym stole, ogarnął go rodzaj spokoju. Ponownie spojrzał na termometr, było plus pięć stopni. W nocy padało, śnieg był brejowaty i powoli topniał, w radio zapowiadali na dłuższy czas łagodną pogodę, za co był nieskończenie wprost wdzięczny. Krępowałby się prosić zmiennika o odśnieżanie, w końcu każdy chłop musiał być w stanie utrzymywać własne drogi niezasypane. Ale zmiennik wydawał się dość miły i w pełni panował nad wszystkim, zwłaszcza po tym, jak Tor narysował mu w jakimś zeszycie firmowym wziętym z biura plan całego chlewu, z boksami i maciorami, i tak dalej, wyłuskał też z pamięci wszystkie istotne daty. Zmiennik zanotował starannie wszystkie terminy dotyczące dodatków witaminowych, szczepień oraz wieku prosiąt, a także ilości i rodzaju paszy. Zanim jednak odstawi nowy miot, musi być sam w stanie na tyle dobrym, żeby móc pójść do chlewu i nad wszystkim mieć nadzór. Nie oczekiwał nowych porodów przed pierwszym kwietniem. Røstad miał zajrzeć któregoś dnia i sprawdzić, czy wszystko w chlewie jest w porządku. Ale świniom miały się dobrze, tak twierdził zmiennik, żadnych biegunek, częstych u młodych prosiąt, ani innych chorób i żadnych ponad normę zestresowanych macior.

Myśli o szczurach spędzały mu sen z powiek. Przeglądał gazetę, nie zapamiętując z niej wiele, bo w chwili, gdy w jego myślach pojawiały się szczury, ulatywał z niego wszelki spokój, chociaż doskonale wiedział, że szczury stanowiłyby dokładnie taki sam problem, gdyby siedział tutaj z

dwiema w pełni zdrowymi nogami. Firma deratyzacyjna szukała teraz gniazd, mieli wrócić jutro z kamerą wideo, zamontowaną na specjalnym wysięgniku, i zajrzeć tu i ówdzie. Mówili coś o zastosowaniu gazu, ale zastanawiali się jeszcze, jak uszczelnić przejście do chlewu. Nie podobało mu się to gadanie o gazie, stodoła była stara, całkowite uszczelnienie jej na pewno nie było możliwe.

Pomyślał o czasach sprzed choroby matki. Kiedy wszystko szło jak z płatka. Żadnych gosposi, żadnych zmienników, żadnych szczurów, każdy następny dzień podobny był do poprzedniego. Ale jednocześnie to dobrze, że bracia teraz rozmawiali ze sobą i że Torunn była tutaj. Próbował zadzwonić do niej przedwczoraj wieczorem, ale nie odbierała.

– Może kawy? – zapytała Marit Bonseth.

– Tak, przydałoby się – odparł.

Spojrzał na nią, wycierała teraz blat kuchenny i zbierała do wiadra odpady po obieraniu warzyw. Jej szeroki tyłek pod kokardą fartucha, grube, mocne nogi w brązowych, domowych sandałach, stojące na szmacianym dywaniku ze sztucznego tworzywa. Przecież była miła.

– Tak, kawa dobrze by mi zrobiła – rzekł ponownie.

– Gdzie mam to wyrzucić? Macie gdzieś kompost?

– Nie. Proszę to wyrzucić gdziekolwiek, przecież i tak zniknie.

– Może na środek podwórka?

– Raczej nie. Ale... przy drewnie, na przykład. Z tyłu.

Powiódł za nią wzrokiem, gdy szła przez podwórko, zobaczył, jak przechodząc obok karmnika, wrzuciła tam nieco okruszków dla ptaków. Jeździła teraz własnym samochodem, małym, czerwonym pojazdem, rozpoznawał już jego odgłos. Było coś przyjemnego w patrzeniu na nią, w świadomości, że wróci tu i ugotuje kawę. Kiedy przyszła, powiedział:

– W skrzyni w korytarzu leży trochę fartuchów po matce. Kilka bardzo ładnych. Nikt ich tutaj nie użyje, może je pani po prostu zabrać. Nie chodzi mi tylko o to, żeby ich... tutaj używać, tylko żeby je pani sobie wzięła.

Gdy Marit Bonseth odjechała, wziął dwie tabletki paracetamolu i popił je szklanką wody.

Rana w udzie zaczęła boleć i pulsować, ale nie chciał przy niej narzekać. Nie chciał brać tych silnych leków przeciwbólowych, które Margido kupił mu na receptę ze szpitala. Kręciło mu się od nich w głowie, kręciło w nieprzyjemny sposób, a nie tak, jak po butelce piwa. Ojciec odpoczywał na górze, za dwie godziny miał przyjść zmiennik. Opadł znów na krzesło przy stole, siedział tam i patrzył na chodzik. Był w porządku. Czuł się w nim dość bezpiecznie, ciągnąc za sobą sztywną nogę. Przejechał ostrożnie ręką w dół uda, po twardej powierzchni wyczuwalnej przez materiał spodni. Za kilka dni musi znów jechać do szpitala na zmianę opatrunku. Miał w związku z tym zadzwonić po taksówkę, ubezpieczalnia płaciła za nią w obie strony, ale okropnie się tego obawiał. Będzie siedział przez cały czas z zamkniętymi oczami. Obawiał się też zapachów, wiedział, że zamknięte rany śmierdzą.

Nagle ogarnęło go uczucie bezsilnej rozpacz do tego stopnia, że chciał się rozplakać, to było nie do wytrzymania. Pięć-sześć tygodni. Dźwignął się ponownie do pozycji stojącej, ale nie do końca wiedział, dokąd chce pójść. Gdyby tylko mógł pójść do chlewu.

Może spróbuje.

Kombinezonu co prawda nie nałoży, ale czy nie mógłby owinąć się czymś innym?

Oparł się o chodzik i rozmyślał. Ból powoli odpuszczał. Przeciwdeszczowiec. Tak, to mogłoby się udać. Zawiązać pelerynę wokół każdej nogi i jedną założyć na siebie, tylko czy miał ich aż tyle? Wtedy przypomniał sobie o bardzo starym fartuchu rzeźniczym, ciągle wiszącym w pomieszczeniu gospodarczym. To by się nadało! Razem z peleryną! Podszedł do lodówki i

zbadał jej zawartość. Wyciągnął pięć plasterów salami i prawie pustą puszkę pasztetu, wetknął to wszystko do kieszeni, następnie skierował się na podwórko. Z korytarza zabrał pelerynę przeciwdeszczową, zawieszając ją na chodziku.

Trochę to zajęło. I pomyśleć, że własne podwórko mogło wydawać się górską równiną nie do przebycia. Gdy dotarł do pomieszczenia gospodarczego, ramiona mu drżały i cały ociekał potem. Zapach chlewu oraz znana, pełna wyczekiwania cisza wywołały uśmiech na jego ustach. Minęły cztery dni, odkąd widziały go po raz ostatni. Z trudem naciągnął na siebie fartuch rzeźniczy i owinął się na wierzchu peleryną. Zaraz zrobi mu się w tym straszliwie gorąco, ale trudno, świnię były ważniejsze niż własne samopoczucie. Trzymając mocno chodzik, dokuśtykał do drzwi i wszedł do środka.

– Ale z was spryciary! A ja okazałem się takim cholernym idiotą, że prawie odciąłem sobie nogę!

Zaśmiał się tak głośno, że od kamiennych ścian odbiło się echo i prawie wydawało mu się, że świnię też śmiały się do niego. Tłoczyły się hałaśliwie w boksach, wyglądając w stronę przejścia, a on czochrał je przewieszony przez chodzik, zmierzając w stronę Siri.

Siri przebierała nogami i chrząkała z wielką werwą już w chwili, gdy się do niej zbliżał. Odczuwał radosną ulgę, mogąc w końcu dać jej coś dobrego. Kulka pasztetu wzbudziła wyraz najwyższej błogości w jej oczach, tak to sobie wyobrażał.

– Moja dziewczynka... Moja grzeczna dziewczynka, tak. Pewnie nie jest ci tak samo, jak obcy ludzie łożą tutaj po chlewie. Jak tam młode w brzuszku? Masz tam dwie dobre, nowe maciory, wiesz sama. Doiły i Dianę.

Pozostałe maciory również zostały wyczochrane za uszami, wszystkie wtykały wilgotne i ciekawskie ryje w jego dłonie. Zdrowa noga drżała mu z wysiłku, musiała utrzymać dało w pozycji pionowej, pot ściekał mu po plecach.

– Jeszcze chwila, zanim dostaniecie jedzenie – rzekł. – Same dobrze to wiecie, bo znade się na zegarku. Jeśli ktoś zna się na godzinach, to właśnie wy! I nie martwcie się tym fartuchem rzeźniczym, nikogo tutaj nie będziemy dziś ubijać!

Po ostatnim poklepaniu Siri przemieścił się powoli do gospodarczego, usadowił jakoś na starym stołku do dojenia i zrzucił z siebie cały strój. Ściany wokół niego wirowały, oparł się o kamienną powierzchnię i napawał chłodem pod plecami i tyłem głowy. Nagle przypomniało mu się, że w szafce miał jeszcze kilka butelek piwa, ale połączenie go z lekami przeciwbólowymi chyba nie było dobrym pomysłem. Lepiej będzie zostawić te butelki na później, może da jedną ojcu, z podziękowaniem za to, że je schował, zanim zapasy wywęszyłyby Margido lub ktoś inny.

Podciągnął się na chodzik. Nie mógł być tutaj w chwili przyjścia zmiennika, wyglądałoby to głupio, zupełnie jakby mu nie ufał. Poza tym spieszyło mu się do toalety. Mógłby w zasadzie pójść do wychodka, przez chwilę stał i rozważał taką możliwość, ale doszedł do wniosku, że najpierw musi znaleźć miotłę i zgarnąć nią wszystkie butelki w jeden róg tam na dole i sama ta myśl przyprawiła go o kolejną falę potu. Nie, już lepiej skorzystać znów z przenośnej ubikacji.

Był tak skonany, że kiedy w końcu udało mu się posadzić zadek na plastikowej desce w komórce przy korytarzu, mdliło go ze zmęczenia. Margido wyniósł z komórki wszystkie stare ubrania. Drzwi musiały być otwarte, żeby miał gdzie postawić chodzik.

Zamknął oczy i się odprężył. Był właśnie w chlewie u Siri, dzisiaj w nocy będzie spał mocno. Dobrze było również opróżnić kiszki, Marit Bonseth robiła pyszne jedzenie, na pewno przytyje od tego siedzącego trybu życia i takiego jedzenia. Dzisiaj wspomniała, że następnym razem upiecze i przyniesie im ciasto.

Wtedy usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Nadstawił uszu. To nie był samochód Marit Bonseth. Ani zmiennika, bo słyhać byłoby spory hałas pochodzący od bardzo dużych opon. Røstad? Nie, on by najpierw zadzwonił. Margido też nie. Jakiś obcy samochód. A on tu siedział na kiblu na widoku, w samym środku korytarza, gdyby ktoś wszedł.

Pośpiesznie sięgnął po papier toaletowy, rolka spadła mu na podłogę i potoczyła się pod usztywnioną nogą, która jak długi pal rozciągała się przed nim i opierała o przeciwległą ścianę. Odwrócił się, aby złapać rolkę, i upadł. Przewrócił się na bok razem z przenośną ubikacją, wszystko leciało, pod nim i wokół niego rozlała się lepka i chłodna zawartość, wyciągnął rękę w stronę chodzika, ale boląca noga nie pozwoliła go dosięgnąć. Podniósł się na łokciu na środku cuchnącej kałuży i leżał tak aż do chwili, gdy drzwi otworzyły się, a on mało nie umarł ze wstydu. Zamknął oczy, usłyszał, jak ktoś gwałtownie łapie powietrze, otworzył oczy.

– To ty?

– Boże jedyny – powiedziała Torunn. – Co ty tutaj **wyprawiasz?**

Nagle oprzytomniał, spojrzał na siebie jej oczami i wrzasnął:

– WYJDŹ!

Zaczął miotać się bezładnie, usiłował zamknąć drzwi, ale tam stał chodzik, ześlizgiwał się z powrotem przy każdej próbie podniesienia się za pomocą rąk i zdrowego kolana.

– WYJDŹ, powiedziałem przecież!

– Ale ja muszę chyba pomóc d...

Podeszła kilka kroków w głąb korytarza, ale nie na tyle, żeby w to wdepnąć.

– WYJDŹ I ZADZWOŃ DO MARIT BONSETH! ONA ma tu przyjść. Nie ty!

Zniknęła, ale drzwi zewnętrzne pozostały otwarte; krzyknęła do środka: – Ale ja nie mam nawet jej numeru telefonu!

Słyszał w jej głosie prawie płacz, ale tym nie mógł się teraz przejmować. Musiał załatwić sobie jakąś pomoc, żeby uwolnić się z tej sytuacji.

– Dziewczyno, to zadzwoń do informacji!

– Ale dlaczego... co się tutaj dzieje? – zapytał ojciec. Stał na szczycie schodów, gapiąc się w dół wielkimi oczami, z uchylonymi, zapadniętymi ustami, pozbawionymi sztucznej szczęki. Jego włosy sterczały na wszystkie strony jak wiechcie.

– Idź się położyć! Nie masz tu nic do roboty!

– Ale przecież wszędzie pływa gównno... Przewróciłeś się?

– Tak, chyba tyle widzisz, DO KURWY NĘDZY, że się PRZEWRÓCIŁEM! Powiedziałem, idź się położyć!

Ojciec zniknął, usłyszał, jak Torunn rozmawia na ganku i mówi: – Nie, nie muszę zapisywać jej numeru, po prostu proszę mnie z nią od razu połączyć.





## ROZDZIAŁ 20

Tak, czegoż się nie robi dla pieniędzy – rzekł Erlend. Siedział, trzymając na kolanach głowę manekina, dokładnie oświetloną lampą roboczą, i cienko zakończonym flamastrem stawiał gęsto czarne kropki na policzkach lalki. Jednocześnie rozmawiał z Torunn za pomocą bezprzewodowej słuchawki umieszczonej na lewym uchu.

Czuł się beznadziejnie, siedząc tam i malując zarost na plastikowej twarzy. Opowiedział Torunn, dlaczego to robi, streścił jej cały projekt wystawy z przestępcami oraz wspomniał, że właściciel sklepu z biżuterią jest w stanie hysterii z powodu oczekiwania, zważywszy że istniały spore szanse na wykorzystanie tego przez tabloid „BT” w ich artykule. A to stanowiłoby bezpłatną reklamę o wielkim znaczeniu. Jednak Torunn wydawała się dość obojętna względem tego pomysłu i odpowiadała monosylabami.

Dwa dni temu przyjechała do Neshov, zupełnie niespodziewanie. Gdy zapytał, jak tam wszystko się ma, zawahała się przez chwilę, odpowiedziała, że było trochę chaotycznie w momencie jej przyjazdu, ale że nie bardzo chce wdawać się w szczegóły.

– On się jakoś porusza?

Ależ tak, za pomocą chodzika, dzisiaj zawiozła go do szpitala na zmianę opatrunku, to było spore przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę to, że nogę ma usztywnioną i musiał siedzieć w poprzek tylnego siedzenia. Teraz leżał i odpoczywał. Miała nadzieję, że będzie w nieco lepszym humorze, jak się zbudzi.

– Czy on zatem wchodzi na górę do łóżka na piętrze?

Nie, spał na łóżku połowym w salonie i korzystał z przenośnej ubikacji w schowku przy korytarzu. Więcej już nie chciała opowiadać o ojcu, tylko o szczurach. Firma deratyzacyjna znalazła mnóstwo szczurzych gniazd i właśnie uszczelniała ściany plastikiem i pianką, żeby móc je później zagazować.

– A syn puszczy już zniknął z horyzontu?

Christer? Tak, już po nim. Dzwonił do niej bez przerwy, ale nie odbierała telefonu. Nie czytała również potoku SMS-ów, którymi ją zalewał, tylko od razu je kasowała.

– I to ci nie imponuje, Torunn? Taki szturm? To wygląda mi na prawdziwą miłość, nawet jeśli ma za chwilę zostać ojcem.

Ach, jak bardzo chciał opowiedzieć Torunn o tym, co być może zaraz wydarzy się pomiędzy nim, Krumme i paniami, ale przysiągł Krumme, że tego nie robi. Przysiągł. Że o tym będą dyskutować tylko w swoim czteroosobowym gronie, chociaż on sam chętnie porozmawiałby o sprawie z połową świata, żeby tylko usłyszeć jak najwięcej punktów widzenia. A jednak rozumiał argumenty Krumme, że to tylko ich wybór i że w związku z tym muszą podjąć decyzję wyłącznie na podstawie własnych uczuć. Po tym pierwszym obiedzie z Jytte i Lizzi wszyscy czworo byli na etapie głębokich przemyśleń.

Krumme przyrządził niebiańsko smaczny schab, pieczony w piekarniku na modłę niemiecką w kapuście, który zjedli, popijając go sporą ilością czerwonego wina i rozmawiając przy tym o wszelkich możliwych wariantach rodziny, spędzania czasu i podziału obowiązków. Erlend odczuł niewysłowioną ulgę, że pozostali również mieli swoje wątpliwości, sądził bowiem, że jest jedynym, który wystąpi w roli wyszukującego problemu hamulca rozwoju. Ale zarówno Krumme, jak i panie oglądali każdy aspekt sprawy ze wszystkich stron. Co będzie, jeśli się rozstaną, a co gdyby jedno z nich umarło, kto ma zostać ojcem i która z pań ma nosić dziecko. Jytte twierdziła, że Krumme jest pięknym mężczyzną, o ile tylko nie brać pod uwagę jego sylwetki, składającej się głównie z tkanki tłuszczowej, a Krumme w podnieceniu wyciągnął skądś swoje obszarpane zdjęcie z młodości. Erlend był zdania, że jest na nim naprawdę piękny. Ale Krumme zwracał też uwagę na fakt, że Erlend jest obywatelem norweskim, co z kolei dałoby dziecku w przyszłości możliwość wyboru w prosty sposób obywatelstwa. Erlend zaproponował wówczas, że on i Krumme mogliby mieszać swoje eliksiry w jednym kubeczku, tak żeby nikt nie wiedział, kto jest ojcem, ale tego nikt z pozostałej trójki nie potraktował poważnie. On sam uważał to za cudowny pomysł, był w stanie plastycznie wyobrazić sobie, jak jego i Krumme plemniki płyną w szaleńczym wyścigu, w którym zwycięży najlepszy. W ten sposób tak naprawdę pozostawiliby decyzję biologii. Ale reszta towarzystwa tylko się śmiała.

Ach, gdyby tylko mógł to wszystko opowiedzieć Torunn! Ale dziś wieczorem on i Krumme mieli iść na obiad do pań, chcieli bowiem dalej rozmawiać o sprawie. Cieszył się na to. Pierwsze paniczne odruchy przypisywał teraz raczej nieprawdziwemu przekonaniu, jakoby sam miał być za wszystko odpowiedzialny. Ale przecież nic podobnego – było ich **czworo!** Dwa razy więcej niż zwykłych rodziców! Niezależnie od okoliczności będą mogli podróżować i mieć sporo wolnego czasu, to był zupełnie genialny pomysł. Nie musiał wcale sam przyjąć odpowiedzialności za dziecko. Mając rabat na ubrania w Benettonie i wszystko inne, zaczął już w wyobraźni kupować najpiękniejsze ciuszki, a także wyposażenie pokoju dziecięcego zarówno u nich w domu, jak i u pań. Przyjął z góry, że urządzi pokój dziecięcy również u pań, skoro w zasadzie ma zostać ojcem, o ile z tego wszystkiego coś wyjdzie.

– Możesz przecież ten **jeden jedyny raz** porozmawiać z Christerem? Tylko żeby usłyszeć, co ma ci do powiedzenia? Może przyszła matka jest już nieaktualna – powiedział.

To nie chodziło o nią, ale o jego reakcję w ten wieczór, kiedy do niego przyszła, którą już mu opisała. Poza tym powoli zaczęło do niej docierać, że może on jednak nie jest dla niej odpowiednim typem człowieka. Miał tyle dziwnych przekonań.

– Na jaki temat?

Między innymi homoseksualistów, odpowiedziała.

Zmilczał to, udał, że akurat musi po coś wstać. Torunn nie będzie zmuszona toczyć za niego bitwy, a już na pewno nie z facetem, który musiał kłaść się w skórach reniferów pod gołym niebem, żeby poczuć, że jest prawdziwym mężczyzną, to była wojna z góry skazana na porażkę.

– Wiesz, dużo ludzi ma dziwne przekonania, Torunn – powiedział głosem, który w jego uszach brzmiał łagodnie i prawie obojętnie. – Trzeba się do tego po prostu przyzwyczaić. Ale naturalnie nie trzeba koniecznie mieć z tymi ludźmi do czynienia. Nie, zapomnij, że to powiedziałem! Nie to miałem na myśli, że **to** niby miałyby być powód, żeby... Masz przecież własne życie, brataniczko.

Miał się nie przejmować, zrozumiała, co ma na myśli, w zasadzie myślała sobie tak samo, że nie jest łatwo być **blisko** kogoś, kto nosi w sobie takie przesady.

– A co będzie, jeśli on nagle stanie w drzwiach w Neshov? Tak jak zrobił to Krumme?

Nigdy w życiu, nie mógł przecież zostawić swoich psów.

– Ty mogłaś jakoś zostawić wszystko...

To zupełnie coś innego, jej zdaniem. Najgorsze było jęczenie matki, przez które była zupełnie wytrącona z równowagi. Torunn przypisała matce specjalny dźwięk w telefonie. Abba. *Mamma mia, here I go again...*

Zaśmiała się głośno, wskutek czego powstała kreska zamiast kolejnej kropki.

– Ale praca? Nie masz teraz mnóstwa kursów i tak dalej?

Była na zwolnieniu chorobowym; przekonała lekarza, że jest przepracowana i ma depresję.

– Depresję? Siedziałaś u lekarza, szlochałaś i zanosilaś się płaczem? – zapytał, robiąc jednocześnie równe kropki od brody do ucha manekina.

Gdyby ktoś przyszedł teraz do pracowni rekwizytów i zobaczył go z męską głową na kolanach... No, trochę dziwne.

Tak, naprawdę płakała. I te łzy przyszły jej całkiem naturalnie, powiedziała.

– A zatem naprawdę byłaś w nim bardzo zakochana...

Tak, to prawda. I razem ze sprawą matki, która zupełnie się załamała, zrobiło się tego po prostu za dużo.

– Och, Torunn, moja biedna, mała brataniczko...

Zacząła płakać, sam czuł, że zaraz się rozpłaczę, nie było żadnego sensu w tym, żeby ona siedziała tam nieszczęśliwa, podczas gdy on tutaj chciał eksplodować ze szczęścia i nadmiaru tajemnic. Musiał przerwać rysowanie brody.

– Nie płacz. Powinnaś była przyjechać tutaj, wiesz. Krumme i ja wytrząsnęlibyśmy z ciebie smutek zawiedzionej miłości. A ty jeszcze do tego jedziesz do **Neshov**, ze wszystkich możliwych miejsc na świecie, i brodzisz tam w rozpadzie i szcurach. To nie jest dobre dla ciebie!

Tam jej potrzebowali, powiedziała, tam była ważna w inny sposób niż w pracy czy względem matki albo Christera. A opiekowanie się świniami stanowiło czystą terapię.

– **Nie pojmuję** tego! Śmierzącymi świniami! Nie wiesz, że one są strasznie niebezpieczne? To drapieżniki!

Ani jednego złego słowa o świniach, powiedziała, były fantastyczne, a on uznał, że nie będzie dalej sprzeciwiał się jej w tym, skoro przestała płakać. I jeszcze miała nowinę. Może nie powinna tego w ogóle opowiadać, ale Margido był w Danii.

– CO?! – wykrzyknął, upuszczając flamaster na podłogę.

Był gdzieś na targach trumien. Albo czymś podobnym. Może to były targi nagrobków, nie pamiętała dokładnie. Flamaster potoczył się pod wannę ustawioną na żółwich nóżkach.

– Targi trumien? Co to jest, do jasnej cholery? Boże, wyobrażam już sobie, jak przebierają się tam w czarne peleryny i tańczą wokół otwartych trumien, popijając cielecą krew przez słomkę! – powiedział i zaczął się śmiać. Torunn też się zaśmiała, oczywiście, że powinna była przyjechać do Kopenhagi. Ale może Margido się z nim skontaktuje, powiedziała, tak tylko mówi, żeby był przygotowany.

– Teraz już świat na pewno nie dożyje do Wielkanocy. Nie wydaje mi się, żeby Margido przez całe życie wyjechał dalej niż do Røros.

Ale, oczywiście, jeśli zadzwoni, zaprosimy go do nas na coś dobrego do jedzenia.

Na pewno się z tego bardzo ucieszy, powiedziała. Opadł na czworaki i wyłowił flamaster spod wanny. Kolana miał teraz pokryte kurzem, który gorączkowo otrzepywał z czarnego materiału.

– Zaraz ucieszy, Kwiatuszku. Widome oznaki radości nie są akurat typowe dla Margida, z wyjątkiem może tego jednego telefonu w sylwestra, kiedy to...

Chyba sobie to wszystko wyobraził, tak uważała.

– Za każdym razem to powtarzasz! Ale tak nie było! Uważam, co więcej, że nawet **moja** fantazja nie jest w stanie wymyślić czegoś takiego! Pijany Margido nazywający mnie braciszkiem i krzyczący, że jest na **randce**?! Nigdy w życiu!

Tak czy owak, nie była w stanie w to uwierzyć, a teraz musiała kończyć, zmiennik właśnie zajechał na podwórko.

– A więc nie obrządzasz wszystkiego całkiem sama, tak?

Nie, to było niedozwolone. Trzeba było mieć specjalne atesty i wykształcenie, żeby samodzielnie zajmować się produkcją zwierzęcą. Poza tym zmiennik był opłacany przez państwo, a ona by tych pieniędzy bez atestów nie dostała.

– Uff, to brzmi bardzo skomplikowanie, już się pogubiłem. Ale czy on jest przystojny? Czy do twarzy mu w kombinezonie roboczym?

Dość przystojny, rzekła. Ale pięć lat młodszy od niej, na imię miał Kaj Roger.

– Boże, co za imię. Typowe norweskie imię dla zmiennika przy świniach. Ale o tych pięć lat się nie martw. Jeśli jest przystojny, nie wahaj się ani sekundy. Daj mu erotyczne doznanie jego żyda w środku chlewu, ze świniami w roli niemej publiczności! A potem opowiesz mi wszystko, nie zapomnij robić notatek.

Nie miała nawet pojęcia, czy on jest wolny, powiedziała. Poza tym jeszcze nie była na **tym** etapie.

– To się przenieś na ten etap. Jak najszybciej.

To było za wcześnie, rzekła, a poza tym teraz działo się tyle innych rzeczy. Ale cieszyła się, że on znowu brzmi swojsko i że nie kłóć się już z Krumme.

– Ależ myśmy się wcale nie kłócili, kochana! Tylko trochę połomotaliśmy garnkami. Teraz wszystko jest z powrotem cacy, nie myśl już o tym. Jesteśmy zakochani!

Gdyby do tego wszystkiego coś jeszcze wydarzyło się z nim i Krumme. Nie, o tym nawet nie mogła myśleć.

– Spokojnie. Wujkowie siedzą grzecznie w Kopenhadze i bardzo się kochają. Baw się wobec tego dobrze z Kajem Rogerem. Wspomnij mu, że istnieje ustawa o imionach, która pozwoli mu zmienić imię na Świnka Chrum, kiedy tylko **zechce!**

Dokręcił głowę do torsu manekina. Doskonale. Dopiero kiedy ustawi oba na miejscu w oknie wystawowym, zajmie się stylizacją włosów i ubieraniem. Ale resztę prac musiał załatwić tutaj w biurze, w sklepie nie było na to miejsca. Podniósł rękę i otworzył segregator z wzorami tatuaży, który wypożyczył od tatuatora z Istedgate. Wspinający się tygrys na ramieniu i kobiece imię w sercu na przedramieniu, to będzie dostatecznie bandyckie. Tatuaże uważał za najbrzydszą rzecz na świecie i kompletnie **nie na czasie**. Rysował ciemnoniebieskim flamastrem, który później przecierał ostrożnie wacikiem zanurzonym w rozpuszczalniku, dzięki temu osiągał efekt brzydkiej, nieco rozmazanej kreski, tak jak wyglądało to na prawdziwej skórze.

Agnete i Oskar pracowali nad strojami więźniów, a zawartość popielniczki już się suszyła. Właściciel sklepu nie chciał oczywiście mieć na swojej wystawie cuchnących petów. Prawdziwe pety zostały zatem pokryte warstwą lakieru dla ukrycia zapachu, a z pianki izolacyjnej uformowano popiół i pomalowano go na szaro. Na koniec cała popielniczka została spryskana matowym lakierem. Za whisky robiła zwykła brązowa farba, nalana do szklanek i odpowiedniej butelki; farba już wyschła. To będzie absolutnie doskonałe. Brudną i zużytą roletę, która miała wisieć na tylnej ścianie, oświetlona z tyłu przez bezlitosne słońce, Oskar znalazł gdzieś w likwidowanym gospodarstwie.

Podniósł głowę drugiego bandyty i zaczął to samo, mozolne stawianie kropek na bezwłosych policzkach, które być może w poprzednim użyciu królowały gładkie i świeżo wygolone nad marynarką od Armaniego. Nagle przypomniał sobie pomysł z dwoma całującymi się mężczyznami, nie chciał z niego zrezygnować. Może jakiś nowoczesny sklep odzieżowy z młodym i odważnym właścicielem... Teraz kiedy między nim i Krumme wszystko było dobrze,

jego energia i pomysły nie miały końca; czasami sam sobie tym imponował. Skąd to wszystko brał.

Jytte i Lizzi mieszkały w Amager, prawie tuż przy fortecy Kastруп; on i Krumme złapali taksówkę przy Niels Hemmingsens. Krumme miał ze sobą własnoręcznie robiony sos tzatziki w wielkim słoiku, a Erlend siedział z dwiema butelkami czerwonego wina na kolanach.

– Jestem bardzo ciekaw – rzekł Krumme. – To naprawdę emocjonujące, tyle muszę przyznać.

– Może byśmy otworzyli tę jedną butelkę. Kierowca na pewno ma korkociąg, to z pewnością jest standardowe wyposażenie kopenhaskich taksówek.

– Wyluzuj. Nadal tylko o tym **mówimy**.

– Dobry znak. Że nadal jeszcze jesteśmy w stanie rozmawiać.

Ulica Amagerbrogade kipiała życiem i światłami. W ciągu dnia była zakurzona i brudna, ale ciemność spuszczała zasłonę miłosierdzia na wszystko, czego nie chciało się widzieć. Kocham to miasto, pomyślał Erlend, uwielbiam puls życia i niezgodę na nudę, tutaj jest moje miejsce i może tutaj też zostanę ojcem. Złapał Krumme za rękę, uścisnął ją i tak trzymał.

– O czym myślisz? – zapytał cicho Krumme.

– Że gość od akwariów przychodzi jutro. Dobrze będzie popatrzeć na Tristana i Izoldę inaczej niż przez zasłonę z glonów, gdy człowiek bierze zwykłą, prostą kąpiel w szampanie w jacuzzi.

– Głupol.

– Tak, czyż nie dlatego właśnie chcesz mieć ze mną dziecko?

Wjechali w dzielnicę willową, a kierowca, posiłkując się mapą, znalazł ulicę Koreavej.

Jytte wyszła na schody przed domem i uścisnęła ich obu. Lizzi stała w kuchni, pachniało czosnkiem i kolendrą, a wewnętrzne szyby w oknach były zaparowane. Zawsze dobrze było tutaj przyjść. Wszędzie stały książki i rośliny, pojęcie minimalizmu w ogóle nie istniało w tym domu. Erlend od razu zaczął myśleć o pokoju dziecięcym. Że nawet jeśli urządzi go przepięknie, to w tej samej chwili, gdy tylko się odwróci, pokój wypełni się czym tylko się da – miękkim, kolorowym i dyndającym.

– Dwie sprawy – rzekła Lizzi, gdy siedzieli już przy stole, smakując jakieś nieokreślone danie z makaronu. Lizzi była piękna urodą zbliżoną do chłodnego typu Liz Hurley, natomiast Jytte była jej totalnym przeciwieństwem. Zupełnie nie męska, ale nabita, tak o niej myślał, nabita i zwarta, silna. Mocne przeguby, lekko zaokrąglone palce. Jytte też była piękna, ale do kogo mogła być podobna? Może do Janet Jackson, jeśli pominąć kolor skóry.

– Tylko dwie? – zapytał Krumme.

– Na zdrowie! – rzekła Jytte.

– Zdrowie. Pierwsza sprawa to kwestia domu – powiedziała Lizzi.

– Co masz na myśli? – spytał Erlend, biorąc dodatkowy łyk wina.

– Może powinniśmy znaleźć dużą willę, z dwoma oddzielnymi mieszkaniami oczywiście. Ale wspólnym ogrodem. Tak byłoby dużo prościej.

– Och, nie – rzekł Erlend.

– Mnie też się nie podoba ta myśl – powiedziała Jytte. – Uwielbiam ten dom.

– A ja uwielbiam nasze mieszkanie – dodał Erlend.

– Ja też – powiedział Krumme.

– Ale taras – rzekła Lizzi. – Jest za wysoko.

– Bez obaw – powiedział Erlend. – Jak tylko zrobię tę fosę wokół mojej witryny, zlecę robotnikom wykonanie tu siatki pod napięciem, a na balustradzie nakleimy tłuczone szkło. *You see?* Problem już jest rozwiązany.

– Jeśli to wszystko dogadamy – rzekł Krumme – to przecież dziecko będzie jeszcze przez chwilę **małe**, mamy więc mnóstwo czasu na zdecydowanie po drodze, czego chcemy.

– To prawda – powiedziała Lizzi.

– Jeśli uznamy, że tak jak mieszkamy teraz, jest niepraktycznie, to będziemy w tej sprawie także współpracować – rzekł Krumme.

– Mamy propozycję – powiedziała Jytte.

– Jytte... Miałyśmy przecież poczekać z tym do kawy – rzekła Lizzi, uśmiechając się. Nagle obie miały ogromne wypieki na twarzach.

– Propozycję co do domu? – zapytał Erlend.

– Nie – odparła Jytte. – Znacznie większą od domu.

– Ależ **co to jest?** Powiedz! Czy któraś z was jest już w ciąży? – powiedział Erlend. – Poszłyście w tajemnicy przed nami i ukradłyście plemniki jakiemuś przechodzącemu przypadkiem w drodze na antypody marynarzowi?

– Nie! – powiedziała Lizzi, śmiejąc się.

– Dużo rozmawiałyśmy ze sobą o tym, która z nas będzie nosić dziecko i który z was ma zostać ojcem – rzekła Jytte, chwytając Lizzi za rękę.

– Erlend – powiedział Krumme.

– Mieszkamy w kubeczku – rzekł Erlend.

– Mamy propozycję – powiedziała Jytte.

– Już to **mówiłaś!** – wykrzyknął Erlend. – Mów, o **co chodzi!**

Oczy Jytte nagle napełniły się łzami, uśmiechnęła się przez nie i rzekła: – Obaj. My wszyscy czworo.

Zapadła zupełna cisza, jedynie z radia w kuchni dobiegała cicha muzyka, Erlend wiedział już, że od tej chwili nie będzie nigdy w stanie słuchać *Rocket man* Eltona Johna, nie myśląc o tym momencie.

– Wszyscy? – to Krumme pierwszy odzyskał głos.

Teraz płakały już obie, Jytte usiadła Lizzi na kolanach, nieomal przewracając przy tym butelkę z winem.

– Ale co masz na myśli? – wyszeptał Krumme, który również schwycił mocno dłoń Erlenda.

– Dokładnie to, co powiedziała – rzekła Lizzi. – I ja, i Jytte chcemy nosić dziecko, więc obaj możecie zostać ojcami. Nie musicie wybierać. My też nie. Nagle zrozumieliśmy to, rozmawiając o tym, kto z nas miałby... Że po co mamy wybierać? Jesteśmy obie kobietami. Nie ma pewności, że zajdziemy w ciążę równocześnie, to już pewnie byłoby za dużo dobrego, ale możemy przynajmniej spróbować. A wtedy oczywiście musimy mieć was obu na ojców!

– Boże święty – powiedział Krumme.

Teraz to już **się stanie**, pomyślał Erlend, teraz to wszystko stanie się faktem, dokładnie od tej sekundy już to wiadomo.

– Dobry Boże – rzekł Krumme.

– Przestań, Krumme, on ci nie pomoże. Naprawdę mówicie poważnie? – zapytał Erlend.

– Tak – odparła Jytte.

– Chociaż prawdopodobnie pozabijamy się z tego powodu. Dwie pozostające pod wpływem hormonów kobiety pod jednym dachem, o ile oczywiście zajdziemy w dążę w mniej więcej tym samym czasie. Jeśli chcecie, naturalnie. Jeśli mamy to wszystko zrealizować.

– Chcemy – odpowiedział Erlend i zanim zdążył zaczerpnąć powietrza, poczuł, jak Krumme go obejmuje. Krumme wcisnął twarz w zgięcie szyi Erlenda i szlochał, śmiejąc się jednocześnie. Jego kieliszek się przewrócił, czerwone wino wgryzło się w obrus, plama przypominała teraz czerwoną różę.

– Szampan – powiedziała Lizzi, pociągając nosem. – Przyniosę go.

– Kiedy to zrobimy? – zapytał Krumme, wydmuchując głośno nos w serwetkę, o czym wiedział doskonale, że Erlend tego nienawidzi.

– Za tydzień obie mamy owulację – rzekła Lizzi, wstając. Po policzkach spływał jej tusz do rzęs. – A Jytte i ja jesteśmy zgrane w stu procentach. Pod tym względem także.

Pobiegła do kuchni i przyniosła oszronioną z zewnątrz butelkę.

– **To** nazywasz szampanem, Lizzi? – wykrzyknął Erlend. – Toż to wino musujące! **Wiedziałem**, że powinienem zabrać ze sobą kilka butelek Bollingera!

– Jakos dasz radę wrisnąć w siebie kieliszek albo i dwa. Popatrz! Zobacz, jak drżą mi ręce – powiedziała.

– Wszystkim nam drżą – rzekł Krumme. – To śmiertelnie poważna sprawa.

– Na pewno krwawo poważna – powiedział Erlend.

Spojrzeli na niego.

– Mam na myśli... na końcu, jak dzieci będą wyłazić. Na to nie zamierzam patrzeć – dodał.

– A ja tak! – powiedział Krumme.

– To ja też – rzekł Erlend. – Inaczej będę musiał słuchać przez sto lat, co takiego straciłem. Przy dwóch relanium jakoś dam radę. Ale Krumme i ja musimy być tam we dwóch, sam się nie odważę. Oznacza to, że wtedy też musicie być **całkowicie** zgrane.

– Ale jak my to zrobimy? – zapytał Krumme.

– Poczekaj. Najpierw wzniesiemy toast – powiedziała Jytte, podnosząc się. Stała tam, wyprostowana i zaróżowiona, z kieliszkiem w wyciągniętej dłoni, niczym bogini wolności. – Drodzy Erlendzie i Krumme, tak bardzo was kochamy. I tak bardzo kochamy siebie nawzajem. Wy również. Żadne dziecko nie mogłoby urodzić się bardziej z miłości niż w naszej czwórce.

Wstali wszyscy i wzniesli toast. Erlend czuł, jak drżą mu kolana. Będę ojcem, myślał, będziemy ojcami.

Jytte zaproponowała, żeby porozmawiać z lekarzem na temat grup krwi przed decyzją, kto ma kogo zapłodnić. Resztę załatwią same.

– Nie musicie zatem iść do takiej, wiecie, kliniki? – zapytał Erlend.

– Nie – odpowiedziała Jytte. – Nie musimy. Chodzi przecież tylko o to, żeby tę drogocenną dawkę płynu wprowadzić jak najgłębiej. Z tym damy sobie świetnie radę same.

– Ale **jak?** – rzekł Erlend.

– Boże święty – powiedziała Lizzi – jak ty się dopytujesz. Użyjemy plastikowej rurki i lejka, nie jest to przesadnie skomplikowane.

– Dlaczego zatem te kliniki mają tyle roboty? Jeśli mogę spytać?

– Bo one oferują anonimowych dawców spermy i najpierw oczyszczają nasienie, a dopiero potem wprowadzają je do macicy – rzekła Lizzi. – Ale w naszym przypadku plemniki będą mogły pościgać się na ostatnim odcinku w naturalny sposób. Najsilniejszy wygra. Nie chcemy iść do żadnej kliniki, chcemy za to, żeby to był dla nas piękny i szczególny moment. I chcemy, żebyście tutaj z nami byli.

– Ale nie po to, żeby...

– Nie, Erlendzie, nie po to, żeby patrzeć. Albo trzymać lejek. Tylko aby być tu obecnym. Możemy potem zjeść razem obiad i spędzić piękny, wspólny wieczór.

– I od tej pory już żadnego alkoholu dla was – powiedział Krumme, grożąc palcem.

– Nie – odparła Jytte. – Już nawet od jutra nie. Moje ciało ma być całkowicie czyste w chwili, gdy będzie w nim powstawało małe dziecko.

– Zabiorę prawdziwego szampana, mogę wypić za was obie! – zawołał Erlend.

- Ale nie przed – rzekła Lizzi.
- Co?
- Najlepiej by było, gdybyście nie pili ani kawy, ani alkoholu przez ostatni tydzień – powiedziała Lizzi.
- Dobry Boże – powiedział Erlend – a więc potrzebne są aż **takie** ofiary... To teraz rozumiem, dlaczego jednak wahałem się przez chwilę.
- Tydzień cierpień dla was – dodała Jytte – a potem dziewięć miesięcy całkowitej abstynencji dla nas. To chyba dobry układ.
- Jeśli to ujmujesz w ten sposób, to tak – rzekł Erlend. – Ale **po tym**, jak już Krumme i ja zrobimy co trzeba do naszych filiżanek...
- Załatwiłyśmy specjalne pojemniki – powiedziała Lizzi. – Sterylne.
- O matko – rzekł Krumme – naprawdę byliście pewne, że powiemy tak...
- Tak, w zasadzie tak – powiedziała Lizzi. – Skoro teraz wszyscy czworo możemy zostać rodzicami.
- To jest w gruncie rzeczy nieco dziwne – rzekł Erlend. – Myśl o jednej sikającej maszynie najpierw mnie kompletnie przerażała, a teraz, kiedy mają być dwie, myśl o tym nie jest już taka okropna. A co będzie, jeśli nie zajdziecie w ciążę? Albo tylko jedna z was zajdzie? Ludzie przecież próbują latami...
- Myślę, że zajdziemy – powiedziała Jytte. – Obie. Wicie przecież, że każdej z nas przydarzyła się aborcja po relacjach z mężczyznami, zanim domyśliłyśmy się, że... Ale tak czy owak... Lizzi zaszła w ciążę podczas stosunku przerywanego, a ja używałam krążka i stosowałam płukanie po! Jesteśmy niesamowicie płodne.
- Uważam, że teraz powinniśmy wypić całą resztę alkoholu znajdującego się w domu, skoro być może wy będziecie musiały obejść się bez niego przez dziewięć miesięcy, a my przez cały długi tydzień – rzekł Erlend.

Kiedy on i Krumme dotarli w końcu do łóżka, znalazłszy się w domu około trzeciej w nocy, Erlend szepnął: – Mówię poważnie z tą fosą, Krumme.

- Kochany mój, chodź tutaj...
- I z aligatorami również. Trzy sztuki prawdopodobnie wystarczą. Ale rozważam też cztery.
- Kocham cię, Erlendzie. Sprawiasz, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, czy ty o tym wiesz?
- Mmm. Ładnie pachniesz... Tak, wiem o tym. To działa w dwie strony. Gdy łąziłem tutaj, myśląc, że jesteś niezadowolony ze mnie i z naszego życia... Dla niczego już nie warto było żyć, Krumme. Nawet nie wkładałem całej mojej duszy w wystawy, to było okropne.
- Byłem dzisiaj z ciebie taki dumny, kiedy to ty odpowiedziałeś, że tak. I to natychmiast, bez zwłoki. To mi dało takie... **poczucie bezpieczeństwa**. Rozumiesz?
- Jakoś samo mi to przyszło. **Chciałem. Chcę**. Dostanę rabat na ubranka dziecięce w Benettonie, mówiłem ci o tym? Pamiętam, jak się śmiałem, gdy Poulsen mi to oznajmił, i odpowiedziałem mu, że po co mi coś takiego? Może to był znak. To było tego samego dnia, w którym zostałeś potrącony.
- Posłuchaj mnie teraz – rzekł Krumme. – Co by było, gdybyśmy zamontowali witrynkę bezpośrednio na ścianie na całej długości salonu? Z oświetleniem i tak dalej. Bezpiecznie i wygodnie, wysoko na ścianie. Wyglądałaby wspaniale.

Erlend zamknął oczy i wyobraził sobie ten widok. Strumień światła biegnący poziomo wzdłuż ściany, mógłby poustawiać figurki Swarovskiego tematycznie obok siebie, byłyby znacznie lepiej widoczne, stojąc na wysokości twarzy, to była fantastyczna idea.



I jeszcze do tego z tymi nowymi figurkami, które właśnie przyszły pocztą, całe i piękne.

– Kocham cię, Krumme.

– Masz już te nowe figurki? Te, które zamówiłeś?

– Tak. I wiesz co? Kupiłem jednoroźca.

– Wiem. Widziałem.

– Poważnie? – zapytał Erlend, unosząc się na łokciu, patrząc z góry na dobrze znaną twarz Krumme. Szukał w oczach Krumme śladów oskarżenia i szepnął: – Wstawiłem go daleko z tyłu. Przepraszam. Ja tylko...

– Traktuję to jako deklarację miłości – powiedział Krumme. – Że nie potrafiłeś obyć się bez niego.

– Nie potrafiłem. Bo on jest tobą.

– Chodź tutaj, myszko. Blisko do mnie.

– W zasadzie nie mogę już przysunąć się o wiele bliżej.

– To przynajmniej zgaś światło.



## ROZDZIAŁ 21

Erlend miał czekać na niego już na peronie, odczuwał z tego powodu niewysłowioną ulgę. Gdy przyjechał tutaj, żeby przesiąść się na pociąg do Frederiksværk, dworzec główny objawił mu się jako jedna wielka masa ludzi, dźwięków i ruchu, trudno było zorientować się w czymkolwiek, ktoś co chwilę go popychał w tym zamieszaniu, które wypełniało zmysły do granic.

– Tutaj jesteś – rzekł Erlend, który nagle stał przed nim, uśmiechając się. Uścisnęli sobie dłonie.

Dziwnie było zobaczyć Erlenda w środku tej całej obcości, mając jednocześnie świadomość, że to tutaj mieszkał i pod wieloma względami tu był jego dom. Zarazem był inny niż wcześniej. Jego włosy były krótsze niż w czasie świąt i czarniejsze niż kiedykolwiek, prawdę mówiąc tak czarne, że aż wpadały w niebieski. Oczy Erlenda sprawiały wrażenie ciemniejszych niż w czasie, gdy był w Neshov, musiał je chyba czymś podkreślić i ufarbować na czarno rzęsy. Na takie rzeczy Margido zwracał uwagę, zważywszy że sam przygotowywał ludzkie twarze do oglądania ich przez inne osoby – dokładnego i w dobrym oświetleniu, do studiowania ich, odcinających się od białej, jedwabnej poduszki. Ale jak zwykle był elegancko ubrany. Zadbany, nigdy nie nosił krzykliwych młodzieżowych strojów, w które tak chętnie ubierały się czterdziestolatki płci męskiej. Mimo wyczerpania Margido zdążył to wszystko zarejestrować.

Czuł się zmęczony w sposób, jakiego nie znał wcześniej, i zdumiony wszystkim, co było dla niego nowe i niezwykle, chociaż nie wyjechał z ojczyzny dalej niż do Danii. Jedzenie smakowało tu inaczej, mleko na śniadanie, razem z chlebem i dodatkami, takie proste drobiazgi, które w domu uważał za coś oczywistego i niezmiennego. Do wszystkich posiłków serwowano alkohol, nawet do śniadania, wtedy piło się małą wódkę. I te wszystkie tablice po duńsku, nigdy wcześniej ich tak dokładnie nie widział, uderzyło go, że litery, które były na nich zapisane, wydawały się staroświeckim językiem norweskim, konserwatywną wersją języka urzędowego, czym właściwie do pewnego stopnia były. Największe wrażenie zrobił jednak na nim chyba język mówiony. Słuchał duńskiego, rozlegającego się wokół niego od rana do wieczora; obraz języka totalnie mu się zmienił i przez to rzeczywistość stała się inna. Złapał się na zastanawianiu się, w jaki sposób wpłynęłaby na niego całkowicie obca **kultura**, skoro ta duńska zadziałała tak silnie. Gdyby pojechał do... Tunezji albo do Chin, albo do Australii. To mogłoby stanowić nieznośnie silne przeżycie.

– Byłoby bardzo głupio być tutaj i się nie przywitać – rzekł.

– Oczywiście. Kiedy odlatuje twój samolot? – zapytał Erlend.

– Za pięć dziewiąta wieczorem. Bezpośrednio do Væmes.

– No tak, z Trondheim do Kopenhagi jest w zasadzie rzut kamieniem. I wobec tego masz parę ładnych godzin. Może zostawimy twój bagaż w przechowalni i pojedziemy trochę pozwiedzać, a

potem do nas do domu? Syrenka i zamek Amalienborg, i tak dalej? Bo Tivoli jest zamknięte o tej porze roku.

– To miło z twojej strony, Erlendzie, ale jestem zmęczony, mam za sobą mnóstwo wrażeń. W sumie najbardziej mam ochotę rozsiąść się w wygodnym fotelu.

– To tak zrobimy. Syrenka jest dosyć przereklamowana, w sumie jest mała i cała obsrana przez mewy.

– Chyba musimy wziąć taksówkę. Na pewno wiesz, gdzie ją znaleźć.

– Tutaj to się nazywa *taxa*, Margido. Taksówka w Danii to coś, co ma przed sobą konia. A my mieszkamy w Gråbrødretorv, to jest tuż za rogiem. Byłoby śmieszne wynajmować konia na ten odcinek. Czy mam wziąć twoją torbę? Dziwnie cię tu widzieć. Ostatnia osoba, której wizyty bym się spodziewał. Cały czas zaskakujesz, Margido.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc dał sobie spokój. Rozumiał, do czego Erlend pije. Żeby tylko nie zaczął o tym mówić.

Na dworze było szaro i zimno, lodowaty wiatr zamiatał asfalt. Tak samo było we Frederiksværk przez te dwa dni. Wyobrażał sobie, że w Danii będzie cieplej, ale było przeciwnie, zimniej niż w Trondheim. Zmarzł w pociągu i czuł się teraz zziębnięty do szpiku kości, nie zamierzał jednak narzekać. Prawdopodobnie w mieszkaniu było ciepło.

Erlend prowadził go długimi krokami, nieporuszony panującym wokół niego chaosem. Tuż przy głównym wejściu stał uliczny śpiewak z gitarą i harmonijką, trudno było pojąć, że jest w stanie tkwić tu nieruchomo i śpiewać przy takim zimnie.

Podczas gdy szli w górę ulicy, którą Erlend nazwał Strøget, a która miała być głównym deptakiem Kopenhagi, wskazał mu Okrągłą Wieżę i szczyt Kościoła Trinitatis.

– Trójca – rzekł Margido.

– Tak, to chyba właśnie to oznacza. A ty, jak wieść niesie, byłeś na targach trumien?

– Zarówno nagrobków, jak i trumien.

– Naszalałeś się pewnie z zakupami, co? – zapytał Erlend.

– Nie. Było tam trochę sprzętu komputerowego, można z niego mieć od razu gotowe druki, ze zdjęciami i tekstem, wszystko w kolorze. Ale ja się nie znam na komputerach. Co do trumien, to mam stałego dostawcę, a wszystkie kamienie kupujemy z Eide w Nord-More. Takich układów nie można zmieniać.

– Ale pewnie widziałeś ostatni krzyk mody w branży trumiennej. Wbudowane radio, telewizor i łącze internetowe?

– No, nie do końca – powiedział Margido.

Z otwartego samochodu pachniało świeżo smażonymi donatami, para z garnków unosiła się jak szare chmury dymu, mała dziewczynka stała z dziwną zabawką na sznurku i demonstrowała jej działanie kupującym, wyglądała na siną z zimna i nie miała nawet rękawiczek, nie mógł nie pomyśleć o dziewczynce z zapalkami. To milionowe miasto, kto wie, ile w nim nieszczęśliwych istnień.

– Jak to właściwie jest pracować ze śmiercią, Margido? Przez cały czas?

– To jest... dobra praca. Dająca zadowolenie. Ludzie doceniają to, co robisz. A ty? Interesy idą dobrze? Czy robiłeś wystawę dla któregoś z tych sklepów po drodze?

Musiał być trochę miły i zapytać o takie rzeczy. Wszystko, co widział po drodze, to były rzędy manekinów ubranych w różnym stylu, a wystawy z innymi produktami, ustawionymi jedne na drugich, z metkami cenowymi, nic mu nie mówiły ani niczym go nie kusily.

– Akurat tutaj nie. To nudne wystawy. Widzisz coś, na co masz ochotę?

- Nie.
- No właśnie. Bo to nie moje wystawy. Przeładowane i brzydkie.

Do mieszkania prowadziła winda, przypominała windę hotelową, z lustrem na trzech ścianach i mosiężną balustradą. Erlend musiał wpisać kod na panelu, żeby winda ruszyła.

- Cóż za zabezpieczenia – rzekł Margido.
- Całe najwyższe piętro jest tylko nasze, no a my nie chcemy przecież mieć nieproszonych gości stojących nagle pod drzwiami.
- Własna winda?
- No tak. Ale **mijamy** sąsiadów w drodze do góry...

Jednak nawet winda i stopień zabezpieczenia mieszkania nie przygotowały Margida na widok samego lokum. Zdjął buty, chociaż Erlend powiedział wyraźnie, że nie musi, i na palcach przeszedł przez pokój, jaki zdarzyło mu się widzieć tylko na filmie. Nawet przygotowując do pogrzebu ciała zmarłych w domach, nie był nigdy w podobnym miejscu, najbliższe tego standardu w Trondheim byłoby osiedle Nedre Elvehavn, ale nawet tam zapewne nie było tego rodzaju mieszkania. Dwa ogromne, narożne salony, jeden z przesuwanymi drzwiami ze szkła, za którymi znajdował się wielki taras dachowy; kominek, wyszukane meble ze złocistego drewna, stali i szkła, złote wazony z liliami, nowoczesne malarstwo na ścianach, szeroka przeszklona witryna, podświetlona, wypełniona mnóstwem szklanych figurek, na podłogach płytki i terakota, kamień i parkiet. Wiedział, że Erlend i Krumme są zamożni, ale to przerastało jego najśmielsze wyobrażenia.

- No, to w niczym nie przypomina Neshov – rzekł Margido.
- Nie, tyle z pewnością można stwierdzić. Kawy?
- Tak, poproszę.

Kuchnia również była ogromna. W jednym z salonów stał długi stół jadalny z co najmniej dziesięcioma krzesłami, a tutaj w kuchni stał nieco mniejszy, dla dwóch osób. Całe metry blatów kuchennych z polerowanego czarnego kamienia lśniły.

– Larvikit – powiedział Margido, czując pewną ulgę na widok czegoś dobrze znanego, i przeciągnął dłonią po zimnej powierzchni. – Często robi się z tego nagrobki.

– Tak, to chyba tak się nazywa – rzekł Erlend, nacisnął guzik i podstawił małą, czarną filiżankę pod wylot. – Zrobię espresso, wygląda, że tego potrzebujesz. Kupiłem też kilka drożdżówek. Krumme niedługo przyjdzie i będzie robił obiad.

– Dwie lodówki? – powiedział Margido, gapiąc się na podwójną lodówkę ze szczotkowanej stali, jedne drzwi były z matowego szkła.

- Przecież potrzebne są dwie. Jedna na jedzenie, a druga na napoje.
- Ale mieszkacie tylko we dwóch?

– Robimy przyjęcia. I lubimy mieć duży wybór. Popatrz! – rzekł Erlend, otwierając lodówkę z matowym szkłem. Szampan, białe wino, woda sodowa, soki, woda niegazowana, mleko, śmietanka, octy, sosy sałatkowe bez oliwy, piwo i woda duńska. Przecież to wypełnia już całą jedną lodówkę, prawda?

Margido usiadł ostrożnie na jednym z krzeseł i przyglądał się, jak Erlend odwrócony do niego plecami robi sobie filiżankę herbaty i wyciąga miseczkę z brązowym cukrem. Wyjął ciastka z białej, papierowej torby i położył je na szklanej paterze. Wtedy Margido zauważył, że pod blatem zamontowane są obok siebie dwie zmywarki. Mieli również dwa piekarniki, stały jeden na drugim, na wysokości piersi.

- Tutaj wszystkiego jest po dwie sztuki – powiedział.

– Tak, faktycznie masz rację! – zawołał Erlend, śmiejąc się leciutko, plecy ubrane w czarny golf drżały mu nieco. Jego ramiona były ostre i ich kształt wyraźnie odcinał się pod swetrem. Jego brat. Obyty i zrelaksowany w całym tym luksusie, który przyprawił Margida o jeszcze większe wyczerpanie niż to, które czuł w chwili, gdy tu przybył, nie do końca rozumiał, dlaczego tak było. W każdym razie jeszcze trudniej było mu teraz powiedzieć to, co zdecydował już wcześniej. Spojrzał w dół na swoje skarpetki, czując nagłą ulgę, że żadna z nich nie miała dziury na palcu ani przetarcia. Wsunął je pod stół, Erlend zmienił buty na parę puchatych kapci, próbował skupić się na zapachu kawy, na tym, że Erlend kupił drożdżówki i na pewno zrobił sobie wolne z jego powodu, że był tutaj mile widziany.

– Dwie zmywarki to doskonałe rozwiązanie – rzekł Erlend. – Na co dzień wyjmujemy czyste rzeczy z jednej, a brudne wkładamy do drugiej, a kiedy robimy przyjęcie, też bardzo dobrze jest mieć dwie do tego całego zmywania potem. Jeden piekarnik jest do ziemniaków, warzyw i tak dalej, drugi do dania głównego, mięsa, ryby albo drobiu. Dzięki temu wszystko jest gotowe równocześnie.

– To musiało kosztować majątek.

– Krumme pochodzi z okropnej rodziny bogaczy z Klampenborg, nigdy u nich nie bywam, ale on czasami się z nimi spotyka. Odziedziczył mnóstwo pieniędzy po śmierci swojej matki, a kiedy ten jego paskudny ojciec kopnie w kalendarz, będzie miał jeszcze więcej. No i do tego dobrze zarabiamy.

– Aha.

– Kupiliśmy to mieszkanie za dwanaście milionów osiem lat temu i wydaliśmy kolejne sześć na urządzenie go tak, jak chcieliśmy. Bardzo proszę, częstuj się – rzekł Erlend, stawiając przed nim kawę.

Pił z wdzięcznością. Podłoga była ciepła, przycisnął do niej stopy i na ułamek sekundy zamknął oczy.

– Zmęczony? – zapytał Erlend.

– Tak. I trochę w inny sposób niż po największej robocie w domu.

– Weźmiemy taksówkę do Kastrup, pojedę z tobą, a reszta podróży to już pestka.

– Nie musisz. Ale byłoby to... bardzo miłe.

– Nigdy przedtem nie byłeś za granicą, prawda?

Margido westchnął. – Nie. Więc to dla mnie sporo. Podróż i język, i...

– Nagrobki i trumny.

– Akurat do tego jestem przyzwyczajony.

Zapadła cisza. Opróżnił filiżankę, była bardzo malutka. Erlend podniósł się bez pytania i zrobił kolejną. Wciągnął głęboko powietrze, czując jednocześnie, jak szybko zaczyna mu bić serce teraz, kiedy już się zdecydował i powiedział: – Bardzo chciałbym cię przeprosić, Erlendzie.

– Za co?

Przez jedną pełną oszołomienia sekundę Margido obawiał się, że Erlend sądzi, iż on prosi o wybaczenie za tę rozmowę telefoniczną w sylwestra, powinien był sformułować to jakoś inaczej. Dodał pośpiesznie: – Za to, w jaki sposób zostałeś potraktowany w naszej rodzinie. Doskonale rozumiem, jeśli czujesz się rozgoryczony i zły na... no cóż, zarówno na mnie, jak i na Tora, i... matkę.

Już teraz wolałyby mieć tę rozmowę za sobą, położyć się gdzieś, zamknąć oczy, wiedzieć, że to już jest załatwione.

– Nie jestem rozgoryczony – powiedział Erlend, stawiając przed nim nową, pełną filiżankę z kawą i patrząc mu w oczy. – Nie jestem. Byłem zrezygnowany i żałowałem was. Ale wtedy, gdy ruszyłem z Neshov przed siebie, byłem wściekły. Nie zamierzałem pozwolić na takie traktowanie

mnie. Byłem wściekły, rozczarowany i lekkomyślny, ale nie rozgoryczony. I nie chodziło mi tylko o was w gospodarstwie, chodziło mi o wszystkich. O całe... całe Byneset, całe Trondheim. Dużo się pewnie zmieniło przez dwadzieścia lat, ale wtedy...

- Tak. Wiele się zmieniło.
- Gdy zadzwoniłeś w sylwestra...
- Czy musimy o tym rozmawiać? – zapytał Margido.
- Byłeś pijany?
- To się więcej nie zdarzy.

Erlend zaczął się głośno śmiać, z otwartymi ustami i głową odrzuconą do tyłu. – Wiedziałem! To, że musiałeś być pijany, żeby nazwać mnie braciszkiem!

Margido próbował podnieść filiżankę do ust, żeby się napić, ale poczuł, że ręka mu drży, i zostawił filiżankę na stole.

– Przepraszam, Margido, nie będę się już z ciebie śmiać, to było nieładnie z mojej strony – rzekł Erlend.

– Krumme jest... miłym człowiekiem – powiedział Margido. – Ksiądz Fosse też tak powiedział, gdy spotkałem go kilka tygodni temu. Że byliście... sprawialiście bardzo sympatyczne wrażenie.

– Tak powiedział? A ty mnie chcesz przeproszać? I to pomimo tego, że obaj jesteście chrześcijanami?

- Tak. Właśnie tak jest.
- Widziałeś ich. Razem? – zapytał Erlend.

Teraz Margido przycisnął filiżankę do twarzy obiema rękami. Musiał poczuć smak kawy, ale nie powinno go przecież dziwić, że Erlend chce o tym porozmawiać. Teraz nie siedzieli już w Neshov, z Torem po drugiej stronie stołu, podnoszącym zazdrostkę i sprawdzającym temperaturę na dworze, jeśli rozmowa stawała się zbyt kłopotliwa.

- Kogo? Masz na myśli... matkę i...
- Tak – rzekł Erlend.

Oddał się ponownie studiowaniu lodówek, jedne drzwi miały otwór, z guzikiem, na którym było napisane Ice Cube Automat.

- Tak – powiedział. – Widziałem ich.
- A więc **wiedziałeś**, że matka i dziadek Tallak...
- Wróciłem pewnego dnia wcześniej ze szkoły – rzekł Margido. – Byłem jeszcze dość mały.
- To bardzo trudno jest pojąć. Że tak prosto można ukryć... tak wiele.
- W gruncie rzeczy cała sprawa jest prosta – powiedział Margido, patrząc wprost na niego. –

Ktoś musiał prowadzić rodzinne gospodarstwo dalej. A skoro dziedzic był jedynakiem i nie lubił dziewcząt...

- To jego ojciec załatwił sprawę inaczej.
- Tak.
- Ale wtedy wystarczyłby tylko jeden raz, Margido. A nas jest trzech.
- Może przyczyny były inne niż tylko z konieczności i dla dobra gospodarstwa.
- Chodzi ci o to, że się kochali?
- Nie wiem – powiedział Margido. – A teraz oboje już nie żyją. Nigdy się tego nie dowiemy.
- Próbuję to sobie wyobrazić... Matka i on, ukrywający się latami przed babcią, chorą i leżącą w izbie na górze. Sądzisz, że ona coś wiedziała?
- Miejmy szczerą nadzieję, że nie.
- Ale matka i... dziadek Tallak nie zauważyli cię? Nie zorientowali się, że ich widziałeś?

– Nie. Ale ja sam to powiedziałem matce. Siedem lat temu. Ostatni raz, kiedy tam byłem, przed tymi ostatnimi... świętami. Że powinny być jakieś granice, jeśli chodzi o złe traktowanie starego. Że to **jego** należy żałować, zważywszy na to, co robiła przez te wszystkie lata. Skończyło się to okropną kłótnią, matka się wściekła, powiedziała, że wypowiadam się w sprawach, o których nie mam zielonego pojęcia. Po prostu wyszedłem stamtąd i pojechałem do siebie, skoro nie chciała o tym rozmawiać w rozsądny i spokojny sposób.

– Czy Tor nadal nazywa go ojcem?

– Tak sądzę. Tor woli, jak wszystko zostaje po staremu.

– Ja go tak strasznie kochałem. Dziadka Tallaka.

– Wiem o tym, Erlendzie – powiedział i przeciągnął ręką po twarzy, przycisnął kciukiem i palcem środkowym oczy, mgnienie ciemności dało mu przedsmak odpoczynku.

– To wszystko było już tak dawno... Czy masz tu może toaletę? – rzekł, podnosząc się z miejsca.

– Oczywiście mamy dwie! – powiedział Erlend. – Jedną osobno i jedną w łazience. Ale nie widziałeś jeszcze naszej łazienki!

Wzrok Margida padł najpierw na akwarium. Niemy z zadziwienia pozwalał, aby Erlend pokazywał mu poszczególne ryby. Trójkątna wanna wielkości mniej więcej całej jego domowej łazienki zajmowała jeden róg. Wannę gęsto wypełniały błyszczące dysze zamontowane w stalowoszarej porcelanie. W drugim rogu stała kabina prysznicowa. Dwie umywalki zatopione w szklanej płycie, chropowatej po jednej stronie, zielone rośliny i palmy, oświetlone specjalnym światłem, biały, wysoki fotel z kilkoma ubraniami przerzuconymi przez poręcz. Fotel. W łazience. Wtedy zauważył to, w rogu pomieszczenia, przesuwane drzwi ze szkła, a za nimi w środku nie do pomylenia z niczym drewniane ławki.

– Macie saunę? – zapytał.

– Ech, ta sauna. Nigdy z niej nie korzystamy. Tam wchodzi tylko sprzątaczką, żeby odkurzyć ławki i piec.

– Ja też będę wkrótce miał saunę. Ma być zamontowana, zanim wrócę do domu. Nie z prawdziwym piecem, ale...

– My się kąpiemy. Prawie codziennie, mam wrażenie. Na tę saunę sam nalegałem, gdy robiliśmy remont. Zupełnie idiotyczne, zważywszy że nigdy jej nie używamy. Ale ty? Możesz przecież teraz zrobić sobie sesję w saunie? I trochę odpocząć?

– Teraz...?

– Przecież możesz! Zaraz włączę piec, za kwadrans będzie ciepło. I napełnię cebrzyk wodą. Mamy też czysty, gościnny szlafrok, więc możesz wypocić się po wzięciu prysznica, zanim się ubierzesz. I tak nie będziemy jeść wcześniej niż za jakieś dwie godziny, więc to chyba dobry pomysł, prawda? Jeśli o nas chodzi, to możesz zjeść w szlafroku, sami tak często robimy. A tam jest lodówka.

Obok fotela stała mała lodówka.

– Woda mineralna. Jak już ma się dość szampana. Częstuj się śmiało.

Złożył ubrania równo razem i położył je na fotelu, kładąc na wierzchu zegarek. To była dzisiejsza zmiana, włożył je wcześniej, nie miał już ze sobą więcej czystych ubrań. Powąchał skarpetki i przeparał je mydłem, następnie ułożył płasko na ciepłej podłodze. Ktoś zapukał do drzwi, czy on się zamknął? Stał tam nagi.

– Tak?

– Włączyć d muzykę? – dobiegł go głos Erlenda. – Nagle sobie przypomniałem, że w saunie są przecież głośniki. Jaka muzyka, twoim zdaniem, pasuje do potu? Diana Ross?

– Nie, dzięki, Erlendzie, chętnie posiedzę w ciszy. Ale bardzo ci dziękuję.

Wszedł w ciepło i zamknął za sobą drzwi. Polał piec wodą, wspiął się na najwyższą ławkę, usiadł i zamknął oczy. Poczuł natychmiast uderzenie potu, oczyszczanie się skóry. Otworzył oczy i w rozleniwieniu patrzył przez szklane drzwi, jego spojrzenie padło na biały szlafrok, który miał sobie pożyczycy, oraz duży ręcznik w czarne i szare paski. Ponownie zamknął oczy.

Kręciło mu się w głowie, gdy wchodził do kabiny prysznicowej. Opróżnił już jedną butelkę duńskiej wody mineralnej, bardzo przypominającej norweską, i czuł, że musi wypić jeszcze jedną. Zlał dało na końcu strumieniem lodowatej wody, a potem wytarł się dokładnie, usuwając również z podłogi ślady stóp i kałuże. Po powrocie do domu będzie mógł robić to codziennie. Zupełnie tak, jakby zaczynał jakieś nowe życie.

Tutaj wszędzie były lustra, w domu miał tylko jedno małe lustro nad szklaną półką na szczoteczkę do zębów. Stał i patrzył. Korpulentny mężczyzna. Właściwie dlaczego tak wyglądał? Nie jadł zbyt wiele. Ale też nie ruszał się specjalnie. Pogłaskał się po brzuchu, przeciągnął ręką po włosach, odwrócił się, ale tam też było lustro. Przyjrzał się rybom, pływającym leniwie i bezcelowo wokół siebie, otaksował wzrokiem tę kolosalną wannę, gdzie się kąpali, i nadśluchował. Panowała cisza. Szlafrok był miękki i gruby, ale czy miał wyjść teraz boso? Skarpetki na szczęście wyschły, wciągnął je na siebie i przyniósł sobie kolejną butelkę duńskiej mineralnej. Trzymając pustą butelkę w jednej, a nową w drugiej ręce, otworzył drzwi. Nie były zamknięte. Mógł teraz usłyszeć dobiegające gdzieś z daleka dźwięki muzyki klasycznej.

Krumme odwrócił się natychmiast, jak tylko Margido wszedł do kuchni, uśmiechnął się i pospieszył mu na powitanie, wycierając prawą rękę w ściereczkę kuchenną.

– Witaj, Margido. Czy było dobrze i ciepło tam w saunie? Jaka szkoda, że nie możesz zostać dłużej niż tych kilka godzin.

Ujął dłoń Krumme i powiedział: – Muszę jechać do domu. Obowiązki wzywają. Gdzie mam postawić pustą butelkę?

– Gdziekolwiek. Robię jagnięcinę w kuskusie, lubisz?

– Na pewno. Bardzo dziękuję.

– Poczekaj z dziękowaniem, aż spróbujesz! – rzekł Krumme, uśmiechając się.

– Gdzie jest Erlend?

– Chyba siedzi przy telefonie w biurze.

– Tutaj w mieszkaniu?

– Ależ tak. Masz ochotę na kieliszek czerwonego wina przed jedzeniem?

– Nie, dziękuję, nie piję.

– My też nie – powiedział Krumme i śmiejąc się, odwrócił się w stronę rondli na kuchence. Kuchenkę za to przynajmniej mieli jedną, ale była to kuchenka gazowa, przypominająca nieco grilla ogrodowego. Wtedy nagle dotarło do niego to, co powiedział Krumme.

– Przecież wy pijecie – rzekł.

– Akurat teraz nie – odpowiedział Krumme. – To jest woda. Na zdrowie!

Margido podniósł w jego stronę butelkę z duńską mineralną, napili się. Nie chciał pytać o nic więcej. Krumme chciał rozmawiać o Byneset i opowiedział, że Tor zaprosił ich ponownie latem, mówił, że wtedy tam jest pięknie.

– Okolice Byneset są zawsze piękne – rzekł Margido. – Ale oczywiście latem jest tam szczególnie ładnie. Wszystko wokół jest takie zadbane. Same budynki w Neshov nie są akurat bardzo reprezentacyjne, ale gospodarstwo jest fantastycznie położone. Pod względem widoków i tak dalej.



– Tam potrzeba tylko porządnego remontu – powiedział Krumme. – Ale co z polami dookoła? Co twój brat tam uprawia?

– Tym zajmuje się spółdzielnia zbożowa. Młyny. A więc tam uprawia się zboże. Spółdzielnia zajmuje się siewem i żniwami, Tor tylko nawozi i zabiera słomę dla świń. No i ma duże upusty na paszę przez cały rok. Nie tak duże jak d, którzy wszystko robią sami i dostarczają do młyna gotowe ziarno, ale zawsze to poważna zniżka.

– Brzmi rozsądnie.

– Tak czy owak, to jedyne rozwiązanie dla Tora – rzekł. – Po tym, jak zlikwidował mleczne krowy.

– Orientujesz się w tym, Margido.

– Siłą rzeczy. Tak to jest, jak się stamtąd pochodzi. Przez ostatnie lata niewiele tam byłem, ale teraz Tor utrzymuje mnie na bieżąco we wszystkich sprawach.

– Erlend nie wie zbyt wiele o zbożu i mlecznych krowach! – zawołał Krumme, śmiejąc się tak, aż brzuch mu drżał. – Ale opowiedział mi o tych połowach łososi. Zdaje się, że w tym za to był ekspertem!

– Tak, on to bardzo lubił. Dobrze pamiętam.

– A zatem Neshov otoczone złotymi polami zbóż. Tak wygląda tam latem. Brzmi prawie jak obrazek z duńskiego gospodarstwa – powiedział Krumme, posypując podsmażoną jagnięcinę czymś, co przypominało żółtą kaszę, i wstawił naczynie do jednego z piekarników.

– Ale nie jest tak płasko jak tutaj. W końcu widziałem trochę wiejskich krajobrazów w Danii, jadąc pociągiem do Frederiksværk i z powrotem.

– No właśnie, opowiedz mi o najnowszej modzie w branży trumiennej – rzekł Krumme.

Margido nie usłyszał w tym żadnego szyderstwa, tylko szczere zainteresowanie, opowiedział więc trochę o ostatnich nowościach, jak piękne robi się teraz ozdoby z materiałów, które muszą być biodegradowalne, jak usuwa się z trumien metalowe elementy, zanim zostaną złożone w ziemi. Ostatnim krzykiem mody były fotografie zmarłych zamontowane na nagrobkach, zatopione w materiałach, które nie blakły ani pod wpływem światła, ani niepogody.

– To mógłby być ciekawy temat na reportaż – powiedział Krumme. – W końcu wszyscy się z tym zetkniemy prędzej czy później.

– Myślę, że ludzie na pewno chętnie by o tym przeczytali – rzekł Margido. – Bo **my** nie możemy za dużo o tych sprawach informować, na pewno nie wcześniej, niż pojawi się taka potrzeba.

Gdy później siedzieli już przy jednym końcu stołu jadalnego w salonie, a on ubrał się po saunie, nie mógł powstrzymać się od zadania pytania: – Zostałeś abstynentem, Erlendzie?

Erlend rzucił mu szybkie spojrzenie, jakby odrobinę przestraszone, a potem powiedział: – Abstynentem? Nie, to trochę zbyt wiele powiedziane.

– Jesteśmy w trakcie... kuracji tabletkami – powiedział Krumme. – To jedyny powód.

– A dlaczego w ogóle zaczęliśmy ten temat? – zapytał Erlend, patrząc na Krumme.

– Jesteście chorzy? – zapytał Margido i natychmiast pomyślał o HIV i AIDS.

– Nie, wcale nie – odparł Krumme. – Dostaliśmy po prostu szczepionkę przeciw grypie, tyle teraz jest wokół infekcji. A wtedy przez pierwsze trzy dni po szczepieniu nie wolno pić alkoholu.

– Tak to właśnie wygląda – powiedział Erlend.

Gdy siedział już w samolocie w drodze do domu, myślał o obiedzie i dokładnie o tych słowach, które wtedy padły. O tabletkach, które brali. A które w następnej chwili stały się **szczepionką**. Coś tutaj się nie zgadzało, coś niezupełnie... grało w tym, co mówili.

A jeśli Erlend miałby śmiertelnie zachorować teraz, kiedy właśnie go ponownie odnalazł... Albo może to było za dużo powiedziane, ale kiedy przynajmniej kilka centymetrów zostało uczynionych we właściwym kierunku. Tak czy owak, nie wyglądali mu na takich, którzy byliby jedną nogą w grobie, wydawali się zadowoleni, prawie nakręceni i nie mieli w sobie nic z ludzi, nad których głowami zawisł właśnie miecz Damoklesa.

Na deser zjedli domowej roboty sernik przygotowany własnoręcznie przez Erlenda. On wypił do niego espresso, a Erlend i Krumme po herbacie, w kominku palił się ogień, a Erlend włączył muzykę i biegał tam i z powrotem. Krumme utrzymywał, że Erlend cierpi z powodu abstynencji i to dlatego jest taki niespokojny. Abstynencji od czego? Chyba Erlend nie był **aż tak** zależny od alkoholu? Nie zdobył się na zadanie takiego pytania, kiedy siedzieli razem w taksówce, czy też raczej w *tam*, wiozącej ich na lotnisko Kastrup. Nagle zaczął obawiać się odpowiedzi.



## ROZDZIAŁ 22

W korytarzu nadal czuć było odchodami, chociaż minęły już ponad dwa tygodnie od jej przyjazdu. Prawdopodobnie resztki ciągle znajdowały się w szparach podłogi. Wielokrotnie polewała deski wodą prosto z wiadra, ale nic nie pomagało. Wniosła torby z zakupami zrobionymi w spółdzielni i położyła gazetę przed ojcem, który siedział i czekał przy stole kuchennym.

– Co za pogoda – powiedział.

– Tak, paskudna, musiałam włączyć wycieraczki na bardzo szybki tryb, jadąc do domu, chociaż jechałam strasznie powoli.

Całe podwórko było zalane deszczem i zmienione w morze błota, wokół domów ścieliły się czarne, przemoczone pola, drzewa wyglądały jak czarne kreski na tle szarego nieba, wkrótce miała nastać połowa marca, a deszcz spadł po wielu dniach pięknego słońca, które przez jakąś mamę chwilę dawało złudzenie wiosny.

– Ziemia jest jeszcze zmarznięta. Dlatego woda stoi u góry. Stąd to cholerne błoto.

Jego głos był twardy. Odzywał się prawie tylko wtedy, gdy można było skupić się na czymś negatywnym.

Że też po prostu nie pojechała sobie. Nie wrzuciła rzeczy do samochodu i nie zostawiła ich tutaj. Mogła zadzwonić do Marit i poprosić, żeby wzięła zwolnienie lekarskie i przyjeżdżała tutaj co drugi dzień.

Ale zupełnie jakby się zawiesiła. Codziennie miała zamiar skonfrontować ojca z tym, jak się zachowywał, zagrozić, że pojedzie, ale ciągle jakoś następował kolejny dzień. Do pewnego stopnia była to kwestia niezmiennych zwyczajów, stała się ich niewolnikiem, mogła się w nie schronić, nie myśleć o wszystkich swoich sprawach. Zaczęła rozumieć, w jaki sposób ludzie w tym gospodarstwie żyli od wielu lat, jak ich codzienne obyczaje powodowały wrażenie nieważności całej reszty świata. Dni mijały w rytm obrządzania zwierząt, według godzin programów nadawanych w radio i w telewizji, ewentualnego spóźnienia listonosza, deszczu lub jego braku. Na szczęście od jej przyjazdu nie padał śnieg, nie potrafiła obsługiwać traktora, a Kaj Roger nie chciał go używać ze względu na brak dobrej ochrony kabiny kierowcy. Nie wolno było nim jeździć w tym stanie, powiedział, gdyby coś się stało, ubezpieczalnia niczego by nie wypłaciła. Oznaczało to oczywiście w praktyce, że ojciec musiał płacić dodatkowo za przywiezienie paszy, co go bardzo denerwowało. I nie tylko to. Wszystko było nie tak: rachunki, nad którymi męczył się każdego wieczoru, zeznanie podatkowe, które trzeba było złożyć do trzydziestego pierwszego marca, rzeźnia Eidsmo, która chciała dostawać coraz lżejsze i młodsze świnię, bo w skali kraju była nadprodukcja, rachunki z firmy deratyzacyjnej, dodatkowe koszty w stosunku do wszystkich pozostałych ponoszonych o tej porze roku, nowe przepisy w KSL, kto ma nawieźć pola. Nie było takiej sprawy, na którą by nie narzekał, wyjątek stanowiło tylko

jedzenie, które przed nim stawiała. Zawsze mu smakowało, niezależnie od tego, co to było. Powinna pewnie być z tego zadowolona.

Za niecałe czternaście dni mieli mu zdjąć opatrunki. Wydawało mu się, że ozdowieje wówczas w jedną noc. Ale przy ostatniej zmianie bandaża lekarz powiedział mu, że będzie musiał chodzić na fizjoterapię i trenować nogę, gdyż mięśnie mocno osłabły. Ojciec zaklął wówczas lekarzowi prosto w twarz i rzekł, że wystarczy mu, jeśli tylko będzie mógł zgiąć kolano. Lekarz musiał mu jednak uświadomić, że kolano prawdopodobnie będzie sztywne jeszcze przez dłuższy czas i to właśnie nad tym trzeba będzie pracować.

Nauczyła się nie słuchać jego gadania, traktować je jak strumień słów, które jej nie dotyczyły. Jeśli uda się jej wytrzymać, zostanie tutaj tak długo, aż będzie mógł się ruszać, i wtedy pojedzie, mając spokojne sumienie, że dała radę to przetrwać.

Nie cieszyła się jednak na powrót do domu. Matka była śmiertelnie obrażona i stale do niej wydzwaniała z oskarżeniami i obwinianiem. Zamierzała sprzedać dom i kupić sobie jakieś **małe górniarne mieszkanko**, jak sama to nazywała, więc wszyscy mogli sobie już teraz robić, co tylko chcą. Nie rozumiała zupełnie, że ta kara, która miała być wymierzona córce i byłemu mężowi, najciężej dotykała ją samą. Czuła się rozgoryczona.

Dokładnie jak ojciec. Starła się być dla niego miła i dobra. Nie pomagało. Próbowwała milczenia i dystansu. Też nie. Sprawdziła, jak to będzie wtórować mu w narzekaniach i tu już było troszkę lepiej. Ale to z kolei dla niej było zbyt trudne, zgadzać się ciągle, że wszystko jest nie tak, że mieszczuchy siedzące w urzędzie skarbowym są idiotami nierozumiejącymi chłopskiej codzienności, że ministerstwo rolnictwa składa się wyłącznie z biurokratycznych faszystów i że Kaj Roger jest cholernym mięczakiem, bo nie chce jeździć na jego całkiem dobrym traktorze tylko dlatego, że kabina kierowcy z powodu małej rdzy nie jest już przepisowo zamocowana.

Lubiła Kaja Rogera. Pomógł jej nosić wiadra z gorącą wodą z pomieszczenia gospodarczego w tym dniu, gdy przyjechała i wszystko wyglądało tak okropnie. Gdy uciekła z Oslo i płakała przez całą drogę do Hamar, wyobrażała sobie jednocześnie, że ojciec będzie zachwycony i odczuje wielką ulgę z powodu jej przybycia. A tymczasem leżał tam... Prawdopodobnie nie był w stanie kiedykolwiek jej wybaczyć, że widziała go w takim stanie. Poprosiła Marit, aby rzuciła wszystko i przyjechała natychmiast, była tam w niecałe pół godziny. Do tego czasu stała na podwórku i paliła papierosy, w środku panowała zupełna cisza. Leżał tam po prostu w całym obrzydlistwie i czekał. Marit nawet nie mrugnęła powieką, zamknęła po prostu za sobą drzwi i doholowała ojca do kuchni, a potem wróciła i jak trzeba przywitała się z Torunn, pytając, czy da sobie radę z podłogą. Zamierza spróbować, odpowiedziała.

Wtedy na podwórko zajechał land cruiser. Gdy tylko go zobaczyła, zachwiała się i złapała Marit mocno za ramię, ale zaraz zobaczyła, że samochód jest ciemniejszy niż ten Christera, to przyjechał zmiennik. Była zmuszona powiedzieć, że przenośna ubikacja przewróciła się, smród rozchodził się już po całym podwórku, ale nie wspomniała nic o ojcu leżącym w tym wszystkim. Później ojciec zażądał od niej przysięgi, że ani Margido, ani Erlend nigdy się o tym nie dowiedzą, i całkowicie się z tym warunkiem zgadzała. Prawdopodobnie od Marit zażądał podobnego przyrzeczenia.

Zmiotła najgorsze za pomocą szczotki, znalazła gumowe rękawiczki i opakowanie kilku rolek papieru toaletowego, zaczęła od tego, a potem przeszła na ścierkę do podłogi. Dwa razy musiała wybiec za róg domu, żeby zwymiotować. Kaj Roger nosił wodę. Nie odważyła się zajrzeć do kuchni, ale kiedy Marit szła na górę po czyste ubrania, zamieniły parę słów. Opatrunek ojca też był brudny, rzekła Marit, na szczęście tylko zewnętrzna warstwa, ale tak czy owak, potrzebował nowego bandaża. Więc gdy podłoga była już czysta, a przenośna ubikacja wypłukana w chlewie i

postawiona na miejscu, Torunn musiała pojechać do Trondheim i znaleźć aptekę. Kaj Roger zaczął w tym czasie obrządek w chlewie.

Kiedy ojciec w końcu został już ulokowany na łóżku polowym z tabletką przeciwbólową, była tak zmęczona, że drżała. Odprowadziła Marit do samochodu, gdzie długo stały, rozmawiając. Powiedziała, że zostanie tutaj przez jakiś czas, że będzie sprzątać, robić jedzenie i zakupy, że zajmie się nimi. Być może obiecała zbyt wiele, jednak wdzięczność dla tej kobiety za to, że w sekundę uratowała sytuację, spowodowała u niej napływ przesadnych, wielkich uczuć.

– Kupiłam drożdżówki – powiedziała teraz i przyniosła talerz, stawiając go przed nim.

– Ach tak.

– Kawa na pewno jest jeszcze ciepła. Narzędzia i takie rzeczy, znajdę to gdzieś w drewnitni?

– Po co niby?

– Muszę coś zrobić z listwami w korytarzu.

– Wszystkie narzędzia leżą w drewnitni – rzekł, zabierając się do gazety, trzymanej na wyciągnięcie ręki. Potrzebował okularów, ale nie chciał nawet słyszeć o optyku, to był zbyt drogi pomysł, tak uważał. Będzie musiała kupić jakieś gotowe okulary i zobaczyć, czy mu pasują.

Nie musiała obawiać się, że natknie się w drewnitni na szczury. Firma deratyzacyjna solidnie wykonała swoją robotę, zajmowali się tym przez kilka dni, a potem przysłali fakturę na ponad jedenaście tysięcy. Nawet ulga z powodu pozbycia się tak gigantycznego problemu nie zmniejszyła jego wściekłości w związku z rachunkiem. Po wylewanym przez dłuższą chwilę potoku przekleństw, siarki i żółci dokuśtykał przy chodziku przez podwórko do chlewu. Kiedy stamtąd wrócił, był już spokojniejszy i poszedł się położyć.

Chętnie porozmawiałaby z nim o świniach, opowiedziała mu o różnych drobiazgach i codziennych zdarzeniach w chlewie, ale on tylko słuchał i nigdy nie odpowiadał. Zapytała, czy za nimi tęskni, ale na to również nie odpowiedział. I był zły na Margida za to, że opowiedział jej o szczurach. Domyślił się tego z faktu, że zupełnie nie była zaskoczona, gdy dzień po jej przyjeździe na podwórko zajechała firma deratyzacyjna. Zastanawiał się, czy Margido natychmiast wywiesił na ten temat plakat w spółdzielni, tak żeby nikt w Spongdaal nie miał wątpliwości, co takiego zamieszkuje ściany stodoły w Neshov.

Znalazła dłuto i młotek. Musiała długo szukać, zanim zobaczyła gwoździe do listew; takie z małą główką. Po powrocie, stojąc ciągle w zabłoconych wysokich butach, zaczęła opróżniać korytarz ze wszystkiego, co stało na podłodze. Pamiętała, jak daleko popłynęła zawartość ubikacji, i była bardzo zadowolona, że nie musi przesuwac wielkiej skrzyni – odchody tak daleko nie dotarły. Odgięła pierwszą listwę i zgodnie z tym, co przypuszczała, zobaczyła brązowy, wilgotny zaciek przy samej ścianie. Wzięła wiadro i płyn, a następnie zdjęła buty i weszła do kuchni, aby nabrać wody.

– Co ty takiego robisz?

– Myję korytarz.

– Tam już chyba jest od dawna czysto.

Być może jego nos był znieczulony pracą w chlewie. W tym momencie dziadek zszedł po schodach. Teraz najczęściej przebywał w swoim pokoju na górze również w ciągu dnia.

– Dobrze – powiedział. – Okropnie tu śmierdzi.

– Teraz będzie tu czysto – rzekła. – W kuchni są drożdżówki. I ciepła kawa.

– Bardzo dziękuję – powiedział i przestąpił ostrożnie ponad luźną listwą, leżącą gwoździami do góry.

Z ręką na kłamce zapytał: – Czy mogłabyś mnie ostrzyć?

Wyprostowała się. – Ostrzyc ciebie?

– Anna to robiła. Tora też strzygła. W kuchni. Mamy specjalne nożyczki do czegoś takiego.

– Muszę zatem spróbować, czy...

Nie czekał już na dalszą odpowiedź, tylko poszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Nie pomyślała o tym, ale była to prawda. Włosy od dawna już zwiślały im na kołnierzyki. Zdjęła z rąk gumowe rękawiczki, wyciągnęła z kurtki przeciwdeszczowej paczkę papierosów i wyszła na ganek. Deszcz walił w kałuże, każda kropla robiła małe zagłębienie, a potem zamieniała się w płaskie błoto, na które padała nowa kropla. Hałas dochodzący ze wszystkich dachów i drzew przypominał silnik pracujący na bardzo wysokich obrotach. Jednocześnie było w tym coś uspokajającego, lubiła deszcz. Ale deszcz w mieście, spadający na asfalt i dachy samochodów, to zupełnie coś innego niż tutaj. Gdy mróz puści ziemię, trzeba będzie ją nawieźć. Jeśli ojciec nie da rady sam tego zrobić, Kaj Roger będzie musiał pożyczyć traktor i wykonać robotę. Teraz ona działała jako rodzaj bufora pomiędzy ojcem a Kajem Rogerem, ale gdyby Tor dobrał się do niego bezpośrednio, zmiennik długo by nie wytrzymał, to pewne. A kto wtedy zająłby się świniami? Gdyby tylko nie leżał tak wtedy, gdy ona przyjechała, pozbawiony wszelkiej godności.

Nagle zaczęła płakać. Płakała, łapiąc gwałtownie powietrze i kaszląc, leciało jej z nosa i kapało na filtr papierosa, nikt z nich tam w środku nie słyszał jej w tym deszczowym larum. Z kim miałyby porozmawiać. Margido? On i tak nie był w stanie niczego zrobić, ponieważ Tor był na niego zły za plotki o szczurach. Gdyby tylko wiedział, że został poinformowany również o wszystkich pustych butelkach. Może Erlend, ale w czym on mógłby jej pomóc. Powie jej tylko, żeby przyjechała do Kopenhagi. Poprosi, aby uciekła. Takie rzeczy łatwo mu przychodziły.

W chlewie sprzątnęła boksy w czasie, gdy Kaj Roger szykował paszę. Ustalili już rytm wspólnej pracy, a świnie przyzwyczyły się do nich. Kaj Roger pracował jako zmiennik w dwóch innych gospodarstwach, gdzie też hodowano świnie, ale na dużo większą skalę.

– Jeśli mój ojciec nie da rady rozrzucić nawozu sam, czy będziesz mógł pożyczyć traktor?

– To pewnie da się zrobić. A jeśli nie, to może załatwią to ludzie z młyna Tronderkom. Powinnaś zrobić kurs na zmiennika, mogłabyś też nauczyć się prowadzić traktor. Jesteś przecież urodzonym rolnikiem!

Uśmiechnęła się. – Dziękuję za komplement, ale mam inne zdanie.

– Nie wiesz, jak długo tu zostaniesz? Ciągle jeszcze się nie zdecydowałaś?

– Nie.

Nie chciała zgłębiać tego tematu wspólnie z Kajem Rogerem, ale zniechęcenie spowodowało, że zadała pytanie: – Czy to gospodarstwo jest w ogóle warte prowadzenia?

– Nie tak, jak robi to twój ojciec. I również nie, jeśli chce się żyć jak normalny człowiek. Mam na myśli w sensie finansowym. Tutaj panuje epoka kamienia łupanego. Nierzadko widzi się kojce dla młodych przerobione ze skrzynek po dynamicie...

– Biedny. Robi przecież, co może, żeby zaoszczędzić. Teraz nie mają już emerytury po mojej babci, została tylko emerytura dziadka. A ja pokrywam wszelkie koszty jedzenia.

Oparła dłonie na szczycie kija od szczotki i podparła nimi podbródek. Przyglądała się stadku prosiąt, grzebiących w słomie i torfie przy akompaniamencie chrupkania i parskania, a ich ogonki poruszały się szybko jak małe trzepaczki.

Kaj Roger przesunął taczkę z paszą przed kolejny boks.

– Jesteś następna w kolejce.

– Nie mów takich rzeczy. Nie mam siły nawet o tym myśleć.

– Ale jesteś jedyna w rodzinie, mówiłaś przecież, że jego bracia nie mają dzieci, a ty jesteś jedynaczką.

- To, co mówisz, jest jeszcze trochę bardziej złożone.
- Nie takie znów skomplikowane. Jesteś jedyna.
- Mam własne życie. W Oslo.
- Akurat teraz zupełnie na to nie wygląda.
- Mój ojciec może to prowadzić jeszcze przez wiele lat.
- A potem?
- Porozmawiajmy już o czymś innym – rzekła.
- Możesz pojechać ze mną któregoś wieczoru po obrzędku, zjemy pizzę w Heimdal.
- Zapraszasz mnie na obiad? – zapytała, śmiejąc się odrobinę, zaczęła znów energicznie zamiatać korytarz między boksami.
- Tak.
- Chodzę tutaj w brudnym kombinezonie roboczym i czuję się przeżuta i wypluta...
- Aż tak.
- Nie jestem najlepszym towarzystwem. W tej chwili dla nikogo.
- Czasem musisz odpocząć od tego gospodarstwa – powiedział.
- Wtedy jadę po zakupy. Załatwiam coś w mieście.
- Rozumiesz, co mam na myśli, Torunn.
- Mam u siebie w pokoju butelkę koniaku i szklanek do mleka. Od czasu do czasu wypijam sobie koniak, zapalam papierosa i patrzę na fiord Kors. I dużo czytam. Właśnie czytam o tym angielskim weterynarzu, Jamesie Herriocie, słyszałeś o nim?
- Chyba tak. Ale te wszystkie rzeczy możesz robić również wtedy, gdy zjesz ze mną pizzę.
- Zobaczymy.

Kiedy wróciła, żeby pójść pod prysznic, ojciec siedział w swoim biurze. Musiał siedzieć na krześle przekrzywiony, żeby móc trzymać nogę wyprostowaną. Stała w drzwiach, obserwując go, pomyślała, że powinna może bardziej mu współczuć, niż faktycznie to miało miejsce, podniósł wzrok, ich oczy spotkały się na krótką chwilę, a potem znowu spojrzął w dół. Tęskniła za nim, tęskniła za tym, czym kiedyś był, niezależnym hodowcą świń, znającym każdą myśl w świńskiej głowie, śmiejącym się z wyższością z operowania świnek morskich i z ludzi trzymających fretki jako zwierzątka domowe.

- Dobrze ci idzie z zeznaniem podatkowym? – zapytała.
  - Nie.
  - Chcesz wiedzieć, jak poszło w chlewie?
  - Nie. O ile wszystko było w porządku.
  - Teraz już jest – odrzekła. – W porządku. Wezmę prysznic, a potem położę się i poczytam.
- Czy mam ci najpierw w czymś pomóc?
- Nie.
  - Nic nie potrzebujesz z pokoju na górze?
  - Co to mogłoby być? – odpowiedział.

Miała chęć zapytać, czy nie brakuje mu czegoś do czytania, na przykład ze stolika nocnego, ale napotkała jego wzrok i odpuściła sobie.

- No, nie, nie mam pojęcia. Dobranoc wobec tego.

Siedziała na łóżku, gapiąc się na biały prostokąt tapety w miejscu, gdzie wisiał David Bowie. Deszcz walił o szyby. Nalała sobie trochę koniaku do szklanki z duraleksu i wypijała. Musi któregoś dnia pamiętać, żeby kupić sobie radio do wstawienia tutaj, trochę umilić sobie życie.

Jutro zamierzała zacząć porządki w drewni, ułożyć wszystkie narzędzia. Poradzi sobie z tym. Gdyby tylko z jego nogą mogło być już dobrze, to wszystko będzie dobrze.





## ROZDZIAŁ 23

Może te – powiedzieli, trzymając gazetę przed sobą.

– Te mają półtorej dioptrii. A widzisz już dużo lepiej, prawda?

– Gdyby jeszcze w tej gazecie było coś ciekawego do czytania. Ale po co kupiłaś aż tyle? To pieniądze wyrzucone w błoto, bo ich nie użyjemy.

Kupiła całą torbę okularów, co najmniej pięć par. Powiedziała, że kosztowały poniżej stu koron. Ale to i tak było w sumie pięćset koron.

– Oczywiście oddam z powrotem do sklepu te, których nie będziecie używać.

Poszła do salonu, niosąc parę okularów dla ojca. Sprawdzał je kilkakrotnie, a jedna para spadła mu na podłogę, ale w końcu był zadowolony.

Znowu kupiła drożdżówki, codziennie przynosiła teraz drożdżówki, wkrótce będzie miał ich dosyć, chociaż to było więcej niż zwykle, codzienne jedzenie. Brakowało mu owsianych ciasteczek matki, ale wszystkie puszki były już puste.

Zaczął czytać gazetę, w gruncie rzeczy nieźle mu się teraz czytało w tych okularach.

– Dziękuję – rzekł, kiedy wróciła z salonu, wkładając trzy pary okularów z powrotem do torby.

– Teraz będę fryzjerką – powiedziała i się uśmiechnęła.

– Fryzjerką? A czemuż to?

– Wyglądacie obaj jak zarośnięci hipisi!

Rozcięła pustą torbę po zakupach, robiąc z niej coś na kształt pelerynki, i położyła mu to na ramionach, a potem zaczęła dąć tymi samymi nożyczkami, które matka miała zawsze schowane, bo były wyjątkowo ostre.

– Dawno ostatnio myłeś włosy – rzekła. – Na pewno ani razu od czasu, jak skaleczyłeś się w nogę. Prawdziwy smalec!

– Używam zamiast tego myjki – powiedział. Dlaczego miała tyle radości w głosie, z czego można było tu się cieszyć. Deszcz dzwonił, gospodarstwo stało sobie na świecie, a on tutaj siedział.

– Myjką traktujesz włosy? Umyjemy je zaraz porządnie. Pomogę d w tym.

Poprzedniego tygodnia posprzątała w drewnutni, nie pytając go o zdanie, powiedziała tylko potem, że już gotowe. Pewnie nie będzie w stanie znaleźć tam najprostszej rzeczy. A jednego dnia zobaczył ją nagle z okna kuchennego, jak stoi na drabinie i za pomocą kija od szczotki przepycha zgniłe liście z rynien, mogła przecież mu najpierw wspomnieć, że rynny są zatkane, to powiedziałby jej, że na pewno są pełne zgniłych liści i że może byłaby tak miła i spróbowała je oczyścić, znakomicie nadaje się do tego kij od szczotki. A teraz musiał siedzieć z karkiem pochylonym nad zlewem kuchennym, podczas gdy ona rządziła się na jego głowie, czuł się z tym jak idiota. Spłukała mu włosy i zaczęła je wycierać ręcznikiem.

- Zrobię to sam – powiedział, wyjmując jej ręcznik z rąk.
- Nie zapomnij o uszach – rzekła.
- Mam pięćdziesiąt sześć lat, pamiętam o uszach.

Później ojciec został poddany tej samej procedurze, a on wziął chodzik i popychając go przed sobą, poszedł do biura, żeby nie być zmuszonym patrzeć na to. Ojciec cieszył się, widział to po nim; uśmiechał się, siadając w samym środku pomieszczenia na kuchennym krześle, gdzie następnie został owinięty wokół ramion tą samą, rozciętą torbą plastikową.

Zamknął za sobą jedne i drugie drzwi i zadzwonił do Arnego z młyna Trønderkom. Arne natychmiast zapytał, jak tam jego noga.

– Słabo. Sądziłem, że będę w formie do pierwszego kwietnia, wtedy będę miał nowy miot. Ale zdaje się, że noga będzie jeszcze długo sztywna. Nie da się wtedy obejść bez pomocy. Co za cholerne gówno.

No tak, chłopci nie mogli długo chorować, to rzecz powszechnie znana, rzekł Arne. Ale miał wielkie szczęście, że dostał za zmiennika Kaja Rogera, był zdolny i godny zaufania. Poza tym miał też dzięki Bogu córkę, która chciała mu pomóc. Na to ostatnie nic nie odpowiedział, zamówił tylko taką ilość paszy, jaką Torunn mu podała. Ten Kaj Roger uważał, że tyle właśnie jest potrzebne.

– Z dowozem. Ten cały Kaj Roger nie chce, do kurwy nędzy, używać mojego traktora. Cóż za głupek.

Arne nie uważał, żeby to było specjalnie dziwne, widział przecież ten traktor, powiedział i zaśmiał się lekko.

- Poza tym, póki pamiętam... Nie będziesz przypadkiem jechał do monopolowego?

Nie wybierał się do monopolowego, ale zamierzał później w ciągu dnia pojechać do City Syd i mógł przy okazji zrobić zakupy w tamtejszym monopolowym, a co takiego by chciał.

– Dwie półlitrowki okowity. Ale ta reszta ludzi tutaj... Nie chcę, żeby to widzieli. Czy mógłbyś je podrzucić od razu do mojego biura? Możesz przy okazji zabrać rachunek za paszę za zeszły rok, zaoszczędzisz na przesyłce pocztowej.

Rachunek został wysłany już dawno temu.

- Aha. To leży pewnie gdzieś tutaj na kupie.

Ale Arne i tak mógł zajrzeć do niego do biura, to żaden problem, załatwi ten temat, w końcu nie wszyscy na świecie muszą zaraz wszystko wiedzieć.

- No właśnie, dokładnie tak jest!

Tego samego wieczoru popsuł się telewizor. Torunn była w chlewie. Ojciec naciskał i naciskał wszelkie możliwe guziki, ale nic się nie działo.

- No, ależ, do kurwy cholерnej!

- To nie moja wina – rzekł ojciec.

– Oglądasz przecież telewizor bez ustanku! Wykończyłeś go. A ja tylko chciałem zobaczyć wiadomości i ten program zaraz po nich!

– Magazyn przyrodniczy – powiedział ojciec, naciskając dalej. Ale ekran stał tam ciemnozielony i martwy.

- Kurwa żesz...

Podciągnął się na chodziku i dokuśtykał do telewizora. Na aparacie stała martwa roślina doniczkowa, na podkładce z białej, szydełkowej serwetki. Nie pozwolił ani Marit Bonseth, ani Torunn wyrzucić tego kwiatka, teraz zrzucił go razem z serwetką, cisnął po prostu wszystko na podłogę, tak że kulki suchej ziemi rozsypały się na wszystkie strony, i zaciśniętą pięścią walnął z całej siły w telewizor, mocno trzymając się chodzika drugą ręką.

– Spróbuj teraz! – rzekł.

Ojciec stał nerwowo przygarbiony i wielokrotnie naciskał guzik. Świeżo ostrzyżone, umyte włosy fruwały wokół jego głowy jak pióropusz.

– Nie – powiedział. – Nic.

Uderzył ponownie, aż coś zadźwięczało w telewizorze. Ojciec nacisnął, odczekali, nic się nie działo.

– Ma czternaście lat – rzekł ojciec.

– To koniec z telewizją w tym domu – powiedział.

– Nie.

– Nie? A ty masz pieniądze na nowy?

– Mam przecież swoją emeryturę.

– Nie, wcale jej nie masz. To **gospodarstwo** ją ma i dobrze o tym wiesz. Tych pieniędzy już nie ma, jeszcze zanim przyjdą.

– Może Torunn...

– Nie mógłbyś, kurwa, raz sam wziąć za **coś** odpowiedzialności.

Siedzieli z radiem włączonym na cały regulator, on w kuchni, a ojciec w salonie, gdy Torunn przeszła przez podwórko, a zmiennik odpalił swój śmiesznie wielki samochód i zjechał w dół aleję. Nie przysłała najpierw do kuchni, tylko prosto na górę i pod prysznic. Czego ona się tak obawiała. Żeby tak się kąpać po każdym obrzędzie w chlewie, używała przecież kombinezonu i butów roboczych. Zupełnie, jakby odrobina zapachu od dobrych, zdrowych świń miała być czymś niewłaściwym.

Świnie. Skoro one go nie potrzebowały, co jeszcze mu pozostało. Nie miał siły słuchać, jak ona o nich opowiada, nie chciał czuć ściskania w dołku, kiedy mówiła o nich tak, jakby znała je lepiej niż on, jakby one były jej. Jeśli to wszystko miało tak wyglądać, to lepiej, żeby przejęła gospodarstwo. Przejęła wszystko. I on jej to po prostu powie. Przyciągnął do siebie aktualne „Nationen”, zauważając jednocześnie, że kalendarz ze spółdzielni nadal pokazuje luty, wkrótce nie będzie tutaj już w niczym porządku. Rana też szaleńczo go wprost swędziała pod wszystkimi warstwami bandaży. Nie było ich już tyle co na początku, ale i tak nie dało się dojść gdzie trzeba i podrapać. Przez całe swoje życie aż do teraz nie wiedział, że swędzenie może być gorsze niż ból. Nałożył okulary i czytał, nie rozumiejąc ani słowa z treści. A w radio zaczął się właśnie jakiś nowy program z beznadziejną muzyką.

– Zmień stację! – krzyknął w stronę drzwi do salonu, ale ojciec nie usłyszał. Przez uchylone drzwi widział szczyty jego kolan oraz łokcie na wysokości świadczącej o tym, że siedzi tam z książką. Ojciec musiał chyba pojmować, że łatwiej będzie jemu przyjść tutaj i zmienić stację, niż żeby on zaczął holować się chodzikiem w stronę radia.

– Srać na wojnę, zmień tę stację!

Ani kolana, ani łokcie się nie poruszyły, parszając ze złości podciągnął się na chodzik i dotarł do radia. Kiedy Torunn weszła do kuchni, kręcił jak szalony gałką programów, nie zmniejszając głośności, poczuł zapach szamponu.

– Boże święty, jaki hałas! – powiedziała.

– Przecież zmieniam stację!

– Ale czemu nie oglądacie telewizji? – zapytała, pochylając się koło niego i przekręcając gałkę głośności mocno w lewo.

– Rozwalił się.

Poszła do salonu, wreszcie znalazł stację z normalną muzyką, szwedzkie przeboje. Wróciła do kuchni, niosąc coś w obu rękach, rzucił szybkie spojrzenie na jej twarz, jej wyraz nie wróżył niczego dobrego.

- Powiedz mi, zrzuciłeś tak po prostu tę roślinę na ziemię?
- Ona jest martwa.
- Wiem o tym. Chciałam ją wyrzucić. Ale nie zwałać na podłogę!
- Spadła.

– Jakoś specjalnie w to nie wierzę! Widzę dobrze, że zwyczajnie nią cisnąłeś!

Doholował się do stołu kuchennego, teraz musiał wziąć się w garść, nie powiedzieć niczego, czego miałby później żałować. Gdyby tylko mogła przestać gadać.

- A kto będzie zamiatał całą tę suchą ziemię, co? Hm?

Nie odpowiedział.

– Mam tego, do cholery, dość, po same uszy – powiedziała. – Mam dość, do jasnej cholery, łażenia tutaj i oglądania TWOJEJ SKWASZONEJ GĘBY! I nigdy nie usłyszę za to dobrego słowa! Wiesz, mogę sobie po prostu stąd pojechać.

- To jedź.

– Nie masz tego na myśli.

– Jeśli uważasz, że można sobie stąd po prostu pojechać, to niczego nie rozumiesz. A wtedy lepiej jedź.

– O co ci chodzi? Co masz na myśli? – zapytała z nutą czegoś nowego, ostrzegawczego w głosie. Usiadła przy stole kuchennym na wprost niego, wyłączając jednocześnie radio. Gapił się w gazetę leżącą na stole, ale zapomniał nałożyć okulary, nie był w stanie przeczytać ani słowa z takiej odległości.

– Co masz na myśli? – powtórzyła, zabierając mu sprzed nosa gazetę, wyrwała mu ją prosto z ręki.

- To jest też i twoje gospodarstwo – rzekł.

– Moje?

– Tak, a jak d się wydaje. Skoro ja nie mogę już... robić wszystkiego tutaj. Czy uważasz, że powinniśmy je sprzedać? Co? Rodzinne gospodarstwo. Sprzedać Neshov? Czy tego właśnie chcesz?

– Ja **niczego** nie chcę – odparła nagle słabym głosem, a on ponownie odzyskał przewagę. – Ja tylko chciałabym, żeby tutaj było miło.

Ach tak, a więc nie miała chęci o tym rozmawiać.

- Telewizor się rozpadł – powiedział.

– Możesz przecież wziąć coś z pieniędzy, które zostawili d Erlend i Krumme – rzekła, popychając gazetę z powrotem w jego kierunku. Brzmiała zupełnie obojętnie, czyż nie rozumiała, ile znaczy telewizor dla dwóch osób, które mogły tutaj tylko przechodzić przez kolejne drzwi z pokoju do pokoju?

- Już ich nie ma – rzekł.

– Pieniądzy od Erlenda? – zabrzmiał głos ojca z salonu.

- To ciebie nie dotyczy! – wrzasnęła.

– Dostał dwadzieścia tysięcy na gospodarstwo – powiedziała Torunn.

- Już ich nie ma. Szczury... zjadły wszystko – rzekł Tor.

– Szczury kosztowały nieco ponad jedenaście – powiedziała. – A reszta?

– Wszystko zostało wydane. Na Røstada za kastrowanie i szycie oraz szczepienia, na fakturę za inseminacje i do Trønderkom za paszę. Czekam na rozliczenie z Eidsmo. Ale telewizor jest drogi.

- Możesz kupić dobry telewizor za trzy tysiące.

– Nie mamy trzech tysięcy.

- To może ja je mam. Zobaczmy. Nie wiem jeszcze. Zobaczę.

Usiadł w swoim biurze, czując niewysłowioną ulgę, że nauczył się korzystać z przekazów pocztowych. Siedzieli kiedyś z matką cały wieczór i zorientowali się, jak to robić. W przeciwnym wypadku Torunn byłaby zmuszona pojechać dla niego do banku Fokus w Heimdal i przejrzeć tam ich wydatki oraz przychody, i zobaczyć, jak krzywo to wszystko się ma. Bez emerytury matki nie wiązali już końca z końcem, taka była prawda. I nie byłoby sposobu, żeby zapłacić te szczerze rachunki bez pieniędzy od Erlenda. Myślał ze zgrozą o tym dniu, kiedy tyłem wczołgał się po schodach na górę do swojej sypialni, żeby zabrać stamtąd gotówkę. Nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek grzebał w jego szafce nocnej, musiał załatwić to sam w czasie, gdy ojciec spał, a Torunn była na zakupach. Firmie deratyzacyjnej zapłacił od razu gotówką i został mu jeden banknot tysiackoronowy, ale tego nikt z nich nie musiał wiedzieć.

Teraz usłyszał, jak wciąga odkurzacz do salonu i zaczyna sprzątać. Jutro Arne przywiezie mu okowitę, Bogu dzięki, że miał przygotowane pieniądze, żeby mu zapłacić. Zaczął gapić się na stos kopert czekających na otwarcie, pełnych liczb, które trzeba było wprowadzić na właściwe miejsce w kolumnach i rubrykach. Dobrze będzie napić się okowity. Ona nic nie rozumiała.

Może naprawdę wierzyła w to, że można prowadzić gospodarstwo i być dla siebie miłym.



## ROZDZIAŁ 24

To Torunn – rzekł Erlend.

– Domyśliłem się – odparł Krumme. – Czy coś jest nie tak?

– Potrzebuje trzech tysięcy koron. Telewizor w Neshov zepsuł się na amen.

– To faktycznie nie mają tam za dużo rezerw.

– Przeleję jej jutro. Nie mogę tego zrobić przez Internet, bo to transakcja zagraniczna, inaczej przelałbym od razu.

– A jak ona się ma poza tym?

– Paskudnie. Tor, zdaje się, jest obecnie twardym orzechem do zgryzienia. Dzisiaj powiedział nawet, że to jej obowiązek tam być, w zasadzie wyraził się wprost, że ma tam zostać, inaczej gospodarstwo zostanie sprzedane. Wydawała się strasznie zrezygnowana. Powiedziałem, żeby spakowała szczoteczkę do zębów i ruszała zamiast tego tutaj, ale wtedy prawie się na mnie rozłościła...

– Uważasz, że to dziwne?

– Przecież on ma zmiennika! I **miał** pomoc domową!

– To nie jest takie proste, Erlendzie. Ona czuje się odpowiedzialna.

– Tak. Prawdopodobnie tak jest – rzekł, opadając obok Krumme na sofę, przyglądając się pustej filiżance po espresso, stojącej obok kieliszka po koniaku, oraz płomieniom w kominku, które owijały się wokół siebie jak małe, żółte robaczki, błękitne na końcach. Krumme objął go ramieniem.

– Wyślij jej dziesięć.

– Też tak myślałem – powiedział Erlend.

Za dwa dni mieli się dowiedzieć, czy Jytte i Lizzi, albo jedna z nich, albo żadna, są w ciąży. Oba spóźniła się miesiączka, ale to nic nie znaczyło, powiedziały, naturalnie, że samo napięcie z powodu oczekiwania już mogło spowodować opóźnienie. Za dwa dni miały minąć dwa tygodnie od tego wieczoru, gdy on i Krumme stali w łazience przy Koreavej, zwróceniu do siebie bliźniotko twarzami, każdy ze swoim pojemniczkiem, a serca waliły im jak oszalałe. Gdy myślał o tych wszystkich wytryskach, jakich na pewno już tysiące miał wcześniej w życiu, kiedy liczyła się tylko i wyłącznie przyjemność Krumme i jego własna, to teraz wydawało mu się, że jest zupełnie inaczej. Było coś uroczystego w tym, co robili, a kiedy skończył, miał łzy w oczach. Dziecko. Jego dziecko. Jytte namalowała na jego pojemniczku błękitną kreskę flamastrem, Lizzi miała dostać pojemnik Krumme. Grupy krwi były zgodne w obu kombinacjach, więc mogli sami zdecydować, tak powiedział im lekarz. A ponieważ Lizzi była wysoka, a Jytte niska, uzgodnili, że Jytte i Erlend najlepiej będą pasować. Po oddaniu paniom kubeczków wycofali się do salonu. W sypialni, gdzie miała dokonać się ta wielka sprawa, paliły się świece i kadzidełko. Hannę Boel śpiewała swoim cichym głosem, Jytte i Lizzi, świeżo wykąpane, czekały w szlafrokach. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa, a potem zamknęły się w pokoju, wszystko było takie

dziwne, prawie nierzeczywiste. W salonie on i Krumme siedzieli, trzymając się za ręce, nic nie mówiąc przez prawie godzinę, po której Jytte i Lizzi wyszły z sypialni. Przez długą chwilę miał wrażenie, że pobiegnie do sypialni, powie, że się rozmyślił, a jednak poczuł ogromną ulgę, gdy w końcu obie wyszły, uśmiechając się, ręka w rękę. Krumme zerwał się i rzekł: – Siadajcie teraz spokojnie, a ja podam jedzenie. Nie ruszajcie się! A najlepiej nogi w górę!

On i Krumme przynieśli wszystko ze sobą, doskonałą zupę z soczewicy z kawałkami wędzonego boczku i mnóstwem warzyw, chlebek naan oraz carpaccio z łososia na przystawkę. Stół został wcześniej nakryty, a na środku stał duży bukiet czerwonych róż. Erlend jęknął z błogości, napełniając sobie po raz pierwszy kieliszek czerwonym winem.

– W końcu! Cóż za wędrownka przez pustynię... Na zdrowie, mój drogi Krumme i kochane matki!

Po tym wieczorze wszystko stało się inne. Miał intensywne sny, które prawie zawsze dotyczyły dzieciństwa. Twarze, głosy, wędrowanie pod górę aleją klonową prowadzącą do gospodarstwa, kamyczki pod zużytymi podeszwami sandałów, naparstnice, mocny zapach trawy i ziemi, plamy słońca prześwitującego przez klony, dobiegające z kuchni zapachy jedzenia i kurzu, kiedy śnił o Neshov, zawsze panowało tam lato, zdechłe muchy gęsto wiszące na starym lepie, zwisającym z kuchennego sufitu, białe wiadro na odpadki warzywne stojące pod staroświeckim zlewem, pamiętał nawet to, jak bardzo lubił wgryzać się zębami w gumowy brzeg tego zlewu, gdy tylko zrobił się dość duży, żeby tam dosięgnąć. Śnił też o dziadku Tallaku w łodzi z wiosłami, opierającym łokcie o kolana, ze sterczących wiosel kapała woda, która na jedną chwilę jednoczyła się z resztą fiordu, spocone kosmyki włosów przyklejone do czoła, jego szerokie ciało, brązowe przedramiona przerzucające wielkie łososie przez burtę łodzi. Jego ojciec. Albo kiedy zjeżdżali nad zatokę Gaulosen po piasek i kamyczki do prac murarskich, albo do Øysand brodzić w wodzie, bo Erlend błagał, aby tam pojechać. Bezdomne raki, które łapali do wiadra, o tym wszystkim śnił, budził się znużony, znużony i niespokojny. Na szczęście mógł o tym wszystkim porozmawiać z Krumme, a Krumme wszystko rozumiał, powiedział, że chodzi o to, że teraz to on będzie dorosłym wobec dziecka, więc nie ma nic dziwnego w tym, że śni mu się własne dzieciństwo. Nawet spektakularny sukces wystawy z przestępcami, której poświęcono prawie całą stronę w „BT”, zamieszczając wywiad z nim i z właścicielem sklepu, nie zdołał przyćmić myśli kołaczących się po głowie, związanych ze wszystkim, co właśnie miało się wydarzyć.

– Biedna Torunn – rzekł, podnosząc się. – Pomyśl, gdyby tylko mogła przyjechać dziesiątego na moje urodziny, byłby to dla niej znakomity przerywnik w szarości. A właśnie, zaprosiłem sympatycznego faceta, którego nie znasz. Hetero. Do schrupania. Nazywa się Jorge.

– Czy on pracuje przy wystawach?

– Nie, w malutkiej kafejce. À propos, chcesz jeszcze kawy?

– Poproszę. Coś sobie właśnie pomyślałem – rzekł Krumme.

– My nic tylko myślimy. No i oczywiście jeszcze dzwoniemy do Lizzi i Jytte, żeby dowiedzieć się, czy któraś z nich zwymiotowała już śniadanie albo nabrała dzikiej ochoty na lody waniliowe z ogórkiem kiszonym.

– Tego typu odruchy nie pojawiają się tak wcześnie. Już dostatecznie cudowne jest to, że można wykryć wszystko testem po zaledwie czternastu dniach.

– Hormony się zmieniają. Jeśli chodzi o kobiety, Krumme, to wszystko rozbija się o hormony, dlatego nam dwóm jest ze sobą nieskończenie wprost lepiej.

Erlend zabrał filiżanki do kuchni, podstawił je po kolei pod wylot ekspresu, nacisnął, dodał taką ilość cukru, jaką wiedział, że Krumme lubi najbardziej.

– A w zasadzie to co mi chciałeś powiedzieć? – krzyknął w stronę salonu. – Że coś sobie **pomyślałeś?**

– Poczekam z tym, aż usiądziesz. Koniaku?

– Oczywiście.

Jak tylko Krumme złożył swoją propozycję, Erlend powiedział:

– Nie chcę. To szaleństwo.

– Nie reaguj odruchowo, Erlendzie. Porozmawiajmy o tym.

– Po co?

– Bo to genialny pomysł. Jytte i Lizzi zakochają się w nim i wszystkim on posłuży, również Torunn, która teraz czuje się całkiem sama i pod presją.

– To będzie kosztowało miliony – powiedział Erlend.

– Najwyżej dwa. Może trzy. Maksymalnie cztery. Dostanę z góry coś ze swojego dziedzictwa, rozmawiałem już z ojcem, nie będzie to żaden problem – rzekł Krumme.

– Rozmawiałeś ze swoim ojcem? O tym? Ależ Krumme...

– Nie o tym! Tylko o pieniądzach. Jest mu najzupełniej obojętne, na co je wydam, a jest ich tam sporo do wzięcia. A nie było przecież sensu poruszać tego z tobą, dopóki nie byłem pewny, że jest na to kasa, prawda? Z **tym** chyba się zgodzisz, myszko.

– Tak...

– Moglibyśmy tam jeździć, kiedy tylko zechcemy, Erlendzie. Na lato. Pomyśl o dzieciach, norweskie gospodarstwo, fiord i góry. Poza tym to byłaby dobra inwestycja – powiedział Krumme, trzymając jego dłoń w mocnym uścisku. – Baza.

– Baza? – zapytał Erlend.

– Baza w Norwegii.

– Ale ja nienawidzę Norwegii! – zawołał Erlend, wrywając rękę. Podniósł się i podszedł do drzwi tarasowych, zaczął wpatrywać się w dachy miasta, tworzące świetlny dywan w mroku nocy.

– To nie jest prawda. Co noc śni ci się Norwegia i Neshov – powiedział cicho Krumme.

– Ale odbudowywać gospodarstwo? Jaki w **tym** miałyby być sens? W odrestaurowaniu **Neshov?**

– Gdyby Torunn chciała. Sam mówisz, że ma do tego ambiwalentny stosunek. Bardzo dobrze to rozumiem, zważywszy na to, jak dziś to gospodarstwo wygląda. Ale jeżeli złożymy taką propozycję, będzie mogła wybrać. Jeśli powie nie, gospodarstwo zapewne zostanie sprzedane w chwili, gdy Tor nie da rady dalej go ciągnąć. Nawet jeśli my dwaj je kupimy, nie da się posiadać go i jednocześnie mieszkać w Danii. Zbadałem to już. W Norwegii to się nazywa obowiązkiem uprawy ziemi, można go obejść, dzierżawiąc komuś ziemię, jeśli jest się jej pełnoprawnym dziedzicem, ale nie można nie mieszkać. A przynajmniej tak jest w rejonie rolniczym.

– To wszystko już wybadałeś? Za moimi plecami?

– Badania stanowią istotną część mojej pracy, Erlendzie. Nie zajęło mi to nawet godziny. Chciałem poznać fakty, zanim podejmę ten temat z tobą.

– Zbadaj mnie tu i zbadaj mnie tam – powiedział, zapadając się ponownie w sofę i opróżniając kieliszek z koniakiem jednym długim haustem, zaczął kaszleć, koniak dostał mu się do nosa, a z oczu trysnęły łzy.

– Czy nie możemy chwilę głośno pomyśleć? – zapytał Krumme, wychodząc do kuchni i przynosząc mu serwetkę. – Ten dom jest ogromny, pełen pokoi, z których nikt nie korzysta.

– Ten dom nazywa się *trondelån* – rzekł Erlend, wydmuchując nos.

– Dziwna nazwa na dom, ale tak czy inaczej...



– To norweskie słowo, Krumme. Dlatego jest dziwne. Wiesz, co powiedział Piet Hein o języku francuskim – że słowo koń znaczy *cheval* i wszystko dalej już jest tak samo. Po norwesku taki dom nazywa się *trondelån* i wszystko dalej jest już tak samo.

– Tak czy owak. Gdybyśmy część domu urządzili dla siebie, to i tak zostałyby mnóstwo miejsca dla Torunn, Tora i staruszka.

– Torunn musi mieć coś własnego – powiedział Erlend.

– Stodoła też tam jest. Świnie są przecież tylko na parterze.

– To się nazywa chlew – rzekł Erlend.

– Przystań teraz czepiać się słów, ty głupolu. Masz coś czarnego na policzku, pozwól, że cię wytrę. Chodź tutaj.

Pozwolił, żeby Krumme poślinił palec i wytarł mu prawy policzek.

– Już – powiedział Krumme. – Jasne, że Torunn musiałyby mieć coś własnego.

– Jak długo mielibyśmy tam siedzieć? Za jednym zamachem?

– Tyle, ile byśmy chcieli. Tydzień. Miesiąc. Jeden dzień. Jytte i Lizzi mogłyby jeździć z nami, gdyby miały taką ochotę, wiesz, one kochają Norwegię, były tam na nartach w czasie ferii zimowych. Uwielbiają Norwegię.

– Powtarzasz się. Tak, wiem, że uwielbiają Norwegię. Najwyraźniej tylko ja jej nie lubię.

– Lubisz. Jeżeli tylko uda ci się zostawić całą tę przeszłość za sobą.

– Przecież właśnie to zrobiłem! Z tego powodu mieszkam **tutaj!**

– Rozumiesz, co mam na myśli. Byneset jest cudowne, Neshov też, jeśli nie patrzeć na stan rozpadu.

– Zamierzasz chlew także odnowić? Dla świń?

– O tym wszystkim musielibyśmy porozmawiać z Torunn. I z Torem. Sądzę, że mogłoby mu bardzo ulżyć. Wtedy cały jego trud nie pójdzie na mamę. Wtedy ten trud będzie miał jakąś przyszłość. A jeśli Jytte zaszła w dążę, to jej dziecko będzie dziedziczyło po Torunn.

– Chyba nie sądzisz, że stałem tam i tryskałem do pojemniczka oznaczonego niebieskim flamastrem po to, żeby spłodzić CHŁOPA?!

– Erlendzie, Erlendzie... Kocham cię, ale czasami... Nie możesz kierować cudzym żydem. Twoje dziecko stanie się z czasem niezależnym człowiekiem i nic nie wiesz na temat tego, co ten człowiek będzie chciał zrobić ze swoim życiem. Każdy chce mieć szansę dokonania różnych wyborów i korzystać z tej możliwości. Nie wiesz przecież nic. Jeśli gospodarstwo zostanie sprzedane, to będzie koniec. Wtedy te drzwi zostaną już na zawsze zamknięte.

– Boże święty – powiedział, chowając twarz w dłonie.

– Witaj w rzeczywistości – rzekł Krumme i przyciągnął głowę Erlenda na swoje kolana, głaszcząc go po włosach. Erlend zamknął oczy, próbując sobie to wyobrazić, Neshov odnowione do stanu dawnej świetności, przyjeżdżanie tam do swojego mieszkania, napełnianie półek jedzeniem i piciem, wyglądanie przez okno na podwórko, gdzie dwoje dzieci biega z polnymi kwiatami w rączkach, pranie powiewa na linie, truskawki ze śmietaną jedzone w cieniu na podwórku. Kiedyś stał tam stół i ławki, gdzie też mógł podziać się ten stół, może był gdzieś w stodole. Nakryty białym, koronkowym obrusem, Jytte i Lizzi na leżakach, Krumme stojący przed kuchenką w szortach, nie było mu najlepiej w krótkich spodenkach. Spacerowanie na kamienistą plażę, wycieczki do Øysand nad wodę, łapanie raków pustelników i małych krabów, szukanie wypolerowanych przez wodę kawałków marmuru, a może wyprawa jesienna, zbieranie jagód podobnych do borówek, marynowanie ich w spirytusie i cukrze, na święta jak znalazł byłaby nalewka. Dwoje dzieci z polnymi kwiatami w rączkach...

– Wolalbys chłopca czy dziewczynkę, Krumme? – zapytał, otwierając oczy.

– Nie wiem. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Nie mam odwagi jakoś... dopóki nie... dopóki Jytte i Lizzi...

– No proszę, i to ty, ten który zawsze chce o wszystkim rozmawiać.

– Może chłopca...

– A co będzie, jak obie urodzą bliźnięta?

– Erlend! **O** mój Boże! Nie mów tego! **O** czymś takim **w ogóle** nie pomyślałem!

Erlend zaczął się śmiać, nie był w stanie przestać, musiał usiąść prosto, żeby się nie udusić, a wyraz twarzy Krumme doprowadzał go do kolejnych paroksyzmów śmiechu.

– Dwie pary bliźniąt, Boże święty – wymamrotał Krumme, łapiąc kieliszek z koniakiem.

– Okej – rzekł Erlend, poważniejąc. – Lansujemy ten pomysł.

– Co?

– Lansujemy pomysł. Przede wszystkim w stosunku do Torunn.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. W końcu dojechanie tam nie zajmuje więcej niż trzy-cztery godziny, to tak, jakby mieć domek na Jutlandii. A gdyby miało to pomóc Torunn w podjęciu decyzji – powiedział Erlend.

– Nie przez telefon, to musi być rozmowa twarzą w twarz. Ale teraz czekamy najpierw na wiadomości z Koreavej. Nie musiałeś mówić tego o bliźniętach – dodał Krumme. – Teraz będę źle spał w nocy.

Obudził się w środku snu, w którym był na polu truskawek, szedł między rzędami i śmiertelnie przerażony wypatrywał os, nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby go ochronić, krzaczki ugiwały się pod ciężarem dojrzałych owoców, a na końcu zielonych odrostów wisały jeszcze niedojrzałe truskawki. Obudził się i leżał zupełnie cicho, Krumme chrapał obok niego, myślał o klusce z komórek, która być może już rosła w Jytte, chociaż nikt tego póki co na pewno nie wiedział. Dziewczynka. Gdyby to tylko mogła być dziewczynka. Wszystko by jej pokazał, zabierałby ją na łódkę, kupiłby jej małą wędkę, zaplatałby jej włosy, siedząc przy stole w cieniu pod wielkim podwórzowym drzewem. A zaplatając warkoczyki, opowiedziałby jej o duszku gospodarstwa, a ona wierzyłaby w każde jego słowo.

Był w Neshov. We śnie był w Neshov razem z nią. Nie w livoli, nie w zoo, ani nawet w sklepie wnętrzarskim w Illums, gdzie pokazywał jej swoją ostatnią, fantastyczną wystawę.

Usiadł na łóżku, wpatrując się w mrok. Ona była w Neshov, a on był tam jako jej ojciec i ta myśl wcale nie przyprawiała go o atak paniki. Pokazałby jej wszystkie budynki, opowiedział o tym, jak zrobili silosa i on do niego wpadł, jak oblał sobie nogę kwasem mrówkowym i musiał jechać na pogotowie.

Silos... Silos!

– Krumme! Obudź się!

– Co...

– Przecież miałeś nie spać! Zapomniałeś? **Miałeś** nie zasnąć, bo będziemy mieć czwórkę dzieci. A może nawet trojaczki! Obydwaj! To już razem sześcioro! A razem z tobą, mną, Jytte i Tizzi to już cała drużyna piłkarska, brakuje nam tylko bramkarza!

– Uspokój się, już nie śpię.

– Silos, Krumme.

– W Neshov? A co z nim?

– Możemy w nim mieszkać. Jest pusty. Nieużywany. Niepotrzebny przy hodowli świń. Możemy w nim zrobić sobie mieszkanie, Krumme. Albo wręcz **w nich**. Są przecież dwa, połączone.

Krumme zapalił światło, usiadł, teraz już był w pełni obudzony i przypominał rozczochranego trzmiela.

– Czy to się da? – zapytał.

– Silosy są z betonu, więc trzeba oczywiście dodać otwory okienne i drzwiowe tu i tam, a także zaizolować. W obecnym stanie należy myśleć o nich jako o **skorupie**, ale pomyśl, jakie to fantastyczne! Okrągłe domy. Na pewno uda nam się uzyskać po trzy porządne poziomy w każdym. Znasz przecież Kima Neufeldta, tego **wziętego** architekta, on na pewno przepięknie nam to zaprojektuje! Ale to też będzie trochę kosztować...

– To się da załatwić. Jak duże są te silosy w gruncie rzeczy? W sensie średnicy?

– Niech się zastanowię – rzekł Erlend, podciągając kołdrę całkowicie pod brodę, w pokoju było lodowato. – Zdaje mi się, że jakieś sześć-siedem metrów w poprzek, każdy tak samo, a pomieszczenie z paszą jest podobnej długości. A jak brzmi wzór na pole koła, mój ty chodzący leksykonie wiedzy?

– Pi razy promień do kwadratu.

– Oblicz to wobec tego.

– Muszę najpierw iść do biura po kalkulator.

– Biegaj!

Erlend pozostał w łóżku, wyobrażając sobie to wszystko. Łukowate ściany, okrągłe schody wiążące ze sobą wszystkie poziomy, bielone ściany, letnie meble w jasnych, pastelowych kolorach, polne kwiaty w wazonach, skrzyniowe łóżka w salonie pełne poduszek, antyki i najwyższa technika w pełnej symbiozie, kryształowy żyrandol nad stołem jadalnym, zrobionym ze starych drzwi, nakrytych grubą płytą szkła.

– Prawie czterdzieści metrów każdy – rzekł Krumme, wskakując z powrotem pod kołdrę. – I do tego jeszcze ta... paszamia, o której wspomniałeś.

– Możemy ją przerobić na szklany pasaż pomiędzy poszczególnymi poziomami! Tam też można ustawić meble. Sofa z widokiem, przeszklona weranda, barek?

– W domu z małymi dziećmi nie będzie barku, myszko.

– Okej. Barek z milkshake'ami wobec tego. To każde piętro będzie miało około... powiedzmy, siedemdziesięciu-osiemdziesięciu metrów. Trzy poziomy da nam zatem dwieście metrów powierzchni! To prawie jak mieszkać w holenderskim wiatraku, Krumme! Pamiętasz ten malutki hotelik, który kiedyś był młynem, tylko siedem pokoików? Ten, gdzie mieszkaliśmy, kiedy robiłeś reportaż o wykorzystywaniu haszyszu jako środka przeciwbólowego w holenderskich domach opieki?

– Jak mógłbym coś takiego zapomnieć. Pomagałeś im zapalać fajki, fotograf z trudem dał radę pozbyć się ciebie z kadru, kiedy robił zdjęcia. Ale to jest genialny pomysł, Erlendzie. Po prostu genialny. A ja teraz jestem już całkowicie wybudzony. Dzięki ci **wielkie** za to.

Ale po dziesięciu minutach Krumme znów regularnie chrapał. On sam leżał i zastanawiał się, jak taka dziewczynka z mysimi ogonkami i wędką mogłaby mieć na imię.



## ROZDZIAŁ 25

Po złożeniu urny w grobie pojechał do Neshov. Nie mógł przejmować się tym, że Tor nie chciał gadać z nim przez telefon, że nie był mile widziany. Miał wyrzuty sumienia, bo od dawna tam nie był. Jednak od przyjazdu Torunn poczuł trochę spokoju i pozwolił dniom po prostu płynąć. Ci dwaj tam nie byli już sami. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy spotkał Torunn, w Szpitalu Świętego Olava nad łóżkiem chorej matki, nie podobał mu się jej przyjazd, najchętniej widziałby ją siedzącą w autobusie powrotnym na lotnisko Væmes. Ale to była dzielna dziewczyna. Nie dawała się łatwo zniechęcić. A jej postawa, to że uznała sytuację w Neshov za ważniejszą od swojej pracy w Oslo, naprawdę zasłużyła na szacunek.

Była ładna pogoda. Nie miała jednak trwać długo, nad Skaun przesunęły się chmury gotowe do natarcia ulewnym deszczem. Zredukował bieg i skręcił w aleję. Na siedzeniu pasażera leżała papierowa torebka z drożdżówkami. Zadośćuczynienie za nieobecność. Miał też jednak w końcu sporo roboty od czasu powrotu do domu z Danii, pani Marstad była na zwolnieniu z powodu łokcia tenisisty, cóż za kompletnie beznadziejna diagnoza medyczna, pomyślał sobie. Żeby mieć łokieć tenisisty od podnoszenia i oporządzania martwych ludzi.

Tor był w kuchni sam, w piecu na drewno palił się ogień, siedział i czytał gazetę.

– Zacząłeś używać okularów? No tak, w gruncie rzeczy to dziwne, że tyle czasu dawałeś sobie radę bez nich.

– Ach, to ty – rzekł Tor.

– Chyba widziałeś mój samochód. Ale gdzie jest...

– Odpoczywa. A Torunn pojechała kupić nowy telewizor. Dlaczego musiałeś opowiadać połowie Norwegii o szcurach?

– Nie opowiadałem połowie Norwegii, tylko twojej córce. Czy telewizor się zepsuł?

– Miał czternaście lat.

– To trudno się czegoś innego spodziewać, zdaje się, że był mocno używany. Jak tam twoja noga?

– Chujowo. Będzie później sztywna.

– Ale przecież nie na zawsze?

– Nie. Ale o wiele za długo. Mam nowy miot za dziesięć dni, nie dam rady z tym wszystkim.

– Masz przecież zmiennika?

– Tak, to prawda – rzekł Tor i gwałtownie potrząsnął gazetą leżącą przed nim na stole, udając, że dokładnie coś czyta.

– Przywiozłem drożdżówki, zrobię trochę kawy.

– Mam dość drożdżówek.

– Ach tak. Jesteś w złym humorze?

Tor nie odpowiedział, prychnął tylko przez nos i znów gwałtownie potrząsnął gazetą.

Wypłukał dzbanek w zlewie i czekał na pełne irytacji napomnienie za wylanie całkiem dobrych fusów, ale Tor siedział cicho za swoimi okularami.

– Mam saunę – powiedział Margido, nalewając do dzbanka świeżą wodę.

– Co?

– Saunę.

– Po co?

– Bo to dobre.

– Odwaliło ci całkiem? – zapytał Tor.

Postawił dzbanek na płycie, włączył na pełną moc.

– Idę do góry obudzić... ojca.

– On też na pewno ma dosyć drożdżówek. Na co, kurwa, ludziom potrzebna jest sauna?

Spał. W pokoju śmierdziało, okna były zamknięte. Nocny stolik oraz podłoga zasypane były książkami i starymi gazetami. Margido odsłonił firanki i otworzył okno, po starej twarzy przebiegł skurcz, staruszek, prychając, odwrócił się od światła.

– Leżysz tu i śpisz w środku dnia – powiedział Margido. – Robię teraz kawę.

– O.

– Zejdź na dół.

– Czy Torunn wróciła?

– Nie.

– Poczekam, aż Torunn będzie z powrotem.

– Dlaczego?

– Nie... ja... Tor jest taki zły. Ciągłe zły. Nie mam na to siły. Najlepiej jak Torunn też tam jest.

– Pojechała kupić nowy telewizor, jak słyszałem?

– Stary się rozleciał.

– Na pewno niedługo wróci. Chodź teraz na dół. Tor powiedział, że ma dość drożdżówek, to możesz zjeść jego przydział.

Przyjechała dokładnie w chwili, gdy kawa była gotowa. Wyszedł na podwórko i poczekał, aż zaparkuje. Z tyłu samochodu stało duże, brązowe pudło.

– Mogę go wnieść – powiedział z uśmiechem.

– Świetnie – odparła, nie patrząc mu w oczy.

Wydawała się zupełnie inna niż wtedy, gdy ją widział po raz ostatni. Błada, z podkrążonymi oczami.

– Wiem, że długo mnie tutaj nie było – rzekł.

– To i tak nic by nie dało. On jest na ciebie wściekły za to ze szcurami.

– Widzę – powiedział, wyciągając pudło.

– Jest prawie taki sam jak poprzedni. Tylko z pilotem. Erlend dał na niego pieniądze.

– Erlend?

– Tak, ja mam teraz tylko zasiłek chorobowy i muszę płacić wszystkie rachunki w Oslo, nawet jeśli mnie tam nic ma.

– Możesz dostać to, co płaciłem Marit.

– Nie, dam sobie radę. Teraz przynajmniej mamy telewizor. Nie mam pojęcia, jak Tor daje radę z tym wszystkim. W sensie finansów i tak dalej.

Stary stanął tuż przy nich podczas wypakowywania telewizora. Podniósł pilota, a Torunn podała mu opakowanie baterii.

– Włóż je. Muszą być dwie. Na samym dole z tyłu.

Tor siedział w kuchni z gazetą otwartą ciągle na tej samej stronie, drożdżówki leżały nietknięte. Podstawa spod starego telewizora nie pasowała pod nowy, więc Torunn zamierzała zabrać ją ze sobą i oddać jako surowiec wtórny w sklepie elektrotechnicznym. Na razie była w drodze do drewnutni, gdzie zamierzała ją postawić, a Margido w tym czasie wyciągnął najmniejszy z trzech stołów z drewna tekowego i postawił na nim telewizor. Podłączył go do sieci oraz anteny i wcisnął odpowiedni przycisk. Ekran ożył.

– O, tak! – powiedział starszek z uśmiechem, jego spojrzenie już przywarło do ekranu. Widać było wyraźnie, że sam się ogolił, szczecina na twarzy miała nierówną długość, na podbródku widać było załazek brody, a resztki zarostu po jednej stronie twarzy były dłuższe niż po drugiej. Ale za to był świeżo ostrzyżony.

– Czy Torunn was ostrzygła? – zapytał.

– Tak. I kupiła też okulary. Ona jest dobra. Ale jest jej przykro.

Mówiąc, nie odrywał wzroku od ekranu.

– Co takiego powiedziałeś? – zawołał Tor.

– Teraz musimy sprawdzić, czy pilot działa – rzekł Margido.

– Co powiedziałeś? – zawołał Tor.

– Nic! Sprawdzamy tu telewizor! – powiedział Margido.

Wyniósł puste pudło i styropian za stodołę, tam gdzie wszystko zawsze spalano. Nie wziął sobie z ganku żadnych wyższych butów i teraz bardzo tego żałował, mokry, stary śnieg wpadał mu do trzewików. W korytarzu śmierdziało przenośną ubikacją oraz tym błękitnym płynem, który mieszał z wodą i nalał do środka w pierwszym dniu. Chyba trzeba ją opróżnić dość często, pewnie ta robota przypadała Torunn, bo któż inny miałby to robić. O tym nie pomyślał, widział ją raczej stojącą przy garnkach z obiadem, nad dzbankiem z kawą, no i oczywiście przy świniach. Ale tyle jeszcze tego było. Strzyżenie. Przenośna ubikacja. Humory Tora. Nie, będzie musiał przyjeżdżać tu znacznie częściej, inaczej ona tego nie wytrzyma. Tyle chociaż był jej winien.

W kuchni, stojąc w przemoczonych na wylot butach, powiedział, że musi już jechać.

– Do domu do swojej sauny? – zapytał Tor.

– Może tak.

– Zrobiłeś saunę? – powiedziała Torunn, pakując w folię talerz z resztą drożdżówek. – To byłoby znakomite po obrzędku w chlewie. Wyjdę z tobą i cię odprowadzę. Kaj Roger tak czy owak przyjedzie dosłownie za chwilę.

Po co w ogóle wspominał o tej saunie, po co mówić o czymkolwiek, co dotyczy tylko i wyłącznie przyjemności. Po co wspominać o tym tutaj. W tym stanie, jak teraz sprawy się mają. Było gorzej, niż mógł się spodziewać. Wyciągnął z kieszeni kluczyki, podchodząc do samochodu, Torunn szła kilka metrów za nim.

– Jest zupełnie beznadziejnie, on jest straszny – powiedziała.

– Widzę to. Zawsze był pod pantoflem matki, teraz pewnie spadło na niego wszystko to, nad czym nigdy wcześniej nie musiał mieć kontroli – rzekł. – I do tego nie może pójść do swoich świń.

– Sądzisz, że to wszystko z tego powodu?

Odwrócił się w jej stronę, ale dopiero w chwili, gdy rękę miał już na klamce samochodu, może żeby poczuć, że wreszcie odjeżdża, zostawia to wszystko.

– Robię wszystko najlepiej, jak potrafię – powiedziała i podniosła do oczu rękę zaciśniętą w pięść, mocno przetarła nią oczy, okropnie było na to patrzeć, dlaczego nie zrobiła tego delikatnie

płaską dłonią, nagle olśniło go, że tak samo robiła matka, przykładając do oczu zaciśnięte pięści, kiedy była zmęczona i **nie miała siły na żadne dyskusje**, jak to nazywała.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym w tej sprawie zrobić. Będę w każdym razie przyjeżdżał tu częściej, następnym razem postaram się mieć nieco więcej czasu, postaram się z nim troszkę porozmawiać. A jeśli chodzi o pieniądze, Torunn...

– Pieniądze? To tylko jedna część sprawy! **Jedź już!** Jedź do domu do swojej sauny!

Pomaszerowała w stronę chlewu, szarpnęła drzwi i zamknęła je za sobą. Stał tam, trzymając rękę na klamce samochodu, patrzył w stronę okna kuchennego, Tor gapił się na niego, sponad okularów i zazdrostki, ostrzyżony i bez wyrazu. Puścił zazdrostkę, wróciła elastycznie na swoje miejsce, widać było teraz tylko tył jego głowy, pochylonej nad stołem. Co on mógł zrobić, nie było już żadnej sprawy, w której jeszcze komuś tutaj mógłby pomóc, poza wywaleniem pudła i styropianu za stodołę, nie miał nawet pojęcia, gdzie stoi parafina, żeby to wszystko podpalić.



## ROZDZIAŁ 26

Następnego dnia kupiła małe radio w City Syd, coś więcej do picia, karton papierosów i kilka książek. Właściwie to dobrze, że ojciec nie był w stanie wejść po schodach. Kiedy sama wchodziła na górę, miała takie uczucie, że zbliża się do azylu.

Była u lekarza i przedłużyła swoje zwolnienie z pracy, a potem, jadąc do domu, zadzwoniła do Sigurda na komórkę, żeby wyjaśnić mu całą sytuację.

– W zasadzie nie można nigdzie wyjeżdżać, jak się jest na zwolnieniu, ale lekarz miał to dla mnie jakoś załatwić, sam pochodził z gospodarstwa i wiedział, jak takie sytuacje wyglądają. Ale to jest zupełne wariactwo, Sigurd. Nie mogę się stąd wydostać.

Sigurd przypomniał jej, że dała radę uwolnić się od Christera, więc zapewne i to tutaj się uda.

– Nie mogę tak po prostu uciec. Po prostu nie mogę. A mój dziadek... a raczej... on nie jest przecież... ale on ma osiemdziesiąt lat. I jego jest mi naprawdę żal. Dwa biedaki z nich.

Sigurd dobrze rozumiał, że to wszystko nie jest łatwe. A Christer był któregoś dnia w klinice i pytał o nią.

– O, naprawdę? A co powiedzieliście?

Na szczęście to Sigurd go spotkał, a nie ktoś inny, kto mógłby powiedzieć mu prawdę. Sigurd wspomniawszy mu, że Torunn jest za granicą na kursie i że nie ma tam zasięgu telefonicznego, nie mówił jednak, gdzie konkretnie jest. Christer szybko zorientował się, że Sigurd jest dobrze poinformowany, skoro nie mówi, gdzie jest Torunn, więc poprosił go o przekazanie jej, że nie będzie żadnego dziecka, dziewczyna poroniła w czwartym miesiącu.

– To niczego nie zmienia. Odepchnął mnie, kiedy tylko dowiedział się, że ona jest w ciąży. To już mi mówi wszystko.

Sigurd rozumiał to, ale był zobowiązany powiedzieć jej, jak jest.

– Wiesz, Sigurd, poza tym dotarło do mnie, że może on nie był jednak najwłaściwszą dla mnie osobą. Miał różne dziwne przekonania na wiele tematów. Ale teraz zajeżdżam już na podwórko, obowiązki wzywają. Miałam w zasadzie przełożyć też opony, ale moje letnie gumy są w Oslo. Cholera. Opony zimowe mam już tak zużyte, że spokojnie mogą robić za letnie, nie wiadomo tylko, czy policja drogowa będzie tego samego zdania.

Czy jeździła na oponach z kolcami? Jeśli tak, to mogła je zdjąć i po prostu wydłubać kolce specjalnym narzędziem. Co prawda guma opon zimowych była twardsza niż letnich, ale jako doraźne rozwiązanie mogło się to sprawdzić.

– Dzięki za podpowiedź. To zdjąłeś już jeden kamień z moich barków. Oczywiście, że tyle dam radę zrobić sama. A już sądziłam, że będę musiała wkrótce odstawić samochód i jeździć starożytnym volvo mojego ojca, bez wspomaganie.

Kiedy zeszła do kuchni po wypakowaniu radia, książek i środka rozweselającego, była w dobrym humorze. Nie miała wątpliwości co do tego, że będzie musiała kupić nowe letnie opony z



felgami, ale tymczasem wystarczyło usunąć kolce dłutem. A gdzieś tam w Oslo chodził sobie Christer, pozbawiony i jej, i przyszłej matki, dobrze mu tak, idiocie. Gdy starała się ustalić, co właściwie czuje, było w tym więcej zemsty niż zawiedzionej miłości, niech sobie siedzi tam sam ze swoimi komputerami, zegarami i homofobią, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu poczuła, że ta drobna zemsta daje jej zastrzyk świeżej energii.

Wniosła stojące w korytarzu torby pełne zakupów z jedzeniem. Ojciec siedział jak przymurowany w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, ale na to nie mogła się irytować, co wieczór męczył się z pracami w biurze, biedak, poza tym nie miał co ze sobą zrobić, mógł co najwyżej odwiedzić przenośną ubikację. W takich wypadkach siedział tam i przez cały czas wrzeszczał, że tam jest, żeby nikt nie otworzył drzwi i nie zobaczył go siedzącego za chodzikiem na widoku.

Dziadek tkwił w salonie.

– Co oglądasz? – zagadnęła go.

– Program *Wokół Norwegii*. Powtórkę – odrzekł.

– Pulpety rybne na obiad, co o tym sądzisz?

– Z sosem ciury, matka takie robiła – wtrącił się ojciec.

– Jasne, że tak. Curry i krewetki, a do tego ziemniaki z marchewką – powiedziała.

– Krewetki? – zapytał.

– Tak. Krewetki.

Czekała chwilę, czy rzuci jakiś komentarz na temat cen **takich rzeczy**, ale nic nie powiedziała, pewnie przypomniał sobie, że to ona za to płaci, a **on** zbiera tylko punkty na swojej karcie Coop, ponieważ korzystała z niej w sklepie, nie mając własnej. Nie udało jej się powstrzymać i powiedziała: – Im więcej krewetek, tym więcej punktów na twojej karcie rabatowej.

– O co ci chodzi?

– Nic takiego. Zobacz, jakie ładne słońce się zrobiło! I jest plus siedem. Prawdziwa wiosna. Mógłbyś trochę posiedzieć na dworze, wystawiłabym ci krzesło z kocem. Przed słoneczną ścianę przed drewnianą.

– Nie. Nie będę siedział z założonymi rękoma jak jakiś dumy emeryt, żeby wszyscy to widzieli.

– Przecież nikt cię tutaj nie widzi?

– Nie chcę.

– Nie to nie!

Poczuła to, kiedy stała, nalewając wody do zlewu, żeby umyć tam ziemniaki.

– Coś tutaj dziwnie pachnie – rzekła.

Bez odpowiedzi.

Pochyliła twarz nad zlewem, powąchała dokładniej.

– Tu śmierdzi moczem! – powiedziała i spojrzała na ojca, który nie podniósł wzroku znad gazety.

– Powiedz mi, **szczasz** do zlewu?

– Tak – odparł dziadek z salonu.

– ZAMKNIJ DZIÓB! – wrzasnął ojciec.

– Ależ, Boże jedyny, przecież to jest **kuchnia!** – rzekła. – Nie stoisz przecież i nie...

– Codziennie – powiedział dziadek.

– To jest po prostu **nie do wytrzymania** – zawołała, ciskając garnkiem w blat. Ojciec kilkakrotnie oblizwał usta, a potem podniósł na nią wzrok. – Nie dość, że od ciebie zazwyczaj **śmierdzi**, nie dość, że nie myjesz się porządnie, to jeszcze do tego stoisz na środku kuchni i

szczasz do zlewu? Ja też w zasadzie tu teraz mieszkam, przynajmniej przez chwilę. I nie zamierzam się na to zgadzać! Ty świnió!

– Mniej musisz wylewać. Mam na myśli prężość.

– A nie możesz wobec tego wyjść **na dwór** i wyszczać się tam? Dajesz sobie doskonale radę z wyjściem za dom z chodzikiem, a nie ma już ani lodu, ani śniegu!

– To mój dom. I mój zlew.

– O, teraz to twój? Zdaje mi się, że nie minęło wiele dni od czasu, gdy utrzymywałeś, że to również moje gospodarstwo! Którego nie chcę wziąć.

– Nie chcesz go **wziąć**? – powiedział.

Szybko dodała: – Akurat dziś niekoniecznie. Teraz zrobię obiad, a ty przestaniesz szczać do zlewu. I koniec z tym tematem.

– A więc nie chcesz gospodarstwa. A wtedy... wtedy to wszystko **nie ma** sensu. Nie ma po co. Wtedy wyślę wszystkich w cholerę do rzeźni i zamknę ten interes. Zaraz zadzwonię do Eidsmo.

Zaczął podnosić się, szukać ręką chodzika.

– Przestań opowiadać głupstwa! Siadaj! – powiedziała.

Zacząła obierać ziemniaki, odwrócona do niego plecami, kątem oka widziała dziadka w salonie, siedział zwrócony twarzą do drzwi, jego nowiutkie okulary odbijały światło.

– Trzeba to robić **po coś**. A jeśli ty nie chcesz tego przejąć, to...

– Ale ja nie mogę przecież tak po prostu **zdecydować** się w tej chwili na coś takiego? – rzekła.

– Masz trzydzieści siedem lat. W tym kraju zdarzają się **pięciolatki** rozumiejące to, że będą musiały przejąć gospodarstwo.

– Ależ, mój Boże. A jak było wcześniej? Kiedy twoja matka żyła, a ty prowadziłaś to sam? Wtedy ja byłam w Oslo i o niczym nie miałam pojęcia. Po co robiłaś to wtedy? **Dla kogo?** Nie mów, że to było dla mnie.

– Wtedy żyła matka. Mieszkała tutaj. Wtedy to było **po coś**.

– Była twoją matką! Starą!

– Nie uważam tak.

Skaleczyła się obierakiem do ziemniaków, ale machnęła na to ręką, woda zmywała krew, obierała dalej.

– Gdyby ta historia z nogą się nie zdarzyła... Wtedy nigdy w żydu nie żądałbyś ode mnie, abym...

– Sądziłem, że chcesz. Już od świąt, od śmierci matki.

– Przecież mówię, że **nie wiem!** A na pewno jeszcze nie teraz. Może kiedyś.

– Muszę wiedzieć, że chcesz, że to wszystko czemuś **służy**. Inaczej nic nie ma sensu. Tutaj nic się nie kręci. Musisz o tym pomyśleć. Jesteś dziedziczką.

– Dziedziczką. Ha! I co mam niby z tym faktem zrobić, co? Sprzedać moje mieszkanie w Oslo i zainwestować wszystko **tutaj**, czy jak to sobie wyobrażasz? Teraz?

– Tak.

– Czy ty zupełnie oszalałaś? – zapytała, odwracając się do niego. – Snujesz się tutaj, wiecznie zły, szczech do zlewu, a ja mam niby... Zapomnij o tym.

– Zapomnieć?

– Tak. Zapomnij.

– Ach tak. To zapomnę.

Owinęła sobie palec plastrem, zagotowała ziemniaki i zrobiła biały sos, wrzudła pulpety, krewetki i przyprawy, nikt już nie mówił ani słowa, najchętniej usiadłaby w swoim pokoju i płakała. Była dziedziczką, nagle w jego oczach stała się dziedziczką. Nie za dziesięć lat, kiedy

ojciec mógłby pójść na emeryturę, ale właśnie teraz. Dziedziczką gospodarstwa, które tonęło finansowo z powodu archaicznego sposobu prowadzenia i braku ulepszeń.

Jedli w milczeniu. Ojciec nie zjadł wiele i ani słowem nie wspomniał, czy mu smakuje. Dziadek zjadł z apetytem. Nieprzyjemnie było siedzieć tak blisko nich i nic nie mówić, nie wiedzieć, co zrobić z oczami, wybrała patrzenie na nóż i widelec, i ponad zazdrostkę na ptaki, które rządziły się na podwórku. Chyba były jedynymi stworzeniami tu w gospodarstwie, poza świniami, które cieszyły się każdym nowym dniem i sądziły, że świat jest taki jak zawsze.

Ojciec włożył ostatni kawałek ziemniaka do ust, upuścił sztucę na talerz i podciągnął się na chodzik. Miała nadzieję, że nie wybiera się do ubikacji w korytarzu, bo wtedy chyba by ją zemdliło. Ale on poszedł do salonu i głośno zamknął za sobą drzwi. Napotkała wzrok dziadka.

– Tak, tak – rzekł.

Pozmywała naczynia i poszła do swojego pokoju. Dziadek już leżał u siebie. Włączyła cicho radio, otworzyła okno i zapaliła papierosa, siedziała z brodą podpartą na jednej dłoni i podziwiała piękny widok za oknem. Drzewa wkrótce się zazielenią, za chwilę już kwiecień, ziemia nabrzmieje i zacznie rosnać, w przybrzeżnych wodach zapanuje prawdziwe życie. Gdyby tylko to wszystko nie przyszło tak nagle, to może... rozbudowałyby chlew albo zaczęła robić coś innego. Musiałaby mieć czas na skończenie szkoły rolniczej, albo może zaczęłaby coś działać z psami. Szkoła dla psów. Albo pensjonat dla psów w chlewie, to miejsce idealnie nadawałoby się do tego. Obok stodoły można by zrobić duże wybiegi, gdyby najpierw wysypać wszystko żwirem i piaskiem. Do centrum Trondheim jechało się stąd tylko dwadzieścia minut samochodem, jeszcze krócej niż do Heimdal. A ona była wolna i niezależna.

To wszystko było możliwe.

Ale najpierw ojciec musiał wyzdrowieć. Stać się na powrót sobą. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek to się uda. Tak jak było teraz, nic nie miało sensu.

Zanim poszła do chlewu, weszła do kuchni, aby zagotować im kawy. Drzwi do salonu nadal były zamknięte, dziadek siedział przy stole w kuchni i wyglądał na zagubionego.

– Na pewno w radio też jest coś zabawnego – powiedziała. – A teraz będzie kawa.

– Jest zamknięte – rzekł.

– On się zamknął? – Podeszła i nacisnęła klamkę. – Otwórz! Niektórzy tutaj chcieliby obejrzeć sobie wiadomości! I kawa jest gotowa.

Po dłuższej chwili otworzył, po czym pokuśtykał z powrotem do swojego łóżka polowego, wyciągnął się na nim. Dziadek, nie tracąc czasu, przemknął do swojego fotela i złapał za pilota.

– Czy chcesz wypić tutaj kawę, tato? – zapytała.

Nie odpowiedział. Leżał na boku z twarzą zwróconą do ściany. Postawiła na tacy dwie filiżanki z kawą, cukierniczkę pełną kostek cukru oraz czekoladę mleczną, połamaną na kawałki, a potem zanosła wszystko do salonu i postawiła na stole.

– To ja idę do chlewu – powiedziała.

Swój kubek z kawą zabrała ze sobą wraz z całą tabliczką czekolady mlecznej. Kiedy przyszedł Kaj Roger, siedziała na stołku w pomieszczeniu gospodarczym.

– Aha. Odbywają się tu jakieś przegrupowania wojsk?

– On chce, żebym przejęła gospodarstwo. I musi wiedzieć to dzisiaj.

– Przecież o tym właśnie mówiłem. Że jesteś następną w kolejce.

– Ale dlaczego akurat teraz?

– Pewnie trochę stracił parę. Bardzo się boi, że zostanie tutaj sam. Może też ma dość. Albo praca z papierami go przerosła – rzekł Kaj Roger.

– On, który tak kocha te swoje świnie...

– Nie wystarczy kochać świnie, żeby gospodarstwo szło w opłacalny sposób. A świń już od dość dawna nie widział. A co ty na to powiedziałaś?

– Że niech o tym zapomni.

– A więc nie chcesz?

– **Nie wiem!** Nie wiem...

Zaczęła płakać, wściekła za to sama na siebie. Szybko podszedł, ukucnął przed nią i objął ją ramionami.

– Daj tej sprawie trochę czasu – powiedział.

– Trochę czasu? A co to da? – zapytała, opierając mu głowę na ramieniu, jak dobrze było opierać się o kogoś, czuć czyjeś objęcia, płakała coraz bardziej, on nic nie mówił, tylko ją trzymał. Płacząc, słyszała świńskie odgłosy dobiegające z chlewu, niecierpliwe parskanie, czuła, jak w samym środku tego wszystkiego cieszyła się, że zaraz je zobaczy, czy mogłaby dać sobie z tym radę, hodować świnie, nauczyć się wszystkiego o inseminacji i obliczaniu dawek paszy, chorobach prosiąt i tych zębach, co to je trzeba usuwać, i co jeśli maciora zwariuje i chce zjeść swoje młode... Czy była w duszy rolnikiem? Czy miała to we krwi? Jej matka także pochodziła z gospodarstwa. Czy zainteresowanie małymi zwierzętami, pracą z psami w wielkim mieście było wynikiem głębokiego pragnienia, żeby pracować przy zwierzętach i z nich żyć?

– Przecież to **nie tak** – rzekła, podnosząc głowę – że nie chcę prowadzić gospodarstwa. Ale kiedy mój ojciec zachowuje się w ten sposób i wszystko musi wiedzieć natychmiast...

– A pomyślałaś o tym, że to dlatego właśnie on ciągle chodzi zły i wściekły? Bo się boi? Bo to nie jest dla niego jasne? Gdybyś powiedziała mu, że za dziesięć lat przenieziesz...

– Nie sądzę, żeby tutaj udało się wiązać koniec z końcem przez kolejnych dziesięć lat. Pewnie padnie finansowo dużo wcześniej. Może już padł.

Podniosła się, znalazła rolkę papieru i wydmuchała nos, wytarła oczy do sucha. – Wybacz mi – powiedziała.

– Nie jesteś w tym osamotniona. Wokół w gospodarstwach jest mnóstwo ludzi zadających sobie pytanie, czy warto na to stawiać. Ale oni zazwyczaj są młodszy.

– W zasadzie mój ojciec też tak powiedział. Że mają najczęściej pięć lat.

– Niektórzy pewnie tak. Mój starszy brat przejął gospodarstwo rodzinne, ale waha się, nie wie, czy je rozbudowywać, czy zlikwidować. Jeżeli się podda, jestem następnym w kolejce. Ja bym wtedy zdecydował się na rozbudowę.

– A skoro tak, dlaczego nie zrobicie tego razem?

– Jego żona nie chce. Wolałaby likwidację – odparł. – Ale teraz zdaje się, że panie tutaj mają już dość czekania. Wkładaj kombinezon. A potem pojedziesz ze mną i zjemy tę pizzę w Heimdal. Jest piątek wieczór, nie możesz siedzieć w pokoju sama, pijąc koniak. Ja zapraszam. Wypiję małe piwko, a później odwiozę cię do domu.

Skończyli tuż przed dziewiątą. Po wzięciu prysznic ledwie wetknęła głowę do salonu, żeby powiedzieć, że wychodzi. Ojciec leżał tak samo jak przedtem, jego filiżanka z kawą stała nietknięta na tacy, ale za to dziadek zjadł całą czekoladę, wyjmując przy tym dolną szczękę. Starła się nie myśleć, po co.

– Jadę do miasta z Kajem Rogerem – powiedziała. – Na pewno wrócę dość późno, ale przemknę cicho na górę i nikogo nie obudzę. Dobranoc.

Dziadek skinął głową: – Dobranoc.

Siedziała tam umalowana, w dzinsach, których nie miała na sobie od wieków, i czuła się normalnym człowiekiem. Kaj Roger też wyglądał całkiem inaczej. Włożył dzinsy oraz czarną

skórzaną kurtkę, włosy zaczesał do tyłu, przyglądała się mu, gdy stał przy barze i zamawiał, był naprawdę przystojny.

– Z czosnkiem? – zawołał.

– Tak, poproszę. Mnóstwo!

Kupił dla siebie piwo bezalkoholowe i zwyczajne dla niej. Kucharz robiący pizzę obracał ciastem w powietrzu, kręcił nim w kółko, na pewno właśnie ta pizza miała być dla nich, z pepperoni i ananasem.

– Cieszę się, że z tobą pojechałam – powiedziała. – Bardzo ci dziękuję.

– To był najwyższy czas.

– Ale wiesz... nie będziemy rozmawiać o dziedziczeniu, gospodarstwach, pieniądzach i takich rzeczach, okej?

– Nie ma sprawy. Mnie też w zasadzie nie chce się o tym gadać. Opowiedz mi lepiej coś śmiesznego o tym weterynarzu Herriocie, o którym ostatnio czytałaś. Czy on nie był przypadkiem nowicjuszem rzuconym na głęboką wodę, czyli w sam środek wioski pełnej specyficznych chłopów?

– Widzisz, i znów przy tym jesteśmy.

Zaśmiał się, ona piła piwo, było lodowate, w mosiężnym lichterzu stojącym pomiędzy nimi paliła się świeczka.

– Wobec tego lepiej opowiedz mi o Oslo – rzekł. – I o tym, jak mam wychować szczenię labradora, właśnie zamówiłem psa od jednego z moich przyjaciół, trzy dni temu urodziły im się szczeniaki.

– O tak, o **tym** mogę ci opowiadać – powiedziała i się uśmiechnęła.



## ROZDZIAŁ 27

Że też w ogóle udało mu się dzisiaj siedzieć tu tak po prostu i jeść. Wtykać sobie jedzenie do gęby, kiedy wszystko było skończone, a ona tego nawet nie zauważyła. Krewetki. Krewetki w sosie. Może i dobrze, że nie przejmie gospodarstwa, skoro jest taka rozrzutna. To na pewno po Cissi. Wtedy nie rozumiał tego, że matka nie chce znać Cissi tylko z tego powodu, że ukroiła sobie na chleb bardzo gruby plaster pasztetu. Więcej pasztetu niż chleba, ale on o tym nie pomyślał, a matka zrobiła go przecież sama. Sądził, że się ucieszy, że Cissi tak smakuje, a ona zamiast tego powiedziała, że przy takiej żarłoczności i sposobie myślenia gospodarstwo szybko popadłoby w ruinę. Oni sami wtykali w pasztet koniuszek noża i rozsmarowywali go cieniutką warstwą na margarynie. Przecież i tak czuło się smak. Ale Torunn tak nie myślała, była nieodrodną córką swojej matki, kupowała na co dzień drożdżówki i robiła krewetki w sosie, trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy.

Leżał i słuchał dźwięku telewizora, podczas gdy ojciec z głośnym zadowoleniem zżerał czekoladę i siorbał kawę. Potem wyjął sztuczną szczękę i dokładnie oblizał ją z czekolady.

Ojciec. Który wcale nim nie był. Ale o tym nawet nie był w stanie myśleć, że matka była zdolna ukrywać to przed nim, żona dziedzica gospodarstwa, a trójkę dzieci spłodziła z teściem. Kłamstwa. Ale przecież nadal była jego matką, tą samą matką, czyż nie? Wszystkie wspomnienia, jakie miał... Nie można było tak w jednej chwili zmienić ponad pięćdziesięciu lat historii. A teraz wszystko było skończone. Wściekłość go opuściła. Słuchał gadania dobiegającego z telewizora, nie rozumiejąc nic z treści. Na chwilę przysnął. Obudziła go Torunn, która weszła i powiedziała, że wychodzi ze zmiennikiem. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Pewnie czuła ulgę, bo w końcu powiedziała wyraźnie, że nie przejmie gospodarstwa. I do tego latała za chłopami, chciała pojechać do miasta, potańczyć, napić się i być wolna od wszelkich myśli dotyczących tej schedy i jej prowadzenia.

Od leżenia w jednej pozycji rozbolał go lewy bok, cała noga aż do pachwiny rwała. Ale gdyby się odwrócił, byłby zmuszony porządnie nawrzeszczeć na ojca za gadanie o sikaniu do zlewu, a na to nie miał siły, chciał tylko, żeby już poszedł sobie z salonu, łatwiej było więc udawać, że śpi. W końcu zapadła cisza, bo ojciec wyłączył telewizor. W tej ciszy słyszał tykanie kuchennego zegara. Ojciec, sapiąc, gramolił się z fotela, szurał pantoflami po podłodze. Wychodząc, nie powiedział ani słowa, zamknął tylko za sobą drzwi kuchenne i powoli poszedł w górę po schodach. Zaraz potem usłyszał wodę spuszczaną w klozecie, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Usiadł wyprostowany. Kręciło mu się w głowie i mdliło go. Podciągnął się na chodzik i z wysiłkiem przeszedł przez salon, wziął klucz i zamknął drzwi od strony kuchni, a potem włożył klucz do kieszeni dzierganego swetra, niech sobie myślą, że on leży tam w środku. Zabrał ze sobą

z lodówki nieotwartą paczkę salami. Z biura wziął nową butelkę okowity, druga była już do połowy opróżniona. Tabletki przeciwbólowe miał przygotowane w kieszeni spodni, pudełko było ledwie otwarte. Cicho doholował się na ganek i ruszył przez szerokie podwórze, przystanął przy drzewie i zmiotł na ziemię okruszki z karmnika dla ptaków, zmiotł je do czysta.

Pomieszczenie gospodarcze było zmienione. Pachniało mydłem. Ściany zostały umyte i jaśniały czystością. Beton wokół odpływu też był jaśniejszy, sam odpływ nagle świecił czystą stalą. Rzeczy znajdowały się na innych miejscach. Nawet tutaj była, poprzeszawiała i sprzątnęła. Wszystko musiała zmieniać, a zarazem nie zamierzała wziąć za to odpowiedzialności, przyjąc na siebie przyszłości, która się z tym wszystkim wiązała.

W chlewie było cicho, zwierzęta ułożyły się już na noc. Opadł na stołek.

Wszystko na nic. Nic nie miało już sensu. Dzień po dniu zmarnowany. Dotarł tutaj, do tego stołka, z pełnymi kieszeniami. Siri nosiła w brzuchu kolejne młode, Røstad i Kaj Roger załatwili wspólnie co trzeba, Mari i Mira miały się wkrótce oprosić, wszystko doskonale szło tutaj bez niego. Krewetki i pizza, telewizor z pilotem, sauna. Podniósł się. Nie potrzebował fartucha rzeźniczego ani peleryny. A co, jeżeli przenieśli Siri, nie był w stanie zapalić górnego światła. Czerwone światło lamp grzewczych stanowiło teraz jedyne źródło jasności. Zajrzał do szuflady w poszukiwaniu korkociągu, znalazł go tam gdzie zawsze, za starym, ręcznym wiertłem. A butelki stały w szafce, w tym samym miejscu, gdzie kazał ojcu je postawić. Nie dawał rady jednocześnie pchać chodzika i nieść okowity i piwa, włożył dwie butelki piwa do kieszeni, a okowitę udało mu się nieść w ręce.

Siri na szczęście była tam gdzie zawsze. Leżała i spała, ale obudziła się natychmiast, gdy przy niej stanął.

– Leż sobie, moja malutka.

Podniosła się jednak, w czerwonym mroku nocy rzucała kolosalny cień, tupiąc racicami, podeszła do niego, parskała i chrupkała, jeszcze obudzi pozostałe. Oparł się łokciem o chodzik, wyłuskał z kieszeni opakowanie salami, otworzył je zębami i dał jej połowę. Była tak zdumiona, że usiadła wprost na szynkach i długo żuła. W międzyczasie użył pięści, żeby przejść do niej, pokonując metalowe rurki, chodzik pozostawił w przejściu. Z całej siły trzymał się rurek, opuszczając ciało na podłogę po drugiej stronie. Kiedy opadł na podłogę, poczuł, że nie jest mokra, w boksie było czysto i sucho, dużo słomy, właściwie za dużo, przesadzając ze słomą, sami sobie przysparzali tylko więcej pracy, Torunn i ten zmiennik. Usiadł wygodnie. Kiedy siedział w ten sposób, Siri była od niego znacznie wyższa.

– Połóż się teraz grzecznie, mam ze sobą więcej dobrych rzeczy. Moja dobra dziewczynka, tak, moja malutka...

Parskała i czochręła go po włosach, wachała po twarzy, po ramionach, a on objął ją za łeb, czochręł i drapał za uszami.

– Tak, tak, dobrze, jestem tutaj... już dobrze. Jestem.

Pięścił ją, tak do niej przemawiając, aż w końcu położyła się ponownie, zwracając ku niemu wielki łeb, w boksach wokół panowała cisza, pewnie nie wierzyły, że to on, dlaczego niby miały w to wierzyć po tak długim czasie. Pogłaskał ją po ryju, poczuł jego wilgotną gładkość, podniosła pysk ku jego palcom.

– Teraz po jednym plasterku, a nie pół paczki naraz, inaczej za chwilę się skończy.

Otworzył pierwszą butelkę piwa i wyciągnął opakowanie tabletek, wysypał z niego garść i połknął, popijając piwem, a później dodał do tego łyk wódki. Siri chciała wszystko obwąchać. Pomyślał, że może powinien trochę poczekać, zanim weźmie więcej, żeby nie zwymiotować, ale obawiał się, że wtedy może najpierw zasnąć. Zasnął i obudzić się później. Siedział nieruchomo

aż do chwili, gdy poczuł, że nie zwymiotuje, a potem powtórzył procedurę, tabletki z piwem, popite wódką. Kiedy opakowanie było już puste, wyrzucił je do przejścia. Wypił tylko jedną jedyną butelkę piwa. Otworzył drugą, poczuł, że drży, ale teraz już skończył, nie musiał robić nic więcej, nie potrzebował trzeciej butelki, wyciągnął ją z kieszeni na piersi i z wielkim trudem postawił w przejściu, tak żeby żadne ze zwierząt nie było w stanie jej dosięgnąć i zrobić sobie krzywdy.

– Moja Siri.

Oparła łeb na podłodze, oczy jej lśniły, leżała tak i patrzyła na niego.

Metalowe rurki pod plecami uwierały go, oparł się na prawym łokciu, z twarzą i ciałem tuż przy jej łbie. Pachniała mocnym, dobrym zapachem. Zamknął oczy, wszystko wirowało, szybko je znów otworzył.

– Mamo.

Ponownie zamknął oczy. Jej chustka na głowie. Zobaczył tę chustkę, ciasno owiniętą wokół włosów, zawiązaną na karku, była brązowa w czerwone paski, pochylała się nad czymś, nie widział jej twarzy, była odwrócona.

– Mamo!

Znów tam była, tuż przed nim, uśmiechała się, opowiadała o swoim dzieciństwie, o tych czasach, kiedy sąsiedzi pomagali sobie w sianokosach, a potem wspólnie pili z dzbanków domowe piwo, mówiła o wojnie, o biednych jeńcach w Øysand, o berlińskich topolach, które nigdy nie przestały rosnąć, zapuszczając korzenie we wszystkie strony, kwitły co roku, wypuszczając długie baze. Siedzieli przy stole kuchennym, widział wyraźnie podobne do marmuru tworzywo, czuł w ustach smak ciasteczek owsianych i kawy, jakie to było dobre. Głaskała go po policzku, był mały i był dziedzicem, głaskała i wkładała mu do ust truskawki, głośno z czegoś się śmiała, gdzieś tam był też głos dziadka Tallaka, głęboki i dźwięczny, stali razem z nim, obydwój, śmiali się do niego, było gorąco, było lato, czy nigdy nie było zimy? Nie, zimy nie było, zima przyszła dopiero później, z czarnymi gałęziami i zamarznąłą ziemią, i wełnianymi rękawiczkami pokrytymi twardymi kawałkami śniegu, zwisały z cieniutkich włosków, odgryzał te kawałki i wypluwał na ziemię.

Położył się płasko na podłodze. Przecież wcale nie było zimy, tutaj było ciepło, ciepło od zwierząt, tutaj byli razem, razem i wszystko było czerwonym światłem na czarnym tle. Długie, czarne cienie w czerwieni i oddychająca obok Siri. Jak dobrze znowu być tutaj. Jak dobrze.





## ROZDZIAŁ 28

Erlend siedział niespokojnie na jednym z empirowych foteli w holu z rękami ściśniętymi na kolanach. Nadśluchiwał. Po upływie całej wieczności usłyszał dźwięk windy, podskoczył i otworzył drzwi wejściowe. Stał tam, kiedy głowa Krumme ukazała się w wąskiej przeszklonej szparze, która powoli podnosiła się, aż w końcu stanęła. Otworzył drzwi jednym ruchem.

– Dlaczego nie masz włączonej komórki, Krumme?! Jest po dziewiątej, piątkowy wieczór, sądziłem, że znów zostałeś przejechany!

– Siedziałem aż do teraz na spotkaniu z policją, zapomniałem ją ponownie włączyć. Ktoś na nas doniósł, chodzi o jakieś zdjęcia, gdzie nie dość dobrze zakryliśmy szczegóły, z tego dramatu z zakładnikami w banku w Rødovre, na pewno pamiętasz, jak...

– Do diabła z tym. Teraz jesteś tutaj. One są W CIAŻY!

– Co?

– Obie!

– Dobry Boże.

– Nie, on nie jest ojcem. I opowiedziałem im o silosie! Są w siódmym niebie ze szczęścia! Kochają przecież Norwegię! Wiedziałaś o tym, Krumme? Że one po prostu kochają Norwegię?!

– Muszę usiąść – rzekł Krumme. Opał na jeden z foteli, Erlend usiadł na drugim. Siedzieli tak zupełnie cicho przez kilka długich sekund.

– Jak się z tym czujesz? – zapytał Krumme.

– Jestem przerażony – szepnął Erlend.

– Ja też. A więc obie...?

– Tak. Obie.

– Czy to w gruncie rzeczy nie jest sensacja medyczna?

– Też tak powiedziałem. Ale Jytte uważa, że to jest miłość – rzekł Erlend.

– Spróbuj to powiedzieć parom starającym się przez całe lata.

– Chcą, żebyśmy przyjechali.

– Oczywiście, że jedziemy. Czy one są tak samo przerażone jak my? – zapytał Krumme, stojący nadal w swoim matriksowym płaszczu.

– Nie. Są uradowane. Zażądały, żebym wypił za nie obie szampana, kupiły coś porządnego. Ale wiesz co, Krumme? Nawet nie mam w tej chwili ochoty na szampana...

– Jesteś chory?

– Mam raczej chęć na gorącą czekoladę z bitą śmietaną.

– Jesteś chory. Chodź, jedziemy.

Siedzieli w taksówce, trzymając się za ręce, Erlend starał się intensywnie myśleć o czekającym na niego szampanie. Obok przesuwały się światła Amagerbrogade. Dziecko. Dwoje dzieci. Jego i Krumme.

- Nigdy nie byliśmy na chińskim murze – powiedział.
- Mamy jeszcze dziewięć miesięcy, zdążymy, Erlendzie. A poza tym słyszałem pogłoski, że dzieciom też pozwalają chodzić po murze. Boisz się, że świat zapadnie się pod ziemię?
- Definitywnie.
- A więc podobała im się myśl z trzypoziomowym silosem – rzekł Krumme.
- Pewnie trochę nagle to na nie spadło, ale przecież wiesz, one kochają Norwegię. Wiedziałeś o tym?
- Nie bądź tylko teraz histeryczny, jestem tak samo wytrącony z równowagi jak ty.
- Mam taką ochotę opowiedzieć o wszystkim Torunn. I o tym z... no, o tym z gospodarstwem, ale przede wszystkim, że my... że ja będę...
- Ojcem – powiedział Krumme.
- Właśnie.
- Nie przez telefon – rzekł Krumme.
- Czy nie możemy tam pojechać? Jutro?
- Jutro?! Zdaje się, że zupełnie ci odwaliło!
- Przecież to tylko kilka godzin podróży – powiedział Erlend. – Możemy wrócić w poniedziałek. Wtedy naprawdę dowiedzimy samym sobie, jak łatwo jest pojechać i wrócić z naszego wiejskiego silosu. Możemy wziąć taksówkę z lotniska Vaernes, kosztuje pewnie siedem-osiem stów, ale Torunn na pewno odwiezie nas z powrotem w poniedziałek. Kupimy trochę dobrego jedzenia i picia, rozweselimy ich nieco, co na to powiesz.
- Nie wymyśliłeś tego na pewno w tej chwili.
- Nie – odparł Erlend. – Zaplanowałem to, siedząc przez całą godzinę i dzwoniąc do ciebie na komórkę, a w redakcji powiedzieli mi, że jesteś na policji, a kiedy zadzwoniłem na policję, nic tam nie wiedzieli o żadnym przejechaniu. Wtedy sobie pomyślałem, że jeśli nadal żyjesz, to moglibyśmy tam pojechać. Już widziałem siebie w roli samotnego ojca. Wyobraź to sobie.
- Krumme uściśnął jego dłoń, byli na miejscu.
- To tak zrobimy – rzekł. – Skoczmy do Norwegii jutro. Dodamy im trochę otuchy.
- Ciekaw jestem, co powie Margido – powiedział Erlend, wyciągając banknoty z portfela. – Czy jego wysokie morale to zniesie.
- Silos czy dzieci?
- Nie sądzę, żeby w Biblii było coś o silosie, Krumme.
- Myślę, że się ucieszy. Po tym, co mi opowiedziałeś o waszej rozmowie. Skoro nawet **ksiądz** uważał, że sprawiamy miłe wrażenie...
- Reszty nie trzeba – rzekł Erlend do kierowcy i otworzył drzwi samochodu. – To idziemy do matek. I pewnie, że wypiję szampana. Gorąca czekolada jest dla dzieci.



## ROZDZIAŁ 29

Przez szklane drzwi patrzył na swoją łazienkę. Umywalka też była nowa, a na podłodze miał kafelki. W stosunku do łazienki w Kopenhadze była to zaledwie mała komórka. Ale za to komórka nowiusieńko wyremontowana i jego własna. Generator pary działał znakomicie. Para to zawsze para, pomyślał sobie, jeśli zamknie oczy, nietrudno będzie wyobrazić sobie piec z rozżarzonymi kamieniami na szczycie. Pogrzeb, który dzisiaj przypadł mu w udziale, ciążył nad nim jak ołowiana płachta. Teraz mógł wypocić się i przygotować na ten smutek, do którego będzie musiał podejść profesjonalnie, na szczęście bardzo rzadko zdarzały się takie gwałtowne zlecenia. Mężczyzna z trójką dzieci w samochodzie. Czołowe zderzenie po południu, cała trójka dzieci zginęła, on sam przeżył, praktycznie bez szwanku. A raczej... co to znaczy przeżył? Jakież życie czekało go od tej pory. Najpewniej nie da rady nawet przyjść do kościoła.

Trzy dziecięce trumny. Będzie na pewno morze kwiatów. Nieprzerwane łkanie od początku do końca ceremonii we wszystkich ławkach. A ksiądz będzie starał się pocieszać, „pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im... Ja dam im życie wieczne. Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z mojej ręki”. Będzie zmuszony pożyczyć dodatkowy samochód pogrzebowy z jednego z większych biur. Jutro przed południem miał pojechać do rodziców, nie mieli siły na spotkanie dziś wieczorem, poza tym matka została głęboko uszpienia farmakologicznie przez lekarza. Miał usiąść wspólnie z nimi w sobotni poranek i zaplanować razem nekrolog, trumny, pieśni. Matka i ojciec, którym odebrano wszystko. Dziadek jechał z dziećmi do Burger Kinga, żeby kupić im hamburgery, a później zabrać je do siebie na noc. Matka i ojciec mieli w tym czasie pójść do restauracji, żeby świętować dziesięciolecie ślubu.

Spojrzał na zegarek. Siedział już godzinę. Wyłączył generator i puścił w ruch wentylację, złożył drewniane ławki i wszedł pod prysznic. Czuł się już lepiej, to była jego praca, nie mógł pozwolić uczuciom wnikać w siebie zbyt głęboko, wtedy traciło się jasność osądu i panowanie nad sytuacją. Wolał raczej pomyśleć o tym, co zaproponowała mu pani Gabrielsen dziś przy porannej kawie, gdy zdarzyło mu się wspomnieć coś o Neshov i o tym, jak trudno jest nie być w stanie bardziej pomóc materialnie, bo Torunn odbierała to jako osobistą obrazę.

Nałożył szlafrok i kaptcie, poszedł do kuchni i zrobił sobie kanapkę z szynką i mnóstwem sera. Posmarował kromkę masłem od spodu i położył ją pod przykrywką na patelni, przez krótką chwilę miał przed oczami swoje odbicie w lustrze w Kopenhadze, ale zaraz odrzucił myśl, żeby odtąd unikać masła. Raczej powinien pilnować, żeby więcej się ruszać, nie miał siły na rezygnację z tej odrobiny dobrego jedzenia, na które sobie pozwalał, a smażona kromka białego chleba dobrze nasiąknięta świeżym masłem stanowiła jego ulubiony przysmak.

Ile płaci pan miesięcznie za magazyn w Heimdal, który wynajmujemy na trumny i pozostały sprzęt, zapytała pani Gabrielsen. Pięć tysięcy miesięcznie. W tym prąd, odpowiedział. A czy nie lepiej byłoby zrobić magazyn w Neshov? W stodole? – zapytała pani Gabrielsen.

Jakie to proste. Taka możliwość kompletnie nie przyszła mu do głowy. Gdyby trochę tam oporządził, nie kosztowałoby to wiele, a budynek zasadniczo był solidny. Oczywiście nie płaciłby im pięciu tysięcy, ale mógłby wziąć na siebie ubezpieczenie, podatki gminne i podobne sprawy, już samo to byłoby dla nich bardzo korzystne, zważywszy na brak rezerw w gospodarstwie.

Włączył telewizor i znalazł stary film amerykański. Pojedzie tam jutro po wizycie u rodziców i złożeniu nekrologu w gazecie. Dzieci leżały w kostnicy Szpitala Świętego Olava, mógł się nimi zająć dopiero w poniedziałek. Pojedzie tam i złoży propozycję, zobaczy, co mają do powiedzenia, przedłoży to w taki sposób, że to jemu będzie się opłacało, że to nie jest żadna jałmużna. Bo to naprawdę będzie się opłacało. Im wszystkim. A z biura w centrum była taka sama odległość do Neshov, jak do magazynu w Heimdal. Oczywiście Tor będzie protestował, a może nawet powie stanowczo nie. Na to musiał być przygotowany. Nawet mogła z tego wyniknąć kłótnia. Wtedy powinien dać mu przemyśleć wszystko przez chwilę i powrócić do pomysłu za jakiś czas, jak Tor znów stanie się sobą, ze zdrową nogą.

Grzanka z serem była gotowa, stopiony ser zmieszał się na patelni z masłem. Nalał sobie szklankę mleka i zaniósł to wszystko do ulubionego fotela, postawił sobie tacę na kolanach, a mleko na stole obok. Zwiększył głośność pilotem. To byli Cary Grant i aktorka, której nazwiska nie pamiętał, będzie musiał sprawdzić w programie telewizyjnym, jak tylko zje. Był rozgrzany, wypoczęty i spragniony. Jednym haustem opróżnił szklankę z mlekiem.



## ROZDZIAŁ 30

Wśliznęła się cicho do środka, była pierwsza w nocy, musiała wstać o wpół do siódmej, nie powinna była pić tego ostatniego piwa. Kajowi Rogerowi będzie łatwiej wstać, jako kierowca do samego końca pozostał przy piwie bezalkoholowym. Zaproponował jej, że sam obrządzi chlew następnego dnia rano, ale nie chciała tego. Jasne, że wstanę, powiedziała, tego tylko brakowało, mogę wyspać się później w ciągu dnia.

W łazience na górze wyszorowała zęby, dom wokół niej był całkiem cichy, wszyscy spali, napiła się wody z kranu i zmyła makijaż, przemknęła do swojego pokoju i szybko przebrała się w piżamę.

Długo leżała, obserwując zasłonki przy otwartym oknie. W końcu kołdra się rozgrzała. Kaj Roger nie próbował flirtować i była z tego bardzo zadowolona. Nie zapytał też, czy kogoś ma, rozmawiali o psach, bardzo przejmował się szczeniakiem, od lat chciał mieć psa, będzie miał na imię Sofus.

Dobrze było tak siedzieć przy stole, jak zwykły człowiek, **zauważany** i doceniany za to, że wie mnóstwo o sprawach komuś nieznanym. Pizza smakowała znakomicie, na deser zjedli ciepłą szarlotkę z bitą śmietaną, opowiedziała mu o kontakcie wzrokowym i jak nauczyć szczenię gotowości do nauki, o ćwiczeniach z jedzeniem i przy zabawie, cieszyło ją, kiedy zgadzał się z logiką i oczywistością takiego treningu, trochę zdumiony, jakie to wszystko proste, był w tym bardzo podobny do jej kursantów z Oslo.

A kiedy odwiózł ją do domu i podjechał w górę aleją, czuła bardzo wyraźnie, że Kaj Roger odwozi ją **do domu**. Dziwne. W zasadzie stąd **pochodziła**. I teraz tu była. Zdumiewało ją, jak jeden jedyny wieczór spędzony poza gospodarstwem pozwolił jej wyjść z błędnego koła i nastawić się na rozwiązywanie problemów.

Kiedy budzik zadzwonił o wpół do siódmej, ledwo była w stanie otworzyć oczy. Gdyby miała teraz zrobić sama cały obrządek chlewu, umarłaby chyba na samą myśl o tym. Ale za pół godziny przyjedzie Kaj Roger, zrobią wszystko razem.

Pokój był lodowaty, w nocy na pewno zrobił się mróz. Szybko wyskoczyła z łóżka, złapała swoje ubrania i poszła do łazienki. Ubrała się i nałożyła odrobinę tuszu do rzęs, zazwyczaj nigdy nie robiła tego tak wcześnie, przeciągając powoli szczoteczką po rzęsach, na dole i na górze, uśmiechała się leciutko do swojego odbicia w lustrze.

Drzwi do salonu były zamknięte, jak zawsze o tej porze dnia, ojciec nigdy nie wstawał wcześniej niż po jej wyjściu do chlewu, a dziadek dopiero po jej powrocie. Cieszyła się, że może posiedzieć tam samotnie, włączyła cicho radio, nastawiła dzbanek z kawą i rozpałała w piecu na drewno. Może to będzie lepszy dzień. Spróbuje dzisiaj z nim porozmawiać, nie kłóćąc się,

postara się głośno o tym wszystkim pomyśleć, usłyszeć jego zdanie, dowiedzieć się, ile jeszcze lat chciałby sam prowadzić gospodarstwo. No i o finansach, jak ta sprawa w rzeczywistości wygląda. Musi dowiedzieć się całej prawdy w tej kwestii. Będzie też chciała wyjaśnić mu, że jest jej **potrzebny**, jeśli w przyszłości ma wszystko przejąć. A to znaczy, że nie może być ciągle zły i oporny, musi z nią współpracować. Stać się na powrót taki, jakiego go poznała, być w stanie zostawić przeszłość za sobą.

Za dziesięć siódma wypila filiżankę kawy, stojąc przy blacie i słuchając programu przyrodniczego nadawanego w radio, o zwierzętach zapadających w sen zimowy, jak wyciszają swoje funkcje życiowe, jaki mają wbudowany nieprawdopodobny zegar, który mówi im dokładnie, kiedy zaczyna się wiosna.

Odstawiła pustą filiżankę po kawie na blat i wyłączyła radio. Kaj Roger zaraz tutaj będzie.

Kiedy przechodziła przez podwórkę, zauważyła, że karmnik dla ptaków jest całkiem pusty. To dziwne, przecież wieczorem, już po zapadnięciu zmroku, napełniała go okruszkami. Może przyszła tu jakaś wiewiórka. Zabawnie byłoby mieć podwórkową wiewiórkę, one były takie słodkie.

Wtedy usłyszała świnię. Wydierały się. Nigdy tak nie robiły, nie wcześniej niż po otwarciu drzwi do chlewu. Pobiegła. Kiedy dotarła do drzwi, słyszała już, że dźwięki są zupełnie inne, była w nich jakaś nowa panika, krzyczały jak oszalałe, że świńskich krtani wydobywał się chórem jeden głos.

Szarpnęła drzwi i przebiegła obok pomieszczenia gospodarczego bez przebierania się w kombinezon, otworzyła drzwi do zwierząt i zapaliła górne światło.

